



DANIEL SILVA

POŚLANIEC

Tłumaczyła Aleksandra Górską

Saudyjczycy działają aktywnie na wszystkich poziomach globalnego łańcucha terroru: od strategów po sponsorów, od korpusu oficerskiego po zwykłych żołnierzy, od ideologów po podżegaczy.

Laurent Murawiec, RAND Corporation

Dopóki nie uporamy się z ideologicznymi korzeniami nienawiści, która doprowadziła do 11 września, wojna z terroryzmem nie zostanie wygrana.

Pojawienie się następnego Osamy bin Ladena będzie tylko kwestią czasu.

Dore Gold, Hatred's Kingdom

Zdobędziemy kontrolę nad Watykanem. Zdobędziemy kontrolę nad Rzymem i zaprowadzimy tam islam.

Szejk Muhammad ibn abd al-Rahman al-Arifi, imam meczetu w Akademii Obrony Narodowej im. króla Fahda

Część pierwsza

„Brama Śmierci”

Londyn

To Ali Massudi niechcący odwołał Gabriela Allona z jego krótkiej i niespokojnej emerytury: Massudi, ów wielki eurofilny intelektualista i wolnomyśliciel, który, w chwili ślepej paniki, zapomniał, że Anglicy jeżdżą lewą stroną ulicy.

Scenerią jego smutnego końca było Bloomsbury w ulewny październikowy wieczór. Powodem, dla którego się tam znalazł - ostatnia sesja pierwszego dorocznego Forum Politycznego na rzecz Pokoju i Bezpieczeństwa w Palestynie, Iraku i Regionie.

Konferencja rozpoczęła się wczesnym rankiem z wielką pompą i pośród równie wielkich nadziei, ale gdy dzień miał się ku końcowi, nabrała jakości podrzędnej produkcji objazdowej trupy. Nawet demonstranci, którzy zjawili się, licząc na zainteresowanie mediów, szybko pojęli, że wszyscy grają tam według tego samego, wyświechtanego scenariusza. Kukła amerykańskiego prezydenta została spalona o dziesiątej. O jedenastej w paszczy oczyszczających płomieni wylądował izraelski premier. W porze lunchu, pośród ulewy, która szybko zamieniła Russell Square w sadzawkę, rozegrał się bzdurny spektakl mający coś wspólnego z prawami kobiet w Arabii Saudyjskiej. O dwudziestej trzydziestej, kiedy uderzenie młotka zamknęło końcowy panel, dwunastu stoików, którzy wytrzymali do końca, gęsiego skierowało się apatycznie w stronę wyjść. Organizatorzy imprezy nie dostrzegli wielkiego entuzjazmu dla idei ponownego spotkania następnej jesieni.

Ktoś z obsługi podkradł się do przodu i usunął z mównicy transparent głoszący: Gaza jest wolna - co teraz? Pierwszym dyskutantem, który powstał, był Sajjid z London School of Economics, obrońca zamachowców-samobójców i apologeta al Kaidy. Następnym - ascetyczny Chamberlain z Cambridge, który wcześniej mówił o Palestynie i Żydach, tak jakby to był wciąż kłopot gości w szarych garniturach z angielskiego Foreign Office.

Przez cały czas dyskusji leciwy Chamberlain służył za mur bezpieczeństwa między zapiekłym Sajjidem a biedaczką imieniem Rachel z izraelskiej ambasady, ściągającą na siebie gwizdy i pomruki niezadowolenia za każdym razem, gdy otwierała usta. Chamberlain usiłował odgrywać rolę rozjemcy i teraz, kiedy Sajjid odprowadzał Rachel do drzwi szyderstwami, że jej dni w roli okupanta są policzone.

Ali Massudi, profesor globalnego zarządzania i teorii społecznej na Uniwersytecie Bremeńskim, podniósł się jako ostatni. To mało zaskakujące, orzekliby jego zazdrośni koledzy, ponieważ w kumoterskim świecie studiów bliskowschodnich Massudi cieszył się reputacją człowieka, który zawsze schodzi ze sceny jako ostatni. Palestyńczyk z urodzenia, Jordańczyk w rubryce paszportu, Europejczyk z wychowania i wykształcenia, w oczach świata był uosobieniem rozsądku. Nazywano go świetlaną przyszłością Arabii. Wcieleniem postępu. Cieszył się opinią człowieka nieufnego wobec religii - każdej w ogóle, a wojującego islamu w szczególności. W artykułach wstępnych na łamach gazet oraz w swych przemówieniach na salach wykładowych i w telewizji nieodmiennie ubolewał nad dysfunkcyjnością arabskiego świata. Jego nieumiejętnością właściwego edukowania swego ludu. Skłonnością do obarczania winą Amerykanów i syjonistów za wszystkie swoje bolączki. Ostatnia książka Massudiego była praktycznie wezwaniem do islamskiej reformacji. Dżihadyści okrzyknęli go heretykiem. Umiarkowani - islamskim Martinem Lutrem. Tego zaś popołudnia dowodził, ku zgrozie Sajjida,

że następny ruch absolutnie winien należeć do Palestyńczyków. Dopóki Palestyńczycy nie porzucają kultury terroru, upierał się Massudi, nie można oczekiwać, że Izraelczycy oddadzą choćby piędź Zachodniego Brzegu. I nawet nie powinni. „Błuznierstwo! - krzyknął Sajjid. - Apostazja!”.

Przy swoim metrze osiemdziesiąt profesor Massudi był nie tylko wysoki, ale i o wiele za przystojny jak na mężczyznę pracującego w bezpośredniej bliskości łatwowiernych młodych kobiet. Miał ciemne kręcone włosy, szerokie i wyraziste kości policzkowe, a w samym środku kwadratowej brody dołek. Brązowe, głęboko osadzone oczy nadawały jego twarzy wyraz wybitnej, wzbudzającej zaufanie inteligencji. Ubrany tak jak teraz, w kaszmirową sportową marynarkę i kremowy golf, zdawał się archetypem europejskiego intelektualisty - ciężko pracował nad uzyskaniem takiego efektu. Z natury nieskłonny do pośpiechu, metodycznie spakował notatki i długopisy do swej nieodłącznej torby, po czym zszedł po stopniach z podium i ruszył środkowym przejściem w stronę wyjścia.

Kilku uczestników audytorium kręciło się po foyer. Na boku, niczym targana burzą wyspa na spokojnym morzu, stała dziewczyna. Miała na sobie sprane dżinsy, skórzaną kurtkę i palestyńską kraciatą kufię zamotaną na szyi. Gładko uczesane włosy lśniły kruczą czernią. W oczach, także prawie czarnych, lśniło coś innego. Nazywała się Hamida al-Tatari. Uchodźczyni, jak mu powiedziała. Urodzona w Ammanie, wychowana w Hamburgu, teraz obywatelka kanadyjska zamieszkała w północnym Londynie.

Massudi poznał ją tego popołudnia na przyjęciu kółka studenckiego. Przy kawie oskarżyła go żarliwie o pobłażanie amerykańskim i żydowskim zbrodniarzom. Massudiemu spodobało się to, co zobaczył. Umówili się na wieczór na drinka w winiarni obok teatru na Sloane Square. Zamiary profesora dalekie były jednak od romansowych. To nie ciała Hamidy pożądał, a jej żaru i niewinnej twarzy. Jej doskonałej angielszczyzny i kanadyjskiego paszportu.

Rzuciła mu teraz ukradkowe spojrzenie, kiedy przechodził przez foyer, ale nie podeszła, żeby porozmawiać. „Po sympozjum trzymaj się ode mnie na dystans - instruował ją tego popołudnia.

- Człowiek mojej pozycji musi uważać na to, z kim go widują”.

Na zewnątrz budynku skrył się za portykiem i przez chwilę obserwował ruch uliczny niemrawo płynący mokrą ulicą. Nagle poczuł, że ktoś otarł się o jego łokieć, potem patrzył, jak Hamida bez słowa zanurza się w ulewie. Poczekał, aż zniknęła mu z oczu, po czym przewiesił torbę przez ramię i ruszył w przeciwnym kierunku do swojego hotelu na Russell Square.

Zaszła w nim zmiana - zawsze tak było, kiedy tylko przechodził z jednego życia w drugie. Przyspieszenie pulsu, wyostrenie zmysłów, nagłe wyczulenie na najdrobniejsze szczegóły. Na przykład ów łysiejący młody mężczyzna, idący w jego stronę pod osłoną parasola, o ułamek sekundy za długo, jak się Massudiemu zdawało, zatrzymał spojrzenie na jego twarzy. Kioskarz gapił się beczelnie w oczy profesora, kiedy ten kupował egzemplarz „Evening Standard”. A taksówkarz przyglądał mu się bacznie, kiedy trzydzieści sekund później wyrzucił tę samą gazetę do kosza na śmieci w Upper Woburn Place.

Minął go londyński autobus. Kiedy wolno przejeżdżał obok, Massudi zerknął przez zaparowane szyby i zobaczył tuzin zmęczonych twarzy, prawie wszystkie brązowe lub czarne. „Nowi londyńczycy”, pomyślał. Przez chwilę profesor globalnego zarządzania i teorii społecznej zmagął się z implikacjami tego spostrzeżenia. Jak wielu z nich skrycie sympatyzuje z jego sprawą?

Jak wielu złożyłoby podpis na wykropkowanym polu, gdyby przedłożył im kontrakt śmierci?

Autobus zostawił za sobą po drugiej stronie chodnika pojedynczego przechodnia: w

sztormiaku, z krótkim kucykiem i dwiema prostymi linijkami zamiast brwi. Massudi natychmiast go rozpoznał. Był obecny na konferencji - siedział w tym samym rzędzie co Hamida, ale po przeciwnej stronie audytorium. Siedział tam już wcześniej, z samego rana, kiedy Massudi jako jedyny wyraził sprzeciw podczas panelowej dyskusji o zaletach niewpuszczania izraelskich naukowców na europejski ląd.

Massudi spuścił wzrok i szedł dalej, podczas gdy jego lewa ręka mimowolnie skierowała się do paska torby. Czyżby go śledzili?

Jeśli tak, to kto? MI-5 to odpowiedź najbardziej prawdopodobna.

Najbardziej prawdopodobna, ale, napomniał się, nie jedyna. Niewykluczone, że jego śladem z Bremy do Londynu podąża niemieckie BND. A może jest pod nadzorem CIA?

Ale dopiero czwarta ewentualność sprawiła, że serce Massudiego zakolało gwałtownie o zebra. A jeśli jego ogon nie jest ani Anglikiem, ani Niemcem, ani Amerykaninem? Jeśli pracuje dla tajnych służb, które bez żadnych skrupułów likwidują swoich wrogów, nawet na ulicach obcych stolic? Służb, które zwykły używać kobiet w charakterze przynęty. Przypomniał sobie, co Hamida powiedziała mu tego popołudnia.

- Dorastałam głównie w Toronto.

- A wcześniej?

- W Ammanie, kiedy byłam bardzo młoda. Potem rok w Hamburgu. Jestem Palestynką, profesorce. Moim domem jest walizka.

Massudi skręcił gwałtownie z Woburn Place w płataninę bocznych uliczek St Pancras. Po kilku krokach zwolnił i obejrzał się przez ramię. Mężczyzna w sztormiaku przeciął ulicę i szedł prosto za nim.

Profesor przyspieszył kroku, wykonał serię skrętów, w lewo i w prawo. Tutaj rząd dawnych baraków, tutaj blok mieszkalny, tam pusty placik zaśmiecony opadłymi liśćmi. Massudi niewiele z tego dostrzegał. Próbował nie stracić orientacji. Niezłe znał główne arterie Londynu, ale boczne uliczki stanowiły dla niego terra incognita. Zapomniał o wszystkich arkanach fachu i regularnie oglądał się przez ramię. Wydawało mu się, że za każdym takim spojrzeniem facet w sztormiaku znajduje się krok lub dwa bliżej.

Dotarł do skrzyżowania, spojrzał w lewo i zobaczył samochody jadące po Euston Road. Po przeciwnej stronie rozciągały się stacje King's Cross i St Pancras. Skręcił w tę stronę, kilka sekund później zerknął przez ramię. Mężczyzna minął róg i szedł w jego kierunku.

Massudi zaczął biec. Nigdy nie był typem sportowca, a lata pracy akademickiej ograbiły jego ciało z resztek sprawności. Laptop w torbie zdawał się ciężać jak kula u nogi. Przy każdym susie teczka obijała mu się o biodro. Osłonił je łokciem i przytrzymał pasek drugą dłonią, ale ów manewr jedynie nadał jego biegowi niezręczny rytm i spowalniał go jeszcze bardziej. Rozważał przez chwilę pozbycie się nieporęcznego balastu, ale tylko mocniej go uchwycił. W niepowołanych rękach laptop stanowiłby kopalnię informacji. Pracownicy, zdjęcia szpiegowskie, łączność, numery kont bankowych...

Potknął się i przystanął na Euston Road. Obejrzawszy się przez ramię, zobaczył swojego prześladowcę zbliżającego się metodycznie w jego kierunku, z rękami w kieszeniach i spuszczonego wzrokiem. Spojrzał w lewo, zobaczył pustą połać asfaltu i zszedł z krawężnika.

Jęk ciężarówki był ostatnim dźwiękiem, jaki Ali Massudi usłyszał. Siła uderzenia wytrąciła mu torbę z dłoni. Teczka wyleciała w górę, przeokożkowała kilka razy nad drogą i wylądowała na ulicy z głuchym łoskotem. Facet w sztormiaku, nie zwalniając kroku, pochylił się i chwycił ją za pasek. Zarzucił go na ramię, przeciął Euston Road i z tłumem wieczornych podróżnych ruszył na King's Cross.

Jerozolima

Torba dotarła do Paryża o świcie, a przed jedenastą już ją wnoszono do niepozornie wyglądającego biurowca na bulwarze Króla Saula w Tel Awiwie. Tutaj pospiesznie przejrano rzeczy osobiste profesora, podczas gdy twardy dysk jego laptopa poddany został wytrwałemu atakowi zespołu speców od techniki.

O trzeciej po południu pierwszy pakiet informacji przekazano do biura premiera w Jerozolimie, a o piątej szara teczka zawierająca najbardziej niepokojące materiały znajdowała się już w opancerzonym peugeocie kierującym się na ulicę Narkissa, spokojną ocienioną drzewami uliczkę niedaleko pasażu handlowego Ben Yehudy.

Samochód zatrzymał się przed niewielkim blokiem mieszkalnym przy numerze szesnaście. Ari Szamron, dwukrotny były szef tajnych służb Izraela, obecnie specjalny doradca premiera do spraw bezpieczeństwa i wywiadu, wyłonił się z tylnego siedzenia.

Rami, czarnooki szef jego obstawy, szedł bezgłośnie u jego boku.

Podczas swojej długiej i burzliwej kariery Szamron dorobił się masy wrogów, a z powodu zagmatwanej struktury demograficznej Izraela wielu z nich znajdowało się niepokojąco blisko. Nawet kiedy Stary przebywał we wnętrzu swojej przypominającej fortecę willi w Twerii, zawsze otaczali go ochroniarze.

Przystanął na moment na ogrodowej ścieżce i uniósł głowę. To był zaniedbany mały, trzypiętrowy budynek z jerozolimskiego piaskowca z wielkim eukaliptusem na froncie, który rzucał przyjemny cień na przednie balkony. Gałęzie drzewa kołysały się w podmuchach wczesnego jesienno-wiatru, a z otwartego okna na trzecim piętrze dochodził ostry zapach rozcieńczalnika do farb.

Wszedłszy na korytarz, Szamron zerknął na skrzynkę pocztową mieszkania numer trzy i zobaczył, że była pozbawiona plakietki z nazwiskiem. Ruszył na górę, wspinając się ociężale po schodach.

Był niskiego wzrostu, odziany, jak zwykle, w spodnie khaki i zniszczoną skórzaną kurtkę z rozdarciami na prawej piersi. Twarz roiała się od szram i śladów dawnych ran, a wieniec stalowoszarych włosów, jaki pozostał mu na głowie, miał przycięty tak krótko, że ledwie było go widać. Dłonie, pomarszczone i nakrapiane plamami wątrobianymi, sprawiały wrażenie pożyczonych od mężczyzny dwa razy większego. W jednej z nich trzymał teczkę.

Kiedy dotarł na podest trzeciego piętra, drzwi do mieszkania były uchylone. Położył na nich palce i lekko pchnął. Lokal, do którego wkroczył, został swojego czasu pieczołowicie urządzony i ozdobiony przez piękną pół Włoszkę, pół Żydówkę o bajecznym guście. Ale teraz wszystkie meble, podobnie jak kobieta, zniknęły, a mieszkanie zostało zamienione na pracownię artysty. Nie artysty, musiał poprawić się Szamron. Gabriel Allon był konserwatorem: jednym z trzech lub czterech najbardziej rozchwytywanych konserwatorów na świecie. Teraz stał przed ogromnym płótnem przedstawiającym mężczyznę w otoczeniu wielkich drapieżnych kotów. Szamron usadowił się cicho na pomazanym farbą stołku i przez kilka chwil obserwował, jak konserwator pracuje. Zawsze zdumiewał go talent Gabriela do naśladowania pociągnięć pędzla starych mistrzów. W oczach Starego było to coś w rodzaju salonowej sztuczki, kolejna umiejętność Gabriela, którą można było wykorzystać, tak jak jego znajomość języków albo

umiejętność wyciągnięcia beretty i przygotowania jej do oddania strzału w czasie krótszym, niż większości ludzi zajmuje klaśnięcie.

- Z pewnością wygląda teraz lepiej niż po przyjeździe - powiedział Szamron - ale nadal nie rozumiem, dlaczego ktoś miałby chcieć wieszać to sobie w domu.

- Nie jest przeznaczone do prywatnego mieszkania - odrzekł Gabriel z pędzlem przy płótnie. - Stanowi własność muzeum.

- Kto jest autorem? - zapytał Szamron ostro, jakby dociekał nazwiska sprawcy jakiegoś zamachu.

- Dom aukcyjny Bonhamsa w Londynie był zdania, że Erasmus Quellinus - odpowiedział Gabriel. i rzeczywiście, on mógł położyć grunt, ale według mnie bez dwóch zdań wykańczał go Rubens.

- Przesunął dłonią po wielkim obrazie. - Wszędzie widać pociągnięcia jego pędzla.

- A co to za różnica?

- Około dziesięciu milionów funtów - wyjaśnił Gabriel. - Julian nieźle na nim zarobi.

Julian Isherwood był londyńskim marszandem i od czasu do czasu tajnym agentem równie tajnych służb państwa Izrael. Owe służby nosiły długą nazwę, która miała niewiele wspólnego z prawdziwym charakterem ich zadań. Ludzie tacy jak Gabriel czy Szamron określali je krótko mianem Biura.

- Mam nadzieję, że Julian da ci uczciwe wynagrodzenie.

- Moją stawkę za konserwację plus niewielką prowizję za sprzedaż.

- To razem ile?

Gabriel postukał pędzlem o paletę i wrócił do pracy.

- Musimy pogadać - powiedział Szamron.

- Więc gadaj.

- Nie będę gadał do twoich pleców. - Gabriel odwrócił się i raz jeszcze zmierzył starca zza szkieł swojego binokularu. - I nie będę gadał, dopóki nie zdejmiesz tego czegoś. Wyglądasz jak jakaś postać z moich sennych koszmarów.

Gabriel niechętnie odłożył paletę i zsunął binokular, ukazując parę oczu o szokującej barwie szmaragdowej zieleni. Był mniej niż średniego wzrostu i szczupłej budowy rowerzysty. Miał wysokie czoło, wąski podbródek oraz długi nos, który sprawiał wrażenie wyrzeźbionego z drewna. W króciutko przyciętych włosach połyskiwały na skroniach pasma siwizny. To przez Szamrona Gabriel został konserwatorem sztuki, a nie jednym z najświetniejszych malarzy swojego pokolenia - i to przez Szamrona jego skronie pokryły się siwizną dosłownie w ciągu jednej nocy, kiedy miał zaledwie dwadzieścia kilka lat. Szamron był oficerem wywiadu wybranym przez Goldę Meir do wytropienia i zlikwidowania sprawców masakry w Monachium w 1972, a obiecujący młody student akademii sztuk pięknych, Gabriel Allon, stał się jego najlepszym zabójcą.

Przez kilka chwil Gabriel czyścił paletę i pędzle, potem poszedł do kuchni. Szamron rozsiadł się przy małym stoliku, poczekał, aż Gabriel odwróci się plecami, po czym pospiesznie zapalił jednego ze swoich cuchnących tureckich papierosów. Słyszając znajomy pstryk starej zapalniczki Zippo, konserwator z irytacją wskazał na Rubensa, ale starzec machnął tylko lekceważąco ręką i buntowniczo podniósł papierosa do ust. Milczeli. Gabriel nalewał wody mineralnej do dzbanka i sypał kawę do francuskiego ekspresu. Szamron z zadowoleniem słuchał wiatru poruszającego eukaliptusami w ogrodzie za oknem. Żarliwie niewierzący, odmierzał czas nie żydowskimi świętami, a rytmem ziemi: porą deszczu, porą rozkwitu polnych kwiatów w Galilei, porą powrotu zimnych wiatrów. Gabriel czytał w jego myślach: kolejna jesień, a my nadal tu jesteśmy. Przymierze nie zostało wypowiedziane.

- Premier chce usłyszeć odpowiedź - powiedział Szamron ze wzrokiem nadal utkwionym w plątaninie ogródka. - Jest cierpliwym człowiekiem, ale nie może czekać wiecznie.

- Powiedziałem ci, że dam mu odpowiedź, kiedy uporam się z tym obrazem.

Szamron popatrzył na Gabriela.

- Czy twoja arogancja nie ma żadnych granic? Premier państwa Izrael chce, żebyś został szefem operacji specjalnych, a ty go zbywasz jakimś pięćsetletnim kawałkiem płótna.

- Czterystuletnim.

Postawił kawę na stoliku i rozlał do dwóch filiżanek. Szamron wrzucił do swojej cukier i z impetem zamieszał.

- Sam powiedziałeś, że obraz jest prawie skończony. Jaka będzie twoja odpowiedź?

- Jeszcze nie podjąłem decyzji.

- Mogę dać ci dobrą radę?

- A jeśli jej sobie nie życzę?

- I tak dostaniesz. - Starzec wycisnął życie z niedopałka. - Powinieneś przyjąć propozycję premiera, zanim złoży ją komuś innemu.

- Nic by mnie bardziej nie uszczęśliwiło.

- Naprawdę? I co wtedy ze sobą poczniesz? - Odpowiedziała mu cisza, więc naciskał dalej. - Pozwól, że odmaluję ci pewien obraz, Gabrielu. Postaram się z całych sił, choć brak mi twojego talentu. Nie pochodzę z wspaniałej niemiecko-żydowskiej rodziny intelektualistów. Jestem tylko biednym polskim Żydem, którego ojciec sprzedawał naczynia z obwoźnego wózka.

Potworny polski akcent Szamrona przybrał na sile. Gabriel musiał się uśmiechnąć.

Wiedział, że kiedy tylko Stary zaczyna odgrywać uciskanego Żyda ze Lwowa, w powietrzu wisi coś zajmującego.

- Nie masz się gdzie podziąć, Gabrielu. Sam to przyznałeś, kiedy zaproponowaliśmy ci tę posesję za pierwszym razem. Co zrobisz, gdy już skończysz tego Rubensa? Masz więcej podobnych zleceń na oku? - Milczenie Szamrona miało teatralny charakter, bo doskonale wiedział, że odpowiedź brzmi nie. - Nie możesz wrócić do Europy, dopóki oficjalnie nie zostaniesz oczyszczony z zamachu bombowego na Gare de Lyon. Może Julian wyśle ci kolejny obraz, ale w końcu to źródło także wyschnie, ponieważ koszty opakowania i wysyłki przewyższą jego i tak wątłe zyski. Rozumiesz, o co mi chodzi, Gabrielu?

- Rozumiem doskonale. Próbujesz wykorzystać moją niefortunną sytuację jako narzędzie szantażu, żeby zmusić mnie do objęcia operacji.

- Szantaż? Nie, Gabrielu. Wiem, co to szantaż, i Bóg mi świadkiem, nieraz uciekałem się do niego, kiedy było potrzeba. Ale to nie jest szantaż. Próbuję ci pomóc.

- Pomóc?

- Powiedz mi coś, Gabrielu. Jak zamierzasz zarabiać? Skąd zamierzasz brać pieniądze?

- Mam pieniądze.

- Dość, żeby żyć jak odludek, ale nie dość, żeby żyć naprawdę. - Szamron zamilkł na chwilę, nasłuchując wiatru. - Teraz jest cicho, prawda? Prawie spokojnie. Aż chce się wierzyć, że to może trwać wiecznie. Ale nie może. Oddaliśmy im Gazę, nie żądając niczego w zamian, a oni odpłacili nam, wybierając w wolnych wyborach na swoich przywódców Hamas. W następnym ruchu zażądają Zachodniego Brzegu i jeśli z miejsca go im nie oddamy, rozpęta się kolejne piekło, kolejny rozlew krwi, o wiele gorszy od drugiej intifady. Wierz mi, Gabrielu, któregoś dnia, już wkrótce, to wszystko zacznie się od nowa. I nie tylko tutaj. Wszędzie. Myślisz, że oni siedzą z założonymi rękami, nic nie robiąc? Oczywiście, że nie. Przygotowują następną kampanię. A także rozmawiają z Osamą i jego przyjaciółmi. Mamy teraz niezbitą pewność, że Autonomia Palestyńska jest na wskroś, do gruntu, spenetrowana przez al Kaidę i jej członków.

Wiemy także, że w najbliższej przyszłości planują duże ataki na Izrael i izraelskie cele za granicą. Biuro ma podstawy przypuszczać, że jednym z celów będą premier i jego starsi doradcy.

- Ty także?

- Jasne - powiedział Szamron. - Jestem, cokolwiek by mówić, specjalnym doradcą premiera do spraw terroryzmu i bezpieczeństwa. Moja śmierć byłaby w ich oczach ogromnym symbolicznym zwycięstwem.

Ponownie zerknął przez okno na wiatr hulający między drzewami.

- Jest w tym ironia, prawda? Ta ziemia miała być naszym azylem, naszym schronieniem. A teraz, w przedziwny sposób, uczyniła nas słabszymi niż kiedykolwiek przedtem. Prawie połowa światowej populacji Żydów żyje na tym niewielkim skrawku lądu. Jedno nuklearne urządzenie, tylko tyle trzeba. Amerykanie by coś takiego przeżyli. Rosjanie mogliby nawet nie zauważyć. Ale my? Bomba zrzucona na Tel Awiw zabiłaby jedną czwartą ludności całego kraju, może więcej.

- I ja jestem wam potrzebny, żeby zapobiec tej apokalipsie? Myślałem, że ostatnio Biuro jest w dobrych rękach.

- Sprawy mają się zdecydowanie lepiej teraz, kiedy Lwu pokazano drzwi. Amos jest wyjątkowo kompetentnym dowódcą i administratorem, ale czasami nachodzi mnie myśl, że ma w sobie zbyt dużo z żołnierza.

- Był szefem zarówno Sayaretu1, jak i Amanu2. Czego się spodziewałeś?

- I świetnie wiedzieliśmy, kogo dostajemy w jego osobie, jednak premier i ja trochę się teraz niepokojmy, że usiłuje zamienić bulwar Króla Saula w placówkę SOI3. Chcemy, żeby Biuro utrzymało swój oryginalny charakter.

- Niepoczytalności?

- Zuchwałości - odparował Szamron. - Śmiałości. Żałuję po prostu, że Amos nie myśli nieco mniej jak bitewny dowódca na polu walki, a nieco bardziej jak... - urwał, szukając właściwego słowa. Gdy znalazł, potarł dwoma palcami o kciuk i dokończył -...jak artysta. Potrzebny mi jest ktoś u jego boku, kto myślałby bardziej jak Caravaggio.

- Caravaggio był szaleńcem.

- Właśnie.

Szamron zaczął zapalać kolejnego papierosa, ale tym razem Gabrielowi udało się powstrzymać jego rękę, zanim odpalił zapalniczkę. Starzec zmierzył go nagle spoważniałym wzrokiem.

- Potrzebujemy ciebie teraz, Gabrielu. Dwie godziny temu szef operacji specjalnych wręczył Amosowi swoje wymówienie.

- Dlaczego?

- Londyn. - Szamron spojrział na swoją dłoń uwięzioną w dłoni Gabriela. - Mógłbym ją odzyskać?

Konserwator puścił jego nadgarstek. Starzec obracał niezapalony papierosa między kciukiem a palcem wskazującym.

- Co się stało w Londynie? - spytał Gabriel.

- Obawiam się, że wczoraj wieczorem przydarzył się pewien nieszczęśliwy wypadek.

- Nieszczęśliwy wypadek? Kiedy Biuru przydarza się nieszczęśliwy wypadek, zazwyczaj ktoś pada trupem.

Szamron pokiwał głową na znak zgody.

- Cóż, przynajmniej jest w tym pewna konsekwencja.

- Mówi ci coś nazwisko Ali Massudi?

- Jest profesorem czegoś tam na jakimś niemieckim uniwersytecie - odparł Gabriel. - Lubi

odgrywać rolę obrazoburcy i reformatora. Kiedyś go nawet spotkałem.

Brwi Szamrona uniosły się w zaskoczeniu.

- Naprawdę? Gdzie?

- Kilka lat temu przyjechał do Wenecji na jakieś wielkie sympozjum w sprawie Bliskiego Wschodu. Uczestnikom zafundowano wycieczkę po mieście z przewodnikiem. Jednym z ich przystanków był kościół Świętego Zachariasza, gdzie odnawiałem ołtarz Belliniego. Przez ładnych parę lat Gabriel mieszkał i pracował w Wenecji jako niejaki Mario Delvecchio. Sześć miesięcy temu zmuszony był ją opuścić po tym, jak został wytropiony przez palestyńskiego terrorystę Khaleda al-Khalifę. Cała sprawa miała swój finał na dworcu Gare de Lyon, a w jej następstwie nazwisko Gabriela i jego tajna przeszłość znalazły się na łamach francuskiej i europejskiej prasy, włączając w to demaskatorski artykuł w „Sunday Timesie”, który określał go mianem „izraelskiego anioła śmierci”. Paryska policja ciągle go poszukiwała w celu przesłuchania, a jakieś palestyńskie stowarzyszenie obrony praw człowieka złożyło powództwo w Londynie w sprawie rzekomych zbrodni wojennych, jakich jakoby się dopuścił.

- I naprawdę poznałeś Massudiego? - z niedowierzaniem dopytywał się Szamron. - Ścisłałeś mu dłoń?

- Jako Mario Delvecchio, rzecz jasna.

- Nie podejrzewałeś raczej, że ściskasz dłoń terrorysty.

Szamron wsadził między wargi koniec papierosa i pstryknął zapalniczką. Tym razem Gabriel nie oponował.

- Trzy miesiące temu dostaliśmy cynk od pewnego przyjaciela z GID1, że profesor Ali Massudi, ów wielki reformator i wcielenie umiaru, jest tak naprawdę łowcą głów dla al Kaidy. Według Jordańczyków werbował kandydatów do przeprowadzenia ataków na izraelskie i żydowskie cele w Europie. Ulubionym terenem jego łowów były konferencje pokojowe i antyizraelskie manifestacje. To nas nie zaskoczyło. Wiemy już od jakiegoś czasu, że tego typu fora stały się miejscem spotkań członków al Kaidy i europejskich ekstremistów najróżniejszej maści, zarówno z prawego, jak i lewego skrzydła. Uznaliśmy, że rozsądnie będzie roztoczyć nad profesorem dyskretny nadzór. Dostaliśmy się do aparatu telefonicznego w jego bremeńskim mieszkaniu, ale plon był rozczarowujący, by ująć to oględnie. Przez telefon zachowywał się bez zarzutu. Potem, jakiś miesiąc temu, nasza londyńska komórka w samą porę dorzuciła cenną informację. Sekcja kulturalna londyńskiej ambasady została poproszona o wydelegowanie przedstawiciela na imprezę pod nazwą Forum Polityczne na rzecz Pokoju i Bezpieczeństwa w Palestynie, Iraku i Regionie. Kiedy poprosili o listę pozostałych uczestników, zgadnij, czyje nazwisko na niej figurowało?

- Profesora Alego Massudiego.

- Sekcja kulturalna zgodziła się wysłać przedstawiciela na konferencję, operacje zaś zaczęły ostrzyć sobie zęby na Massudiego.

- Co to była za akcja?

- Prosta - stwierdził Szamron. - Przyłapać go na gorącym uczynku. Skompromitować. Zastraszyć. Nakłonić do przejścia na naszą stronę. Wyobrażasz to sobie? Szpicel w departamencie personalnym al Kaidy? Z pomocą Massudiego moglibyśmy zwinąć jej europejskie sieci.

- Więc co się stało?

- Położyliśmy mu na talerzu dziewczynę. Nazwała się Hamida al-Tatari. Naprawdę ma na imię Awila i pochodzi z Ramat Gan, ale to akurat nie ma nic do rzeczy. Poznała Massudiego na przyjęciu. Był zaintrygowany i wyraził chęć spotkania się z nią później na obszerniejszą dyskusję o obecnym stanie spraw świata. Śledziliśmy Massudiego po zakończeniu ostatniej sesji

konferencji, jednak musiał dostrzec obserwatora, bo zaczął uciekać. Kiedy przechodził Euston Road, spojrzął nie w tę stronę i wpadł wprost pod koła ciężarówki dostawczej.

Gabriel wzdrygnął się.

- Na szczęście nie wyszliśmy z tego z zupełnie pustymi rękoma - powiedział Szamron. - Obserwator uciekł z torbą Massudiego. Zawierała, oprócz innych rzeczy, laptop. Wygląda na to, że profesor Massudi był kimś więcej niż tylko zdolnym łowcą głów.

Szamron położył przed Gabrielem szarą teczkę i nieznacznym skinieniem głowy polecił mu ją otworzyć. W środku znajdował się plik zdjęć szpiegowskich: plac Świętego Piotra sfotografowany pod różnymi kątami, fasada i wnętrze bazyliki, gwardziści szwajcarscy pełniący straż przy Łuku Dzwonów. Było oczywiste, że nie wykonał ich zwykły turysta, ponieważ autora znacznie mniej interesowało wizualne piękno Watykanu niż środki ochrony, w jakie go uzbrojono. Było kilka ujęć barykad wzdłuż zachodniego krańca placu i detektorów metalu przy kolumnadzie Berniniego, a także funkcjonariuszy Vigilanzji i karabinierów, którzy patrolowali plac podczas wielkich zgromadzeń, w tym także zbliżenia ich broni. Ostatnie trzy zdjęcia ukazywały papieża Pawła VII pozdrawiającego z papamobile tłum zgromadzony na placu Świętego Piotra. Obiektyw aparatu został skierowany nie na Ojca Świętego, lecz na gwardzistów po cywilnemu idących po jego bokach.

Gabriel obejrzał zdjęcia po raz drugi. Sądząc po natężeniu światła i ubraniach noszonych przez pielgrzymów, zdjęcia zrobiono podczas trzech różnych okazji. Powtarzana inwigilacja fotograficzna tego samego obiektu, jak dobrze wiedział, była cechą charakterystyczną poważnych operacji al Kaidy. Zamknął teczkę i wręczył ją Szamronowi, ale ten jej nie przyjął. Gabriel zlustrował twarz starca z taką samą uwagą jak zdjęcia. Domyślił się, że zaraz usłyszy jeszcze gorsze wieści.

- Sekcja techniczna znalazła w laptopie Massudiego coś jeszcze - powiedział Szamron. - Instrukcję dostępu do konta numerycznego w szwajcarskim banku w Zurychu - konta, o którym wiemy już od jakiegoś czasu, ponieważ wpływają na nie regularne przekazy finansowe od Komitetu Wyzwolenia Al-Kuds.

- Kto za tym stoi? - spytał Gabriel, świadom, że Al-Kuds to arabska nazwa Jerozolimy.

- Arabia Saudyjska - odparł Szamron. - A mówiąc dokładniej, jej minister spraw wewnętrznych, książę Nabil.

W Biurze Nabila rutynowo określano mianem Księcia Ciemności z powodu jego nienawiści do Izraela i Stanów Zjednoczonych oraz wspierania bojówek islamistów na całym świecie.

- Nabil utworzył ten komitet w najgorętszym okresie drugiej intifady - ciągnął Szamron. - Osobiście zbiera pieniądze i osobiście nadzoruje ich dystrybucję. Ma do dyspozycji coś koło miliona dolarów i przekazuje je niektórym z najbardziej brutalnych grup terrorystycznych na świecie, włączając w to komórki al Kaidy.

- Kto daje Nabilowi pieniądze?

- W przeciwieństwie do innych saudyjskich stowarzyszeń charytatywnych, Komitet Wyzwolenia Al-Kuds ma bardzo szczupłą bazę donatorów. Sądzymy, że Nabil zbiera kasę od garstki saudyjskich multimilionerów.

Szamron zapatrzył się na moment w swoją kawę.

- Dobroczynność - powiedział tonem pełnym pogardy. - Śliczne słowo, prawda? Ale saudyjska dobroczynność zawsze była mieczem obosiecznym. Światowa Liga Muzułmańska, Międzynarodowa Islamska Organizacja Humanitarna, Islamska Fundacja al Haramayn, Międzynarodowa Fundacja Dobrej Woli - one wszystkie są tym dla Arabii Saudyjskiej, czym Komintern był dla starego Związku Radzieckiego. Narzędziem szerzenia jedynie słusznej wiary.

I to nie jej dowolnej odmiany. Saudyjskiej ortodoksyjnej odmiany. Wahhabizmu. Organizacje charytatywne wznoszą meczety i centra islamistyczne na całym świecie oraz madraszy, masowo produkujące jutrzejszych bojowników wahhabi. A także dają pieniądze bezpośrednio terrorystom, włączając w to naszych przyjaciół z Hamasu. Saudyjska ropa wprawia w ruch amerykańskie samochody, saudyjska kasa - sieci islamskiego terroryzmu.

- Dobroczynność naprawdę jest trzecim filarem islamu - odezwał się Gabriel. - Zakat.

- Bardzo szlachetna idea - rzekł Szamron - z wyjątkiem sytuacji, kiedy zakat trafia do rąk morderców.

- Sądzisz, że Ali Massudi był powiązany z Saudyjczykami czymś więcej oprócz pieniędzy?

- Tego możemy się nigdy nie dowiedzieć, ponieważ kochany profesor opuścił już ten padół. Ale ktokolwiek za nim stał, teraz ostrzy sobie zęby na Watykan - i ktoś musi Watykanowi o tym powiedzieć.

- I Podejrzewam, że masz już kandydata do tego zlecenia.

- Potraktuj je jako swoje pierwsze zadanie w charakterze szefa spec operacji - powiedział Szamron. - Premier chce, żebyś objął obowiązki. Natychmiast.

- A Amos?

- Amos myśli o kimś innym, ale premier i ja nie pozostawiliśmy mu żadnych wątpliwości co do tego, kogo życzylibyśmy sobie widzieć na tym stanowisku.

- Kilka skandali szarga moje konto i świat niestety o nich wie.

- Chodzi ci o tę aferę na Gare de Lyon? - Szamron wzruszył ramionami. - Zostałeś w to wrobiony przez sprytnego przeciwnika. Poza tym zawsze byłem zdania, że kariera wolna od kontrowersji w ogóle nie jest prawdziwą karierą. Premier podziela mój pogląd.

- Może dlatego, że sam był wmieszany w parę skandali. - Gabriel ciężko westchnął i ponownie popatrzył na zdjęcia. - Wysłanie mnie do Rzymu jest ryzykowne. Jeśli Francuzi dowiedzą się, że jestem na włoskiej ziemi...

- Nie ma potrzeby, żebyś jechał do Rzymu - przerwał mu Szamron. - Rzym przyjedzie do ciebie.

- Donati?

Szamron pokiwał głową.

- Ile mu powiedzieliście?

- Dość, żeby poprosił linie Alitalia o wypożyczenie samolotu na kilka godzin - odparł Szamron. - Będzie tu jutro z samego rana. Pokaż mu zdjęcia. Powiedz tyle, ile uznasz za konieczne, żeby mu uświadomić, iż uważamy zagrożenie za poważne.

- A jeśli poprosi o pomoc?

Szamron wzruszył ramionami.

- Daj mu, co trzeba.

3

Jerozolima

Monsignore Luigi Donati, osobisty sekretarz Jego Świątobliwości papieża Pawła VII, czekał na Gabriela w holu hotelu Króla Dawida o godzinie jedenastej następnego ranka. Był wysoki, szczupły i przystojny niczym włoski gwiazdor filmowy.

Krój jego czarnej marynarki i koloratki sugerował, że monsignore, choć ze wszech miar cnotliwy, nie jest pozbawiony osobistej próżności, co poświadczał także kosztowny szwajcarski zegarek na jego nadgarstku i złote pióro wieczne tkwiące w kieszeni na piersi. Ciemne oczy promieniowały bezwzględną, nieustępliwą inteligencją, a zarys szczęki wskazywał, że wchodzenie w drogę jej właścicielowi nie jest sprawą bezpieczną. Watykańska prasa ochrzciła go mianem katolickiego Rasputina, szarą eminencją za papieskim tronem; wrogowie w rzymskiej kurii nazywali czarnym papieżem, w formie mało pochlebnej aluzji do jego jezuickiej przeszłości.

Upłynęły trzy lata od ich pierwszego spotkania. Gabriel wyjaśniał wtedy sprawę morderstwa izraelskiego naukowca żyjącego w Monachium, byłego agenta Biura, Benjamina Sterna. Trop doprowadził go do Watykanu, prosto w kompetentne ręce Donatiego; razem udało im się zniszczyć ogromne niebezpieczeństwo wiszące nad Stolicą Apostolską. Rok później Donati pomógł Gabrielowi znaleźć w archiwach Kościoła dowód, który umożliwił konserwatorowi ustalenie tożsamości i złapanie Ericha Radka, nazistowskiego zbrodniarza wojennego mieszkającego w Wiedniu.

Ale więź między Gabrielem a Donatim wykroczyła daleko ponad czysto przyjacielską. Szef Donatiego, papież Paweł VII, utrzymywał bliższe relacje z Izraelem niż którykolwiek z jego poprzedników i podjął wiekopomne kroki w celu poprawy stosunków między katolikami a Żydami. Zachowanie go przy życiu stanowiło jeden z najwyższych priorytetów Szamrona.

Kiedy Donati zauważył Gabriela idącego przez hol, uśmiechnął się ciepło i wyciągnął smukłą, ciemną dłoń.

- Dobrze cię widzieć, przyjacielu. Żałuję tylko, że nie w innych okolicznościach.

- Rozlokowałeś się już w pokoju?

Donati uniósł klucz.

- Chodźmy więc na górę. Powinieneś coś zobaczyć.

Skierowali się w stronę wind i weszli do czekającej kabiny.

Gabriel wiedział, jeszcze zanim Donati wyciągnął rękę w stronę panelu z przyciskami, że naciśnie guzik szóstego piętra, tak samo jak wiedział, że klucz w dłoni Donatiego otwierał drzwi do pokoju numer 616. Przestronny apartament z widokiem na mury Starego Miasta był stale zarezerwowany na użytek Biura. Oprócz standardowego luksusowego wyposażenia, posiadał także wbudowany system nagrywający, który uruchamiało się za pomocą malutkiego przełącznika ukrytego za umywalką w łazience. Gabriel upewnił się, że system jest wyłączony, zanim pokazał Donatemu zdjęcia. Ksiądz z twarzą pozbawioną jakichkolwiek emocji obejrzał uważnie każdą z fotografii, ale chwilę później, gdy stanął przy oknie, wyglądając na Kopułę Skały połyskującą w oddali, Gabriel zauważył, że mięśnie jego szczęki na przemian zaciskały się i rozluźniały z napięcia.

- Przerabialiśmy to już wiele razy, Gabrielu: z okazji milenium, jubileuszu, przy niemal każdej Wielkanocy i Bożym Narodzeniu. Czasami ostrzeżenia pochodzą od włoskich służb bezpieczeństwa, a czasami od naszych przyjaciół z CIA. Za każdym razem naszą reakcją jest podwojenie środków ostrożności i ściślejsza kontrola, dopóki zagrożenie nie zostanie uznane za niebyłe. Jak dotąd do niczego nie doszło. Bazylika nadal stoi i ma się dobrze. Podobnie jak, miło mi to powiedzieć, Ojciec Święty.

- To, że jak na razie im się nie udało, nie oznacza jeszcze, że nie próbują, Luigi. Inspirowani wahhabizmem terroryści z al Kaidy i organizacji z nią powiązanych uważają każdego, kto nie jest wyznawcą ich odmiany islamu, za kafur i mushrikun, zasługujących jedynie na śmierć. Kafur oznacza niewiernych, mushrikun politeistów. Nawet sunnitów i szyitów uważają za mushrikun, ale z ich punktu widzenia trudno o większy symbol politeizmu niż

Watykan i Ojciec Święty.

- Jestem tego wszystkiego jak najbardziej świadom, ale jak mówicie podczas sederu w czasie Paschy: czym różni się ta noc od innych?

- Pytasz mnie, dlaczego powinniście to zagrożenie potraktować poważnie?

- Dokładnie tak.

- Z uwagi na osobę informatora - powiedział Gabriel. - Mężczyzny, w którego komputerze znaleźliśmy te fotografie.

- Kto zacz?

- Tego, niestety, nie mogę ci powiedzieć.

Donati odwrócił się wolno od okna i zlustrował Gabriela władcym spojrzeniem.

- Obnażyłem przed tobą jedną z najbardziej ponurych tajemnic Kościoła rzymskokatolickiego. W zamian wyjaw mi przynajmniej, skąd macie te zdjęcia.

Gabriel się zawahał.

- Mówi ci coś nazwisko Ali Massudi?

- Profesor Ali Massudi? - Twarz Donatiego sposepniała. - Czy aby nie został zabity w Londynie kilka dni temu?

- Nie został zabity - sprostował Gabriel. - Zginął w wypadku.

- Dobry Boże, Gabrielu, powiedz mi, że to nie wy pchnęliście go pod koła tej ciężarówki.

- Zachowaj swój żal dla kogoś, kto będzie go wart. Wiemy, że Massudi werbował terrorystów. A sądząc z tego, co znaleźliśmy w jego komputerze, zajmował się także planowaniem operacji.

- Szkoda, że już nie żyje. Moglibyśmy łamać go kołem i torturować, dopóki nie powiedziałby nam wszystkiego, co radzi byśmy usłyszeć. - Donati spojrział na swoje dłonie. - Wybacz mój sarkazm, Gabrielu, ale nie jestem gorącym zwolennikiem tej wojny z terroryzmem, w którą się zaangażowaliśmy. Ojciec Święty podobnie. - Raz jeszcze wyjrzał przez okno na mury Starego Miasta. - Ironia losu, prawda? To moja pierwsza wizyta w waszym świętym mieście, a taki ma powód.

- Naprawdę nie byłeś tu nigdy wcześniej?

Donati wolno pokręcił głową.

- Masz ochotę zobaczyć, gdzie się to wszystko zaczęło?

Ksiądz się uśmiechnął.

- Prawdę mówiąc, o niczym innym nie marzę.

Przecięli dolinę Hinnom i wspięli się wzgórzem w stronę wschodnich murów Starego Miasta. Ścieżka u podnóża muru pogrążona była w cieniu. Ruszyli nią na południe, w kierunku kościoła Zaśnięcia Najświętszej Marii Panny, potem skręcili na rogu i przeszli przez Bramę Syjońską. W drodze do Dzielnicy Żydowskiej Donati wyciągnął z kieszeni marynarki skrawek papieru.

- Ojciec Święty chciał, żebym to zostawił w Ścianie Płaczu.

Ruszyli za gromadką haredim po Tiferet Yisra'el. Donati w swoim czarnym stroju wyglądał, jakby był jednym z nich. Na końcu ulicy zeszli po szerokich kamiennych schodach, które prowadziły do placu przed Ścianą. Przy posterunku kontrolnym rozciągała się długa kolejka czekających. Wymruczawszy coś do wartowniczkii, Gabriel przeprowadził Donatiego obok wykrywaczy metali prosto na plac.

- Niczego nie robisz jak zwyczajny człowiek?

- Idź śmiało - powiedział Gabriel. - Ja tu poczekam.

Donati odwrócił się i przez nieuwagę ruszył w stronę części muru przeznaczonej dla kobiet. Gabriel dyskretnym cmoknięciem skierował go do części dla mężczyzn. Donati wybrał z

publicznego kosza kipę i umieścił ją niepewnie na czubku głowy. Stał przez chwilę przed Ścianą w niemej modlitwie, potem wsunął mały zwitek papieru w szczelinę w żółtobrazowym herodiońskim kamieniu.

- Co tam było napisane? - spytał Gabriel przyjaciela po powrocie.

- Prośba o pokój.

- Powinieneś był ją zostawić tam - skonstratował konserwator, wskazując w stronę meczetu Al-Aksa.

- Zmieniłeś się, Gabrielu - rzekł Donati. - Człowiek, którego poznałem trzy lata temu, nigdy by czegoś takiego nie powiedział.

- Wszyscy się zmieniliśmy, Luigi. Ten kraj nie jest już obozowiskiem pacyfistów, ale obozem bezpieczeństwa. Arafat nie liczył na to, kiedy wprawiał w ruch swoich zamachowców-samobójców.

- Arafata już nie ma.

- Tak, ale naprawa szkód, które po sobie pozostawił, potrwa co najmniej jedno pokolenie.

- Wzruszył ramionami. - Kto wie? Może rany drugiej intifady nigdy się nie zagoją.

- Więc krew będzie się lała nadal? Na pewno nie o takiej przyszłości myślicie.

- Oczywiście, że myślimy. Tu tak było od zawsze.

Opuścili Dzielnicę Żydowską i udali się do Bazyliki Grobu Pańskiego. Gabriel czekał na dziedzińcu, kiedy Donati, zbywszy palestyńskiego przewodnika, wszedł do środka. Wrócił po dziesięciu minutach.

- Ciemny - skonstratował. - I, mówiąc szczerze, nieco rozczarowujący.

- Obawiam się, że wszyscy tak reagują.

Opuścili dziedziniec i wyszli na Via Dolorosa. Grupa amerykańskich pielgrzymów, prowadzona przez mnicha w brązowej sutannie trzymającego w dłoni czerwony balon wypełniony helem, nadchodziła pospiesznie z przeciwnej strony. Donati przyglądał się temu widowisku z rozbawieniem na twarzy.

- Czy nadal wierzysz? - zapytał nagle Gabriel.

Donati nie odpowiedział od razu.

- Jak już się chyba domyślasz, moja osobista wiara to kwestia cokolwiek skomplikowana. Ale wierzę w Kościół rzymskokatolicki i jego moc bycia siłą dobra w świecie rojącem się od zła. I wierzę w tego papieża.

- Więc jesteś człowiekiem niewierzącym u boku męża wielkiej wiary.

- Dobrze powiedziane - rzekł Donati. - A co z tobą? Ty nadal wierzysz? Wierzyłeś kiedykolwiek?

Gabriel przystanął.

- Kananejczycy, Hetyci, Amalekici, Moabici - oni wszyscy zniknęli. Ale z jakiegoś powodu my ciągle tu trwamy. Może dlatego, że cztery tysiące lat temu Bóg zawarł przymierze z Abrahamem? Kto to wie?

- „Będę ci błogosławił i dam ci potomstwo tak liczne jak gwiazdy na niebie i jak ziarnka piasku na wybrzeżu morza” - Donati zacytował dwudziesty drugi rozdział Księgi Rodzaju.

- „A potomkowie twoi zdobędą warownie swych nieprzyjaciół”¹ - dokończył za niego Gabriel. - Teraz zaś mój nieprzyjaciół chce odzyskać te warownie i nie zawaha się przed niczym, nawet poświęceniem własnego syna, żeby dopiąć celu.

Donati uśmiechnął się z powodu sprytnej interpretacji Pisma Świętego w wykonaniu Gabriela.

- My dwaj nie różnimy się nawet tak bardzo od siebie, ty i ja. Obaj oddaliśmy swe życie w służbę wyższych sił. Dla mnie taką siłą jest Kościół. Dla ciebie twój naród. - Urwał. - I ta

ziemia.

Szli dalej Via Dolorosa i wkroczyli do Dzielnicy Muzułmańskiej.

Kiedy ulicę spowił cień, Gabriel odsunął okulary przeciwsłoneczne na czoło. Palestyńscy handlarze zerkali na niego z ciekawością zza uginających się od towarów straganów.

- Możesz tu chodzić bezpiecznie?

- Poradzimy sobie.

- Zakładam, że jesteś uzbrojony.

Gabriel pozwolił, by jego milczenie posłużyło za odpowiedź.

Donati szedł ze wzrokiem utkwionym w bruku, ciemne czoło zmarszczył w skupieniu.

- Jeśli ja wiem, że Ali Massudi nie żyje, można chyba zakładać, że jego towarzysze też o tym wiedzą?

- Naturalnie.

- Czy wiedzą także, że jego komputer zawierał te zdjęcia? I że wpadł w wasze ręce?

- Niewykluczone.

- Czy to może skłonić ich do przyspieszenia akcji?

- Albo do jej wstrzymania do czasu, aż wy i Włosi znowu zmniejszycie czujność.

Przeszli przez Bramę Damasceńską. Kiedy wkroczyli w tłoczny, zgiełkliwy rynek za murami, Gabriel z powrotem zsunął na oczy przeciwsłoneczne okulary.

- Powinieneś coś wiedzieć o tych zdjęciach - powiedział Donati.

- Wszystkie zrobiono w czasie audiencji generalnych Ojca Świętego, kiedy pozdrawia pielgrzymów z całego świata na placu Świętego Piotra.

Gabriel przystanął i zapatrzył się w złotą Kopułę Skały, wznoszącą się nad kamiennymi murami.

- Audiencja generalna odbywa się zawsze we środy, zgadza się?

- Zgadza.

Gabriel spojrzął na Donatiego i zauważył:

- Dzisiaj jest wtorek.

Ksiądz zerknął na zegarek.

- Podrzuć mi na lotnisko? Jeśli się pospieszymy, dotrzemy do Rzymu na kolację.

- My?

- Wyjeżdżając z miasta, zatrzymamy się przy twoim mieszkaniu, żebyś mógł się spakować. - rzekł Donati. - W Rzymie jest ostatnio burzowo! Koniecznie weź ze sobą płaszcz przeciwdeszczowy.

Oprócz płaszcza przeciwdeszczowego przydałoby się coś jeszcze, pomyślał Gabriel, prowadząc Donatiego przez ludny rynek. Fałszywy paszport na przykład.

4

Watykan

Jak na tak wpływowego właściciela, gabinet wyglądał bardzo zwyczajnie. Orientalny kobierzec był spłowiały i wysłużony, zasłony ciężkie i ponure. Kiedy Donati i Gabriel weszli do środka, mała, odziana na biało postać siedziała za dużym ascetycznym biurkiem i wpatrywała się z napięciem w ekran telewizora. Rozgrywała się tam brutalna scena: ogień i dym, zbroczeni krwią ranni ciągnący się za włosy i rozpaczający nad porozrywanyimi ciałami nieżywych. Papież

Paweł VII, biskup Rzymu, Pontifex Maximus, następca świętego Piotra, przycisnął wyłącznik na pilocie i obraz rozpląnął się w ciemności.

- Gabriel - powiedział Ojciec Święty. - Dobrze cię znowu widzieć.

Wstał wolno i wyciągnął małą dłoń, nie pierścieniem rybaka do góry, jak czynił to wobec większości ludzi, ale bokiem, do uścisku. Ten zaś miał ciągle silny, a oczy, patrzące na Gabriela z sympatią, nadal jasne i tryskające energią. Konserwator zapomniał już, jak drobny był Pietro Lucchesi. W myślach ujrzał to popołudnie, kiedy Lucchesi wyłonił się z konklawe: malutki elf tonący w pospiesznie przygotowanej papieskiej szacie, ledwo widoczny znad balustrady wielkiej lodzii bazyliki. Komentator włoskiej telewizji nazwał go wtedy Pietro Nieprawdopodobnym; kardynał Marco Brindisi, reakcyjny sekretarz stanu, który zakładał, iż to on wyłoni się w bieli z konklawe - „papieżem Przypadkiem I”.

Jednak Gabriel, gdy tylko o nim myślał, w pierwszej kolejności widział inny obraz: Pietro Lucchesi stojący na bimie w Wielkiej Rzymskiej Synagodze, wypowiadający słowa, które wcześniej nie przeszły przez usta żadnemu innemu papieżowi: „Za te grzechy, i inne, które wkrótce ujrzą światło dzienne, wyznajemy nasze winy i prosimy was o wybaczenie. Nie ma słów, które mogłyby opisać bezmiar naszego żalu. W waszej godzinie największej potrzeby, kiedy siły nazistowskich Niemiec wyciągnęły was z domów na te ulice otaczające tę synagogę, prosiliśmy nas o pomoc, ale odpowiedzią na wasze błagania było milczenie. Więc dzisiaj, kiedy proszę was o wybaczenie, zrobię to tak samo: w milczeniu...”.

Papież spoczął ponownie i zerknął na ekran telewizora, tak jakby nadal rozgrywały się tam sceny odległej tragedii.

- Ostrzegalem go, żeby tego nie czynił, jednak mnie nie posłuchał. Teraz zamierza przyjechać do Europy, żeby pogodzić się z dawnymi sojusznikami. Życzę mu jak najlepiej, ale osobiście uważam, że szanse powodzenia ma znikome.

Gabriel spojrział na Donatiego, prosząc o wyjaśnienie.

- Biały Dom poinformował nas wczoraj wieczorem, że prezydent planuje na początku przyszłego roku odwiedzić europejskie stolicy. Jego ludzie mają nadzieję na zbudowanie cieplejszego, mniej konfrontacyjnego wizerunku i naprawienie choć części szkód wyrządzonych przez decyzję wojny z Irakiem.

- Wojny, której stanowczo się sprzeciwiałem - zaznaczył papież.

- Czy wybiera się też do Watykanu? - spytał Gabriel.

- Wybiera się do Rzymu - tyle na razie wiemy. Biały Dom nie poinformował nas jeszcze, czy prezydent życzyłby sobie audiencji u Ojca Świętego. Ale spodziewamy się, że taka prośba wkrótce zostanie wystosowana.

- Nie odważyłby się przyjechać do Rzymu i nie odwiedzić Watykanu - rzekł papież. - Konserwatywni katolicy stanowią istotną część jego elektoratu. Nie przegapi okazji do wykonania kilku ładnych zdjęć i załapania się na kilka miłych słów ode mnie. Zdjęcia dostanie. Co do słów... - urwał. - Obawiam się, że tych będzie musiał poszukać gdzie indziej.

Donati gestem pokazał Gabrielowi, żeby usiadł, potem sam usadowił się na krześle obok niego.

- Prezydent to człowiek, który ceni sobie nieowijanie w bawełnę i szczerłość, jak lubią podkreślać nasi amerykańscy przyjaciele. Wysłucha, co Wasza Świątobliwość będzie mu miał do powiedzenia.

- Powinien był mnie posłuchać za pierwszym razem. Kiedy przyjechał do Watykanu przed tą wojną, bardzo wyraźnie dałem mu do zrozumienia, że uważam, iż wkracza na złą ścieżkę. Oświadczyłem, że nie ma usprawiedliwienia dla tej napaści, jako że nie ma realnego bezpośredniego zagrożenia dla Ameryki i jej sojuszników. Powiedziałem mu, że nie wyczerpał

jeszcze wszystkich dostępnych środków, żeby uniknąć zbrojnego konfliktu, i że to Narody Zjednoczone, a nie Stany Zjednoczone, są właściwą instancją uprawnioną do zajęcia się tym problemem. Ale najwięcej pasji zarezerwowałem na ostateczny argument. Powiedziałem prezydentowi, że Ameryka odniesie bardzo szybkie militarne zwycięstwo. „Jesteście silni - stwierdziłem. - Wasz wróg jest słaby”. Ale przewidziałem także, że przez lata po zwycięskiej kampanii będą się potem borykać z brutalnym oporem. Ostrzegalem go, że próbując rozwiązać jeden kryzys na drodze siły, stworzy tylko kolejny, jeszcze bardziej niebezpieczny. Ta wojna będzie postrzegana przez muzułmanów na całym świecie jako nowa krucjata białych chrześcijan. Terroryzmu nie da się wyeliminować innym terroryzmem, a jedynie sprawiedliwością społeczną i ekonomiczną.

Skończywszy swoją homilię, papież spojrział na słuchaczy w oczekiwaniu na reakcję. Jego oczy kilkakrotnie przesunęły się w tę i z powrotem, zanim spoczęły na twarzy Gabriela.

- Coś mi mówi, że chciałbyś nie zgodzić się z czymś, co powiedziałem.

- Wasza Świątobliwość jest człowiekiem wielkiej elokwencji.

- Jesteś wśród swoich, Gabrielu. Wal śmiało.

- Siły ortodoksyjnego islamu wypowiedziały nam wojnę - Ameryce, Zachodowi, chrześcijaństwu, Izraelowi. W myśl boskich i ludzkich zasad mamy prawo, a nawet moralny obowiązek, dać im odpór.

- Dać terrorystom odpór sprawiedliwością i stwarzaniem szans, ale nie przemocą i rozlewem krwi. Kiedy mężowie stanu uciekają się do rozwiązań siłowych, cierpi cała ludzkość.

- Wasza Świątobliwość zdaje się wierzyć, że problem terroryzmu i radykalnych islamistów zniknąłby, gdyby reszta świata bardziej przypominała nasz świat; że gdyby bieda, analfabetyzm i tyrania nie były tak wszechobecne w świecie muzułmańskim, nie byłoby także młodych mężczyzn chętnych do poświęcania własnego życia, by kaleczyć i zabijać innych. Ale oni poznali nasz sposób życia i go nie pragną, a nawet sobie nie życzą. Widzieli naszą demokrację i ją odrzucili. Postrzegają ją jako religię, której zasady są sprzeczne z podstawowymi założeniami islamu, dlatego będą się jej opierać ze świętą wściekłością. Jak mamy zapewnić sprawiedliwość i prosperity ludziom, którzy wierzą tylko w śmierć?

- Z pewnością nie można jej wprowadzić pod lufami pistoletów białych ludzi.

- Zgadzam się, Wasza Świątobliwość. Dopiero kiedy islam sam się zreformuje, zapanuje w świecie arabskim prawdziwa sprawiedliwość społeczna i prosperity. Ale do tego czasu nie możemy siedzieć z założonymi rękoma, podczas gdy dżihadyści przygotowują plany naszego zniszczenia. To, Wasza Świątobliwość, jest także niemoralne.

Papież podniósł się zza biurka i otworzył na oścież duże okno wychodzące na plac Świętego Piotra. Zapadła już noc. Rzym pulsował u jego stóp.

- Miałem rację w sprawie tej wojny i nie myślę się także, jeśli chodzi o przyszłość, która czeka nas wszystkich: muzułmanów, chrześcijan i żydów, jeśli nie pójdziemy inną drogą. Ale kto mnie posłucha? Jestem tylko starcem w sutannie siedzącym w pozłacanej klatce. Nawet moi własni parafianie już się mną nie przejmują. Żyjemy tu w Europie, tak jakby Bóg nie istniał. Naszą jedyną religią jest teraz antyamerykanizm. - Odwrócił się i spojrział na Gabriela. - I antysemityzm. - Gabriel milczał. Papież mówił dalej: - Luigi donosi mi, że odkryliście dowody na spisek na moje życie. Kolejny spisek - dodał ze smutnym uśmiechem.

- Niestety tak, Wasza Świątobliwość.

- Czyż to nie ironia losu? To ja próbowałem zapobiec wojnie w Iraku. To ja próbowałem zbudować jakieś porozumienie między chrześcijanami a muzułmanami, a jednak to właśnie mnie chcą się pozbyć. - Papież wyjrzał przez okno. - Może się myliłem. Może oni wcale nie chcą żadnego porozumienia.

Papież Paweł VII i monsignore Donati zwykli spotykać się na wieczerzy w prywatnych apartamentach papieskich z jednym albo dwoma zaproszonymi gośćmi do towarzystwa. Donati dbał o to, by nastrój był lekki i odprężający, a rozmowy o pracy ograniczały się na ogół do plotek kurialnych, w których papież skrycie się lubował. Tego wieczoru wszakże atmosfera w papieskiej jadalni była zdecydowanie odmienna. Pospiesznie sporządzona lista gości obejmowała nie tylko starych przyjaciół, ale także osoby odpowiedzialne za papieską ochronę: pułkownika Karla Brunnera, komendanta papieskiej Gwardii Szwajcarskiej, generała karabinierów Carla Marchese oraz Martina Bellana, zastępcę szefa włoskich służb bezpieczeństwa.

Gabriel rozdał im zdjęcia i wprowadził pokrótce w szczegóły sprawy swoim włoskim z weneckim akcentem. Jego prezentacja była bardziej okrojona niż ta, którą z rana w Jerozolimie usłyszał Donati, i w ogóle nie padło nazwisko Alego Massudiego. Jednak ton głosu konserwatora nie pozostawiał wątpliwości, że izraelski wywiad uważa zagrożenie za poważne i że trzeba podjąć kroki w celu lepszej ochrony papieża i Stolicy Apostolskiej. Kiedy skończył mówić, twarze ludzi z bezpieczeństwa były posępniejsze, ale nie malowały się na nich żadne widoczne oznaki paniki. Wielokrotnie musieli już stawiać czoło podobnym sytuacjom i razem przygotowali zestaw procedur automatycznie zaostrzających środki bezpieczeństwa w Watykanie i ochrony Ojca Świętego, kiedy było to konieczne. Gabriel przysłuchiwał się, jak teraz cała trójka je analizuje. Gdy w czasie rozmowy zapadła chwilowa cisza, głośno odchrząknął.

- Chciałbyś coś zasugerować? - spytał Donati.

- Może byłoby rozsądnie przesunąć jutrzejszą ceremonię do wnętrza: do papieskiej Sali Audiencyjnej.

- Ojciec Święty ogłasza jutro beatyfikację portugalskiej zakonnicy - rzekł Donati. - Oprócz zwykłych tłumów spodziewamy się dodatkowo kilku tysięcy pielgrzymów z Portugalii. Jeśli przesuniemy audiencję do wnętrza, wielu z nich zostanie odprawionych z kwitkiem.

- Lepiej odprawić kilku pielgrzymów niż niepotrzebnie narażać Ojca Świętego.

Papież spojrzał na Gabriela.

- Macie jakiś specjalny, wiarygodny dowód na to, że terroryści zamierzają uderzyć właśnie jutro?

- Nie, Wasza Świątobliwość. Dane operacyjne tego typu niezwykle trudno zdobyć.

- Jeśli przesuniemy audiencję do sali i odprawimy z kwitkiem porządnym ludzi, terroryści będą triumfować, prawda?

- Czasem lepiej jest pozwolić przeciwnikowi cieszyć się małym zwycięstwem, niż samemu ponieść druzgocącą klęskę.

- Twój naród słynie z tego, że próbuje normalnie żyć w obliczu nieustających zagrożeń terrorystycznych.

- Mimo to podejmujemy rozsądne środki ostrożności - powiedział Gabriel. - Na przykład do większości publicznych miejsc w moim kraju nie można wejść bez uprzedniego przeszukania.

- Więc przeszukajcie pielgrzymów i podejmijcie inne rozsądne środki ostrożności - odparł papież - ale ja jutro po południu będę na placu Świętego Piotra, tam gdzie moje miejsce. A waszym zadaniem jest dopilnować, by nic złego się nie stało.

*

Było tuż po dziesiątej, kiedy Donati odprowadził Gabriela schodami prowadzącymi z Pałacu Apostolskiego na Via Belvedere.

W powietrzu wisiała delikatna mgiełka, Gabriel zasunął zamek kurtki i zarzucił na ramię torbę podróżną. Donati, bez płaszcza, zdawał się nie zauważać chłodu. Kiedy mijali watykańską pocztę główną, kierując się w stronę bramy Świętej Anny, oczy miał wbite w bruk.

- Jesteś pewien, że nie chcesz, żebym cię podrzucił?
- Aż do dzisiejszego ranka myślałem, że moja noga już nigdy tu nie postanie. Chyba skorzystam więc z okazji, żeby się trochę przejść.
- Jeśli włoska policja zatrzyma cię, zanim dotrzesz do mieszkania, powiedz im, żeby się ze mną skontaktowali. Jego Świątobliwość osobiście poręczy za szlachetność twojego charakteru.

Przez chwilę szli w milczeniu.

- Dlaczego nie wrócisz tu na dobre?
- Do Włoch? Obawiam się, że Szamron ma w stosunku do mojej osoby inne plany.
- Tęsknimy za tobą - powiedział Donati. - Tiepolo także.

Francesco Tiepolo, przyjaciel papieża i Donatego, był właścicielem najbardziej wziętej firmy konserwatorskiej w Veneto. Na jego zlecenie Gabriel odrestaurował dwa z najpiękniejszych ołtarzy Belliniego. Prawie dwa, pomyślał. Tiepolo sam musiał dokończyć ołtarz świętego Jana Chrzciciela po wyjeździe Gabriela z Wenecji.

- Coś mi mówi, że Tiepolo świetnie da sobie beze mnie radę.
- A Chiara?

Ponure milczenie Gabriela nie pozostawiało wątpliwości, że nie ma ochoty omawiać z osobistym papieskim sekretarzem swojego zagmatwanego życia miłosnego. Donati zrećźnie zmienił temat.

- Przykro mi, jeśli miałeś wrażenie, że Ojciec Święty nieco na ciebie napadł i przyparł cię do muru. Wiele stracił ze swojej dawnej wyrozumiałości. To się przydarza im wszystkim po kilku latach sprawowania urzędu. Kiedy jest się uważanym za Wikariusza Chrystusa, bardzo trudno nie nabrać choćby krztyny apodyktyczności.

- Ciągle jest tym samym delikatnym człowiekiem, jakiego poznałem trzy lata temu, Luigi. Tylko nieco starszym.

- Nie był młodzieniaszkiem już wówczas, gdy go wybrano. Kardynałowie życzyli sobie tymczasowego papieża, kogoś, kto będzie grzał Tron Piotrowy, dopóki reformiści i reakcyjniści nie uporają się z dzielącymi ich różnicami i nie wyjaśnią sobie swoich stanowisk. Ale mój szef nigdy nie zamierzał służyć za prowizorkę, jak dobrze wiesz. Ma jeszcze całą masę spraw do załatwienia przed śmiercią - spraw, które niekoniecznie uszczęśliwią twardogłowych. Z oczywistych powodów nie chciałyby, żeby jego pontyfikat skończył się przed czasem.

- Ja także.

- I właśnie dlatego powinieneś stać jutro u jego boku podczas audiencji generalnej.
- Gwardia Szwajcarska i karabinierzy doskonale sobie poradzą z ochroną twojego szefa.
- Są bardzo dobrzy, ale nigdy nie mieli do czynienia z prawdziwym atakiem

terrorystycznym.

- Niewielu ludzi miało - powiedział Gabriel. - A ci, co mieli, w większości nie wyszli z tego cało, żeby móc dzielić się swoimi doświadczeniami.

Donati spojrział na Gabriela.

- Ty wyszedłeś - zauważył. - Widziałeś terrorystów z bliska, na własne oczy. I patrzyłeś w twarz człowiekowi, który właśnie szykował się do wciśnięcia guzika detonatora.

Przystanęli kilka metrów przed bramą Świętej Anny. Po lewej znajdował się okrągły, w kolorze masła kościół pod jej wezwaniem, watykańska świątynia parafialna, na prawo zaś wejście do koszar Gwardii Szwajcarskiej. Jeden z gwardzistów stał na straży w środku bramy, ubrany w prosty niebieski mundur.

- Co mam zrobić, Luigi?

- Zostawiam to w twoich kompetentnych rękach. Spraw trochę kłopotu. Jeśli dostrzeżesz

coś niepokojącego, zajmij się tym.

- Z czyjego upoważnienia?

- Mojego - oświadczył Donati zdecydowanie. Sięgnął do kieszeni sutanny i wyciągnął laminowany kartonik, który wręczył Gabrielowi: legitymację z oznaczeniami watykańskiego Biura Bezpieczeństwa.

- Da ci dostęp do wszystkich miejsc w Watykanie - z wyjątkiem tajnych archiwów, rzecz jasna. Obawiam się, że tam nie możemy pozwolić ci szperać.

- Już szperałem - przypomniał Gabriel, po czym wsunął legitymację do kieszeni płaszcza i wymknął się na ulicę. Donati czekał przy bramie Świętej Anny, dopóki konserwator nie zniknął w ciemnościach, potem odwrócił się i ruszył do pałacu. I, choć zdał sobie z tego sprawę dopiero dużo później, mruzczał pod nosem słowa Zdrowaś Mario.

*

Gabriel przeszedł Tybr Ponte Umberto. Na drugim brzegu skręcił w lewo i ruszył w kierunku placu Hiszpańskiego. Kiedy tam dotarł, miejsce było wyludnione, a Schody Hiszpańskie połyskiwały w świetle latarni niczym lakierowane drewno. Na dwudziestym ósmym schodku siedziała dziewczyna. Włosy miała podobne do Chiary i przez chwilę Gabriel pomyślał, że może to naprawdę ona. Ale gdy wspiął się wyżej, zobaczył, że była to tylko Nurit, przysłana przez rzymską komórkę. Dała mu klucz do bezpiecznego mieszkania i po hebrajsku powiedziała, że za puszkami zupy w spiżarni znajdzie naładowaną beretę i zapasowy magazynek amunicji.

Pokonał resztę schodów do kościoła Trinita Dei Monti. Mieszkanie znajdowało się jakieś pół kilometra od świątyni na Via Gregoriana. Miało dwie sypialnie i mały taras. Gabriel wyciągnął beretę ze spiżarni, potem wszedł do większej sypialni. Jak we wszystkich bezpiecznych mieszkaniach, telefon nie miał dzwonka, tylko czerwone światelko sygnalizujące przychodzące połączenie. Leżąc na łóżku w ubraniu, które przywdział tego ranka na spotkanie z premierem, podniósł słuchawkę i wykręcił wenecki numer. Odezwał się kobiecy głos. „O co chodzi?” - padło po włosku. Nie doczekawszy się odpowiedzi, kobieta wymruczała przekleństwo i rzuciła słuchawkę, wystarczająco mocno, żeby Gabriel gwałtownie odsunął swoją od ucha, zanim odłożył ją delikatnie na widełki.

Rozebrał się i złożył głowę na poduszce, ale kiedy zapadał już w sen, pokój rozświetliła nagle błyskawica. Instynktownie zaczął odliczać, oceniając odległość uderzenia. Pod przymkniętymi powiekami ujrzał chuderlawego, czarnowłosego chłopca z oczyma zielonymi jak szmaragdy, goniącego za błyskawicami na wzgórzach nad Nazaretem. Zanim doliczył do czterech, grzmot pioruna wstrząsnął budynkiem.

Potem jeszcze kilka nastąpiło w szybkich seriach, a o okienne szyby załomotał deszcz. Gabriel usiłował zasnąć, ale nie mógł.

Włączył nocną lampkę, otworzył teczkę zawierającą zdjęcia uzyskane z zasobów komputera Alego Massudiego i przedzierał się przez nie powoli, zapamiętując każdy obraz. Godzinę później wyłączył światło i, już w myślach, raz jeszcze przerzucił wszystkie fotografie. Błyskawica rozświetliła dzwonnice kościoła. Gabriel zamknął oczy i liczył.

Do wschodu słońca deszcz ustał. Gabriel opuścił bezpieczne mieszkanie o świcie i pustymi ulicami skierował się na powrót do Watykanu. Kiedy przechodził przez rzekę, popielato-różowe promienie wstającego słońca kładły się na piniach porastających wzgórze Janiculum, ale plac Świętego Piotra pogrążony był jeszcze w mroku, a na kolumnadzie nadal paliły się latarnie.

Niedaleko wejścia do watykańskiego Biura Prasowego otwarta była kafejka. Gabriel wypił dwie filiżanki cappuccino przy chodnikowym stoliku i przeczytał poranne gazety. Żaden z głównych rzymskich dzienników nie odnotował krótkiej wizyty, jaką złożył w Jerozolimie osobisty sekretarz papieża, ani też wieczornego zebrania szefów watykańskich i włoskich służb bezpieczeństwa, zwołanego w papieskiej jadalni dla omówienia możliwości terrorystycznego ataku na życie Ojca Świętego.

O ósmej przygotowania do audiencji generalnej na placu Świętego Piotra były już w pełnym toku. Zespoły robotników ustawiały rozkładane krzeselka i tymczasowe metalowe bariery na esplanadzie przed bazyliką, a funkcjonariusze ochrony umieszczali magnetometry wzdłuż kolumnady. Gabriel opuścił kafejkę i przystanął przy stalowej barierze oddzielającej terytorium Stolicy Apostolskiej od włoskiej ziemi. Rozmyślnie sprawiał wrażenie zdenerwowanego i przejętego, kilkakrotnie zerkał na zegarek i szczególnie intensywnie obserwował działanie magnetometrów.

Słowem robił wszystko, co powinno wzbudzić czujność karabinierów, funkcjonariuszy Vigilanzy i watykańskiej policji. Minęło dziesięć minut, zanim podszedł do niego umundurowany karabinier i zażądał okazania dowodu tożsamości. Perfekcyjnym włoskim Gabriel poinformował go, że pracuje dla watykańskiego Biura Bezpieczeństwa.

- W takim razie przepraszam - powiedział karabinier i zabrał się do odejścia.

- Proszę zaczekać - zawołał za nim Gabriel.

Karabinier zatrzymał się i odwrócił.

- Nie rzucicie okiem na moje dokumenty?

Karabinier wyciągnął rękę. Znużonym wzrokiem spojrzął na legitymację i oddał mu ją z powrotem.

- Nie ufajcie nikomu - poinstruował Gabriel. - Żądajcie dokumentów, a jeśli będą wyglądać podejrzanie, wezwijcie przełożonego.

Odwrócił się i ruszył do bramy Świętej Anny, przez którą bez problemu przepuszczono grupkę zakonnic w szarych habitach, gdy tylko rzuciły proste „Annona”, nazwę watykańskiego supermarketu. Gabriel spróbował tej samej taktyki i, podobnie jak zakonnice, machnięciem ręki został wpuszczony na terytorium Watykanu. Już w bramie wyciągnął legitymację i obsztorcował gwardzistę swoim niemieckim z berlińskim akcentem, który przejął po matce. Potem wyszedł z powrotem na ulicę. Po chwili do strażników podszedł starszy ksiądz o bardzo białych włosach i poinformował ich, że udaje się do watykańskiej apteki. Nie został przepuszczony, dopóki nie wyciągnął z kieszeni sutanny dowodu tożsamości.

Gabriel postanowił skontrolować zabezpieczenie innego głównego wejścia do Watykanu, Łuku Dzwonów. Dotarł tam po pięciu minutach, w samą porę, żeby zobaczyć, jak jakiś kardynał kurialny w towarzystwie dwóch współpracowników przechodzi pod łukiem, nawet nie spojrzawszy na gwardzistę stojącego na baczność w pobliżu wartowniczej budki. Gabriel pomachał legitymacją przed oczyma strażnika.

- Dlaczego nie wylegitymowaliście tego kardynała?

- Jego legitymacją są purpurowy biret i pektorał.

- Nie dzisiaj - powiedział Gabriel. - Legitymujcie każdego.

Odwrócił się i ruszył zewnętrzną stroną kolumnady, analizując sceny, których właśnie był

świadkiem. Plac Świętego Piotra, mimo całego jego ogromu, w przeważającej mierze dobrze zabezpieczono. Jeśli istniał jakiś słaby punkt, to była nim stosunkowo duża liczba ludzi upoważnionych do poruszania się za placem. Myślał o zdjęciach z komputera Alego Massudiego i zastanawiał się, czy przypadkiem terroryści nie doszli do tego samego wniosku.

Przebiegł plac w kierunku Spiżowej Bramy. Nie istniały żadne magiczne zaklęcia, które mogłyby zapewnić dostęp do frontowego wejścia do Pałacu Apostolskiego. Dokumenty Gabriela zostały skontrolowane na zewnątrz przez gwardzistę w pełnym mundurze galowym i ponownie już w holu przez gwardzistę po cywilnemu.

Legitymacja z Biura Bezpieczeństwa pozwalała konserwatorowi na wchodzenie do pałacu bez wpisywania się przy biurze przepustek, ale musiał oddać do depozytu broń, co uczynił z pewną niechęcią.

Wyłoniły się przed nim marmurowe stopnie Scala Regia, połyskujące w blasku mnóstwa żeliwnych lamp. Wspiął się nimi na dziedziniec Świętego Damazego i przeszedł na drugą stronę, skąd czekająca winda zawiozła go na trzecie piętro. Przystanął na chwilę w łodzi, żeby popatrzeć na fresk Rafaela, potem pospieszył szerokim korytarzem do papieskich apartamentów. Donati w sutannie przewiązanej pasem w kolorze fuksji siedział za biurkiem w swoim niewielkim gabinecie sąsiadującym z papieskim. Gabriel wślizgnął się do środka i zamknął za sobą drzwi.

- Jak wielu ludzi pracuje w Watykanie? - Donati powtórzył na głos pytanie Gabriela. - Około połowy.

Gabriel zmarszczył brwi z dezaprobatą.

- Wybacz - rzekł Donati. - To stary watykański dowcip. Odpowiedź brzmi: jakieś tysiąc dwieście. Włącznie z księżmi i prałatami, którzy pracują w Sekretariacie Stanu, w różnych kongregacjach i radach, razem z ich personelem pomocniczym. I są jeszcze osoby świeckie, które zapewniają w miarę sprawne funkcjonowanie tego miejsca: przewodnicy wycieczek, zamiatacze ulic, personel techniczny, ogrodnicy, urzędnicy na poczcie, sprzedawcy w aptece i supermarkecie. No i funkcjonariusze służby bezpieczeństwa, rzecz jasna.

Gabriel wyciągnął swoją legitymację.

- I wszyscy otrzymują coś takiego?

- Nie każdy może wejść do Pałacu Apostolskiego, ale wszyscy są w posiadaniu dokumentów, zapewniających im wejście do miejsc nieudostępniionych zwiedzającym.

- Masz na myśli plac i bazylikę?

- Zgadza się.

- W jaki sposób sprawdzacie ich przeszłość?

- Zakładam, że nie pytasz o kardynałów, biskupów, monsignorich i księży.

- Zostawmy ich na boku. - Gabriel zmarszczył brwi, potem dodał: - Na razie.

- Praca w Watykanie to łakomy kąsek. Zarobki nie są może zawrotne, ale nasi pracownicy mogą się zaopatrywać w tutejszej aptece i supermarkecie. Ceny są tam subsydiowane i o wiele niższe niż te we włoskich sklepach. To samo odnosi się do cen benzyny na naszej stacji paliw. Oprócz tego rozsądne godziny pracy, długie urlopy i świadczenia socjalne też nie do pogardzenia.

- Jak sprawdzacie przeszłość i pochodzenie zatrudnionych osób?

- Miejsca pracy są tak rozchwytywane - i jest ich tak niewiele - że prawie zawsze trafiają tu ludzie z rodzinnymi koneksjami, tak że kontrola przeszłości i pochodzenia jest dość pobieżna.

- Tego się obawiałem - westchnął Gabriel. - A co z takimi jak ja? Gośćmi z tymczasowymi zezwoleniami pobytu?

- Pytasz, ilu ich jest? - Donati wzruszył ramionami. - Powiedziałbym, że zwykle kilkaset

osób ma tymczasowy wstęp do Watykanu.

- Jak działa ten system?

- Na ogół przypisuje się ich do jednej z licznych rad pontyfikalnych lub komisji w charakterze personelu dodatkowego albo konsultantów. Prefekt albo któryś z podsekretarzy poręcza za gościa, a watykańskie Biuro Bezpieczeństwa wydaje mu stosowne dokumenty.

- Czy biuro samo zajmuje się tą całą papierkową robotą?

- Oczywiście.

Gabriel podniósł słuchawkę telefonu i podał ją Donatiemu.

Upłynęło dwadzieścia minut, zanim aparat Donatiego zadzwonił. Sekretarz słuchał w milczeniu, potem odłożył słuchawkę i spojrzał na Gabriela, który stał przy oknie wychodzącym na plac, obserwując napływające tam tłumy.

- Zaczynają wyciągać papiery.

- Zaczynają?

- To wymagało upoważnienia szefa. Miał spotkanie. Będą gotowi za piętnaście minut.

Gabriel spojrzał na zegarek. Dochodziła dziesiąta trzydzieści.

- Przenieście audiencję do środka.

- Ojciec Święty nie będzie chciał nawet o tym słyszeć. - Donati stanął obok Gabriela przy oknie. - Poza tym jest już za późno. Goście zaczęli przybywać.

*

Umieścili go w malutkiej komórce z czarnym od sadzy oknem wychodzącym na Dziedziniec Belwederski i przydzielili do pomocy chłopięco wyglądającego eks-karabiniera nazwiskiem Luca Angelli, który przynosił i podawał mu teczki. Gabriel ograniczył swoje poszukiwania jedynie do osób świeckich. Nawet on, człowiek bezbrzeżnie podejrzliwy, nie mógł wyobrazić sobie sytuacji, w której katolicki ksiądz zostałby zwerbowany i przeszedł, dobrowolnie lub nie, na stronę al Kaidy. Wykluczył także ze swojej listy członków Gwardii Szwajcarskiej i Vigilanzji. Szeregi tej ostatniej wypełniali głównie byli karabinierzy i funkcjonariusze Polizia di Stato. Co do gwardzistów, wszyscy co do jednego pochodzili ze szwajcarskich rodzin katolickich, zdecydowana większość w dodatku z niemiecko - i francuskojęzycznych kantonów w górzystym centrum kraju, które raczej nie mogło uchodzić za bastion islamskiego ekstremizmu.

Zaczął od świeckich pracowników samego miasta-państwa. Żeby ograniczyć i przyspieszyć poszukiwania, na pierwszy ogień wziął teczki tych, których zatrudniono w ciągu ostatnich pięciu lat, ale przejrzanie tylko ich dokumentów zajęło mu prawie pół godziny. Kiedy się z tym uporał, odłożył na bok do późniejszej analizy pół tuzina teczek: farmaceuty w aptece, ogrodnika, dwóch pracowników fizycznych supermarketu Annona, dozorcę w Muzeum Watykańskim i kobiety pracującej w jednym ze sklepików z pamiątkami. Resztę oddał Angellemu.

Potem przybyły akta świeckich pracowników związanych z różnymi kongregacjami Kurii Rzymskiej. Kongregacje stanowiły odpowiednik rządowych ministerstw i zajmowały się głównymi aspektami zarządu Kościołem, takimi jak doktryna, wiara, kler, święci, edukacja katolicka. Na czele każdej kongregacji stał kardynał, a każdy kardynał miał pod sobą kilku biskupów i monsignorich. Gabriel przejrzał akta personelu administracyjnego i pomocniczego wszystkich dziewięciu kongregacji i nie znalazłszy nic wartego uwagi, również przekazał je Angellemu.

- Co zostało?

- Komisje i rady papieskie - odrzekł Angelli. - I inne instytucje.

- Inne instytucje?

- Biuro Administracyjne Dóbr Stolicy Apostolskiej, Prefektura Spraw Ekonomicznych Stolicy Apostolskiej...

- Już rozumiem - powiedział Gabriel. - Ile teczek?

Angelli uniósł dłonie, pokazując, że sterta była wysoka na niemal pół metra. Gabriel popatrzył na zegarek: 11.20...

- Przynieś je.

Angelli zaczął od komisji papieskich. Gabriel odłożył dwie kolejne teczki do dokładniejszego oglądu: konsultanta przy Komisji Świętej Archeologii oraz argentyńskiego naukowca współpracującego z Papieską Komisją do spraw Ameryki Łacińskiej. Resztę oddał Angellemu i zerknął na zegarek: 11.45... Obiecał Donatemu, że będzie pełnił straż u boku papieża na placu podczas audiencji generalnej w południe. Miał czas jeszcze tylko na kilka teczek.

- Pomiń finansowe - polecił. - Przynieś mi akta pracowników rad papieskich.

Angelli wrócił chwilę później z piętnastocentymetrowym naręczem szarych teczek. Gabriel przeglądał je w takiej kolejności, w jakiej podawał mu je Włoch. Papieska Rada do spraw Świeckich... Papieska Rada do spraw Propagowania Jedności Chrześcijan... Papieska Rada do spraw Rodziny... Pontyfikalna Rada Iustitiae et Pax... Papieska Rada do spraw Opieki Pastoralnej nad Migrantami i Wędrowcami... Papieska Rada do spraw Interpretacji Prawa. Papieska Rada do spraw Dialogu Międzyreligijnego.

Gabriel uniósł dłoń. Znalazł to, czego szukał.

Czytał przez chwilę, potem gwałtownie podniósł głowę i spojrzał do góry.

- Czy ten człowiek naprawdę ma wstęp do Watykanu?

Angelli zgiął w pasie swoje chuderlawe ciało i zerknął Gabrielowi przez ramię.

- Profesor Ibrahim el-Banna? Jest u nas już od ponad roku.

- Czym się zajmuje?

- Wchodzi w skład specjalnej komisji szukającej sposobów na poprawę stosunków między światem chrześcijańskim a islamskim. To ekumeniczny zespół, który liczy sobie wszystkiego dwunastu członków: sześciu naukowców chrześcijańskich i sześciu muzułmańskich, reprezentujących różne odłamy islamu i szkoły prawa. Ibrahim el-Banna jest profesorem islamskiego prawoznawstwa na Uniwersytecie Al-Azhar w Kairze. To jeden z najślawniejszych i najbardziej poważanych badaczy prawa islamskiego szkoły Hanafi na świecie. Hanafi dominuje wśród...

- Sunnitów - Gabriel ostentacyjnie dokończył zdanie za Angellego. - Nie wiecie, że Al-Azhar to siedlisko wojującego islamu? Że został gruntownie spenetrowany przez siły al Kaidy i Bractwa Muzułmańskiego?

- Jest także jedną z najstarszych i najbardziej prestiżowych uczelni teologicznych i islamskiego prawa na świecie. Profesor el-Banna został wybrany do tej komisji z uwagi na swoje umiarkowane poglądy. Kilkakrotnie spotkał się osobiście z Ojcem Świętym. Dwa razy były to spotkania na osobności.

- Gdzie pracuje komisja?

- Profesor el-Banna ma gabinet w budynku w pobliżu Piazza Santa Marta, nieopodal Łuku Dzwonów.

Gabriel zerknął na zegarek: 11.55. Nie miał czasu na rozmowę z Donatim. Teraz z pewnością był on już na dole z papieżem, przygotowując się do wejścia na plac. Pomyślał o wskazówkach, jakie od niego otrzymał ubiegłej nocy na Via Belvedere. „Spraw trochę kłopotów. Jeśli dostrzeżesz coś niepokojącego, zajmij się tym”. Wstał i spojrzał na Angellego.

- Chciałbym zamienić słówko z imamem.

Angelli zawahał się.

- Ojciec Święty przywiązuje dużą wagę do tej inicjatywy. Jeśli rzuci pan bezpodstawne oskarżenie, profesor obrazi się śmiertelnie i prace komisji staną pod znakiem zapytania.

- Lepszy rozgniewany imam niż martwy papież. Jak można najszybciej dostać się na Piazza Santa Marta?

- Pójdziemy na skróty - powiedział Angelli. - Przez bazylikę.

Prześlizgnęli się przez wejście ze Scala Regia do kaplicy Błogosławionego Sakramentu, potem pospieszyli na ukos przez ogromną nawę. U stóp pomnika Aleksandra VII znajdowały się drzwi prowadzące na Piazza Santa Marta. Kiedy wyszli na zalany jaskrawym słońcem dziedziniec, znad placu Świętego Piotra unosił się ryk dzikiego aplauzu. Papież przybył na audiencję generalną.

Angelli poprowadził Gabriela przez mały placzyk do wnętrza ponuro wyglądającego barokowego budynku mieszczącego biura.

W lobby za recepcyjnym biurkiem siedziała bez ruchu zakonnica.

Kiedy wpadli do wnętrza, obrzuciła Gabriela i Angellego spojrzeniem pełnym dezaprobaty.

- Ibrahim el-Banna - rzucił Luca Angelli, nie bawiąc się we wstępy.

Zakonnica zamrugła gwałtownie dwa razy.

- Pokój cztery-dwanaście.

Ruszyli po schodach: Angelli na przedzie, Gabriel tuż za nim.

Kiedy kolejna fala okrzyków i braw uniosła się znad placu, Gabriel dał Angellemu kuksańca w plecy i watykański funkcjonariusz służb bezpieczeństwa zaczął przeskakiwać dwa stopnie na raz.

Kiedy dotarli na miejsce, okazało się, że drzwi do pokoju 412 są zamknięte. Gabriel wyciągnął dłoń w kierunku klamki, ale Angelli przytrzymał jego rękę i stanowczo, acz grzecznie, zapukał.

- Profesorze el-Banna? Profesorze el-Banna? Jest pan tam?

Kiedy odpowiedziało im milczenie, Gabriel odepchnął na bok Angellego i przyjrzał się dokładnie wiekowemu zamkowi. Mógł go otworzyć w ciągu kilku sekund za pomocą delikatnego metalowego wytrycha, który miał w portfelu, ale kolejny ryk aplauzu dochodzący z placu przypomniał mu, że nie ma na to czasu.

Chwycił klamkę obiema dłońmi i napał ramieniem na drzwi.

Trzymały się mocno. Raz jeszcze uderzył ciałem, potem trzeci raz.

Za czwartym dołączył do niego Angelli. Drewniana ościeżnica pękła i z impetem wpadli do środka.

Pokój był pusty. Nie zwyczajnie pusty, przeszło przez głowę Gabrielowi, ale opuszczony. Nie było żadnych książek, teczek, walających się długopisów i papierzysk. Tylko koperta formatu A4 umieszczona precyzyjnie na środku biurka. Angelli wyciągnął rękę w kierunku przełącznika światła, ale Gabriel krzyknął na niego, żeby nie podchodził, potem wypchnął Włocha z powrotem na korytarz. Wyciągnął ołówek z kieszeni płaszcza i zmierzył nim grubość koperty. Kiedy upewnił się, że zawiera tylko papier, uniósł ją i ostrożnie otworzył. W środku znajdowała się pojedyncza, potrójnie złożona kartka pokryta arabskim odręcznym pismem:

Wypowiadamy wam wojnę, krzyżowcy, niszcząc waszą świątynię politeizmu i uśmiercając waszego tak zwanego papieża, sługę sług bożych, tego człowieka w bieli, którego traktujecie, jakby sam był bogiem. To jest wasza kara za grzechy i zbrodnie popełnione w Iraku, Abu Ghraib i zatoce Guantanamo. Ataki będą trwały, dopóki iracka ziemia nie zostanie uwolniona z

amerykańskiego jarzma, a Palestyna z żydowskich łap.

Jesteśmy Braterstwem Allaha. Allah jest jedynym Bogiem, nie ma innego Boga nad Allaha i Jemu niech będzie chwała.

Gabriel zbiegł po schodach, Angelli tuż za nim.

7

Watykan

- In nomine Patris et Filii et Spiritus Sancti.

Głos papieża, wzmocniony i zwielokrotniony przez watykański system nagłaśniający, rozbrzmiewał na placu Świętego Piotra i po Via delia Conciliazione.

Dwadzieścia tysięcy głosów odpowiedziało: „Amen”.

Gabriel i Luca Angelli rzucili się biegiem przez Piazza Santa Marta, potem wzdłuż zewnętrznych murów bazyliki. Zanim dotarli do Łuku Dzwonów, Angelli skręcił na prawo i wpadł do biura przepustek, głównego punktu kontrolnego, przez który przechodziła większość watykańskich gości. Jeśli Ibrahim el-Banna wprowadziłby jeszcze kogoś do Watykanu, tutaj istniałyby dokumenty potwierdzające ów fakt. Gabriel biegł dalej w stronę Łuku. Pełniący przy nim straż gwardzista, przerażony widokiem pędzącego w jego stronę mężczyzny, opuścił w obronnym geście halabardę.

Wzniósł ją na powrót, gdy konserwator machnął mu przed oczyma legitymacją.

- Oddaj mi broń - rozkazał Gabriel.

- Ależ, sir...

- Dawaj pistolet - ryknął po niemiecku.

Gwardzista sięgnął za pazuchę wielobarwnej renesansowej tuniki i wyciągnął bardzo nowoczesnego SIG-Sauera dziewięć milimetrów, właśnie kiedy Luca Angelli pojawił się w bramie.

- O jedenastej trzydzieści el-Banna wprowadził do Watykanu delegację trzech niemieckich księży.

- To nie są księża, Luca. To szahidzi. Męczennicy. - Gabriel popatrzył na tłumy zebrane na placu. - I wątpię, żeby nadal byli w Watykanie. Prawdopodobnie są już poza murami, uzbrojeni w materiały wybuchowe i Bóg jeden wie co jeszcze.

- Po co wchodzili przez Łuk Dzwonów do Watykanu?

- Po bomby, rzecz jasna. - To była luka w watykańskim systemie bezpieczeństwa.

Terroryści odkryli ją w rezultacie powtarzanej inwigilacji i wykorzystali inicjatywę pokojową Ojca Świętego, żeby z niej skorzystać. El-Banna prawdopodobnie przeszmugłował stopniowo bomby do Watykanu i przechowywał je w swoim biurze. Szahidzi odebrali je, przeszedłszy przez biuro przepustek, po czym udali się na plac drogą pozwalającą na ominięcie detektorów.

- Przez bazylikę - domyślił się Angelli. - Mogli wejść do bazyliki z boku i wyjść przez jedne z frontowych drzwi. Mogliśmy minąć się z nimi kilka chwil temu i nigdy się tego nie dowiemy.

Gabriel i Angelli przeskoczyli przez drewniane ogrodzenie oddzielające Łuk Dzwonów od reszty placu i wspięli się na podium.

Ich nagłe pojawienie się wywołało pomruk niezadowolenia zgromadzonych tłumów. Donati stał za papieżem. Gabriel spokojnie podszedł do niego i wręczył mu list zabrany z biura

el-Banny.

- Są tutaj...

Donati zerknął w dół, zobaczył arabskie pismo, potem ponownie przeniósł wzrok na Gabriela.

- Znaleźliśmy to w biurze el-Banny. Jest tam napisane, że zniszczą bazylikę. Że zabiją Ojca Świętego. Musimy zabrać go z podium. Teraz, Luigi.

Donati popatrzył na ciżbę kłębiącą się na placu: katolicy pielgrzymi i dygnitarze z całego świata, młodzież szkolna w białych strojach, grupy chorych i osób w podeszłym wieku, przybyłych po papieskie błogosławieństwo. Papież siedział na szkarłatnym ceremonialnym tronie. Zgodnie ze zwyczajem, który przejął po swym poprzedniku, pozdrawiał zgromadzonych wiernych w ich ojczystych językach, przechodząc szybko z jednego na drugi.

- A co z pielgrzymami? - spytał Donati. - Jak ich ochronimy?

- Dla nich może być już za późno. Przynajmniej dla niektórych. Jeśli spróbujemy ich ostrzec, wybuchnie panika. Zabierzcie Ojca Świętego z placu tak szybko i spokojnie, jak się da. Potem my zaczniemy wyprowadzać pielgrzymów.

Pułkownik Brunner, dowódca gwardzistów, dołączył do nich na podium. Podobnie jak reszta osobistej ochrony papieskiej, ubrany był w ciemny garnitur i nosił w uchu słuchawkę. Kiedy Donati wyjaśnił sytuację, twarz Brunnera poszarzała.

- Wyprowadzimy go przez bazylikę.

- A jeśli podłożyli tam bomby? - spytał Gabriel.

Brunner otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale jego słowa porwała gorąca fala uderzeniowa. Ułamek sekundy później rozległ się ogłuszający huk, zintensyfikowany jeszcze przez ogromny pogłos na placu Świętego Piotra. Gabriel został zdmuchnięty z podium niczym świstek papieru porwany przez wiatr. Co najmniej raz wywinął w powietrzu kozła. Potem wyładował na stopniach bazyliki i stracił przytomność.

Kiedy otworzył oczy, zobaczył apostołów Chrystusa spoglądających na niego ze szczytu fasady bazyliki. Nie wiedział, jak długo był nieprzytomny. Może kilka sekund, ale nie dłużej. Usiadł - w uszach mu dzwoniło - i rozejrzał się dokoła. Na prawo od niego znajdowali się kurialni prałaci, którzy towarzyszyli papieżowi na podium. Wyglądali na zszokowanych, mieli zmierzwione włosy i ubrania, ale chyba nie ucierpieli zanadto. Po lewej stronie leżał Donati, a obok Donatego Karl Brunner. Oczy dowódcy były zamknięte, z rany na tyle głowy lała się krew.

Gabriel wstał i rozejrzał się ponownie. Gdzie jest papież?

Ibrahim el-Banna wprowadził do Watykanu trzech księży.

Gabriel podejrzewał, że czekają ich jeszcze dwa wybuchy.

Znalazł SIG-Sauera, którego zabrał szwajcarskiemu gwardziście, i krzyknął do prałatów, żeby się nie podnosili. Chwilę później, kiedy wchodził na podium poszukać Lucchesiego, eksplodowała druga bomba.

Kolejna fala palącego gorąca i wiatr.

Kolejny huk.

Gabriela rzuciło do tyłu. Tym razem upadł na Donatego.

Podniósł się raz jeszcze. Nie zdołał dotrzeć na podwyższenie przed wybuchem trzeciej bomby.

Kiedy ucichł odgłos eksplozji, wspiął się na platformę i zlustrował zniszczenia. Szahidzi poustawiali się w równych odstępach wśród tłumu w pobliżu podium: jeden nieopodal Spizowej Bramy, drugi w centrum placu, trzeci w pobliżu Łuku Dzwonów. Zostały po nich jedynie trzy smugi czarnego dymu, unoszące się ku bezchmurnemu, bladobłękitnemu niebu. W miejscach, gdzie stali zamachowcy, bruk był czarny od spalenizny, zbroczony krwią i usiany ludzkimi

kończynami i kawałkami ciał. Nieco dalej od miejsca wybuchu trochę łatwiej można było sobie wyobrazić, że leżące tam porwane strzępy jeszcze kilka chwil wcześniej były żywymi ludźmi. Składane krzeselka, których rozstawianiu Gabriel przyglądał się rano, poniewierały się, teraz porozrzucone dokoła niczym karty do gry, i wszędzie walały się buty. Jak wiele ofiar śmiertelnych? Setki, pomyślał. Ale tym, co go w tej chwili najbardziej interesowało, nie byli martwi, ale Ojciec Święty.

„Wypowiadamy wam wojnę, krzyżowcy, niszcząc waszą świątynię politeizmu...”.

Atak, jak Gabriel wiedział, nie dobiegł jeszcze końca.

I wtedy, przez ścianę czarnego dymu, zobaczył, że zaczyna się jego kolejny etap. W odległym krańcu placu, tuż za barierką, zatrzymała się furgonetka dostawcza. Tylne drzwi otworzyły się i na zewnątrz wygramoliło się trzech mężczyzn. Każdy niósł na ramieniu wyrzutnię pocisków raketowych.

Właśnie wtedy Gabriel dostrzegł tron, na którym wcześniej siedział papież. Zdmuchnięty na bok siłą pierwszej eksplozji leżał teraz do góry nogami na schodach bazyliki. Spod spodu wystawała mała dłoń ze złotym pierścieniem... i dół białej sutanny splamiony krwią.

Gabriel spojrzał na Donatiego.

- Mają rakiety, Luigi! Zabierz wszystkich z bazyliki.

Konserwator zeskoczył z podium i podniósł tron. Papież miał zamknięte oczy i krwawił z kilku małych ran. Kiedy Gabriel schylił się i wziął go na ręce, usłyszał charakterystyczny świst nadlatującego RPG-7. Odwrócił głowę. Rakieta mknęła nad placem w kierunku bazyliki. Chwilę później głowica uderzyła w kopułę Michała Anioła i eksplodowała w deszczu ognia, szkła i kamienia.

Gabriel osłonił papieża przed spadającym gruzem, potem podniósł i zaczął biec w stronę Spiżowej Bramy. Zanim zdążyli schronić się w kolumnadzie, przez plac przemknął drugi pocisk. Uderzył w fasadę bazyliki, tuż poniżej balustrady Loggia delie Benedizioni.

Gabriel stracił równowagę i upadł na bruk. Uniósł głowę i ujrzał zbliżającą się trzecią rakietę. Leciała niżej niż poprzednie i kierowała się bezpośrednio w stronę podium. Tuż przed jej uderzeniem oczom konserwatora ukazała się scena jak z sennego koszmaru:

Luigi Donati desperacko próbujący usunąć kurialnych kardynałów i prałatów w bezpieczne miejsce. Gabriel został na ziemi, osłaniając papieża własnym ciałem, kiedy spadał na nich kolejny deszcz gruzu i odłamków.

- Czy to ty, Gabrieliu? - zapytał Ojciec Święty z ciągle zamkniętymi oczyma.

- Tak, Wasza Świątobliwość.

- Czy już po wszystkim?

Trzy bomby, trzy rakiety - symbole Świętej Trójcy, pomyślał Gabriel. Przemysłana zniewaga pod adresem mushrikun.

- Tak, Wasza Świątobliwość. Wierzę, że już po wszystkim.

- Gdzie jest Luigi?

Gabriel popatrzył w kierunku palących się pozostałości platformy. Donati, słaniając się, wynurzał się z dymu z ciałem jakiegoś martwego kardynała na rękach.

- Żyje, Wasza Świątobliwość.

Papież wyszeptał:

- Dzięki Bogu.

Gabriel poczuł na ramieniu czyjąś dłoń. Odwrócił się i zobaczył czwórkę mężczyzn w niebieskich marynarkach z wyciągniętą bronią.

- Puść go - krzyknął jeden z nich. - Zabierzemy go stąd.

Gabriel przyjrzał się mężczyźnie przez chwilę, potem wolno pokręcił głową.

- Ja go zabiorę - powiedział, po czym wstał i w otoczeniu szwajcarskich gwardzistów zaniósł papieża do Pałacu Apostolskiego.

*

Budynek stał na wysadzonym kocimi łbami vicolo w pobliżu kościoła Świętej Marii w Trastevere. Był czteropiętrowy, a w jego elewacji w kolorze spłowiałego brązu, obwieszanej kablami elektrycznymi i telefonicznymi, widniało kilka dużych odsłoniętych połączeń gołej cegły. Na parterze znajdował się warsztat naprawy motocykli, który wychodził na ulicę. Na prawo od niego były drzwi prowadzące do mieszkań na górze. Ibrahim el-Banna miał w kieszeni klucz do jednego z nich.

Atak rozpoczął się pięć minut po opuszczeniu przez el-Bannę Watykanu. Na Borgo Santo Spirito skorzystał z paniki, jaka się rozpełtała, żeby zdjąć kufię i zawiesić na szyi duży drewniany krzyż.

Stamtąd ruszył piechotą do parku Janiculum, a potem wzgórzem do Trastevere. Na Via delia Paglia jakaś oszaląła z rozpaczy kobieta poprosiła go o błogosławieństwo. Udzielił go, naśladując słowa i gesty, na które napatrzył się w Watykanie, po czym bezzwłocznie poprosił Allaha, by wybaczył mu to bluźnierstwo.

Teraz, już bezpieczny w budynku, uwolnił się od obrazoburczego krzyża i wspinał po marnie oświetlonych schodach. Stawić się tutaj polecił mu pewien Saudyjczyk, który wymyślił i zaplanował cały zamach; Saudyjczyk, którego el-Banna znalazł jedynie pod imieniem Khalil. To miał być pierwszy przystanek w tajnej podróży z Europy do muzułmańskiego świata. El-Banna liczył, że powróci do swojego rodzinnego Egiptu, ale Khalil przekonał go, że tam nigdy nie będzie bezpieczny. „Mubarak, ten sługus Amerykanów, odda cię w ręce niewiernych, zanim się obejrzysz - powiedział mu Khalil. - Jest tylko jedno miejsce na ziemi, gdzie cię nie dostaną”.

Tym miejscem była Arabia Saudyjska, ziemia Proroka. Miejsce narodzin wahhabizmu. Ibrahim el-Banna uzyskał obietnicę nowej tożsamości, etatu wykładowcy na prestiżowym uniwersytecie w Medynie i konta bankowego zasilonego na dzień dobry pół milionem dolarów. Schronienie miało być nagrodą od księcia Nabila, saudyjskiego ministra spraw wewnętrznych, pieniądze darem saudyjskiego milionera, finansującego całą operację.

Tak więc muzułmański duchowny, który wspinał się teraz po schodach rzymskiej kamienicy, był człowiekiem zadowolonym.

Właśnie pomógł przeprowadzić jedną z najdonioślejszych akcji dżihadu w całych długich i pełnych chwały dziejach islamu. A teraz miał rozpocząć nowe życie w Arabii Saudyjskiej, gdzie jego przekonania i nauki pomogą natchnąć następne pokolenie islamskich wojowników. Tylko perspektywa Raju mogła być bardziej nęcąca.

Wszedł na trzecie piętro i ruszył w kierunku drzwi do mieszkania 3A. Wsadził klucz do zamka i poczuł w palcach delikatne muśnięcie wyładowania elektrycznego. Kiedy go przekręcił, drzwi eksplodowały. I wtedy nie czuł w ogóle już nic.

*

W tej samej chwili, w dzielnicy Waszyngtonu zwanej Foggy Bottom, pewna kobieta obudziła się z koszmarnego snu. Roilo się w nim od tych samych potwornych scen, które widziała każdego ranka o tej godzinie. Stewardesa z poderżniętym gardłem. Przystojny młody pasażer wykonujący ostatni w życiu telefon. Piekło.

Przekręciła się i zerknęła na budzik stojący na nocnym stoliku.

Była szósta trzydzieści. Sięgnęła po pilota, skierowała go w stronę telewizora i wcisnęła przycisk zasilania. „Boże, nie - pomyślała, kiedy ujrzała płonąca bazylikę. - Tylko nie to. Nie

znowu”.

8

Rzym

Gabriel pozostał w bezpiecznym mieszkaniu nieopodal kościoła Trinita Dei Monti przez cały następny tydzień. Chwilami miał wrażenie, że to wszystko nie wydarzyło się naprawdę.

Ale wtedy wychodził na balkon, widział unoszącą się nad dachami miasta kopułę bazyliki, potrząsnaną i poczerniałą od ognia, tak jakby Bóg, w chwili niezadowolenia albo nieuwagi, wyciągnął palec i zniszczył dzieło swych dzieci. Gabriel, konserwator, żałował, że nie jest to tylko obraz - postrzępione płótno, które mógłby uleczyć za pomocą butelki oleju lnianego i garści pigmentu.

Lista ofiar wydłużała się z każdym dniem. Gdy środa miała się ku końcowi - Czarna Środa, jak ochrzcili ów dzień rzymskie gazety - liczba zabitych sięgała sześciuset. Do czwartku było ich już sześćset pięćdziesiąt, a do weekendu naliczono siedemset.

Wśród zabitych był też pułkownik Karl Brunner z papieskiej Gwardii Szwajcarskiej. Podobnie jak Luca Angelli, który przez trzy dni rozpaczliwie walczył o życie w klinice Gemelli, dopóki nie odłączono aparatury podtrzymującej. Papież osobiście odprawił ostatnie namaszczenie i pozostał u boku gwardzisty do jego śmierci. Kuria rzymska poniosła straszliwe straty. Czterech kardynałów znalazło się wśród zabitych, razem z ośmioma kurialnymi biskupami i trójką monsignorich. Uroczystości pogrzebowe musiały odbyć się w kościele Świętego Jana Laterańskiego, ponieważ dwa dni po zamachu międzynarodowy zespół inżynierów budowlanych orzekł, że wchodzenie do bazyliki grozi katastrofą.

Największa rzymska gazeta, „La Repubblica”, doniosła o tragedii, zamieszczając całostronicowe zdjęcie zniszczonej kopuły, opatrzone dwoma słowami: Do rozbiórki.

Rząd Izraela oficjalnie nie miał żadnego udziału w prowadzonym śledztwie, ale Gabriel, dzięki zażyłości z Donatim i papieżem, szybko wiedział o zamachu więcej niż jakikolwiek agent wywiadu na świecie. Większość informacji zdobył w papieskiej jadalni przy stole, do którego co wieczór zasiadał razem z ludźmi prowadzącymi śledztwo: generałem Marchese z karabinierów i Martinem Bellano z włoskiej służby bezpieczeństwa. Przez większość czasu rozmawiali przy Gabrielu bez skrępowania, a to wszystko, co zatrzymywali dla siebie, sumiennie donosił mu Donati. Gabriel z kolei przekazywał te informacje na bulwar Króla Saula, co tłumaczyło, dlaczego Szamron nie przynaglał go do opuszczenia Rzymu.

W ciągu czterdziestu ośmiu godzin od zamachu Włochom udało się ustalić tożsamość wszystkich sprawców. Uderzenie rakietowe zostało wykonane przez czteroosobowy zespół. Kierowca ciężarówki miał tunezyjskie korzenie. Jego trzech towarzysze, którzy odpalili RPG-7, przyjechali z Jordanii i byli weteranami powstania w Iraku.

Cała czwórka zginęła od serii z pistoletów karabinierów kilka sekund po wystrzeleniu pocisków. Co do tria rzekomych niemieckich duchownych, tylko jeden z jego członków był naprawdę Niemcem: młody student wydziału inżynieryjnego z Hamburga nazwiskiem Manfred Zeigler. Drugi był Holendrem z Rotterdamu, a trzeci flamandzkim Belgiem z Antwerpii. Wszyscy trzech byli muzułmańskimi konwertytami i wszyscy trzech w przeszłości brali udział w antyamerykańskich i antyizraelskich demonstracjach. Gabriel podejrzewał, choć nie miał na to żadnego dowodu, że zostali zwerbowani przez profesora Alego Massudiego.

Dzięki kamerom telewizji przemysłowej i zeznaniom naocznych świadków władz watykańskim i włoskim udało się prześledzić ostatnie chwile życia zamachowców. Po wpuszczeniu do Watykanu przez adetto z biura przepustek cała trójka udała się do kancelarii Ibrahima el-Banny w pobliżu Piazza Santa Marta. Opuszczając ją, każdy z nich niósł w dłoni dużą aktówkę. Tak jak podejrzewał Angelli, wślizgnęli się bocznym wejściem do bazyliki. Na plac Świętego Piotra weszli, nader stosownie, przez Bramę Śmierci. Owe drzwi, podobnie jak cztery pozostałe prowadzące z bazyliki na plac, winny być zamknięte. Do końca pierwszego tygodnia śledztwa watykańska policja ciągle jeszcze nie ustaliła, dlaczego nie były.

Zwłoki Ibrahima el-Banny zidentyfikowano trzy dni później, kiedy wyciągnięto je z gruzowiska w kamienicy na Trastevere.

Przez jakiś czas jego powiązania z zamachem pozostawały kwestią spekulacji. Czym było Braterstwo Allaha? Odgałęzieniem al Kaidy czy przybraną nazwą jej samej? I kto zaplanował oraz sfinansował tak dużą operację? Jedno stało się oczywiste natychmiast. Atak na siedzibę chrześcijaństwa na nowo rozpałił żar światowego ruchu dżihadystycznego. Na ulicach Teheranu, Kairu, Bejrutu i terytoriów palestyńskich świętowały dzikie tłumy, a analitycy służb specjalnych od Waszyngtonu przez Londyn po Tel Awiw natychmiast odnotowali gwałtowny wzrost terrorystycznej aktywności i werbunku.

Następnej środy, tydzień po zamachu, Szamron postanowił, że czas już, by Gabriel wrócił do domu. Kiedy konserwator pakował torbę w bezpiecznym mieszkaniu, rozjarzyło się czerwone światelko na telefonie, wskazując nadchodzące połączenie. Podniósł słuchawkę i usłyszał głos Donatiego.

- Ojciec Święty chciałby zamienić z tobą słówko na osobności.
- Kiedy?
- Dziś po południu, zanim udasz się na lotnisko.
- Słówko na jaki temat?
- Należysz do bardzo elitarnego klubu, Gabrielu Allonie.
- Co to za klub?
- Ludzi, którzy ośmieliliby się zadać takie pytanie.
- Gdzie i o której godzinie? - spytał konserwator pojednawczym tonem.

Donati udzielił mu informacji. Gabriel odwiesił słuchawkę i dokończył pakowanie.

Przeszedł przez kontrolę karabinierów na skraju kolumnady i w świetle zapadającego zmierzchu ruszył przez plac Świętego Piotra, który nadal pozostawał zamknięty dla turystów. Zespoły medyków sądowych zakończyły już swoją makabryczną pracę, ale nie usunięto jeszcze zabudowanych barier, zabezpieczających trzy miejsca wybuchów. Z fasady bazyliki zwieszała się ogromna brezentowa plandeka, skrywająca zniszczenia poczynione poniżej Loggia delie Benedizioni. Widniał na niej wizerunek gołąbka i tylko jedno słowo: POKÓJ.

Gabriel przeszedł pod Łukiem Dzwonów i ruszył dalej wzdłuż lewej ściany bazyliki. Boczne wejścia były zamknięte i zabarykadowane, a funkcjonariusze Vigilanzы stali na straży przy każdym z nich. W Ogrodach Watykańskich można było nawet odnieść wrażenie, że nie wydarzył się żaden zamach - można było, pomyślał Gabriel, dopóki się nie spojrzano na zniszczoną kopułę, teraz oświetloną przez zachód słońca w kolorze popielatej sjeny. Papież czekał w pobliżu domu ogrodnika. Ciepło przywitał się z Gabrielem i razem ruszyli w stronę odległego zakątka Watykanu. Tuzin gwardzistów po cywilnemu szedł po ich bokach wśród pinii rzucających na murawę długie cienie.

- Luigi i ja apelowaliśmy do Gwardii Szwajcarskiej, żeby zmniejszyła liczebność swoich oddziałów - powiedział papież.

- Ale teraz nie wchodzi to w grę. Zrobili się trochę nerwowi - ze zrozumiących powodów.

Ostatni raz dowódca Gwardii Szwajcarskiej zginął, broniąc Watykanu przez nieprzyjacielskim atakiem, za czasów najazdu Wizygotów.

Przez jakiś czas szli w milczeniu.

- Więc tak ma już wyglądać moje życie, Gabrieliu? Już zawsze będę otoczony przez ludzi z nadajnikami i pistoletami? Jak mam się porozumiewać ze swoją trzodą? Jak mam nieść pocieszenie chorym i zgnębionym, jeśli zasłaniać mnie będzie falanga ochroniarzy?

Gabrielowi nie przychodziła do głowy żadna dobra odpowiedź.

- Nic już nie będzie takie samo jak kiedyś, prawda, Gabrieliu?

- Nie, Wasza Świątobliwość. Obawiam się, że nie.

- Czy oni naprawdę chcieli mnie zabić?

- Bez wątplenia.

- Spróbują ponownie?

- Kiedy już raz obiorą sobie jakiś cel, zazwyczaj nie ustają w wysiłkach, dopóki im się nie powiedzie. Ale w tym przypadku udało im się zabić siedmiuset pielgrzymów, kilku kardynałów i biskupów, nie wspominając o dowódcy Gwardii Szwajcarskiej. Poważnie uszkodzili także samą bazylikę. Moim zdaniem uznają, że historyczne porachunki zostały wyrównane.

- Nie zdołali mnie zabić, ale za to zrobili ze mnie więźnia Watykanu. - Papież przystanął i popatrzył na zrujnowaną kopułę. - Moja klatka nie jest już taka złota jak kiedyś. Jej zbudowanie trwało całe stulecie, zniszczenie zajęło tylko kilka sekund.

- Nie jest zniszczona, Wasza Świątobliwość. Kopułę można odbudować.

- To się jeszcze okaże - powiedział papież z nietypową dla siebie posępnością. -

Inżynierowie i architekci nie są tacy pewni, że da się to zrobić. Niewykluczone, że będzie musiała zostać zburzona i wzniesiona całkiem od nowa. A haldacchino został mocno uszkodzony spadającymi gruzami. To nie jest coś, co można ot tak wymienić. Ale ty akurat wiesz to najlepiej.

Gabriel zerknął ukradkiem na zegarek. Jeśli wkrótce nie pojedzie na lotnisko, ucieknie mu samolot. Zastanawiał się, dlaczego został tu zaproszony. Z pewnością nie po to, by omawiać sprawę odbudowy bazyliki. Papież odwrócił się i podjął spacer. Kierowali się w stronę wieży Świętego Jana, w południowo-zachodnim krańcu Watykanu.

- Jest tylko jedna przyczyna, dla której jeszcze żyję. I to ty nią jesteś, Gabrieliu. Przez rozpacz i zamieszanie tego strasznego tygodnia nie miałem jeszcze okazji właściwie ci podziękować. Czynię to teraz. Żałuję tylko, że nie mogę tego zrobić publicznie.

Udział Gabriela w całej sprawie był starannie ukrywany przed mediami. Jak dotąd, wbrew przeciwnościom, pozostał sekretem.

- A ja żałuję, że nie udało mi się zdemaskować Ibrahima el-Banny wcześniej - powiedział Gabriel. - Siedmiuset ludzi nadal by żyło.

- Zrobiłeś wszystko, co było w ludzkiej mocy.

- Być może, Wasza Świątobliwość, ale jednak za mało.

Dotarli do murów Watykanu. Papież zaczął wspinać się po kamiennych schodach. Gabriel szedł cicho za nim. Przystanęli na szczycie i spojrzeli na panoramę Rzymu. W całym mieście powoli zapalały się światła. Konserwator obejrzał się przez ramię i zobaczył gwardzistów nerwowo krążących poniżej. Wykonał w ich kierunku uspokajający ruch dłonią i zerknął na Ojca Świętego, który obserwował samochody pędzące po Viale Vaticano.

- Luigi mówi mi, że w Tel Awiwie czeka na ciebie awans.

- Musiał podnieść głos, żeby przebić się ponad zgiełkiem ulicznego ruchu. - Czy to jest promocja, której sam pragnąłeś, czy też robota Szamrona?

- Niektórych ludzi wielkość sama dopada, Wasza Świątobliwość.

Twarz papieża rozjaśnił uśmiech, pierwszy, jaki Gabriel widział od czasu swojego

przybycia do Rzymu.

- Mogę dać ci małą radę?

Gabriel skinął głową.

- Mądrze wykorzystuj powierzoną ci władzę. Choć znajdziesz się w pozycji dającej ci możliwość ukarania waszych wrogów, używaj jej, by szukać pokoju. Szukaj sprawiedliwości, nie zemsty.

Gabriela kusilo, by przypomnieć papieżowi, że on był tylko tajnym sługą państwa, że sprawy wojny i pokoju leżały w rękach ludzi daleko bardziej wpływowych od niego. Zamiast tego zapewnił jednak Ojca Świętego, że weźmie sobie jego radę do serca.

- Będziesz próbował odnaleźć sprawców tego zamachu?

- To nie jest nasza bitwa - przynajmniej na razie.

- Coś mi mówi, że niedługo to się zmieni.

Papież z dziecięcą fascynacją obserwował ruch uliczny poniżej.

- To był mój pomysł, żeby umieścić gołąbka pokoju na płachcie przykrywającej fasadę bazyliki. Jestem pewien, że uważasz ten sentymentalizm za beznadziejnie naiwny. Mnie także prawdopodobnie uważasz za beznadziejnie naiwnego.

- Nie chciałbym żyć na świecie pozbawionym ludzi takich jak Wasza Świątobliwość.

Gabriel nie usiłował ukryć następnego spojrzenia na zegarek.

- Samolot na ciebie czeka? - spytał papież.

- Tak, Wasza Świątobliwość.

- Chodź - powiedział. - Odprowadzę cię.

Gabriel ruszył w kierunku schodów, ale Ojciec Święty nie poszedł za nim.

- Dzwonił do mnie dziś rano z Wenecji Francesco Tiepolo. Przesyła ci pozdrowienia. -

Odwrocił się i spojrzał na Gabriela. - Chiara tak samo.

Gabriel milczał.

- Mówi, że chce się z tobą zobaczyć, zanim wrócisz do Izraela. Zastanawiała się, czy nie mógłbyś w drodze powrotnej zatrzymać się w Wenecji. - Papież chwycił Gabriela pod łokieć i uśmiechając się, poprowadził go w dół po schodach. - Zdaję sobie sprawę, że mam bardzo niewielkie doświadczenie, jeśli idzie o sprawy serca, ale czy pozwolisz, że stary człowiek da ci jeszcze jedną radę?

8

Wenecja

Nieduży kościółek w kolorze terakoty zbudowano dla biednej parafii w sestiere Cannaregio. Placyk był zbyt mały na urządzenie normalnego kościelnego dziedzińca, tak więc główne wejście wychodziło bezpośrednio na ruchliwą Salizzada San Giovanni Cristosomo. Swego czasu klucz do tego wejścia pałętał się Gabrielowi po kieszeni. Teraz konserwator wszedł przez nie jak zwykły turysta i przystanął na moment w przedsionku, czekając, aż oczy nawykną do mroku, podczas gdy powiew zimnego powietrza, zmieszany z wonią kadzideł i wosku, owionął mu twarz.

Myślał o swojej ostatniej bytności w tym miejscu. To była ta noc, kiedy Szamron przyjechał do Wenecji, żeby powiedzieć Gabrielowi, iż jego wrogowie go odnaleźli i że pora zatem wracać do domu. „Nie zostanie tu po tobie żaden ślad - powiedział wtedy Stary. - Będzie

tak, jakbyś nigdy nie istniał”.

Przeszedł przez kameralną nawę główną do kaplicy Świętego Jeremiasza, w prawej części kościoła. Ołtarz tonął w mroku. Gabriel wsunął monetę do światłometru i lampy rozjarzyły się, oświetlając ostatnie wielkie dzieło Giovanniego Belliniego. Gabriel stał przez chwilę z prawą dłonią przyciśniętą do podbródka i głową przechyloną nieznacznie na bok, przyglądając się malowidłu pod światło. Francesco Tiepolo odwalił kawał dobrej roboty, kończąc obraz za Gabriela. Prawdę rzekłszy, Gabriel sam nie umiałby ocenić, gdzie kończy się jego podmalówka, a zaczyna Tiepoła.

I nic dziwnego, pomyślał. Obaj pobierali nauki u genialnego weneckiego konserwatora, Umberta Contiego.

Wykupiony okres pracy światłometru dobiegł końca i lampy wyłączyły się automatycznie, ponownie pogrążając malowidło w ciemnościach. Gabriel wyszedł na ulicę i ruszył na zachód przez Cannaregio, aż dotarł do żelaznego mostu, jedyne takiego w całej Wenecji. W średniowieczu na jego środku znajdowała się brama, przy której nocą pełniła straż katolicka wedeta, tak by uwięzieni po drugiej stronie nie mogli uciec. Konserwator przeszedł przez most i zniknął w ciemnym sottoportego, którego koniec wychodził na szeroki plac: Campo del Getto Nuovo, centrum dawnego weneckiego getta. Kiedyś żyło tu ponad pięć tysięcy Żydów. Teraz był to dom dla dwudziestu spośród czterystu żydowskich mieszkańców miasta, z których większość stanowili ludzie w wieku podeszłym, zamieszkujący Casa di Riposo Israelica.

Przeszedł przez campo i zatrzymał się przy numerze 2899. Mała mosiężna plakietka głosiła: COMUNITA EBRAICA DI VENEZIA - Wenecka Gmina Żydowska. Przycisnął dzwonek i szybko odwrócił się plecami do kamery bezpieczeństwa nad drzwiami. Po długiej chwili milczenia rozległ się w domofonie kobiecy, dobrze mu znany głos:

- Odwróć się - powiedziała. - Chcę zobaczyć twoją twarz.

Czekał, gdzie mu kazała, na drewnianej ławce w oświetlonym słońcem rogu campo, nieopodal pomnika ku pamięci weneckich Żydów, którzy padli ofiarą łapanek w grudniu 1943 i zostali wysłani na śmierć do obozu w Auschwitz. Minęło dziesięć minut, potem kolejnych dziesięć. Wreszcie wynurzyła się z biura, niespiesznie przeszła przez plac, po czym zatrzymała się kilka metrów od niego, jak gdyby bała się podejść bliżej. Gabriel, ciągle siedząc, odsunął okulary na czoło i przyglądał się jej w oślepiającym blasku jesiennego słońca. Miała na sobie sprane niebieskie dżinsy, opinające jej smukłe uda i rozszerzające się u dołu, zamszowe botki na wysokim obcasie oraz białą bluzkę, której krój nie pozostawiał żadnych wątpliwości co do szczodrze obdarzonej przez naturę figury pod spodem. Jej niepokorne kasztanowate włosy poskramiała czekoladowa wstążka z satyny, szyję spowijał jedwabny szal. Oliwkowa skóra była bardzo ciemna. Gabriel podejrzewał, że niedawno się opalała. Oczy, szerokie i orientalne, barwy nakrapianego złotem karmelu, miały zwyczaj zmieniać kolor w zależności od nastroju ich właścicielki. Kiedy ostatni raz Gabriel widział Chiarę, były prawie czarne ze złości, a tusz na rzęsach rozmazał się jej od łez. Teraz założyła w obronnym geście ręce na piersiach i zapytała, co robi w Wenecji.

- Witaj, Chiaro. Wyglądasz prześlicznie.

Wietrzyk porwał jej włosy i rzucił na twarz kilka kosmyków.

Odgarnęła je lewą ręką. Nie było na niej pierścionka zaręczynowego z diamentem, który swojego czasu dostała od Gabriela. Na palcach miała teraz inne pierścienie; nowy złoty zegarek zdobił jej nadgarstek. Gabriel zastanawiał się, czy były to prezenty od innego mężczyzny.

- Od mojego wyjazdu z Jerozolimy nie odezwałeś się ani słowem. - Chiara mówiła rozmyślnie spokojnym, beznamiętnym tonem, który przybierała zawsze, kiedy starała się utrzymać emocje na wodzy. - Minęły miesiące. Teraz nagle pojawiaasz się tu bez ostrzeżenia i

oczekujesz, że powitam cię z otwartymi ramionami i uśmiechem na twarzy?

- Bez ostrzeżenia? Przyszedłem, ponieważ o to prosiłaś.

- Ja? O czym ty, na Boga, mówisz?

Gabriel badawczo spojrzął jej w oczy. Widział, że nie udaje.

- Wybacz - powiedział. - Jak się zdaje, zostałem tu sprowadzony podstępem.

Bawiła się końcami szala, najwyraźniej czerpiąc satysfakcję z jego skrępowania.

- Sprowadzony przez kogo?

Donatiego i Tiepola, osądził Gabriel. Może nawet Jego Świątobliwość we własnej osobie.

Podniósł się gwałtownie.

- Nieważne - rzucił. - Przepraszam, Chiara. Miło cię było znowu zobaczyć.

Odwrócił się, żeby odejść, ale chwyciła go za ramię.

- Poczekaj - poprosiła. - Zostań chwilę.

- A będziesz bardziej uprzejma?

- Uprzejmość jest dobra dla rozwiedzionych par z dziećmi.

Gabriel usiadł ponownie, ale Chiara nadal stała. Jakiś mężczyzna w ciemnych okularach i brązowej marynarce wyłonił się z sottoportego. Spojrzął z zachwytem na Chiare, potem przeszedł przez campo i zniknął na moście, który prowadził do dwóch sefardyjskich synagog stojących w południowym krańcu getta. Chiara patrzyła w ślad za nieznajomym, potem przechyliła głowę i przyjrzała się Gabrielowi.

- Czy ktoś ci kiedyś już mówił, że bardziej niż mgliście przypominasz człowieka, który uratował papieża?

- On jest Włochem - sprostował Gabriel. - Nie czytałaś w gazetach?

Puściła to mimo uszu.

- Kiedy zobaczyłam relację w telewizji, myślałam, że mam halucynacje. Wiedziałam, że to ty. Tamtej nocy, gdy trochę się uspokoiło, zameldowałam się w Rzymie. Szymon powiedział mi, że byłeś w Watykanie.

Nagle poruszenie na campo sprawiło, że odwróciła głowę. Patrzyła, jak jakiś mężczyzna w fedorze, z brodą w kolorze soli z pieprzem spieszy w stronę wejścia do siedziby gminy. To był jej ojciec, naczelnny rabin Wenecji. Uniosła do góry czubek prawego botka i kiwała się na obcasie. Gabriel doskonale znał ten gest.

Oznaczał, że nadchodzi atak.

- Dlaczego tu jesteś, Gabrielu Allonie?

- Powiedziano mi, że chcesz się ze mną zobaczyć.

- Więc się zjawiłeś. Ot tak, po prostu.

- Ot tak, po prostu.

Kąciki jej ust uniosły się w uśmiechu.

- Co w tym takiego śmiesznego? - spytał.

- Biedny Gabriel. Nadal mnie kochasz, prawda?

- Zawsze kochałem.

- Ale nie wystarczająco mocno, żeby się ze mną ożenić?

- Nie możemy pogadać o tym na osobności?

- Nie w tej chwili. Muszę mieć oko na biuro. Moja druga praca - powiedziała tonem udawanej konspiracji.

- Przekaż ode mnie ukłony rabbiemu Zoili.

- Nie jestem pewna, czy to dobry pomysł. Rabbi Zoili ciągle jeszcze jest na ciebie wściekły.

Wyciągnęła z kieszeni klucz i rzuciła go Gabrielowi. Przyglądał mu się długą chwilę.

Nawet po miesiącach rozstania trudno mu było wyobrazić sobie Chiare prowadzącą własne życie.

- Na wypadek gdybyś był ciekawy, mieszkam tam sama. To więcej niż masz prawo wiedzieć, ale to prawda. Rozgość się. Odpocznij. Wyglądasz koszmarnie.

- Cały stek komplementów. - Wsunął klucz do kieszeni. - Jaki adres?

- Wiesz, jak na szpiega, jesteś fatalnym kłamcą.

- Co masz na myśli?

- Doskonale znasz mój adres. Dostałeś go z operacji, z tego samego miejsca, skąd masz mój numer telefonu.

Nachyliła się i pocałowała go w policzek. Kiedy włosami dotknęła jego twarzy, przymknęła oczy i wdychała zapach wanilii.

Kamienica znajdowała się po drugiej stronie Canal Grande w Santa Croce, na niewielkim, zamkniętym corle z tylko jedną drogą wejścia i wyjścia. Kiedy wślizgnął się do mieszkania, miał uczucie, jakby wkraczał do własnej przeszłości. Bawialnia wyglądała jak przygotowana do sesji fotograficznej. Nawet stare magazyny i gazety sprawiały wrażenie poukładanych przez jakiegoś maniaka wizualnej perfekcji. Podszedł do stoliczka i przyjrzał się oprawionym w ramki fotografiom: Chiara z rodzicami, Chiara ze starszym bratem, który mieszkał w Padwie, Chiara z przyjaciółką na brzegu Jeziora Tyberiadzkiego. To podczas tej wycieczki, kiedy miała zaledwie dwadzieścia pięć lat, wpadła w oko łowcy głów z Biura. Sześć miesięcy później, po dokładnym prześwietleniu i wszechstronnym przeszkoleniu, została wysłana do Europy jako bat leveyha: agentka eskortująca. Nie było żadnych zdjęć Chiary z Gabrielem, bo takich zdjęć nigdy nie zrobiono.

Podszedł do okna i wyjrzał. Dziesięć metrów niżej płynęły leniwie oleiste, zielone wody Rio del Megio. Do budynku naprzeciwko biegł sznurek do suszenia ubrań. Koszulka i spodnie kołysały się na nim jak pijane w promieniach słońca, a na jego drugim końcu jakaś stara kobieta siedziała w otwartym oknie z pulchnym ramieniem rozwalonym na parapecie. Zdawała się zaskoczona widokiem Gabriela. Podniósł do góry klucz i powiedział, że jest przyjacielem Chiary z Mediolanu.

Opuścił żaluzje i poszedł do kuchni. W zlewie stała na wpół opróżniona filiżanka kawy z mlekiem i kawałek tosta z masłem.

Chiara, pedantyczna we wszystkim innym, zawsze zostawiała aż do wieczora nieumyte naczynia po śniadaniu. Gabriel, w akcie domowej małostkowości, zostawił je tak, jak stały, i poszedł do sypialni.

Rzucił torbę na niezasłane łóżko i opierając się pokusie przeszukania jej szafy i komody, ruszył do łazienki i włączył prysznic.

Otworzył apteczkę, szukając maszynki, wody kolońskiej lub jakiegokolwiek innego śladu bytności mężczyzny. Znalazł dwie rzeczy, których nigdy wcześniej nie widział: buteleczkę proszków nasennych i opakowanie leków antydepresyjnych. Odłożył je dokładnie na to samo miejsce, z którego wziął. Chiara, podobnie jak Gabriel, została nauczona zauważać nawet najdrobniejsze zmiany w otoczeniu.

Ściągnął ubranie i wyrzucił je na korytarz, po czym długo stał pod prysznicem. Wyszedł, owinał się w pasie ręcznikiem i podreptał na bosaka do sypialni. Kołdra pachniała ciałem Chiary.

Gdy złożył głowę na poduszce, dzwony Santa Croce obwieszczały południe. Zamknął oczy i zapadł w pozbawiony marzeń sen.

Obudził się późnym popołudniem na dźwięk klucza wkładanego do zamka. W korytarzu zastukotały obcasy Chiary. Nie zwracała sobie głowy oznajmianiem, że wróciła. Gabriel zawsze budził się na najłżejszy dźwięk lub ruch. Weszła do sypialni, nucąc coś pod nosem: głupią włoską piosenkę, której on, jak wiedziała, nie znosił.

Usiadła na skraju łóżka, na tyle głęboko, że jej biodro dotykało jego uda. Otworzył oczy i patrzył, jak ściąga botki i dżinsy. Oparła się dłonią o jego pierś. Kiedy zsunął wstążkę z jej włosów, kasztanowe pukle opadły kaskadą na jej twarz i ramiona. Powtórzyła pytanie, które zadała mu tego ranka w getcie:

- Po co przyjechałeś, Gabrielu Allonie?

- Zastanawiałem się, czy moglibyśmy jeszcze raz spróbować - powiedział Gabriel.

- Ja nie muszę próbować. Spróbowałam raz i bardzo mi się spodobało.

Odwinął jedwabny szal z jej szyi i powoli rozpiął guziki bluzki.

Chiara pochyliła się i przycisnęła wargi do jego ust. To było tak, jakby całowała go Alba Madonna Rafaela.

- Jeśli znowu mnie skrzywdzisz, znienawidzę cię już na zawsze.

- Nie skrzywdzę cię.

- Nigdy nie przestałeś mi się śnić.

- To były dobre sny?

- Nie - powiedziała. - Śniła mi się wyłącznie twoja śmierć.

Jedynym śladem obecności Gabriela w mieszkaniu był stary szkicownik. Otworzył go na nowej stronie i zlustrował Chiarę beznamiętnym spojrzeniem zawodowca. Siedziała na końcu sofy z długimi nogami podwiniętymi pod siebie, otulona w jedwabne prześcieradło. Twarz miała zwróconą w stronę okna i oświetloną przez zachodzące słońce. Gabriel z ulgą dostrzegł pierwsze zmarszczki dokoła jej oczu. Zawsze bał się, że jest dla niego o wiele za młoda i że pewnego dnia, kiedy on się zestarzeje, opuści go dla innego mężczyzny. Pociągnął za prześcieradło, obnażając jej piersi. Patrzyła na niego przez chwilę, potem zamknęła oczy.

- Miałeś szczęście, że ci się udało mnie tu złapać. Mogłam wyjechać na jakieś zlecenie.

Była gadułą. Gabriel już dawno nauczył się, że prośby, by powstrzymała się od mówienia podczas pozowania, są bezcelowe.

- Nie miałaś żadnego zlecenia od tej operacji w Szwajcarii.

- Skąd wiesz o Szwajcarii?

Gabriel rzucił jej zza szkicownika nieprzeniknione spojrzenie i upomniał, by się nie ruszała.

- To tyle, jeśli idzie o potrzebę wiedzy. Jak się zdaje, możesz zwrócić się do operacji za każdym razem, ilekroć tylko najdzie cię chęć ustalenia, co robię. - Zaczęła odwracać głowę, ale Gabriel unieruchomił ją na powrót ostrym syknięciem. - Ale nie powinno mnie to dziwić.

Powierzili ci już szefostwo?

- Szefostwo czego? - udawał głupiego.

- Sekcji Operacji Specjalnych.

Przyznał się, że złożono mu propozycję i że ją przyjął.

- Więc jesteś teraz moim zwierzchnikiem - zauważyła. - Jak sądzę, właśnie pogwałciliśmy co najmniej z pół tuzina różnych zarządzeń i dekretów Biura dotyczących spoufalania się kierownictwa z personelem.

- Co najmniej - zgodził się Gabriel. - Ale mój awans jest jeszcze nieoficjalny.

- O, dzięki ci, Panie. Nigdy bym sobie nie wybaczyła, gdyby wielki Gabriel Allon miał jakieś kłopoty z powodu swojego życia seksualnego. Jak długo jeszcze możemy korzystać ze swoich ciał, zanim narobimy sobie kłopotów w personalnym?

- Jak długo chcemy. Będziemy musieli tylko w którymś momencie publicznie, oficjalnie ich o tym zawiadomić.

- A co z Bogiem, Gabrielu? Czy jego też tym razem zawiadomisz oficjalnie? - Zapadła cisza, którą zakłócał jedynie odgłos węgla sunącego po papierze. Zmieniła temat. - Jak wiele

wiesz o tym, co robiłam w Szwajcarii?

- Wiem, że pojechałaś do Zermatt uwieść szwajcarskiego handlarza bronią, któremu nasz interes nie leżał specjalnie na sercu. Bulwar Króla Saula chciał wiedzieć, kiedy odplywa ładunek i dokąd jest kierowany.

Po długiej chwili milczenia zapytał ją, czy spała z tym Szwajcarem.

- To nie był ten rodzaj operacji. Pracowałam z jeszcze jednym agentem. Ja tylko zabawiałam handlarza przy barze, podczas gdy on włamał się do jego pokoju i skradł zawartość komputera. Poza tym doskonale wiesz, że bat leveyha nie wolno wykorzystywać w charakterze obiektu seksualnego. Do tych celów wynajmujemy profesjonalistki.

- Nie zawsze.

- Nigdy nie mogłabym w ten sposób kupczyć swoim ciałem. Jestem religijną dziewczyną. - Uśmiechnęła się do niego łobuzersko. - Notabene operacja świetnie się powiodła. Łódź miała tajemniczy wypadek w pobliżu wybrzeża Krety. Broń leży teraz na dnie morza.

- Wiem - stwierdził Gabriel. - Zamknij oczy raz jeszcze.

- Spraw, bym zamknęła - powiedziała, potem uśmiechnęła się i zrobiła, o co prosił. - Nie zapytasz, czy spotykałam się z kimś po naszym rozstaniu?

- To nie moja sprawa.

- Ale musi cię zżerać ciekawość. Już sobie wyobrażam, co zrobiłeś z moim mieszkaniem, kiedy tylko przeszedłeś przez próg.

- Jeśli sugerujesz, że przeszukałem twoje rzeczy, jesteś w błędzie. Nie przeszukałem.

- Och, proszę.

- Dlaczego nie możesz spać?

- Naprawdę chcesz znać odpowiedź?

Milczał.

- Nie było nikogo innego, Gabrielu, ale z góry to przecież wiedziałeś, prawda? Jak mogło być inaczej? - Rzuciła mu słodko-gorzki uśmiech. - Nie mówią tego, kiedy proszą, żeby dołączyć do ich ekskluzywnego klubu. Nie ostrzegają, że kłamstwa zaczynają się piętrzyć jedno na drugim ani że nigdy już nie można poczuć się w pełni swobodnie wśród ludzi, którzy nie są członkami. Czy to jest jedyny powód, dla którego się we mnie zakochałeś, Gabrielu? Bo pracuję dla Biura?

- Smakowało mi twoje fettuccini i grzyby. Robisz najlepsze fettuccini i grzyby w całej Wenecji.

- A co z tobą? Byłeś z jakąś kobietą od czasu naszego rozstania?

- Cały czas dzieliłem tylko z pewnym niebagatelnych rozmiarów płótnem.

- A, tak. Zapomniałam o tym twoim schorzeniu. Nie możesz kochać się z kobietą, jeśli ta nie wie, że zabijasz z rozkazu swojego kraju. Jestem pewna, że udałoby ci się znaleźć kogoś odpowiedniego na bulwarze Króla Saula, jeśli byś naprawdę się uparł. Wszystkie kobiety tam za tobą szaleją.

- Za dużo gadasz. Nigdy tego nie skończę, jeśli będziemy rozmawiać.

- Jestem głodna. Nie powinieneś był wspominać o jedzeniu. Jak się ma Leah, tak a propos?

Gabriel przestał szkicować i zmierzył Chiara gniewnym spojrzeniem znad szkicownika, jakby chciał powiedzieć, że nie podoba mu się to cokolwiek nonszalanckie zestawianie jego żony i jedzenia.

- Przepraszam - powiedział Chiara. - Jak ona się ma?

Gabriel słyszał swój głos mówiący, że Leah ma się świetnie, że dwa lub trzy razy w tygodniu sam jeździ do szpitala psychiatrycznego na Górze Herzla spędzić z nią kilka minut. Ale gdy mówił to wszystko, myślami był gdzie indziej: na malutkiej uliczce w Wiedniu, nieopodal

Judenplatz, przy samochodzie z podłożoną bombą, która zabiła mu syna, zniszczyła ciało Leah i ograbiła ją z pamięci.

Przez trzynaście lat jego żona nie wypowiedziała ani jednego słowa. Teraz czasami udawało się z nią porozmawiać. Ostatnio, w szpitalnym ogrodzie, zadała mu to samo pytanie, jakie Chiara chwilę wcześniej: „Czy były jakieś inne kobiety podczas mojej nieobecności?”. Powiedział jej prawdę.

- „Kochałeś tę kobietę, Gabrielu?”

- Kochałem, ale rozstaliśmy się z twojego powodu.

- Dlaczego, na Boga, dopuściłeś do tego, kochanie? Spójrz na mnie. Nic ze mnie nie zostało. Nic oprócz wspomnienia”.

Chiara milczała. Słońce na jej twarzy powoli zmieniało barwę z koralowej czerwieni na szarość. W oknie naprzeciwko pojawiła się pulchna kobieta i zaczęła zdejmować suszące się pranie. Chiara podciągnęła prześcieradło pod brodę.

- Co robisz?

- Nie chcę, żeby signora Lorenzetto widziała mnie nagą.

Obciągając prześcieradło do poprzedniej pozycji, Gabriel zostawił maźnięcie węgla na jej piersi.

- Sądzę, że będę musiała przeprowadzić się z powrotem do Jerozolimy - powiedziała. - Chyba że chciałbyś poinformować Szamrona, że nie możesz przejąć specoperacji, ponieważ wracasz do Wenecji.

- Brzmi kusząco - rzekł Gabriel.

- Kusząco, ale nieprawdopodobnie. Jesteś lojalnym żołnierzem, Gabrielu. Zawsze robisz, co ci każą. Zawsze robiłeś. - Starła węgiel z piersi. - Przynajmniej nie będę musiała urządzać na nowo mieszkania.

Oczy Gabriela pozostały wbite w szkicownik. Chiara przyglądała się przez chwilę jego minie, po czym spytała:

- Co zrobiłeś z mieszkaniem, Gabrielu?

- Musiałem zorganizować sobie miejsce do pracy.

- Więc po prostu poprzestawiałeś kilka rzeczy, tak?

- Wiesz, też zaczynam być głodny.

- Gabrielu Mionie, czy coś tam w ogóle zostało?

- Znosi się na ciepły wieczór - powiedział. - Popłynęmy łódką do Murano na ryby.

9

Jerozolima

Była ósma wieczorem następnego dnia, kiedy Gabriel wrócił na ulicę Narkissa. Przy krawężniku stał zaparkowany samochód Szamrona, a Rami, jego ochroniarz, pełnił straż na zewnątrz przed numerem 16. Na górze Gabriel zastał wszystkie światła w mieszkaniu włączone i Szamrona raczącego się kawą przy kuchennym stole.

- Jak wszedłeś do środka?

- Na wypadek gdybyś zapomniał, to mieszkanie należało kiedyś do Biura. Kwaterunek ciągle ma klucz.

- Ale ja latem zmieniłem zamki.

- Naprawdę?
- Zdaje się, że powinienem zmienić raz jeszcze.
- Nie kłopotz się.

Gabriel otworzył okno, żeby wygonić z pokoju papierosowy dym. Na jednym ze spodków leżało sześć niedopałków zduszonych niczym łuski po kulach. Najwyraźniej Szamron spędził tu już nieco czasu.

- Jak Wenecja? - spytał Szamron.

- Wenecja prześliczna, ale następnym razem, kiedy włamiesz się do mojego mieszkania, proszę, bądź tak dobry i nie pal. - Gabriel uniósł spodek za krawędź i wysypał jego zawartość do kosza na śmieci. - Co jest na tyle pilne, że nie mogło poczekać do rana?

- Kolejny saudyjski trop w sprawie zamachu w Watykanie.

Gabriel spojrzął na Szamrona.

- Jaki trop?

- Ibrahim el-Banna.

- Ten egipski duchowny? Jakoś mnie to nie dziwi.

Gabriel usiadł przy stole.

- Dwie noce temu szef naszej komórki w Kairze odbył tajne spotkanie z jednym z naszych najcenniejszych źródeł w egipskich służbach specjalnych. Wszystko wskazuje na to, że profesor Ibrahim el-Banna miał silne powiązania z bojownikami, na długo zanim trafił do Watykanu. Jego starszy brat był członkiem Bractwa Muzułmańskiego i bliskim współpracownikiem Aymana al-Zawahiriego, człowieka numer dwa w al Kaidzie. Siostrzeniec walczył w Iraku z Amerykanami i zginął w trakcie oblężenia Al Falludży. A taśmy z kazaniem imama są najwyraźniej lekturą obowiązkową egipskich islamistów.

- Szkoda, że nasz przyjaciel ze służb specjalnych nie powiedział Watykanowi prawdy o el-Bannie. Siedmiuset ludzi żyłoby jeszcze, a w kopule bazyliki nie ziałyby dziura.

- Egipcjanie wiedzieli o profesorze coś jeszcze - ciągnął Szamron. - Przez całe lata osiemdziesiąte i dziewięćdziesiąte, kiedy problem islamskiego fundamentalizmu przybierał w Egipcie na sile, profesor el-Banna otrzymywał regularne przelewy gotówkowe i instrukcje od pewnego Saudyjczyka, który oficjalnie podawał się za przedstawiciela Międzynarodowej Islamskiej Organizacji Humanitarnej, jednej z głównych saudyjskich instytucji charytatywnych. Facet przedstawiał się jako Khalil, ale egipski wywiad znał jego prawdziwe nazwisko: Ahmed ibn Shafik. A najbardziej interesująca w tym wszystkim jest ówczesna profesja ibn Shafika.

- Pracował w GID - domyślił się Gabriel.

- Właśnie.

- Co więcej o nim wiemy?

- Jeszcze cztery lata temu ibn Shafik dowodził tajną komórką GID o kryptonimie Grupa 205, której zadaniem było ustanowienie i podtrzymywanie kontaktów między Arabią Saudyjską a grupami islamskich bojowników na całym Bliskim Wschodzie. Egipt był jednym z ich najwyższych priorytetów, obok Afganistanu, rzecz jasna.

- Co oznaczała liczba w nazwie?

- To był numer wewnętrzny do biura ibn Shafika w siedzibie GID.

- Co się wydarzyło cztery lata temu?

- Ibn Shafik i jego agenci zaopatrywali w sprzęt, broń i kasę terrorystów z Hamasu i Islamskiego Dżihadu. Pewien palestyński informator przekazał nam wiadomości o tych operacjach, a my wtajemniczyliśmy Amerykanów. Amerykański prezydent pokazał nasze dowody królowi i wywarł na niego presję, żeby zlikwidował Grupę 205. To było sześć miesięcy po jedenastym wrześniu i król nie miał wyjścia, jak tylko zastosować się do żądań prezydenta, ku

zgrozie ibn Shafika i innych twardogłowych w królestwie. Grupa ta została rozwiązana, a ibn Shafik zwolniony z GID.

- Zmienił manieri?

- Pytasz, czy stał się terrorystą? Odpowiedź brzmi: nie wiemy.

Wiemy jednak, że ma takie skłonności we krwi. Jego dziad należał do dowództwa Ikhwanu, islamskiego ruchu powołanego do życia przez Ibn Sauda na początku dziewiętnastego wieku w Nadżd.

Gabriel dobrze znał Ikhwan. Pod wieloma względami stanowił on prototyp dzisiejszych islamskich grup bojowych, ich duchowy wzorzec.

- Gdzie jeszcze działał ibn Shafik, kiedy był szefem Grupy 205?

- W Afganistanie, Pakistanie, Jordanii, Libanie, Algierii. Podejrzewamy nawet, że jego wpływy sięgały Zachodniego Brzegu.

- Zatem nie jest wykluczone, że mamy do czynienia z kimś, kto ma kontakty terrorystyczne rozciągające się od al Kaidy przez Hamas po Muzułmańskie Bractwo Egiptu. Jeśli ibn Shafik naprawdę zmienił manieri, to jest to najbardziej koszmarny scenariusz z możliwych. Mają w jego osobie doskonały operacyjny mózg.

- Znaleźliśmy w naszych aktach jeszcze jeden interesujący szczegół - powiedział Szamron. - Jakies dwa lata temu docierały do nas sygnały, że pewien Saudyjczyk przeczesuje obozy w południowym Libanie, szukając doświadczonych żołnierzy. Według naszych informatorów ów Saudyjczyk przedstawiał się jako Khalil.

- To samo nazwisko, którego używał ibn Shafik w Kairze.

- Niestety, zlekceważyliśmy ów trop. Mówiąc szczerze, gdybyśmy mieli się uganiać za każdym dzianym Saudyjczykiem werbującym żołnierzy do świętej wojny, nie działałoby wiele więcej. Jak to mówią, mądry poniewczasie.

- Co jeszcze mamy na ibn Shafika?

- Tyle co kot napłakał, niestety.

- A zdjęcie?

Szamron pokręcił głową.

- Jak można się spodziewać, gość jakoś nie garnie się do obiektywów.

- Musimy odsłonić nieco rąbka. Włosi powinni wiedzieć, że w grę może wchodzić trop saudyjski. Amerykanie tak samo.

- Wiem. - Głos Szamrona brzmiał posępnie. Pomysł dzielenia się ciężko zdobytymi informacjami był w jego oczach herezją, zwłaszcza kiedy nic nie zyskiwało się w zamian. - Kiedyś liczyły się tylko błękit i biel - westchnął, odwołując się do narodowych barw Izraela. - To było nasze motto. Nasz system wartości. Działaliśmy samodzielnie. Nie prosiliśmy nikogo o pomoc i nie pomagaliśmy innym w wypijaniu piwa, którego sami sobie nawarzyli.

- Świat się zmienił, Ari.

- Może w takim razie ja nie nadaję się do tego świata. Kiedy walczyliśmy z OWP czy Czarnym Wrześniem, to była prosta newtonowska fizyka. Tam uderzyć, tu przycisnąć. Obserwować, podsłuchiwać, zidentyfikować członków, zlikwidować przywódców. Teraz walczymy z ruchem - z rakiem, który daje przerzuty do każdego żywotnego organu ciała. To tak jakby próbować złapać mgłę do szklanki. Stare sposoby już się nie sprawdzają, błękit i biel już nie wystarczą. Ale jedno ci mogę powiedzieć. Waszyngton się nie ucieszy i nie przełknie tego tak łatwo. Saudyjczycy mają tam wielu przyjaciół.

- A pieniądze mają siłę przekonywania - dorzucił Gabriel. - Ale Amerykanie powinni znać prawdę o swoim najlepszym przyjacielu w arabskim świecie.

- Znają prawdę. Tylko przyzymkają na nią oczy. Amerykanie wiedzą, że pod wieloma

względniamy to Saudyjczycy są źródłem islamskiego terroryzmu, że to oni zasiali ziarno. Podlewali je petrodolarami, nawozili propagandą i nienawiścią wahhabistów. Amerykanie zdają się to akceptować bez protestu, tak jakby saudyjskopochozny terroryzm był po prostu niewielką dopłatą do każdej cysterny benzyny. Nie rozumieją, że nigdy nie uda się go zwalczyć, dopóki nie uporamy się ze źródłem: Rijadem i al-Saudami.

- Kolejny powód, żeby podzielić się z nimi informacjami łączącymi GID i al-Saudów z atakiem na Watykan.

- Cieszę się, że tak uważasz, ponieważ tobie przypadło w udziale zadanie pojechania do Waszyngtonu i wprowadzenia ich w szczegóły.

- Kiedy wyjeżdżam?

- Jutro rano.

Szamron błędził nieobecny wzrokiem za oknem i po raz kolejny spytał Gabriela o jego pobyt w Wenecji.

- Zostałem tam zwabiony podstępem - oznajmił Gabriel. - Ale cieszę się, że pojechałem.

- Kto cię zwabił?

Gabriel opowiedział. Uśmiech, jaki pojawił się na twarzy Szamrona, sprawił, że Gabriel zaczął się zastanawiać, czy Stary także nie maczał w tym palców.

- Czy ona tu przyjeżdża?

- Spędziliśmy razem jeden dzień - przypomniał Gabriel. - Nie mieliśmy czasu robić planów.

- Nie jestem pewien, czy w to wierzę - powiedział Szamron z rezerwą. - Chyba nie myślisz o powrocie do Wenecji? Zapomniałeś, że podjąłeś się objąć specoperacje?

- Nie zapomniałem.

- A propos, zostaniesz oficjalnie nominowany po powrocie z Waszyngtonu.

- Już odliczam godziny.

Szamron rozejrzał się po mieszkaniu.

- Powiedziałeś Chiarze, że pozbyłeś się wszystkich jej mebli?

- Wie, że musiałem dokonać pewnych zmian, żeby urządzić sobie pracownię.

- Nie ucieszy się - wyraził przypuszczenie Szamron. - Wszystko bym dał, żeby zobaczyć wyraz jej twarzy, kiedy tutaj wejdzie.

Szamron został jeszcze przez następną godzinę i wysłuchał sprawozdania Gabriela z zamachu w Watykanie. Kwadrans po dziewiątej Gabriel odprowadził go do samochodu i stał jeszcze chwilę na ulicy, patrząc, jak tylne światła limuzyny znikają za rogiem. Wrócił na górę, doprowadził do porządku kuchnię, pogasił światła i poszedł do sypialni. I właśnie wtedy blokiem wstrząsnął huk ogłuszającej eksplozji. Jak wszyscy Izraelczycy, Gabriel nabrał biegłości w szacowaniu liczby ofiar zamachowców-samobójców po odgłosach syren nadjeżdżających karettek.

Im więcej syren, tym więcej karettek. Im więcej karettek, tym więcej zabitych i rannych. Teraz usłyszał jedną, potem kolejną i jeszcze trzecią. Niezbyt wiele, pomyślał. Włączył telewizor i czekał na pierwsze doniesienia, ale piętnaście minut po wybuchu nie pojawiła się żadna wzmianka. Sfrustrowany podniósł słuchawkę telefonu i wykręcił numer samochodu Szamrona. Nie odpowiadał.

Część druga

Córka doktora Gacheta

Ein Kerem, Jerozolima

Życie Gilah Szamron było ciągiem okresów napiętego czuwania. Znosiła tajne misje do niebezpiecznych ziem, wojny i terror, kryzysy i zebrania Gabinetu Bezpieczeństwa, które zdawały się nigdy nie kończyć przed północą. Zawsze bała się, że pewnego dnia pojawi się jakiś wróg z przeszłości Szamrona i dokona zemsty. Wiedziała, że kiedyś Ari zmusi ją, żeby czekała na wiadomość, czy będzie żył, czy umrze.

Gabriel zastał ją siedzącą spokojnie w prywatnej poczekalni na oddziale intensywnej terapii Centrum Medycznego Hadassah. Słynna kurtka lotnicza Szamrona leżała na jej kolanach, a Gilah w rozartganiu szarpała za rozdarcie znajdujące się na prawej piersi; rozdarcie, którego Szamron nigdy nie uznał za wartę naprawy. W smutnym spojrzeniu i nieujarzmionych siwych włosach żony przyjaciela Gabriel zawsze dostrzegał coś z Goldy Meir. Nigdy nie był w stanie patrzeć na Gilah i nie przypominać sobie dnia, w którym pani premier odznaczyła w sekrecie jego pierś medalem i ze łzami w oczach podziękowała mu za pomszczenie jedenastu Izraelczyków zamordowanych w masakrze w Monachium.

- Co się stało, Gabrielu? Jak udało im się dostać Ariego w samym środku Jerozolimy?

- Prawdopodobnie był pod obserwacją od dłuższego czasu. Kiedy dziś wieczorem wychodził z mojego mieszkania, powiedział, że wraca do biura premiera, żeby jeszcze trochę popracować. - Gabriel usiadł i wziął Gilah za rękę. - Zamach nastąpił na światłach na ulicy Króla Jerzego.

- Zamachowiec-samobójca?

- Myślmy, że dwóch. W ciężarówce, przebrani za haredim. Bomba była nietypowo duża. Gilah spojrzała na ekran telewizora umieszczonego wysoko na ścianie.

- Widzę na zdjęciach. Niewiarygodne, że w ogóle ktoś przeżył.

- Jakiś świadek widział, jak samochód Ariego gwałtownie przyspieszył na moment przed eksplozją. Rami albo kierowca musieli zauważyć coś, co wzbudziło ich podejrzenia. Warstwa pancerna wytrzymała siłę wybuchu, ale samochód wyrzuciło w powietrze.

Przekoziółkował co najmniej dwa razy.

- Kto to zrobił? Hamas? Islamski Dżihad? Brygady Męczenników Al-Aksa?

- Przyznało się Braterstwo Allaha.

- Ci sami, którzy przygotowali Watykan?

- Tak, Gilah.

- Wierzysz w to?

- Jest wcześniej - odparł Gabriel. - Co ci powiedzieli lekarze?

- Operacja potrwa jeszcze co najmniej trzy godziny. Obiecali, że będziemy mogli go zobaczyć, kiedy się wybudzi, ale tylko na minutkę lub dwie. Ostrzegli, że nie będzie dobrze wyglądał.

Gilah przyglądała się Gabrielowi przez chwilę, potem znowu przeniosła wzrok na telewizor.

- Martwisz się, że tego nie przeżyje, prawda, Gabrielu?

- Oczywiście, że się martwię.

- Niepotrzebnie - powiedział Gilah. - Szamron jest niezniszczalny. Jest wieczny.

- Co ci powiedzieli o obrażeniach?

Wyrecytowała ze spokojem. Spis uszkodzonych organów, uraz głowy i połamane kości potwierdziły przypuszczenia Gabriela, że przeżycie Szamrona w żadnym wypadku nie jest tak oczywiste.

- Ari wyszedł z tego najlepiej z całej trójki - ciągnęła Gilah.

- Najwyraźniej Rami i kierowca odnieśli znacznie cięższe obrażenia. Biedny Rami. Od lat pełnił straż u boku Ariego. A teraz coś takiego.

- Gdzie jest Jonatan?

- Pełnił służbę na północy. Już jedzie.

Jedyny syn Szamrona był pułkownikiem SOI. Ronit, jego zbuntowana córka, przeprowadziła się do Nowej Zelandii, żeby uciec od apodyktycznego ojca. Mieszkała tam na kurzej fermie z gojem. Od lat nie utrzymywała żadnych kontaktów z ojcem.

- Ronit też przyjeżdża - oznajmiła Gilah. - Kto wie? Może jeszcze wyniknie z tego coś dobrego. Bardzo go bolała jej nieobecność. Winił siebie, i słusznie. Ari jest bardzo surowy dla swoich dzieci. Ale przecież dobrze o tym wiesz, prawda, Gabrielu?

Gilah popatrzyła mu przez chwilę prosto w oczy, potem nagle odwróciła wzrok. Przez całe lata uważała Gabriela za jakiegoś urzędnika, który sporo wie o sztuce i długo przebywał w Europie.

Prawdziwy charakter jego pracy poznała, jak reszta kraju, z lektury prasy. Od tego czasu jej zachowanie w stosunku do niego uległo zmianie. W jego obecności zawsze była cicha i milcząca, starając się go niczym nie zdenerwować i nie potrafiąc patrzeć mu w oczy zbyt długo. Gabriel widział już podobne reakcje - jako dziecko, u ludzi, którzy odwiedzali dom Allonów. Śmierć zostawiła na twarzy Gabriela piętno podobne do tego, jakie Birkenau wycisnęło na twarzy jego matki. Gilah nie potrafiła za długo patrzeć Gabrielowi w oczy, ponieważ bała się tego, co mogła w nich zobaczyć.

- Już przed tym zamachem nie był najzupełniej zdrow. Ukrywał to, oczywiście - nawet przed premierem.

Gabriela to nie zdziwiło. Wiedział, że od lat Szamron potajemnie zmagał się z różnymi schorzeniami. Zdrowie Starego, podobnie jak niemal każda inna sfera jego życia, było ściśle strzeżoną tajemnicą.

- Nerki?

Gilah pokręciła głową.

- Rak. Wznowa.

- Myślałem, że został całkowicie usunięty.

- Ari też - westchnęła. - A to jeszcze nie wszystko. Płuca ma w strasznym stanie od papierosów. Powiedz mu, żeby tyle nie palił.

- Nigdy mnie nie słucha.

- Jesteś jedyną osobą, której słucha. Kocha cię jak własnego syna, Gabrielu. Czasami myślę, że kocha cię bardziej niż Jonatana.

- Nie bądź niemądra, Gilah.

- Najbardziej szczęśliwy jest, kiedy siedzicie razem na tarasie w Twerii.

- Na ogół się wtedy kłócimy.

- On lubi się z tobą kłócić, Gabrielu.

- Też doszedłem już do tego wniosku.

Ekran telewizora pokazywał ministrów i szefów służb bezpieczeństwa przybywających do gabinetu premiera na nadzwyczajne posiedzenie. W zwykłych okolicznościach byłby wśród nich i Szamron. Gabriel spojrział na Gilah. Skubała rozdartą skórę kurtki męża.

- To Ari, prawda? - spytała. - To Ari wciągnął cię w to życie... po Monachium.
Gabriel popatrzył na światła ostrzegawcze pojazdów na ekranie telewizora i skinął głową w roztargnieniu.

- Byłeś wtedy w wojsku?

- Nie, już po. Studiowałem w Akademii Sztuk Pięknych Bezalel. Ari przyszedł się ze mną zobaczyć kilka dni po zabiciu zakładników. Wtedy nikt o tym jeszcze nie wiedział, ale Golda wydała już rozkaz zabicia wszystkich, którzy maczali w tym palce.

- Dlaczego wybrał właśnie ciebie?

- Znałem języki, poza tym zobaczył to i owo w moich wojskowych świadectwach sprawności fizycznej - cechy, które jego zdaniem czyniły ze mnie odpowiedniego kandydata do takiej pracy.

- Egzekucji z bliska, twarzą w twarz. Bo tak to robiłeś, prawda?

- Tak, Gilah.

- Ilu?

- Gilah.

- Ilu, Gabrielu?

- Sześciu - powiedział. - Zabiłem sześciu z nich.

Dotknęła siwych włosów na jego skroniach.

- Przecież byłeś wtedy zaledwie chłopcem.

- To przychodzi łatwiej, kiedy się jest chłopcem. Z wiekiem staje się trudniejsze.

- Ale i tak to robiłeś. To ciebie wysłali do zabicia Abu Dżihada, prawda? Wszedłeś do jego willi w Tunisie i zabiłeś go na oczach żony i dzieci. A oni się zemścili, nie na kraju, ale na tobie. Podłożyli bombę w twoim samochodzie w Wiedniu.

Coraz mocniej szarpała rozdarcie w kurtce Szamrona. Gabriel wziął ją za rękę.

- Już dobrze, Gilah. To było dawno temu.

- Pamiętam, jak zadzwonił wtedy telefon. Ari powiedział mi, że pod samochodem pewnego dyplomaty wybuchła bomba. Poszłam do kuchni zrobić mu kawy, a kiedy wróciłam do sypialni, zastałam go płaczącego. „To moja wina - powiedział. - Zabiłem jego żonę i dziecko”. To jedyny raz, kiedy widziałam, jak płacze. Potem wyjechał na tydzień. Kiedy wreszcie wrócił, spytałam, co się wydarzyło. Nie odpowiedział oczywiście. Odzyskał już panowanie nad sobą. Ale wiem, że to go gryzło przez te wszystkie lata. Obwinia się za to, co się stało.

- Nie powinien - stwierdził Gabriel.

- Nawet nie miałeś szans opłakać ich śmierci, jak każdy normalny człowiek. Rząd poinformował świat, że i dziecko, i żona tego dyplomaty izraelskiego umarły. Syna pogrzebałeś w sekrecie na Górze Oliwnej - tylko ty, Ari i rabbi - a żonę ukryłeś w Anglii pod fałszywym nazwiskiem. Ale znalazł ją Khaled. Porwał i wykorzystał, żeby cię zwabić na Gare de Lyon. - Po policzku Gilah spłynęła łza. Gabriel ją otarł, przekonując się, że pomarszczona skóra Gilah jest ciągle miękka jak aksamit. - A wszystko przez to, że mój mąż przyszedł zobaczyć się z tobą pewnego wrześniego popołudnia dawno temu. Twoje życie mogło potoczyć się zupełnie inaczej. Mogłeś zostać wielkim artystą. Zamiast tego zrobiliśmy z ciebie zabójcę. Dlaczego nie czujesz rozgoryczenia, Gabrielu? Dlaczego nie nienawidzisz Ariego, tak samo jak jego syn i córka?

- Bieg mojego życia został wytyczony w dniu, w którym Niemcy wybrali swoim kanclerzem tego małego austriackiego kaprała. Ari był tylko przywódcą nocnej straży.

- Czy jesteś aż takim fatalistą?

- Wierz mi, Gilah, był czas, kiedy nie mogłem patrzeć na Ariego. Ale potem uświadomiłem sobie, że przypominam go bardziej, niż kiedykolwiek myślałem.

- Może tę właśnie cechę wyczytał z twoich wojskowych świadectw sprawności fizycznej. Gabriel uśmiechnął się przelotnie.

- Niewykluczone.

Gilah pogładziła rozdarcie w kurtce.

- Słyszałeś opowieść o tym, skąd się wzięło?

- To jedna z wielkich zagadek Biura - powiedział Gabriel. - Krąży cała masa najdzikszych domysłów, ale on nigdy nie powiedział nam prawdy.

- To się stało w tę noc zamachu w Wiedniu. Ari chciał jak najszybciej dostać się na bulwar Króla Saula. Kiedy pakował się do samochodu, kurtka zaczepiła się o drzwiczki i rozdarła. - Przebiegła palcami po uszkodzeniu. - Wiele razy chciałam ją naprawić, jednak nigdy mi nie pozwalał. Przez pamięć Leah i Daniego, powiedział ostatnio. Chodził w rozdartej kurtce przez te wszystkie lata z powodu tego, co się stało z twoją żoną i synem.

Zadzwoił telefon. Gabriel podniósł go do ucha i przez moment słuchał w milczeniu.

- Zaraz będę, sir - powiedział po chwili i rozłączył się. - To był premier. Chce mnie natychmiast widzieć. Wrócę zaraz potem.

- Nie przejmuj się, Gabrielu. Jonatan wkrótce tu będzie.

- Wrócę, Gilah.

Jego ton był zbyt ostry. Ucałował jej policzek przepaszająco i wstał. Kiedy ruszał w stronę drzwi, Gilah chwyciła go za ramię.

- Weź to. - Podała mu kurtkę Szamrona. - Chciałby, żebyś ją wziął.

- Nie mów tak, jakby miał się z tego nie wykaraskać.

- Po prostu weź kurtkę i idź. - Posłała mu słodko-gorzki uśmiech. - Nie możesz kazać czekać premierowi.

Gabriel wyszedł na korytarz i pospieszył do wind. „Nie możesz kazać czekać premierowi”. Tymi słowami Gilah zawsze żegnała Szamrona, kiedy ją opuszczał.

*

Samochód z obstawą czekał już na dole na podjeździe. Za ledwie pięć minut zajęło im dotarcie do ulicy Kapłana numer 3. Ochroniarze wprowadzili Gabriela do budynku przez podziemne wejście i towarzyszyli mu w drodze na górę do dużego i zaskakująco skromnego gabinetu na najwyższym piętrze. Pokój pogrążony był w półmroku, premier siedział przy biurku w kałuży światła, przytłoczony przez ogromny portret przywódcy syjonistycznego Teodora Herzla, wiszący na ścianie za jego plecami. Minął więcej niż rok od czasu, kiedy Gabriel widział go po raz ostatni. Przez ten okres włosy premiera zmieniły barwę ze srebrnej na białą, a wzrok nabrał łzawego wyglądu oczu starego człowieka. Zebranie Gabinetu Bezpieczeństwa właśnie się zakończyło i premierowi towarzyszył teraz tylko Amos Szarret, nowo mianowany dyrektor generalny Biura, który siedział pełen napięcia w skórzanym fotelu.

Gabriel po raz pierwszy uścisnął jego dłoń.

- Miło mi wreszcie cię poznać - zauważył Amos. - Żałuję tylko, że w takich okolicznościach.

Gabriel usiadł.

- Masz na sobie kurtkę Szamrona - powiedział premier.

- Gilah nalegała, żebym ją wziął.

- Do twarzy ci w niej - uśmiechnął się z rezerwą. - Wiesz, że nawet zaczynasz wyglądać trochę jak on.

- To miał być komplement?

- Był bardzo przystojny jako młody mężczyzna.

- On nigdy nie był młody, panie premierze.
- Jak my wszyscy. Wszyscy postarzeliliśmy się przedwcześnie. Poświęciliśmy naszą młodość dla budowy tego kraju. Szamron nie wziął ani jednego dnia urlopu od tysiąc dziewięćset czterdziestego siódmego roku. I tak ma się to skończyć? - Premier potrząsnął głową. - Nie, wyjdzie z tego. Wierz mi, Gabrielu, znam go dłużej niż ty.

- Szamron jest wieczny. Tak mówi Gilah.

- Może nie wieczny, ale na pewno nie da się zabić jakiejś bandzie terrorystów.

Premier popatrzył ze zmarszczonym czołem na zegarek.

- Chciał pan ze mną coś omówić, sir.

- Twój awans na stanowisko szefa operacji specjalnych.

- Zgodziłem się już go przyjąć.

- Wiem, ale to chyba nie jest najlepszy czas, żebyś objął kierownictwo wydziału.

- Mogę zapytać dlaczego nie?

- Ponieważ całą uwagę musisz poświęcić na wytropienie i ukaranie ludzi, którzy zrobili to Szamronowi.

Premier urwał nagle, jakby dając Gabrielowi możliwość zaprotestowania. Konserwator siedział bez ruchu ze wzrokiem utkwionym w dłoniach.

- Zaskakujesz mnie - odezwał się premier po chwili.

- Dlaczego?

- Bałem się, że powiesz mi, bym poszukał kogoś innego.

- Premierowi się nie odmawia, sir.

- Ale na pewno nie tylko tym się kierujesz.

- Byłem w Rzymie podczas zamachu w Watykanie i wsadziłem Szamrona do samochodu dziś wieczorem. Słyszałem, jak ta bomba eksplodowała. - Urwał. - Ta siatka, kimkolwiek są jej członkowie i jakiegokolwiek mają cele, musi zostać wyeliminowana z gry, i to szybko.

- Brzmi to tak, jakbyś chciał się mścić.

Gabriel oderwał wzrok od dłoni.

- Bo chcę, panie premierze. Może z tego względu nie jestem najlepszym człowiekiem do tej roboty.

- Szczerze mówiąc, z tego względu jesteś dokładnie tym, kogo szukamy.

Ostatnie zdanie wypowiedział Amos. Gabriel odwrócił się i po raz pierwszy bacznie mu się przyjrzał. Był niskim, krępy męczyzną o kwadratowej sylwetce, mnisim wianusku czarnych włosów i masywnym czole. Nadal w randze generała SOI, teraz miał na sobie bladoszary garnitur. Jego bezpośredniość stanowiła miłą odmianę. Obcowanie z jego poprzednikiem, Lwem, było równie przyjemne jak wizyta u dentysty: świdrował wzrokiem, raził pytaniami, szukając dziury w całym. Amos bardziej przypominał młotek do wbijania gwoździ. Gabriel będzie musiał postępować z nim ostrożnie, by ów młot nie spadł na niego.

- Tylko uważaj, żeby gniew nie zaćmił ci zdrowej oceny sytuacji - dodał Amos.

- Jeszcze nigdy do tego nie doszło. - Gabriel wytrzymał jego ponure spojrzenie.

Dyrektor posłał mu niewesoły uśmiech, jak gdyby mówiąc:

„Pod moimi rządami nie będzie żadnego ostrzeliwania francuskich dworców, bez względu na okoliczności”. Premier pochylił się do przodu i oparł na łokciach.

- Wierzysz, że stoją za tym Saudyjczycy?

- Mamy pewne dowody, które wskazują na saudyjski trop powiązany z Braterstwem Allana - powiedział Gabriel ostrożnie - ale będziemy potrzebować znacznie więcej informacji, zanim zaczniemy szukać konkretnej osoby.

- Ahmeda ibn Shafika, na przykład.

- Tak, panie premierze.
- A jeśli to on?
- Moim zdaniem mamy tu do czynienia ze zwykłą siecią, a nie ruchem. Siecią zbudowaną i finansowaną z saudyjskich pieniędzy. Jeśli utniemy głowę, reszta sieci zginie. Ale to nie będzie łatwe, sir. Wiemy o nim bardzo mało. Nie mamy nawet pojęcia, jak naprawdę wygląda. To jest także trudne i skomplikowane od strony politycznej, z uwagi na Amerykanów.
- To w ogóle nie jest skomplikowane. Ahmed ibn Shafik próbował zabić mojego najbliższego doradcę. A zatem Ahmed ibn Shafik musi umrzeć.
- A jeśli działa z rozkazów księcia Nabila albo kogoś z rodziny królewskiej - rodziny, którą łączą bardzo bliskie historyczne i gospodarcze więzy z naszym najważniejszym sojusznikiem?
- Niedługo się dowiemy.
- Premier zerknął na Amosa.
- Adrian Carter z CIA chciałby zamienić z tobą słówko - powiedział Amos.
- Jutro miałem lecieć do Waszyngtonu, żeby poinformować go, czego udało nam się dowiedzieć o zamachu w Watykanie.
- Carter poprosił o zmianę miejsca spotkania.
- Gdzie chce się spotkać?
- W Londynie.
- Dlaczego właśnie tam?
- To była jego propozycja - odparł Amos. - Chciał pogadać na dogodnym, neutralnym gruncie.
- Od kiedy to bezpieczny lokal CIA w Londynie jest gruntem neutralnym? - Gabriel popatrzył na premiera, potem na Amosa. - Nie chcę wyjeżdżać z Jerozolimy - dopóki się nie dowiemy, czy Szamron będzie żył.
- Carter mówi, że sprawa jest pilna - stwierdził Amos. - Chce się spotkać z tobą jutro wieczorem.
- Wyślijcie więc kogoś innego.
- Nie możemy - odparł premier. - Tylko ty zostałeś zaproszony.

11

Londyn

- Jak się ma Stary? - spytał Adrian Carter. Spacerowali ramię przy ramieniu po Eaton Place, chroniąc się przed słabym wieczornym deszczykiem pod parasolem Amerykanina. Spotkali się pięć minut wcześniej, niby zupełnie przypadkowo, na Belgrave Square.
- Carter miał na sobie płaszcz przeciwdeszczowy i trzymał egzemplarz „The Independent”. Jeśli chodziło o arkana sztuki szpiegowskiej, był ortodoksem. Według dowcipnisiów z Langley znał kredą postument łóżka, kiedy chciał się kochać ze swoją żoną.
- Nadal nieprzytomny - odpowiedział Gabriel - ale przeżył noc i nie traci już krwi.
- Wylize się?
- Wczoraj wieczorem powiedziałbym, że nie.
- A teraz?
- Teraz bardziej się martwię tym, w jakim stanie z tego wyjdzie. Jeśli z uszkodzonym

mózgiem albo uwięziony w ciele, nad którym nie miałby kontroli... - urwał. - Dla Szamrona liczy się w życiu tylko jedno, i tym czymś jest praca. Jeśli nie mógłby pracować, byłby nieszczęśliwy - i unieszczęśliwiłby wszystkich dokoła.

- I co jeszcze nowego? - Carter zerknął w stronę georgiańskiego budynku z numerem 24. - Mieszkanie mieści się tutaj. Zróbmy jeszcze jedną rundkę dokoła domu, dobrze? Lubię działać zgodnie z regulaminem.

- Nie słyszałeś jeszcze? Związek Radziecki rozpadł się kilka lat temu. KGB wyleciało z interesu. Wy i Rosjanie się teraz przyjaźnicie.

- Ostrożności nigdy za wiele, Gabrieliu.

- Czy wasi chłopcy z ochrony nie obstalowali antyinwigilacyjnej trasy?

- To nie są chłopcy, Gabrieliu.

- Czy to jest bezpieczne mieszkanie agencji?

- Niezupełnie - wyznał Carter. - Należy do przyjaciela.

- Przyjaciela agencji?

- Przyjaciela prezydenta, prawdę mówiąc.

Carter pociągnął delikatnie Gabriela za rękaw płaszcza i poprowadził go ciemną ulicą. Przeszli się niespiesznie po Eaton Square, na którym było spokojnie i cicho, jeśli nie liczyć odgłosów wieczornego ruchu ulicznego dochodzących z King's Road. Amerykanin szedł ociężałym krokiem jak człowiek umówiony na spotkanie, na którym wołałaby się nie zjawić. Jedna myśl kołatała się Gabrielowi po głowie. Dlaczego wiceszef wydziału operacyjnego Centralnej Agencji Wywiadowczej chciał rozmawiać w miejscu, w którym jego przełożeni nie będą w stanie słyszeć rozmowy?

Wrócili na Eaton Square. Tym razem Carter powiodł Gabriela schodami do podziemnego wejścia. Kiedy włożył klucz do zamka, konserwator cicho uniósł wieko kosza na śmieci i sprawdził, czy jest pusty. Amerykanin otworzył drzwi i wpuścił go do środka, do kuchni, jaką foldery biur nieruchomości określiłyby mianem „wysmakowana”. Blaty były wykonane z granitu i przyjemnie podświetlone halogenkami ukrytymi za robioną na zamówienie zabudową. Podłogę przykrywał jerozolimski piaskowiec, tak podziwiany przez europejskich i amerykańskich koneserów, pragnących nawiązywać do swoich śródziemnomorskich korzeni. Carter podszedł do kuchenki z nierdzewnej stali i napełnił wodą elektryczny imbryk. Nie zwracał sobie głowy pytaniem swojego gościa, czy nie chciałby może czegoś mocniejszego. Wiedział, że Gabriel, poza okazjonalną szklaneczką wina, nie bierze alkoholu do ust, a już na pewno nie pozwala sobie na to w trakcie służby, chyba że dla kamuflażu.

- To mieszkanie dwupoziomowe - oznajmił Carter. - Bawialnia jest na piętrze. Idź i czuj się jak u siebie.

- Czy dajesz mi zgodę na mały rekonesans, Adrianie?

Carter otwierał i zamykał drzwiczki szafek z wyrazem bezbrzeżnego zdezorientowania na twarzy. Gabriel podszedł do spiżarni, znalazł pudełko herbaty Earl Grey i rzucił je Amerykaninowi, zanim udał się na górę. Bawialnia była urządzona komfortowo, ale z tą charakterystyczną atmosferą anonimowości, jaka często panuje w pied-a-terre. Gabriel miał wrażenie, że nikt nigdy tam nie kochał, nie płakał, nie rozpaczał. Uniósł ze stoliczka oprawioną w ramkę fotografię i zobaczył szczere oblicze zamożnego Amerykanina w otoczeniu trójki dobrze odkarmionych dzieci i żony z piętnem zbyt wielu operacji plastycznych. Dwa kolejne zdjęcia ukazywały tego samego mężczyznę stojącego sztywno u boku prezydenta. Na obu widniał napis: „Billowi w dowód wdzięczności”.

Carter przyszedł na górę chwilę później, niepewnie trzymając w dłoniach tacę z herbatą. Głowę zdobiły mu rzadziejące kręcone włosy, twarz - szerokie wąsy, w jakich kiedyś lubowali

się amerykańscy wykładowcy college'ów. Nic w jego postawie i zachowaniu nie wskazywało, że jest jedną z najbardziej wpływowych osób w nieprzebranych szeregach waszyngtońskiej kadry kierowniczej służb specjalnych - ani że przed swoim wniebowstąpieniem w oderwaną od rzeczywistości atmosferę siódmego piętra Langley, był agentem operacyjnym prześwietnej reputacji. Naturalna skłonność do słuchania raczej niż mówienia, jaką był obdarzony, kazała większości jego rozmówców wierzyć, że jest kimś w rodzaju terapeuty. Kiedy myślało się o Adrianie Carterze, przed oczyma natychmiast pojawiał się obraz człowieka, dzielnie znoszącego zwierzchności na temat romansów i kompleksów niższości, albo wizja jakiejś dickensowskiej postaci pochylonej nad grubymi księgami pełnymi długich łacińskich fraz. Ludzie zwykle nie doceniali Cartera. To była jedna z jego najskuteczniejszych broni.

- Kto za tym stoi, Adrianie? - spytał Gabriel.

- Ty mi powiedz, Gabrielu. - Carter umieścił tacę z herbatą na środku stołu i gestem zmęczonego drogą wędrowca ściągnął z pleców płaszcz przeciwdeszczowy. - To wasza okolica.

- To nasza okolica, ale coś mi mówi, że wasz problem. W przeciwnym razie nie byłoby cię tu w Londynie... - Gabriel rozejrzał się po pokoju -...w pożyczonym bezpiecznym mieszkaniu, bez nasłuchu i wsparcia lokalnej komórki.

- Niewiele ci umyka, prawda? Zrób mi przyjemność, Gabrielu. Powiedz, jak on się nazywa.

- Ahmed ibn Shafik, były agent saudyjskiego GID.

- Brawo, Gabrielu. Dobra robota. - Carter rzucił płaszcz na oparcie krzesła. - Dobra robota, naprawdę.

Podniósł przykrywkę imbryka, wciągnął aromat i uznał, że herbata musi parzyć się jeszcze chwilę.

- Jak się dowiedzieliście?

- Nie dowiedzieliśmy się - sprostował Gabriel. - To hipoteza, oparta na kilku tropach i dowodach.

- Takich jak?

Gabriel przekazał Carterowi wszystko, co wiedział. Opowiedział o spartaczonej operacji przeciwko profesorowi Alemu Massudiemu. O fotografiach szpiegowskich i danych szwajcarskiego konta bankowego znalezionych w jego komputerze. Powiązaniach między Ibrahimem el-Banną a saudyjskim agentem, który przedstawiał się jako Khalil. Docierających do nich sygnałach, że jakiś Saudyjczyk o tym samym nazwisku przemierza obozy na południu Libanu, prowadząc werbunek. Przez cały ten czas Carter zajmował się herbatą. Nalał pierwszą filiżankę i bez dalszych zachodów podał Gabrielowi. Jego własna wymagała bardziej pracowitej obróbki: starannie odmierzona miarka mleka, potem herbata, potem kostka cukru. Spece od przesłuchań nazywali taką jaskrawą grę na czas mechanizmem przemieszczenia. Carter nałogowo palił fajkę. Gabriel obawiał się, że to narzędzie tortur zaraz się pojawi.

- A co z wami? - spytał Gabriel. - Od kiedy wiedzieliście, że to ibn Shafik?

Carter chwycił szczypczykami jeszcze jedną kostkę cukru, rozważając przez chwilę, czy wrzucić ją do filiżanki, zanim bezceremonialnie upuścił ją z powrotem do cukiernicy.

- Może już tego dnia, kiedy poprosiliśmy Jego Wysokość o rozwiązanie Grupy 205 - odparł. - A może wtedy, kiedy zdawało się, że ibn Shafik rozplątał się w powietrzu. Wiesz, Gabrielu, jeśli nauczyłem się czegoś w tej robocie, to tego, że po każdej naszej akcji następuje negatywna reakcja. Wyprowadziliśmy rosyjskiego niedźwiedzia z Afganistanu, a jednocześnie stworzyliśmy hydrę. Rozbiliśmy główne stanowiska dowódczo-operacyjne al Kaidy i w rezultacie teraz jej niezliczone odgałęzienia i filie prowadzą działalność na własną rękę. Zamknęliśmy sklepik ibn Shafika w GID, skutkiem czego, jak się zdaje, ibn Shafik zasilił szeregi

prywatnej inicjatywy.

- Dlaczego?

- Pytasz, co zrobiło z niego ekstremistę? - Carter wzruszył ramionami i z posepną miną zamieszał swoją herbatę. - Nie trzeba było wiele. Ahmed ibn Shafik to prawdziwy wahhabita.

- Wnuk wojownika Ikhwanu - dorzucił Gabriel, za co Carter nagroził go pełnym podziwu skinieniem głowy.

- Można się spierać, dlaczego Saudyjczycy wspomagają terrorizm - powiedział Carter. - A nawet przeprowadzić naukową debatę na temat tego, czy naprawdę utożsamiają się z celami morderców, których zbroją i finansują, czy też może jest to jedynie sprytna i cyniczna polityka mająca zapewnić im kontrolę nad sąsiadami i tym samym ich własne przetrwanie. Ale taka dyskusja byłaby bezzasadna w przypadku ludzi, którym GID powierza prowadzenie tej polityki. Ahmed ibn Shafik jest wyznawcą. Ahmed ibn Shafik nienawidzi Stanów Zjednoczonych, Zachodu, chrześcijaństwa i naprawdę byłby o niebo szczęśliwszy, gdyby wasz kraj zniknął z powierzchni ziemi. To właśnie dlatego nalegaliśmy, by Jego Wysokość zlikwidował swój sklepik dla terrorystów.

- Więc kiedy poprosiliście króla, żeby rozwiązał Grupę 205, ibn Shafika poniosło? Postanowił użyć wszystkich kontaktów, które wyrobił sobie przez lata, żeby zainicjować swoją własną falę terrorizmu? Z pewnością kryje się za tym coś więcej.

- Obawiam się, że mogliśmy go nieco popchnąć - westchnął Carter. - Najechaliśmy na Irak wbrew życzeniom królestwa i większości jego mieszkańców. Złapaliśmy członków al Kaidy i pozamykaliśmy w tajnych więzieniach, tam gdzie ich miejsce. To nie wygląda najlepiej w muzułmańskim świecie i podsyca ogień dżihadu. Wy także dorzuciliście swoje trzy grosze. Saudyjczycy uważają wasz mur bezpieczeństwa za jednostronną, ostateczną granicę i bardzo jest im nie w smak.

- To może cię zszokować, Adrianie, ale mamy gdzieś, co Saudyjczycy myślą o naszym murze. Gdyby wcześniej nie wrzucali milionów do szkatuł Hamasu i Islamskiego Dżihadu, nie byłby nam potrzebny.

- Wracając do sedna... - Carter urwał na chwilę, by napić się herbaty. - Świat islamski kipi z wściekłości, a Ahmed ibn Shafik, wahhabita z prawdziwego zdarzenia, wystąpił na ochotnika, żeby ponieść sztandar dżihadu przeciw niewiernym. Wykorzystał kontakty z czasów Grupy 205 do zbudowania nowej siatki. Robi to, czego robić nie jest już w stanie bin Laden, to jest planuje spektakularne akcje terrorystyczne, takie jak atak na Watykan na przykład, i koncertowo je przeprowadza. Jego siatka jest mała, ale działa wyjątkowo profesjonalnie i, czego już dowiódł, ze śmiertelną skutecznością.

- I jest finansowana z saudyjskich pieniędzy.

- Ani chybi - zgodził się Carter.

- Jak wysoko jest umocowana, Adrianie?

- Bardzo wysoko - stwierdził Carter. - Cholernie blisko szczytu.

- Gdzie działa? Kto płaci rachunki? Skąd płynie kasa?

- Grupa Kapitałowa AAB Holdings Rijad-Genewa i jej oddziały - powiedział Carter zdecydowanie. - Ahmed ibn Shafik to jedna z najbardziej udanych inwestycji AAB. Czy zaparzyć ci świeżej herbaty?

Nastąpiła kolejna przerwa w rozmowie, kiedy Carter usiłował dociec, jak zapala się kominek gazowy. Przez chwilę stał w zadziwieniu przed paleniskiem, potem, zerkając na Gabriela, poprosił o pomoc. Konserwator znalazł kluczyk na gzymsie, użył go, by odkręcić gaz, który następnie podpalił ozdobną zapalarką.

- Ile czasu im dajesz, Gabrielu? Ile lat upłynie, zanim dynastia al-Saudów upadnie, a jej

miejsce zajmie Islamska Republika Arabii? Pięć? Dziesięć? A może prawdopodobniej brzmi dwadzieścia? Nigdy nie byliśmy dobrzy w tego typu szacunkach. Myśleliśmy, że sowieckie imperium będzie trwało wiecznie.

- A nam nigdy nie przeszło przez głowę, że Hamas mógłby wygrać wybory.

Carter smutno zachichotał.

- Najlepsze mózgi agencji dają im maksimum siedem lat. Jego Wysokość jest gotów je spędzić, grając wedle starych reguł: dostarczając nam tanią ropę i pseudoprzyjaźń, a jednocześnie zapewniając o swoim poparciu siły islamistów i dając im w łapę, żeby go nie atakowały. A kiedy mimo wszystko będzie się zbliżał koniec, Jego Królewska Mość czmychnie do swojej sieci pałaców na Riwierze i dożyje reszty dni w luksusie zbyt groteskowym, by go sobie wyobrazić, z głową ciągle tkwiącą mocno na karku.

Carter wyciągnął dłonie w stronę kominka.

- Nie grzeje - poskarżył się.

- To ceramiczne polana. Muszą się rozgrzać.

Na twarzy Amerykanina malowało się niedowierzanie. Gabriel podszedł do okna i wyjrzał na ulicę, po której wolno przetoczył się jakiś samochód i zniknął za rogiem. Carter dał sobie spokój z kominkiem i ponownie usiadł.

- Ale są jeszcze inni członkowie rodziny królewskiej, którzy chętnie rozegraliby to według nowych reguł. Nazywamy ich prawdziwymi wyznawcami. Wierzą święcie, że jedynym sposobem na przetrwanie al-Saudów jest odnowienie przymierza, które zawarli z Muhammadem Abdulem Wahhabem dwa wieki temu w Nadżd. Ale to nowe przymierze musi uwzględniać zmienioną rzeczywistość. Monstrum, które al-Saudowie stworzyli dwieście lat temu, ma teraz w rękach wszystkie karty i prawdziwi wyznawcy są gotowi dać mu to, czego chce. Krew niewiernych. Niekończącą się świętą wojnę. Niektórzy z nich zamierzają pójść nawet dalej. Wygnać wszystkich niewiernych z półwyspu. Nałożyć embargo na sprzedaż ropy naftowej do Ameryki i każdego innego państwa, które zadaje się z wami. Uważają, że ropa nie powinna być już dłużej traktowana jak niewyczerpane źródło płynnych pieniędzy, lejących się z instalacji odbiorczych w Ras Tanura do szwajcarskich kont bankowych al-Saudów. Chcą używać jej jak broni: broni, za pomocą której mogliby sparaliżować amerykańską gospodarkę, a wahhabitów uczynić władcami planety, tak jak sobie tego życzył Allah, kiedy umieścił morze nafty pod piaskami al-Hassa. A niektórzy z tych prawdziwych wyznawców, tacy jak na przykład prezes i dyrektor naczelny Grupy Kapitałowej AAB Holdings Rijad-Genewa i jej oddziałów, chętnie sami przelaliby trochę krwi niewiernych.

- Mówisz o Abdulu Azizie al-Bakarim?

- W rzeczy samej o nim to jest piosenka - odparł Carter. - Co ci wiadomo na jego temat?

- Według ostatnich szacunków zajmował chyba jakieś piętnaste miejsce na liście najbogatszych ludzi na świecie, z majątkiem osobistym ocenianym na coś około dziesięciu miliardów dolarów.

- Miliard w tę czy w tamtą.

- Jest prezesem, dyrektorem naczelnym i cesarzem imperatorem Grupy AAB Holdings: A jak Abdul, A jak Aziz, B jak al-Bakari. AAB jest właścicielem banków i domów inwestycyjnych. Zajmuje się spedycją i hutnictwem. Wycina amazońskie lasy i rozkopuje Andy na potrzeby swoich kopalni odkrywkowych w Peru i Boliwii. Należy do niej belgijski zakład chemiczny i holenderski farmaceutyczny. Plus potwornie wielki dział deweloperski. Abdul Aziz al-Bakari ma więcej hoteli na świecie niż ktokolwiek inny.

Carter podjął w miejscu, w którym urwał Gabriel.

- Ma pałac w Rijadzie, do którego z rzadka zagląda, i dwie eks-żony, których w ogóle nie

widuje. Ma rezydencję na Ile de la Cite w Paryżu, księżęcą posiadłość na angielskiej wsi, dom w Mayfair, wille z widokiem na ocean w Saint-Tropez, Marbelli i Maui oraz domki narciarskie w Zermatt i Aspen, a także apartament na Park Avenue, ostatnio wyceniony na czterdzieści milionów dolarów, tudzież rozległy kompleks mieszkalny nad Potomakiem, który mijam codziennie w drodze do pracy.

Wydawało się, że ową rezydencję nad Potomakiem Carter uważał za najcięższy spośród wszystkich grzechów al-Bakariego. Jego ojciec był pastorem episkopalnym z New Hampshire i za łagodnym sposobem bycia Cartera kryło się serce purytanina.

- Al-Bakari w otoczeniu swej świty rozbija się po świecie pozłacanym siedemset czterdzieści siedem - kontynuował. - Dwa razy w roku, w lutym i potem jeszcze w sierpniu, sztab operacyjny AAB przenosi się na morze, na pokład „Aleksandry”, blisko stumetrowego jachtu Saudyjczyka. Coś pominąłem?

- Jego przyjaciele nazywają go Zizi - uzupełnił Gabriel. - Ma jedną z największych na świecie kolekcji francuskiego impresjonizmu i od lat mówiliśmy wam, że siedzi po uszy w finansowaniu terroryzmu, zwłaszcza tego wymierzonego w nas.

- Nie wiedziałem o tym.

- Nie wiedziałeś o czym?

- Że Zizi jest kolekcjonerem.

- Bardzo rzutkim i agresywnym, mówiąc szczerze.

- Miałeś kiedyś przyjemność go poznać?

- Obawiam się, że Zizi i ja stoimy w tej branży po przeciwnych stronach barykady - skrzywił się Gabriel. - Więc jaki jest związek między Zizim al-Bakarim a Ahmedem ibn Shafikiem?

Carter zapatrzył się w zamyśleniu w swoją herbatę, sygnalizując, że nie jest jeszcze gotów odpowiedzieć na pytanie Gabriela.

- Interesujący gość, ten al-Bakari. Wiedziałeś, że jego ojciec był osobistym bankierem Ibn Sauda? Jak można się spodziewać, papa al-Bakari nie wyszedł na tym źle. Na tyle dobrze nawet, że zostawił synowi dziesięć milionów dolców na rozkręcenie własnej firmy. Choć to i tak nic w porównaniu z kapitałem, jaki dostał od al-Saudów na rozwinięcie skrzydeł, kiedy sprawy przybrały dobry obrót. Sto milionów, jeśli wierzyć pogłoskom. AAB ciągle stanowi ulubione miejsce przeznaczenia królewskiej gotówki, co właśnie jest jednym z powodów, dla których Ziziemu tak zależy na utrzymaniu się dynastii u władzy.

Carter sięgnął po kapciuch i Gabrielowi zrzędnął mina.

- Jest jednym z najbogatszych ludzi na świecie - powiedział Amerykanin - a także jednym z najbardziej przepelnionych duchem dobroczynności. Ufundował meczety i centra islamistyczne w całej Europie. Finansował projekty na rzecz rozwoju delty Nilu i likwidacji głodu w Sudanie. Daje miliony palestyńskim uchodźcom i drugie tyle na zagospodarowanie obszarów na Zachodnim Brzegu i w Gazie.

- I ponad trzydzieści milionów na tę saudyjską kwestę telewizyjną zbierającą pieniądze dla zamachowców-samobójców - dorzucił Gabriel. - Zizi był najhojniejszym ofiarodawcą. A teraz odpowiedz na moje pytanie.

- Które pytanie?

- Jaki jest związek między Zizim a ibn Shafikiem?

- Nie jesteś w ciemności, Gabrielu. Sam sobie odpowiedz.

- Najwyraźniej to Zizi finansuje siatkę Shafika.

- Najwyraźniej - zgodził się Carter.

- Ale ibn Shafik jest Saudyjczykiem. Mógłby zdobyć pieniądze, skądkolwiek by chciał.

Zizi ma coś cenniejszego od pieniędzy. Globalną infrastrukturę, poprzez którą ibn Shafik może przetrzucać ludzi i sprzęt. I ma doskonale miejsce na kryjówkę dla takiego operacyjnego mózgu jak ibn Shafik.

- Grupę Kapitałową AAB Holdings Rijad-Genewa i jej oddziały.

Zapadło między nimi milczenie niczym kurtyna w antrakcie, kiedy Carter ospałym ruchem nabijał swoją fajkę. Gabriel ciągle stał przy oknie, wyglądając na ulicę. Kusilo go, by tam zostać, ponieważ tytoń Amerykanina wydzielał woń stanowiącą kombinację zapachu palącej się słomy i sierści mokrego psa. Wiedział jednak, że rozmowa minęła już etap, na którym mogła być prowadzona przy niezabezpieczonym oknie. Niechętnie zajął krzeselko naprzeciwko Cartera. Przez chwilę bez słowa mierzyli się wzrokiem: Carter pykając z fajki w zamyśleniu, Gabriel ze znużeniem odwachlowując dym od swoich oczu.

- Jak bardzo jesteście pewni?

- Bardzo.

- Skąd wiecie?

- Mamy swoje źródła i sposoby - odpowiedział Carter automatycznie. - Źródła i sposoby.

- Skąd wiecie, Adrianie?

- Ponieważ go podsłuchujemy - odparł Carter. - Agencja Bezpieczeństwa Narodowego to wspaniała instytucja. Mamy także w umiarkowanym skrzydle dynastii al-Saudów oraz w GID swoich informatorów, którzy chętnie dzielą się ciekawostkami. Ahmed ibn Shafik żyje głównie na Zachodzie pod przybraną tożsamością. Dekuje się gdzieś wewnątrz ogromnego imperium finansowego Ziziego i obaj regularnie się ze sobą konsultują. Co do tego nie mamy żadnych wątpliwości.

Na środku stolika, obok tacy z herbatą, leżała szara teczka.

W środku znajdowała się jedna fotografia, którą Carter przekazał Gabrielowi. Ukazywała mężczyznę w wełnianym płaszczu i filcowym kapeluszu, stojącego przy bramie z kutego żelaza.

Twarz była zwrócona lewym profilem, a rysy bardzo niewyraźne. Sądząc po kompresji obrazu, zdjęcie zrobiono ze znacznej odległości.

- To on?

- Tak myślimy - odpowiedział Carter.

- Gdzie je wykonano?

- Przed domem Ziziego na Ile de la Cite w Paryżu. Ten, co je robił, był po drugiej stronie Sekwany na Quai de l'Hotel de Ville, co tłumaczy brak ostrości.

- Jak dawno temu?

- Sześć miesięcy.

Carter wstał wolno i podszedł do kominka. Już, już miał postukać fajką o palenisko, kiedy Gabriel przypomniał mu, że jest sztuczne. Amerykanin usiadł i opróżnił fajkę do dużej popielnicy z rżniętego szkła.

- Ilu Amerykanów zginęło w zamachu w Watykanie? - spytał Gabriel.

- Dwudziestu ośmiu, włączając w to kurialnego biskupa.

- Ile pieniędzy Zizi al-Bakari przekazał terrorystom przez te wszystkie lata?

- Setki milionów.

- Ścigajcie go - powiedział Gabriel. - Wnieście oskarżenie i wytoczcie mu proces.

- Ziziemu al-Bakariemu?

- Paragraf osiemnasty USC dwadzieścia trzy trzydzieści dziewięć B. Obił ci się kiedyś o uszy, Adrianie?

- Cytujesz mi amerykańskie prawo?

- Przekazywanie pieniędzy grupom określonym jako terrorystyczne stanowi jego

pogwałcenie bez względu na to, czy środki te zostały wykorzystane dla celów konkretnych zamachów. Moglibyście skazać prawdopodobnie dziesiątki forsiastych Saudyjczyków za finansowe wspieranie terroryzmu, włączając w to Ziziego al-Bakariego.

- Rozczarowujesz mnie, Gabrieliu. Zawsze miałem cię za rozsądnego gościa. Może czasami nieco za bardzo zaabsorbowanego kwestiami dobra i zła, ale rozsądnego. Nie możemy ścigać Ziziego.

- A to z jakiego powodu?

- Z powodu pieniędzy - powiedział Carter. I zaraz dodał: - No i ropy, rzecz jasna.

- Rzecz jasna.

Carter bawił się zapalniczką.

- Saudyjska rodzina królewska ma wielu przyjaciół w Waszyngtonie - takich przyjaciół, których można nabyć tylko za pieniądze. Zizi także ma tu przyjaciół. Ufundował wiele etatów akademickich i zasilił je swoimi współpracownikami i poplecznikami. Subsydiował utworzenie wydziałów studiów arabskich na pół tuzina amerykańskich uniwersytetów. Niemal jednoosobowo sfinansował remont kapitałny Centrum Kennedy'ego. Łoży na fundusze ochrony zwierząt firmowane przez wpływowych senatorów i inwestuje w biznesowe przedsięwzięcia ich przyjaciół i krewnych. Jest właścicielem lub udziałowcem znacznej części naszych najbardziej znanych banków i innych prominentnych amerykańskich firm. Służył także jako pośrednik w niezliczonych saudyjsko-amerykańskich umowach handlowych i transakcjach. Czy teraz zaczniesz mieć już jasność sytuacji, Gabrieliu?

Zaczął, ale chciał usłyszeć więcej.

- Gdyby batalion waszyngtońskich prawników Ziziego choć podejrzewał, że ich klient jest przedmiotem kryminalnego dochodzenia, Zizi natychmiast zadzwoniłby do Jego Wysokości, Jego Wysokość dryndnęłaby do ambasadora Baszira, ambasador Baszir zaś wpadłby do Białego Domu na małą pogawędkę z prezydentem. Przypomniałby mu uprzejmie, że jedno lub dwa przykręcenia kurka z ropą wywindowałoby jej ceny do ponad pięciu dolarów za galon. Mógłby nawet zauważyć, że taki nagły cenowy skok tej wielkości z pewnością boleśnie odczuliby mieszkańcy centrum kraju, którzy często podróżują na duże odległości i często głosują na partię pana prezydenta.

- Więc Ziziemu upiecze się morderstwo.

- Obawiam się, że tak.

- „Nie pytajcie o rzeczy, które by was zmartwiły, jeśli by wam zostały ujawnione”².

- Znasz Koran - skonstratował Carter.

- Jedną z przyczyn, dla których nie możecie wszcząć działań przeciwko Ziziemu ani go sądzić, jest fakt, że boicie się tego, co możecie znaleźć: biznesowych powiązań z prominentnymi Amerykanami, śmierdzących, podejrzanych układów z ludźmi Waszyngtonu. Wyobraź sobie reakcję amerykańskiego narodu, gdyby się dowiedział, że jakiś Saudyjczyk, powiązany kontaktami ekonomicznymi z grubymi rybami z Waszyngtonu, w rzeczywistości finansuje na boku działalność waszych wrogów. Ten alians ledwo przetrwał pierwszy jedenasty września. Wątpię, czy przetrwałby drugi.

- Nie przetrwałby - przynajmniej nie w obecnej formie. Już podnoszą się głosy na Kapitolu, by odciąć się od Arabii Saudyjskiej za wsparcie, jakiego udziela światowemu ekstremizmowi islamskiemu. Skandal z udziałem Ziziego al-Bakariego dolałby jeszcze oliwy do ognia. Kilku tuzów od polityki zagranicznej w Kongresie rozważa nawet uchwalenie ustaw, które wymusiłyby dokręcenie śruby Arabii. Ale ci mogą sobie pozwolić na ten luksus. Nie oni będą świecić oczyma, kiedy amerykańska gospodarka zejdzie na psy z powodu wyższych cen benzyny, tylko prezydent.

- Więc czego od nas oczekujecie, Adrianie? Co chcesz mi powiedzieć w tym pokoju, gdzie nikt nas nie słyszy?

- Prezydent Stanów Zjednoczonych chciałby prosić o przysługę - powiedział Carter, wpatrując się w ogień. - O ten rodzaj przysługi, w jakim jesteście przypadkiem bardzo biegli. Chciałby, żebyście wprowadzili agenta do otoczenia i domu Ziziego. Chciałby wiedzieć, kto do niego wpada, kto wypada. Gdyby tak się zdarzyło, że pojawiłby się tam Ahmed ibn Shafik, chciałby, żebyście go zlikwidowali. To byłaby wasza operacja, ale my udzielilibyśmy wam każdego niezbędnego wsparcia. Bylibyśmy jednak za horyzontem. Wystarczająco daleko, żeby mieć pewność, iż zdołamy przekonująco wyprzeć się wszystkiego w Rijadzie.

- Rozczarowujesz mnie, Adrianie. Zawsze miałem cię za rozsądnego gościa.

- A co takiego zrobiłem?

- Myślałem, że poprosisz mnie, żebym sprzątnął Ziziego al-Bakariego i zakończył sprawę.

- Sprzątnąć Ziziego? - Carter potrząsnął głową. - Zizi jest niedotykalny. Zizi jest radioaktywny.

Gabriel wrócił na swój posterunek przy oknie i wyjrzał na ulicę: para zakochanych spieszyła chodnikiem w strumieniach zacinającego deszczu.

- Nie jesteśmy płatnymi zabójcami do wynajęcia - stwierdził. - Nie możecie nas kupić do brudnej roboty, przed którą sami się wzdragacie, żeby nie upaść sobie rąk. Chcecie, żeby ibn Shafik opuścił ten padół, ale nie jesteście skłonni ponieść konsekwencji. Chcecie zrobić w to nas.

- Mógłbym ci przypomnieć kilka istotnych faktów. Mógłbym przypomnieć, że ten prezydent twardo stał u waszego boku, kiedy reszta świata traktowała was jak trędowatych. Mógłbym przypomnieć, że przyklasnął budowie muru bezpieczeństwa, podczas gdy reszta świata oskarżała was o zachowania rodem z RPA. Mógłbym przypomnieć, że akceptował zamknięcie Arafata w Mukacie, podczas gdy reszta świata twierdziła, że zachowujecie się jak nazistowskie brygady szturmowe. Mógłbym przypomnieć o wielu innych sytuacjach, w których ten prezydent wam pomagał, ale tego nie uczynię, ponieważ byłoby to nietaktowne. Sugerowałyby poza tym, że nasza prośba ma być swego rodzaju quid pro quo, czym w żadnym wypadku i z całą pewnością nie jest.

- Więc czym jest?

- Przyznaniem się - powiedział Carter. - Bolesną konstatacją, że my, Amerykanie, nie mamy dość rozumu, ochoty albo jaj, żeby zrobić to, co musi być zrobione, jeśli mamy wygrać tę wojnę. Dostaliśmy nieźle po nosie. Nasz wizerunek otrzymał tęgiego łupnia. Patrzymy do lustra i nie podoba nam się, co tam widzimy. Nasi politycy chcieliby, żebyśmy jak najszybciej ulotnili się z Iraku, tak żeby oni mogli zacząć wydawać pieniądze na rzeczy, które zapewnią im kilka głosów. Nasi ludzie pragną wrócić do swojego dostatniego, pełnego samozadowolenia życia. Wsadzić głowę w piasek i udawać, że nie ma żadnej zorganizowanej siły, która aktywnie knuje i planuje ich zagładę. Zapłaciliśmy straszną cenę za wkroczenie do ryzostoka z terrorystami, za zniesienie się do ich poziomu, ale bez wątpienia wy od zawsze wiedzieliście, że tak będzie. Nikt nie zapłacił wyższej ceny od was.

- Więc chcecie, żebyśmy zrobili to za was. W biznesie to się chyba nazywa outsourcingiem. Jak to bardzo po amerykańsku z waszej strony, Adrianie.

- W obecnych okolicznościach Stany Zjednoczone nie mogą pozwolić sobie na wykonanie egzekucji na wysokim rangą byłym agencie saudyjskiego wywiadu, ponieważ zrujnowałoby to nasze stosunki z Rijadem. Nie możemy także zatrzymać i sądzić Ziziego al-Bakariego z powodów, które wyłożyłem już wcześniej.

- Więc chcecie, żeby problem zniknął, sam się rozwiązał?
- Dokładnie.
- Zamieść go pod dywan? Przełożyć czas zapłaty na bardziej sprzyjający moment?
- Ni mniej, ni więcej.
- I sądzicie, że to jest sposób na pokonanie hydry? Odrąbać głowę i liczyć na zwycięstwo? Trzeba jeszcze wypalić rdzeń, tak jak to zrobił Herkules. Musicie zaatakować bestię strzałami nurzanymi w jadzie.

- Chcesz walczyć z dynastią Saudów?
- Nie z nią samą - zachnął się Gabriel. - Z fanatycznymi wyznawcami wahhabizmu, z którymi zawarli przymierze krwi dwieście lat temu na jałowym płaskowyżu Nadzd. To oni są waszymi prawdziwymi wrogami, Adrianie. To oni w pierwszym rzędzie stworzyli hydrę.

- Roztropny książę wybiera czas i miejsce bitwy, a to nie jest odpowiedni czas na obalenie al-Saudów.

Gabriel zatonął w posępnym milczeniu. Carter spojrzął do wnętrza główki fajki i poprawił nieco ułożenie tytoniu niczym profesor czekający na odpowiedź wyjątkowo tępego studenta.

- Czy muszę ci przypominać, że dokonali zamachu na Szamrona?

Gabriel rzucił Carterowi gniewne spojrzenie mówiące, że z pewnością nie ma takiej potrzeby.

- Więc skąd te wahania? Skłonny byłbym raczej przypuszczać, że aż się będziesz trząśł, żeby dorwać ibn Shafika po tym, co zrobił Staremu.

- Chcę go dorwać bardziej niż kogokolwiek innego, ale nigdy się nie trzęsę. To niebezpieczna operacja - zbyt niebezpieczna, żebyście wy się jej podjęli. Jeśli coś pójdzie nie tak albo jeśli zostaniemy złapani na gorącym uczynku, źle to się skończy - dla całej naszej trójki.

- Trójki?

- Mnie, ciebie i prezydenta.

- Więc postępuj zgodnie z jedenastym przykazaniem Szamrona i wszystko będzie OK. „I nigdy nie dasz się złapać”.

- Ibn Shafik jest zjawą. Nie mamy nawet jego zdjęcia.

- To akurat niezupełnie odpowiada prawdzie.

Carter ponownie sięgnął do szarej teczki i wyciągnął z niej następną fotografię, którą rzucił na stół, żeby Gabriel mógł obejrzeć. Przedstawiała mężczyznę o wąskich czarnych oczach z twarzą częściowo skrytą za kufią.

- To ibn Shafik, prawie dwadzieścia lat temu, w Afganistanie. Wtedy był naszym przyjacielem. Staliśmy po tej samej stronie. My dostarczaliśmy broń. Ibn Shafik i jego szefowie z Rijadu dostarczali kasę.

- Oraz wahhabistyczne hasła, które pomogły narodzić się talibom - dorzucił Gabriel.

- Żaden dobry uczynek nie obywa się bez kary - rzekł Carter ze skruchą. - Ale mamy coś cenniejszego niż fotografia sprzed dwóch dekad. Mamy jego głos.

Carter chwycił małego czarnego pilota, skierował na odtwarzacz Bose Wave i wcisnął PLAY. Chwilkę później rozległa się rozmowa prowadzona po angielsku przez dwóch mężczyzn: jednego z akcentem amerykańskim, drugiego z arabskim.

- Zakładam, że Saudyjczykiem jest ibn Shafik?

Carter skinął głową.

- Kiedy zrobiono to nagranie?

- W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym ósmym - odparł. - W bezpiecznym mieszkaniu w Peszawarze.

- Kim jest Amerykanin? - spytał Gabriel, choć znał już odpowiedź.

Carter wyłączył odtwarzacz i zapatrzył się w ogień.

- To ja - powiedział nieobecny głosem. - Tym Amerykaninem w bezpiecznym mieszkaniu CIA w Peszawarze byłem ja.

- Rozpoznałbyś ibn Shafika, gdybyś ponownie go zobaczył?

- Niewykluczone, ale nasze źródła donoszą, że przeszedł kilka operacji plastycznych, zanim został aktywnym agentem. Z pewnością jednak rozpoznałbym szramę na jego prawym przedramieniu. Dostał odłamkiem szrapnela podczas wycieczki do Afganistanu w osiemdziesiątym piątym. Blizna zaczyna się tuż nad nadgarstkiem i biegnie prawie do łokcia. Żaden chirurg plastyk nie byłby w stanie sobie z nią poradzić.

- Po wewnętrznej czy zewnętrznej stronie ręki?

- Po wewnętrznej - odparł Carter. - Obrażenie spowodowało też częściowy niedowład ręki. Przeszedł kilka zabiegów, żeby to naprawić, ale żaden się nie udał. Ma zwyczaj trzymać ją w kieszeni. Nie lubi ścisnąć dłoni przy powitaniu. Dumny Beduin, co się zowie. Gardzi słabością fizyczną.

- Nie przypuszczam, żeby wasi informatorzy w Rijadzie mogli powiedzieć nam, gdzie dokładnie w imperium Ziziego się ukrywa?

- Niestety nie. Ale wiemy na pewno, że gdzieś tam. Umieście agenta na dworze Ziziego, a w końcu ibn Shafik wejdzie kuchennymi drzwiami.

- Umieścić agenta w najbliższym otoczeniu Ziziego al-Bakariego? Jak według was mamy tego dokonać, Adrianie? Zizi ma silniejszą ochronę niż większość głów państwa.

- Nie chciałbym się wtrącać w szczegóły operacyjne - powiedział Carter. - Ale możecie być pewni, że zachowamy cierpliwość i będziemy przyglądać się sprawie do końca.

- Cierpliwość i trwanie do końca nie należą do typowo amerykańskich zalet. Lubicie namieszać i przeskoczyć do następnego problemu.

Zapadło kolejne milczenie przerywane tym razem postukiwaniem fajki Cartera o brzeg popielnicy.

- Czego ode mnie oczekujesz, Gabrielu?

- Gwarancji.

- W tej branży nie ma żadnych gwarancji. Wiesz o tym.

- Chcę dostać wszystko, co macie na ibn Shafika i al-Bakariego.

- W granicach rozsądku - zaprotestował Carter. - Nie dam ci ciężarówki brudów waszyngtońskich prominentów.

- Chcę ochrony - ciągnął Gabriel. - Kiedy będzie już po wszystkim, to my zostaniemy podejrzany numer jeden. Zawsze zostajemy, nawet kiedy jesteśmy czyści jak łąza. Będzie nam potrzebna wasza pomoc, żeby cało wyjść z burzy, jaka się rozpęta.

- Mogę mówić tylko w imieniu Departamentu Operacyjnego - powiedział Carter. - I zapewniam, że pomożemy.

- Zlikwidujemy ibn Shafika w miejscu i czasie przez nas wybranym, bez nacisków z Langley.

- Prezydent byłby wdzięczny, gdyby nie doszło do tego na amerykańskiej ziemi.

- W tej branży nie ma gwarancji, Adrianie.

- Trafiony.

- Może trudno ci w to uwierzyć, ale nie mogę sam dać ci ostatecznej odpowiedzi. Muszę się skonsultować z Amosem i premierem.

- Amos i premier zrobią to, co im powiesz.

- W granicach rozsądku.

- A co im powiesz?

- Że amerykański prezydent prosi o przysługę - odparł Gabriel. - I że chcę mu pomóc.

12

Tel Megiddo, Izrael

Premier wydał zgodę na operację o czternastej trzydzieści następnego popołudnia. Gabriel skierował się prosto na Armagedon. Uznał, że to świetne miejsce na początek.

Pogoda była perwersyjnie piękna jak na taką okazję: przyjemny chłodek, bladobłękitne niebo, delikatny judzki wietrzyk, który szarpał rękawy koszuli pędzącego ulicą Jaffy konserwatora. Włączył radio. Z eteru zniknęła już żałobna muzyka, która go przepełniała w godzinach bezpośrednio po zamachu na życie Szamrona.

Zaczął się serwis informacyjny. Premier obiecał dołożyć wszelkich starań, by wytropić i ukarać ludzi odpowiedzialnych za stan swego doradcy. Nie wspomniał ani słówkiem, że już wie, kto tę odpowiedzialność ponosi, ani że upoważnił Gabriela do jego likwidacji.

Allon sunął wąwozem Bab al-Wad w stronę morza, wymijając niecierpliwie wolniejsze samochody, potem ruszył Równiną Nadbrzeżną na północ w pogoń za zachodzącym słońcem. W pobliżu Hadery ogłoszono alarm - według doniesień radiowych jakiś potencjalny zamachowiec-samobójca przedarł się przez przejście w murze bezpieczeństwa niedaleko Tulkarm - i Gabriel musiał czekać na poboczu przez dwadzieścia minut, zanim mógł popędzić dalej do doliny Ezdrelon. Jakies osiem kilometrów od Afuli po lewej stronie pojawił się okrągły pagórek. Po hebrajsku nazywa się Tel Megiddo, czyli Kopcem Megiddo. Reszta świata znała go jako Armagedon, który, według wieszczych słów Apokalipsy Świętego Jana, miał być miejscem ostatniej ziemskiej konfrontacji między siłami dobra i zła. Bitwa wszakże jeszcze się nie zaczęła i parking stał pusty, jeśli nie liczyć trzech furgonetek - znaku, że zespół archeologiczny jest na stanowisku.

Gabriel wysiadł z samochodu i stromą ścieżką skierował się na szczyt. Od ponad wieku było to miejsce okresowych prac archeologicznych i wierzchołek wzgórza rozcinał labirynt długich, wąskich rowów. Odkryto już tam ślady istnienia ponad dwudziestu miast, w tym jednego, które, jak wierzono, zbudował król Salomon.

Zatrzymał się na skraju jednego z rowów i zerknął w dół.

Ujrzał niewielką postać odzianą w brązową bluzę safari i na klęczkach kopiącą w ziemi ręcznym kilofem. Gabriel przypomniał sobie podobną scenę - kiedy stał nad wykopaliskiem, a w dole klęczał inny mężczyzna - i poczuł, jakby na karku umieszczono mu nagle bryłę lodu. Archeolog spojrział do góry i zlustrował go parą bystrych brązowych oczu, potem przeniósł wzrok na dół i podjął przerwana pracę.

- Czekałem na ciebie - powiedział Eli Lavon. - Co zajęło ci tyle czasu?

Gabriel usiadł na ziemi na krawędzi wykopu i patrzył, jak Lavon pracuje. Znali się od czasów operacji Czarny Wrzesień.

Eli Lavon był ajinem: tropicielem. Jego praca polegała na obserwowaniu terrorystów i poznawaniu ich zwyczajów. Pod wieloma względami była bardziej niebezpieczna nawet od zadań Gabriela, ponieważ Lavon czasem przebywał w otoczeniu terrorystów całymi tygodniami bez żadnego wsparcia. Po rozwiązaniu jego jednostki osiedlił się w Wiedniu i otworzył tam małą agencję dochodzeniową: Biuro Roszczeń i Odszkodowań Wojennych. Dysponując niewielkim kapitałem wyjściowym, zdołał wyśledzić i odzyskać miliony dolarów zagrabionych z majątków

żydowskich i odegrał niebagatelną rolę w wyduszeniu od szwajcarskich banków ugody opiewającej na wiele miliardów. Teraz Lavon prowadził prace wykopaliskowe i wykładał archeologię w niepełnym wymiarze godzin na Uniwersytecie Hebrajskim.

- Co tam masz, Eli?

- Kawałek glinianego naczynia, jak sądzę. - Podmuch wiatru porwał jego cienkie, rozczochrane włosy i zarzucił na czoło. - A ty?

- Saudyjskiego multimilionera, który próbuje zniszczyć cywilizowany świat.

- To cywilizowany świat jeszcze istnieje?

Gabriel się uśmiechnął.

- Jesteś mi potrzebny, Eli. Wiesz, jak czytać bilanse płatnicze. Wiesz, jak prześledzić drogę przepływów pieniężnych, tak by nikt o tym nie wiedział.

- Kim jest ów Saudyjczyk?

- Prezesem zarządu i dyrektorem naczelnym koncernu Dżihad Spółka z o.o.

- Czy ten prezes ma jakieś nazwisko?

- Abdul Aziz al-Bakari.

- Zizi al-Bakari.

- We własnej osobie.

- Podejrzewam, że to ma coś wspólnego z Szamronem.

- I z Watykanem.

- Na czym polega rola Ziziego?

Gabriel mu powiedział.

- Chyba nie muszę pytać, co zamierzasz zrobić z ibn Shafikiem - odezwał się Lavon. - Imperium Ziziego jest ogromne. Ibn Shafik może prowadzić działania z każdego miejsca na globie. Jak chcesz go odszukać?

- Wprowadzimy agenta do najbliższego otoczenia Ziziego i poczekamy, aż zjawi się ibn Shafik.

- Agent w obozie Ziziego? - Lavon potrząsnął głową. - Niewykonalne.

- Wykonalne.

- W jaki sposób?

- Znajdę coś, czego Zizi pragnie - powiedział Gabriel. - A potem mu to dam.

- Zamieniam się w słuch.

Siedząc na skraju wykopaliska z nogami dyndającymi w powietrzu, Gabriel wyjaśnił, jak zamierza przeniknąć do Dżihad Spółki z o.o. Z dołu rowu dochodziły odgłosy pracy Lavona: puk, puk, szur, szur, dmuch...

- Czego oczekujesz ode mnie?

- Żebyś gruntownie prześwietlił Ziziego al-Bakariego i AAB Holdings. Chcę szczegółowego raportu na temat każdej firmy, którą ma lub kontroluje. Sylwetek i charakterystyk wszystkich członków jego personelu kierowniczego oraz osobistej świty. Chcę wiedzieć, jak każda z tych osób tam się dostała i trwa. Chcę wiedzieć o Zizim więcej, niż Zizi wie o sobie.

- A gdy przejdziemy już do działania?

- Ty też.

- Jestem za stary i za bardzo zmęczony na te niebezpieczne zabawy.

- Jesteś największym mistrzem inwigilacji w dziejach Biura, Eli. Nie dam sobie bez ciebie rady.

Lavon usiadł i wytarł ręce o spodnie.

- Wprowadzić agenta do najbliższego otoczenia Ziziego al-Bakariego? Szaleństwo. - Rzucił Gabrielowi ręczny kilof. - Zejdz tutaj i pomóż mi. Marnujemy światło.

Gabriel zszedł do rowu i klęknął obok starego przyjaciela. Kopali razem w wiekowej ziemi, dopóki noc nie opadła na dolinę niczym kurtyna.

*

Było po dziewiątej, kiedy dotarli na bulwar Króla Saula. Lavon od dawna miał już status emeryta, ale ciągle jeszcze, od czasu do czasu, prowadził zajęcia w akademii i ciągle jeszcze miał swobodny wstęp do pomieszczeń Biura. Gabriel odprowadził go do archiwum sekcji do spraw badań, potem pospieszył do ciemnego korytarza dwa poziomy pod ziemią. Na jego końcu znajdował się pokój 456 C. Na drzwiach wisiała kartka, a na niej eleganckim charakterem pisma Gabriela skreślono po hebrajsku: Tymczasowy Zespół do spraw Badań nad Zagrożeniem Terrorystycznym w Europie Zachodniej. Postanowił na razie go zostawić.

Otworzył zamek szyfrowy, włączył światło i wszedł do środka.

Zdawało się że czas się tu zatrzymał. Nazywano go różnie: Kapsułą, Kwadratem, Kuwetą. Jakow, dziobaty twardziel z Departamentu Spraw Arabskich Szabaku, ochrzcił go mianem Piekielnej Nory. Josi z sekcji badań tytułował Wioską Przeklętych, ale Josi ukończył latynistykę na Oksfordzie i zawsze wnosił powiew erudycji do swojej pracy, nawet kiedy jej przedmiot nie był tego wart.

Przystanął przy stole na kozłach, który ongi dzieliły Dina i Rimona. Ich nieustanne sprzeczki terytorialne doprowadzały Gabriela do szaleństwa. Linia demarkacyjna, którą narysował w końcu na środku stołu, ciągle jeszcze na nim tkwiła, razem z ostrzeżeniem, które Rimona wypisała po swojej stronie: „Wstęp na własne ryzyko”. Rimona była kapitanem w SOI i pracowała dla Amanu, wojskowego wywiadu. Była także siostrzenicą Gilah Szamron. Wierzyła w siłę granic i odpowiadała odwetowymi najazdami za każdym razem, kiedy Dinie zdarzyło się przekroczyć linię. Na miejscu Diny nadal leżała krótka notka, którą zostawiła tam ostatniego dnia operacji: „Obyśmy już nigdy nie musieli tu wrócić”. Jaka naiwność, pomyślał Gabriel. Właśnie Dina, ze wszystkich ludzi na świecie, powinna zdawać sobie z tego sprawę.

Kontynuował swoją powolną przechadzkę po pokoju. W rogu piętrzyła się ta sama sterta przeznaczonego do kasacji sprzętu komputerowego, którego najwyraźniej nikt jeszcze nie miał czasu stąd zabrać. Zanim stało się siedzibą Grupy Khaleda, pomieszczenie 456 C było po prostu zwykłym składzikiem na stare meble i zużyty sprzęt, często wykorzystywanym przez personel nocny jako miejsce miłosnych schadzek. Tablica Gabriela też nadal tam stała. Nie mógł odcyfrować ostatnich słów, które na niej napisał.

Spojrzał na ściany, pokryte zdjęciami młodych Palestyńczyków.

Jego uwagę przykuło jedno: chłopca w berecie i udrapowanej na ramionach kufii, siedzącego na kolanach Jasera Arafata; zdjęcie Khaleda al-Khalify na pogrzebie jego ojca, Sabriego. Gabriel zabił Sabriego i zabił także Khaleda.

Usunął ze ścian stare fotografie i zawiesił na nich dwie nowe.

Jedna ukazywała mężczyznę w kufii gdzieś w górach Afganistanu.

Druga tego samego człowieka, tym razem w kaszmirowym płaszczu i filcowym kapeluszu, stojącego przed paryską rezydencją pewnego multimilionera.

Grupa Khaleda stała się od teraz Grupą ibn Shafika.

Przez pierwszych czterdzieści osiem godzin Gabriel i Lavon pracowali sami. Trzeciego dnia dołączył do nich Josi, wysoki łysiejący mężczyzna o manierach angielskiego intelektualisty.

Czwartego dnia zjawili się Rimona i Jakow, który przybył ze sztabu Szabaku. Przyniósł pudło pełne dokumentacji na temat terrorystów, którzy zaatakowali samochód Szamrona. Dina przybyła jako ostatnia. Niewysoka i ciemnowłosa, stała na ulicy Dizengoffa w Tel Awiwie 19 października 1994 roku, kiedy zamachowiec-samobójca z Hamasu zamienił autobus numer 5 w

mogile dwudziestu jeden ludzi. Pomiedzy zabitymi byly jej siostry i matka; sama Dina zostala powaznie ranna i nadal jeszcze nieznacznie utykała. Zeby poradzić sobie jakoś z przeszłością, postanowila zostac ekspertem do spraw terroryzmu. I rzeczywiście, Dina Sarid potrafiła wyrecytować dokładny czas, miejsce i liste ofiar każdego aktu terroru wymierzonego kiedykolwiek w państwo Izrael. Powiedziala kiedyś, że wie więcej o terrorystach niż oni sami. Gabriel jej wierzył.

Pracę rozdzielili na dwa zespoły. Ahmed ibn Shafik i Braterstwo Allaha miało być domeną Diny, Jakowa i Rimony, podczas gdy Josi dołączył do Lavona przekopującego się przez dane o AAB Holdings. Gabriel, przynajmniej na razie, pracowal przeważnie sam, ponieważ powierzył sobie raczej niewdzięczne zadanie zidentyfikowania każdego obrazu zakupionego lub sprzedanego przez Ziziego al-Bakariego.

Wraz z upływem dni ściany pokoju 456 C zaczęły odzwierciedlać wyjątkowy charakter operacji. Na jednej z nich powoli wyłaniały się mroczne zarysy śmiercionośnej siatki terrorystycznej kierowanej przez człowieka, który właściwie nadal pozostawał widmem.

Zrobili, co mogli, żeby w miarę możliwości jak najdokładniej prześledzić długą podróż ibn Shafika przez morze krwi islamskiego ekstremizmu. Gdziekolwiek tylko pojawiały się problemy, tam pojawiał się także ibn Shafik, rozdając garściami saudyjskie pieniądze i siejąc wahhabistyczną propagandę. Afganistan. Liban. Egipt, Algieria, Jordania. Pakistan. Czeczenia. Bośnia i, rzecz jasna, Autonomia Palestyńska. Mieli także kilka znaczących tropów, ponieważ przeprowadzając dwa duże zamachy, ibn Shafik i Braterstwo zostawili za sobą ponad tuzin nazwisk różnych osób, które można było prześledzić pod kątem powiązań i związków.

No i byli jeszcze Ibrahim el-Banna, egipski imam śmierci, oraz profesor Ali Massudi, łowca głów.

Na przeciwnej ścianie pojawila się inna sieć: AAB Holdings.

Korzystając z otwartych zasobów i tych, które nie były tak otwarte, Lavon w pocie czoła przedzierał się przez kolejne warstwy imperium Ziziego i zbierał do kupy niepasujące do siebie fragmenty niczym skorupy prehistorycznego artefaktu. Na samym wierzchołku struktury znajdowało się samo AAB. Poniżej rozciągała się zawiła sieć firm-córek podległych holdingowi i odgałęzień, które umożliwiły Ziziemu objęcie wpływami każdego niemal zakątka ziemi, i to w warunkach prawie doskonałej tajemnicy. Zizi, którego większość spółek zarejestrowana była na Kajmanach i w Szwajcarii, przypominał Lavonowi myśliwca niewidzialnego dla stacji radiolokacyjnych, zdolnego uderzyć wedle własnego uznania bez ryzyka wykrycia przez radar wroga. Pomimo mętnego i mało przejrzystego charakteru wielkiego imperium, Lavon doszedł do wniosku, że cyfry się nie zgadzają.

- Zizi nijak nie mógł zarobić na swoich pierwszych inwestycjach sumy, która usprawiedliwiałaby późniejsze zyski - wyjaśniał Gabrielowi. - Grupa AAB Holdings to przykrywka dla al-Saudów.

Wysiłki odnalezienia Ahmeda ibn Shafika w finansowej ośmiornicy Ziziego przywodziły Lavonowi na myśl trud poszukiwań igły na Pustyni Arabskiej.

- Wykonalne, ale obarczone dużym prawdopodobieństwem śmierci z pragnienia.

Josi zajął się personelem Ziziego. Skupił się na stosunkowo małej grupce pracującej w genewskiej siedzibie koncernu oraz na firmach w całości będących własnością AAB lub przezeń kontrolowanych.

Zdecydowaną większość czasu poświęcił jednak niemałej świdze Ziziego. Fotografie jej członków szybko pokryły ścianę nad stanowiskiem pracy Josiego, pozostając w jaskrawym kontraście do tych przedstawiających siatkę terrorystyczną ibn Shafika. Każdego dnia pojawiały się nowe, w miarę jak Josi śledził frenetyczne ruchy al-Bakariego po świdze. Zizi przybywający

na spotkanie w Londynie. Zizi naradzający się z niemieckimi producentami samochodowymi w Stuttgarcie. Zizi podziwiający widok na Morze Czerwone z okna swojego nowego hotelu w Szarm el-Szejk. Zizi naradzający się z jordańskim królem nad planami budowlanego kontraktu. Zizi otwierający zakład odsalania wody w Jemenie. Zizi odbierający nagrodę w uznaniu zasług filantropijnych od pewnej islamskiej organizacji z Montrealu, której strony internetowe, podkreślił Josi, zawierały otwarty apel o zniszczenie państwa Izrael.

Kącik, w którym pracował Gabriel, stanowił azyl od krain terroru i finansów. Jego kawałka ściany nie pokrywały twarze terrorystów czy dyrektorów finansowych, ale setki reprodukcji dzieł francuskich impresjonistów. I podczas gdy Lavon i Josi spędzali całe dni, przekopując się przez grozę budzące księgi rachunkowe i komputerowe wydruki, Gabriel kartkował stare katalogi, przeglądał monografie impresjonistów i czytał wycinki gazetowe opisujące wyczyny Ziziego na polu sztuk pięknych.

Dziesiątego dnia wpadł na pomysł, jak umieścić agenta w szeregach Dżihad Spółki z o.o. Podszedł do ściany Josiego, na której wisiały fotografie, i wbił wzrok w jedną z nich. Ukazywała wymizerowanego, siwowłosego Anglika siedzącego obok Abdula Aziza pół roku wcześniej podczas aukcji impresjonistów i sztuki nowoczesnej w domu aukcyjnym Christie's w Nowym Jorku. Gabriel odczepił fotografię i podniósł do góry, tak by mogła ją obejrzeć reszta grupy.

- Ten człowiek - oznajmił. - On musi zacząć.

Potem zadzwonił do Adriana Cartera na bezpieczny numer w Langley i powiedział mu, jak zamierza przeniknąć do domu Ziziego.

- Potrzebujesz teraz tylko jakiegoś obrazu i dziewczyny - powiedział Carter. - Załatw obraz. Ja załatwię dziewczynę.

*

Gabriel opuścił bulwar Króla Saula i udał się do Ein Kerem.

Przy wejściu na OIOM Centrum Medycznego Hadassah stała ciągle ochrona, ale Szamron był sam, kiedy Gabriel wszedł do sali.

- Syn marnotrawny postanowił wpaść z wizytą - odezwał się starzec z goryczą. - Dobrze, że mieszkamy na pustyni. W przeciwnym razie umieściłbyś mnie na krze lodowej i pozwolił, abym spłynął do morza.

Gabriel usiadł przy łóżku.

- Byłem tutaj co najmniej sześć razy.

- Kiedy?

- Późno w nocy, kiedy już spałeś.

- Czuwasz nade mną? Jak Gilah i lekarze? Dlaczego nie możesz przyjść za dnia jak normalny człowiek?

- Jestem ostatnio zajęty.

- Premier nie jest na tyle zajęty, by nie móc się ze mną zobaczyć o rozsądnej porze. -

Szamron z szyją unieruchomioną w masywnym plastikowym kołnierzu rzucił Gabrielowi mściwe spojrzenie z ukosa. - Powiedział mi, że da Amosowi wolną rękę w wyborze szefa specoperacji, żebyś ty mógł swobodnie robić z siebie głupka na polecenie Adriana Cartera i Amerykanów.

- Wnoszę z twoich słów, że tego nie pochwalasz.

- Z całych sił. - Szamron przymknął oczy na chwilę, wystarczająco długą, by Gabriel zdążył rzucić nerwowe spojrzenie na rząd monitorów stojących przy łóżku.

- Błękit i biel - powiedział w końcu stary. - Działamy samodzielnie. Nie prosimy innych o pomoc i nie pomagamy innym w rozwiązywaniu problemów, które same ściągnęły sobie na kark. A już na pewno nie zgłaszamy się na ochotnika, żeby robić za kozła ofiarnego na prośbę Adriana

Cartera.

- Jesteś w szpitalnym łóżku zamiast przy swoim biurku w gabinecie premiera. To czyni z Ziziego al-Bakarięgo i Ahmeda ibn Shafika także mój problem. Poza tym świat się zmienił, Ari. Musimy pracować razem, jeśli chcemy przeżyć. Stare zasady już się nie sprawdzają.

Szamron uniósł pokrytą żyłami rękę i wskazał na plastikowy kubek na wodę stojący na nocnym stoliku. Gabriel wziął go i trzymał przy ustach Szamrona, kiedy ten pił wodę przez słomkę.

- Na czyją prośbę podejmujesz się tego zlecenia? - spytał starzec. - Adriana Cartera czy kogoś jeszcze wyżej? - Kiedy odpowiedziało mu milczenie, gniewnie odepchnął kubek. - Masz zamiar traktować mnie jak jakiegoś kalekę? Nadal jestem specjalnym doradcą premiera do wszystkich spraw związanych z bezpieczeństwem i wywiadem. Nadal jeszcze jestem... - urwał wyczerpany.

- Nadal jesteś Memuneh - Gabriel skończył za niego zdanie.

W hebrajskim tytuł ten oznaczał tego, który stoi na czele. Przez wiele lat zarezerwowany był dla Szamrona.

- Nie polujesz na jakieś dzieciaki z Nablus, Gabrielu. Porywasz się na Ahmeda ibn Shafika i Ziziego al-Bakarięgo. Jeśli coś pójdzie nie tak, cały świat naskoczy na ciebie z bardzo wysoka. A twój przyjaciel Adrian Carter nie pomoże ci wybrnąć z tarapatów. Może jednak rozważyłbyś wprowadzenie mnie w swoje plany... Robiłem takie rzeczy raz czy dwa.

Gabriel wytknął głowę na korytarz i kazał stojącym tam agentom wyłączyć wszystkie urządzenia obserwacyjne i podsłuchowe na sali Szamrona. Potem ponownie zajął miejsce przy łóżku i z ustami przy uchu Szamrona powiedział mu wszystko. Spojrzenie starca zdawało się, na chwilę przynajmniej, nieco bardziej skupione. Kiedy zadał pierwsze pytanie, Gabrielowi prawie udało się przywołać obraz tego człowieka z żelaza, który wkroczył w jego życie pewnego wrześniowego popołudnia 1972 roku.

- Zdecydowałeś się wprowadzić do akcji kobietę?

Gabriel potaknął.

- Będziesz potrzebował takiej, której historia wytrzyma prześwietlenia szczerze opłacanych służb ochrony Ziziego. Nie możesz posłużyć się którąś z naszych dziewcząt ani żadną nieizraelską Żydówką. Jeśli w Zizim zrodzi się choćby cień podejrzenia, że patrzy na żydowską dziewczynę, będzie się trzymał od niej z daleka. Potrzeba ci gojki.

- Tym, kogo mi potrzeba - powiedział Gabriel - jest Amerykanka.

- Gdzie taką znajdziesz?

Jednosłowna odpowiedź Gabriela sprawiła, że twarz Szamrona wykrzywiła się w grymasie.

- Nie podoba mi się pomysł, żebyśmy byli odpowiedzialni za jednego z ich agentów. A jeśli coś pójdzie nie tak?

- Co mogłoby pójść nie tak?

- Wszystko - westchnął Szamron. - Wiesz to lepiej niż ktokolwiek inny.

Wyglądał na zmęczonego. Gabriel zmniejszył natężenie światła nocnej lampki na stoliku.

- Co masz zamiar zrobić? - spytał Szamron. - Poczytać mi do poduszki?

- Mam zamiar posiedzieć przy tobie, dopóki nie zaśniesz.

- To może zrobić Gilah. Idź do domu i odpocznij trochę. Potem możesz już nie mieć czasu.

- Zostanę jeszcze chwilę.

- Wracaj do domu - nalegał Szamron. - Ktoś tam na ciebie z niecierpliwością czeka.

Dwadzieścia minut później, skręciwszy w ulicę Narkissa, Gabriel ujrzał światła w oknach swojego mieszkania. Zaparkował skodę za rogiem i zakradł się cicho do budynku, a potem na trzecie piętro. Kiedy wślizgnął się do środka, owionął go zapach wanilii.

Chiara siedziała po turecku na blacie jego stołu do badań w ostrym świetle halogenowych lamp. Przyjrzała się badawczo Gabrielowi, kiedy wszedł do pokoju, potem przeniosła wzrok na to, co ongiś było pieczołowicie urządzone bawialnią.

- Podoba mi się to, co zrobiłeś z tym miejscem, Gabrielu. Błagam, powiedz, że nie usunąłeś też naszego łóżka.

Gabriel potrząsnął głową i pocałował dziewczynę.

- Jak długo zostaniesz jeszcze w mieście? - spytała.

- Jutro rano wyjeżdżam.

- Jak zawsze, moje wycucie czasu jest doskonałe. Jak długo cię nie będzie?

- Trudno powiedzieć.

- Zabierzesz mnie ze sobą?

- Nie tym razem.

- A dokąd jedziesz?

Gabriel zdjął ją ze stołu do badań i wyłączył światło.

13

Londyn

Potrzebuję jakiegoś van Gogha, Julianie.

- Jak my wszyscy, kwiatuszku.

Isherwood uniósł rękaw płaszcza i zerknął na zegarek. Była dziesiąta rano. O tej porze zazwyczaj siedział już w swojej galerii, a nie włóczył się brzegiem jeziora w parku Świętego Jakuba.

Przystanął na chwilę, żeby popatrzeć na flotyllę kaczek sunącą po spokojnej wodzie w kierunku wyspy. Gabriel wykorzystał tę sposobność i dokładniej rozejrzał się dokoła, sprawdzając, czy nie są obserwowani. Potem złapał Isherwooda za łokieć i pociągnął w stronę Horse Guards Road.

Stanowili raczej niedobraną parę, niczym dwie postaci z dwóch różnych płócien. Gabriel miał na sobie ciemne dżinsy i zamiszowe kamasze, które zapewniały mu bezgłośny chód. Ręce wcisnął w kieszenie skórzanej kurtki, ramiona pochylił do przodu, a zielone oczy nieustannie lustrowały okolicę. Isherwood, piętnaście lat starszy od Gabriela i o kilkanaście centymetrów wyższy, ubrany był w garnitur w tenisowy prążek i wełniany płaszcz. Pukle siwych włosów opadały mu na kołnierz i powiewały przy każdym kroku tyczkowatych, giętkich nóg. Julian Isherwood miał w sobie jakąś chwiejność, niepewność ruchów. Gabriel, jak zawsze, musiał powstrzymać pokusę wyciągnięcia rąk i podtrzymania przyjaciela.

Znali się od trzydziestu lat. Na wskroś angielskie nazwisko Isherwooda i jego koścista angielska postura skrywały fakt, że - przynajmniej z formalnego punktu widzenia - daleko mu było do Anglika. Był Brytyjczykiem według paszportu i narodowości, ale Niemcem z urodzenia, Francuzem z wychowania i żydem z wyznania. Tylko garstka zaufanych przyjaciół wiedziała, że Isherwood wkroczył do Londynu, kulejąc, jako mały uchodźca w 1940 roku, po tym, jak para

baskijskich pasterzy przeniosła go przez zasypane śniegiem Pireneje. Albo że jego matka i ojciec, znany berliński marszand Samuel Isakowitz, dokonali dni gdzieś na skraju polskiego lasu, w miejscu o nazwie Sobibór. Była jeszcze jedna rzecz, którą Julian Isherwood trzymał w tajemnicy przed swoimi konkurentami z londyńskiego światka sztuki - i przed prawie wszystkimi, jeśli chodzi o ścisłość. W hebrajskim żargonie Biura Isherwood był sayanem-nieopłacanym dobrowolnym współpracownikiem. Został zwerbowany przez Ariego Szamrona w jednym tylko celu: by pomóc zbudować i utrzymać kamuflaż pewnego bardzo specjalnego agenta.

- Jak się ma mój przyjaciel Mario Delvecchio? - spytał Isherwood.

- Zniknął jak sen złoty - uśmiechnął się Gabriel. - Mam nadzieję, że moja mimowolna dekonspiracja nie narobiła ci kłopotów?

- Jak dotąd nie.

- Żadnych plotek na ulicy? Żadnych niewygodnych pytań na aukcjach? Żadnych wizyt chłopców z MI-5?

- Pytasz mnie, czy mieszkańcy Londynu traktują mnie jak nikczemnego izraelskiego szpicla?

- No właśnie.

- Na tym froncie cisza, ale przecież nigdy nie afiszowaliśmy się zbyt z naszą znajomością, nieprawdaż? Masz już taki styl. Z niczym się nie afiszujesz. Jeden z dwóch lub trzech najlepszych konserwatorów sztuki na świecie, a nikt tak naprawdę nie wie, kim jesteś. Szkoda, wielka szkoda.

Doszli do rogu Great George Street. Gabriel poprowadził na prawo, w Birdcage Walk.

- Kto w Londynie wie o nas, Julianie? Kto wie, że łączyły cię zawodowe więzy z Mariem?

Isherwood popatrzył na ociekające wodą drzewa przy chodniku.

- Bardzo skąpa garstka ludzi, naprawdę. Jeremy Crabbe z Bonhamsa, rzecz jasna. Jeszcze nie zapomniał, jak sprzątnął mu prosto sprzed nosa tego Rubensa. - Położył długą, kościstą dłoń na ramieniu Gabriela. - Mam zresztą już na niego kupca. Przydałby się teraz jeszcze sam obraz.

- Wczoraj przed wyjazdem z Jerozolimy położyłem werniks - powiedział Gabriel. - Sprowadzę go tu za pośrednictwem jednego z naszych quasi-spedytorów tak szybko, jak to będzie możliwe. Myślę, że dostaniesz go jeszcze przed końcem tygodnia. A propos, jesteś mi winien sto pięćdziesiąt tysięcy funtów.

- Czek został już wysłany pocztą, kwiatuśku.

- Kto jeszcze? - indagował Gabriel. - Kto jeszcze o nas wie?

Isherwood ostentacyjnie się namyślał.

- Ten koszmary Oliver Dimbleby - oznajmił. - Pamiętasz Olivera? Przedstawiłem ci go w Green's pewnego popołudnia, kiedy jedliśmy lunch. Przysadzisty mały marszand z King Street. Próbował kiedyś wykupić moją galerię.

Gabriel pamiętał. Ciągle jeszcze miał gdzieś pretensjonalną, pozłacaną wizytówkę, którą wcisnął mu Oliver. Ledwie patrząc w kierunku Gabriela. Miał już taki styl.

- Przez lata wyświadczyłem Crabbe'owi całą masę przysług - ciągnął Isherwood. - Tego rodzaju, o których niechętnie mówi się w naszej branży. Co do Olivera Dimbleby'ego, pomogłem mu pozbyć się kłopotu, jakiego sobie narobił z jedną z pracujących w jego galerii dziewczyn. Przygarnąłem biedaczkę. Dałem pracę. Zostawiła mnie dla innego marszanda. Wszystkie moje dziewczęta tak robią. Co jest we mnie takiego, co tak odstręcza kobiety? Jestem łatwym celem, ot co. Kobiety to widzą. Podobnie jak wasza mała jednostka. A już na pewno Herr Heller.

Herr Rudolf Heller, inwestor-spekulant z Zurychu, był jedną z ulubionych tożsamości Szamrona. Posłużył się nią, kiedy werbował Isherwooda.

- Jakże się on ma, tak przy okazji?

- Przesyła pozdrowienia.

Gabriel spuścił wzrok na mokry chodnik Birdcage Walk. Z parku zawiewały poddmuchy zimnego wiatru. Martwe liście szeleściły im pod stopami.

- Potrzebuję van Gogha - powtórzył Gabriel.

- Tak. Słyszałem za pierwszym razem. Szkopuł w tym, że ja nie mam van Gogha. Na wypadek gdybyś zapomniał, galeria „Isherwood: Sztuki Piękne” specjalizuje się w starych mistrzach. Jeśli trzeba ci impresjonistów, musisz poszukać gdzie indziej.

- Ale wiesz, gdzie mogę jednego dostać.

- Tylko drogą kradzieży, bo na rynku teraz zupełna posucha - przynajmniej ja nie słyszałem o żadnym.

- Ale to niezupełnie prawda, czyż nie, Julianie? Wiesz o pewnym van Goghu. Sam opowiadałeś mi o nim wieki temu - tę historię o wcześniej nieznanym obrazie, który twój ojciec widział w Paryżu w okresie międzywojennym.

- Nie tylko mój ojciec - sprostował Isherwood. - Ja też go widziałem. Vincent namalował go w Auvers, w ostatnich dniach życia. Jak zresztą wieść niesie, właśnie to płótno mogło przyczynić się do jego zguby. Sęk w tym, że obraz nie jest na sprzedaż i prawdopodobnie nigdy nie będzie. Rodzina dała mi bardzo wyraźnie do zrozumienia, że za nic się z nim nie rozstanie. Jest także absolutnie zdeterminowana, by nawet samo jego istnienie utrzymać w tajemnicy.

- Opowiedz mi raz jeszcze tę historię.

- Nie mam teraz czasu, Gabrielu. O dziesiątej trzydzieści mam umówione spotkanie w galerii.

- Odwołaj je, Julianie. Opowiedz mi o tym płótnie.

Isherwood przeszedł przez mostek nad jeziorem i skierował się w stronę galerii w Saint James's. Gabriel wepchnął ręce nieco głębiej do kieszeni kurtki i ruszył za nim.

- Czyściłeś go kiedykolwiek? - spytał Isherwood.

- Vincenta? Nigdy.

- Co ci wiadomo o ostatnich dniach jego życia?

- Mniej więcej tyle co każdemu, jak mniemam.

- Pieprzysz, Gabrielu. Nie rób ze mnie idioty. Twój mózg jest jak mały leksykon sztuki.

- To było lato tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego, prawda?

Isherwood skinął głową na znak zawodowej aprobaty.

- Mów dalej.

- Gdy Vincent opuścił szpital dla obłąkanych w Saint-Remy, przyjechał do Paryża, żeby zobaczyć się z Theo i Johanną. Był w kilku galeriach i na kilku wystawach, zajrzał do sklepu z materiałami dla artystów Pere Tanguy'ego, żeby sprawdzić, jak się mają płótna, które oddał tam na przechowanie. Po trzech dniach zaczął się robić niespokojny, więc wsiadł do pociągu jadącego do Auvers-sur-Oise, jakieś trzydzieści kilometrów od Paryża. Myślał, że Auvers będzie idealnym miejscem do pracy: spokojne, wiejskie otoczenie, ale wystarczająco blisko Theo, jego finansowego i emocjonalnego wsparcia. Wynajął pokój nad Cafe Ravoux i oddał się pod opiekę doktora Paula Gacheta.

Gabriel wziął Isherwooda pod ramię; razem przeszli przez lukę w sznurze przejeżdżających po Mall samochodów i znaleźli się na Marlborough Road.

- Z miejsca zaczął malować. Jego styl, podobnie jak nastrój, stał się spokojniejszy, bardziej wyciszony. Zniknęło wzburzenie i gwałtowność, które charakteryzowały większość jego

prac powstałych w Saint-Remy i Arles. Był także niewiarygodnie płodny. W ciągu dwóch miesięcy pobytu w Auvers namalował ponad osiemdziesiąt obrazów. Jeden dziennie. W niektóre dni dwa.

Skęcili w King Street. Gabriel gwałtownie przystanął. Przed nimi, drepcząc chodnikiem w kierunku wejścia do domu aukcyjnego Christie's, zamajaczył Oliver Dimbleby. Isherwood, niewiele myśląc, zбочzył w Bury Street i podjął tam, gdzie urwał Gabriel.

- Kiedy nie stał przy sztalugach, spędzał czas w swoim pokoju nad Cafe Ravoux albo w domu Gacheta. Lekarz był wdowcem z dwójką dzieci: piętnastoletnim chłopcem i córką, która podczas pobytu Vincenta w Auvers skończyła lat dwadzieścia jeden.

- Marguerite.

Isherwood skinął głową.

- Była ładną dziewczyną, w dodatku bardzo zakochaną w Vincencie. Zgodziła się dla niego pozować - niestety, bez wiedzy i zgody ojca. Namalował ją w ogrodzie jej rodzinnego domu, ubraną w białą suknię.

- Marguerite Gachet w ogrodzie - powiedział Gabriel.

- Kiedy ojciec się o tym dowiedział, wpadł we wściekłość.

- Ale pozowała Vincentowi raz jeszcze.

- Zgadza się - przytaknął Isherwood. - Tym drugim obrazem jest Marguerite Gachet przy pianinie. Pojawia się także w Zaroślach z dwiema postaciami, głęboko symbolicznym płótnie, w którym jakiś historyk sztuki dopatrywał się proroczej zapowiedzi samobójstwa malarza. Ale ja sądzę, że obraz przedstawia Vincenta i Marguerite idących kościelną nawą: jego marzenie o małżeństwie.

- Ale był jeszcze czwarty portret Marguerite?

- Marguerite Gachet przy toalecie - sprecyzował Isherwood. - Bije wszystkie pozostałe na głowę. Tylko garstka ludzi go kiedykolwiek widziała i w ogóle wie o jego istnieniu. Vincent namalował go na kilka dni przed śmiercią. A potem obraz zniknął.

Doszli do Duke Street, potem prześlizgnęli się przez wąskie przejście na czworokątny dziedziniec z cegły zwany Mason's Yard.

Galeria Isherwooda mieściła się w starym wiktoriańskim składzie sklepowym w najdalszym rogu, wepchnięta między biura jakiejś podrzędnej greckiej firmy spedycyjnej a pub, który, jak łatwo przewidzieć, pełen był ładnych urzędniczek jeżdżących na skuterach. Isherwood ruszył przez podwórze w kierunku galerii, ale Gabriel złapał go za kłapy i lekko pchnął w przeciwnym kierunku.

Kiedy spacerowali po obrzeżach pogrążonego w chłodnym cieniu dziedzińca, marszand ciągnął opowieść o śmierci artysty.

- Wieczorem dwudziestego siódmego lipca Vincent zjawił się nagle w Cafe Ravoux z twarzą wykrzywioną bólem i powlókł się na górę do swego pokoju. Madame Ravoux udała się za nim i odkryła, że ma ranę postrzałową brzucha. Posłała po lekarza. Tym lekarzem był, rzecz jasna, nie kto inny jak doktor Gachet. Uznał, że lepiej nie ruszać kuli, i wezwał do Auvers Theo. Kiedy ten przybył następnego ranka, zastał brata w łóżku palącego fajkę. Vincent zmarł jeszcze tego samego dnia.

Weszli w plamę oślepiającego słońca. Isherwood ocienił oczy smukłą dłonią.

- Wiele pytań na temat samobójstwa Vincenta pozostaje wciąż bez odpowiedzi. Nie jest jasne, skąd zdobył rewolwer, nie wiemy też, gdzie dokładnie był, kiedy się postrzelił. Pojawia się także szereg niejasności co do motywu. Czy samobójstwo stanowiło kulminację jego wieloletnich zmagania z chorobą psychiczną? A może z równowagi wytrącił go list, który chwilę przedtem dostał od Theo, a w którym brat dawał mu do zrozumienia, że mając na utrzymaniu

żonę i dziecko, nie może już dłużej wspierać Vincenta? Czy może odebrał sobie życie, by zapewnić swojej sztuce znaczenie i komercyjny sukces? Nigdy nie zadowalała mnie żadna z tych hipotez. Osobiście uważam, że cała sprawa miała coś wspólnego z Gachetem. A dokładniej mówiąc: z córką doktora Gacheta.

Raz jeszcze wkroczyli w obszar cienia. Isherwood opuścił dłoń.

- Dzień przed tym, jak się postrzelił, Vincent zjawił się w domu medyka. Doszło do gwałtownej wymiany zdań, Vincent groził nawet Gachetowi bronią. Jaki był powód tej kłótni? Lekarz utrzymywał potem, że poszło o ramę do obrazu, ni mniej, ni więcej. Ja sądzę, że o dziewczynę. Moim zdaniem niewykluczone, że to się jakoś wiązało z Marguerite Gachet przy toalecie. To wyśmienita praca, jeden z najlepszych portretów Vincenta. Zarówno poza, jak i cała sceneria jednoznacznie nasuwają skojarzenie z oblubienicą w noc poślubną. Ta wymowa nie umknęłaby komuś takiemu jak Paul Gachet. Jeśli widział obraz - a nie ma powodu przypuszczać, że nie - musiał być nie na żarty rozsierdzony. Może powiedział Vincentowi, żeby wybił sobie z głowy małżeństwo z jego córką. Może zabronił mu kiedykolwiek jeszcze malować Marguerite. Może zakazał w ogóle się z nią spotykać. Wiemy natomiast na pewno, że Marguerite Gachet nie była obecna na pogrzebie Vincenta, choć widziano ją następnego dnia, jak cała we łzach kładła na jego grobie słoneczniki. Nigdy nie wyszła za mąż i żyła w Auvers samotnie, trochę jak odludek, aż do śmierci w tysiąc dziewięćset czterdziestym dziewiątym roku.

Minęli wejście do galerii Isherwooda i kontynuowali obchód dziedzina.

- Po śmierci Vincenta jego obrazy przeszły na własność Theo. Załatwił przewiezienie prac, które Vincent wykonał w Auvers, i oddał je na przechowanie Pere Tanguy'emu w Paryżu. Theo, jak wiadomo, zmarł niedługo po bracie i obrazy stały się własnością Johanny. Nikt z pozostałych krewnych Vincenta nie zgłaszał żadnych roszczeń do jego płócien. Brat Johanny uważał je za bezwartościowe i chciał spalić. - Isherwood przystanął. - Wyobrażasz sobie? - Ruszył znowu swoim długim krokiem. - Johanna skatalogowała kolekcję i pracowała w pocie czoła, by zapewnić obrazom uznanie, na jakie zasługiwały. To dzięki niej Vincent van Gogh uważany jest dziś za wielkiego artystę. Ale jej lista prac Vincenta zawiera jedno rażące przeoczenie.

- Marguerite Gachet przy toalecie.

- Właśnie - przytaknął Isherwood. - Pytanie tylko, czy przypadkowe, czy zamierzone? Rzecz jasna, nigdy już się tego nie dowiemy, ale mam na ten temat swoją teorię. Uważam, że Johanna wiedziała, iż ów obraz mógł przyczynić się do śmierci Vincenta. Jakkolwiek było, płótno zostało sprzedane za psi grosz ze składu Pere Tanguy'ego w ciągu roku czy jakoś tak po śmierci Vincenta i słuch o nim zaginął. I tu właśnie zaczyna się rola mojego ojca w całej tej historii.

Skończyli pierwszą rundkę po dziedzincu i zaczęli następną.

Isherwood zwolnił kroku, kiedy zaczął mówić o ojcu.

- W sercu był berlińczykiem. Najchętniej zostałby w tym mieście na zawsze. Niestety, nie wchodziło to, rzecz jasna, w grę. Zobaczył nadciągające chmury i natychmiast opuścił stolicę. Z końcem tysiąc dziewięćset trzydziestego szóstego wyjechaliśmy z Berlina i przeprowadziliśmy się do Paryża. - Popatrzył na Gabriela. - Szkoda, że twój dziadek nie postąpił tak samo. Był wielkim malarzem. Pochodzisz ze świetnego rodu, mój chłopcze.

Gabriel szybko zmienił temat.

- Galeria twojego ojca znajdowała się na rue de la Boetie, prawda?

- Naturalnie - odparł Isherwood. - W tamtym czasie rue de la Boetie była ośrodkiem życia artystycznego. Przy numerze dwudziestym pierwszym galerię miał Paul Rosenberg. Picasso i Olga zajmowali lokal po przeciwnej stronie podwórza, pod dwudziestym trzecim. Georges

Wildenstein, Paul Guillaume, Josse Hessel, Etienne Bignou: wszyscy tam mieszkali. Galerie Isakowitza i Rosenberga sąsiadowały ze sobą. Mieszkaliśmy w apartamencie nad salami wystawienniczymi. Picassa nazywałem „wujkiem Pablo”. Pozwalał mi patrzeć, jak maluje, a Olga napychała mnie czekoladkami.

Isherwood pozwolił sobie na leciutki, przelotny uśmiech, który natychmiast zgasł, kiedy podjął opowieść.

- Niemcy wkroczyli w maju tysiąc dziewięćset czterdziestego i zaczęli plądrować miasto. Ojciec wynajął chateau w Bordeaux na terenach Vichy i przewiózł tam co cenniejsze obrazy. Wkrótce do niego dołączyliśmy. Dwa lata później Niemcy zajęli strefę nieokupowaną, zaczęły się łapanki i deportacje. Byliśmy w pułapce. Ojciec zapłacił dwójce baskijskich pasterzy, żeby przenieśli mnie przez góry do Hiszpanii. Dał mi jakieś dokumenty, spis obrazów, kilka pamiątek. Wtedy widziałem go po raz ostatni.

Z Duke Street dobiegł głośny dźwięk klaksonu, stadko gołębi zerwało się do lotu nad pogrążonym w cieniu dziedzińcem.

- Minęły całe lata, zanim zabrałem się do przestudiowania tych pamiątek. W jednym z nich natrafiłem na informację o obrazie, który ojciec widział pewnego wieczoru w Paryżu w domu niejakiego Izaaka Weinberga.

- Marguerite Gachet przy toaletce.

- Weinberg powiedział mi, że kupił płótno od Johanny niedługo po śmierci Vincenta i podarował je żonie na urodziny. Najwyraźniej pani Weinberg musiała nieco przypominać Marguerite. Ojciec spytał Izaaka, czy byłby skłonny sprzedać obraz - nie był. Poprosił jeszcze ojca, by nie wspominał nikomu o płótnie, a ojciec spełnił tę prośbę z największą przyjemnością.

Odezwała się komórka Isherwooda. Zignorował ją.

- We wczesnych latach siedemdziesiątych, tuż zanim cię poznałem, byłem w Paryżu w interesach. Miałem kilka wolnych godzin między spotkaniami i postanowiłem odwiedzić monsieur Weinberga. Udałem się pod figurujący w zapiskach ojca adres, ale Weinberga już tam nie było. Nie przeżył wojny. Poznałem za to jego syna, Marca, i powiedziałem mu o zapiskach ojca. Początkowo wypierał się i zaprzeczał, ale w końcu uległ i pozwolił mi obejrzeć obraz, wymusiwszy na mnie wcześniej przyrzeczenie zachowania sprawy w sekrecie. Płótno wisiało w sypialni jego córki. Zapytałem, czy nie ma ochoty się z nim rozstać. Naturalnie nie miał.

- Jesteś pewien, że to Vincent?

- Bez cienia wątpliwości.

- I nie byłeś tam już nigdy więcej?

- Monsieur Weinberg wyraźnie dał do zrozumienia, że obraz nigdy nie będzie na sprzedaż. Nie widziałem sensu. - Isherwood zatrzymał się i odwrócił twarzą do Gabriela. - Dobra, kwiatuszk. Opowiedziałem ci moją historię. Teraz ty, jak sądzę, powiesz mi, o co w tym wszystkim chodzi.

- Potrzebuję tego van Gogha, Julianie.

- A to w jakim celu?

Gabriel chwycił Isherwooda za rękaw i pociągnął w stronę wejścia do galerii.

Przy szklanych drzwiach znajdował się panel domofonu z czterema przyciskami opatrzonymi tyłomaż nazwiskami. Na jednej z wizytówek widniało: GALERIA ISHER 00: SUKI PIĘKNE - TYLKO PO UMÓWIENIU. Isherwood otworzył kluczem drzwi i wprowadził Gabriela po schodach przykrytych wytartą brązową wykładziną. Na półpiętrze znajdowała się kolejna para drzwi. Za tymi na lewo mieściło się melancholijne małe biuro podróży.

Jego właścicielka, stara panna nazwiskiem Archer, siedziała za biurkiem pod plakatem przedstawiającym szczęśliwą parę pluskającą się w lazurowej wodzie. Drzwi do galerii

Isherwooda znajdowały się na prawo. Jego najnowsza sekretarka, przeprasząc, że żyje, stworzenie imieniem Tanya, rzuciła ukradkowe spojrzenie na wchodzących Isherwooda i Gabriela.

- To jest pan Klein - powiedział Isherwood. - Chciałby rzucić okiem na coś na górze. Nie ma mnie dla nikogo. Dobra dziewczynka.

Weszli do windy rozmiarów budki telefonicznej i pojechali na górę, stojąc tak blisko siebie, że Gabriel, chcąc nie chcąc, raczył się zapachem wczorajszego bordo wyczuwalnym w oddechu przyjaciela. Kilka sekund później winda zatrzymała się z dygotem, a drzwi otworzyły ze zgrzytem. Sala wystawiennicza tonęła w mroku, oświetlona jedynie promieniami porannego słońca, wpadającymi przez świetlik. Isherwood usadowił się na krytej aksamitem sofie stojącej na środku pomieszczenia, podczas gdy Gabriel ruszył na obchód. Obrazy były prawie niewidoczne w głębokim cieniu, ale i tak dobrze je znał: Wenus autorstwa Luiniego; Narodziny Chrystusa Perina del Vagi, Chrzest Jezusa Bordonego, świetlisty pejzaż Claude'a.

Isherwood otworzył usta i już, już miał się odezwać, ale Gabriel uniósł palec do warg, a z kieszeni kurtki wyciągnął coś, co wyglądało na zwykły telefon komórkowy marki Nokia. I istotnie była to nokia, ale wyposażona w kilka niedostępnych dla zwyczajnych klientów dodatkowych funkcji, takich jak lokalizator GPS i urządzenie wykrywające obecność ukrytych przekaźników. Konserwator raz jeszcze przemierzył pokój, tym razem ze wzrokiem wbitym w wyświetlacz telefonu. Potem usiadł obok marszanda i ściszym głosem wyjaśnił, po co potrzebny mu jest van Gogh.

- Zizi al-Bakari? - spytał Isherwood z niedowierzaniem. - Pieprzonym terrorystą? Jesteś pewien?

- On sam nie podkłada bomb, Julianie. Nawet ich nie robi. Ale opłaca rachunki i wykorzystuje swoje finansowe imperium, by ułatwić przerzut ludzi i sprzętu. W dzisiejszym świecie to rzecz równie zła. Gorsza nawet.

- Spotkałem go raz, choć on zapewne mnie nie pamięta. Poszedłem na przyjęcie w jego posiadłości w Gloucestershire. Nie lada przyjęcie. Morze ludzi. Ziziego nie było. Zszedł na dół na sam koniec niczym jakiś pieprzony Gatsby. Otoczony przez goryli, nawet we wnętrzu własnego domu. Dziwny gość. Ale zapalony kolekcjoner, nieprawdaż? Kobiet. Sztuki. Wszystkiego, co można dostać za pieniądze. Drapieżny, z tego co słyszałem. Naturalnie osobiście nigdy nie miałem z nim styczności na gruncie zawodowym. Gusta Ziziego nie obejmują starych mistrzów. Ma hyzia na punkcie impresjonistów i paru innych modernistycznych kawałków. Wszyscy Saudyjczycy są tacy sami. Nie przepadają za chrześcijańską symboliką starych mistrzów.

Gabriel usiadł obok Isherwooda.

- On nie ma jeszcze żadnego van Gogha, Julianie. Od czasu do czasu rozpuszczał tu i ówdzie wici, że chętnie by się jakimś zaopiekował. Ale nie pierwszym lepszym van Goghiem. Chce czegoś specjalnego.

- Z tego, co wiem, kupuje bardzo ostrożnie. Wydaje wiadra pieniędzy, ale mądrze. Ma kolekcję wartości pinakoteki, nie miałem pojęcia, że bez van Gogha.

- Jego doradcą do spraw sztuki jest niejaki Andrew Malone. Znasz gościa?

- Niestety, Andrew i ja znamy się aż za dobrze. Umościł się wygodnie w kieszeni Ziziego. Spędza wakacje na jego jachcie... Wielkim jak pieprzony Titanic, z tego co słyszałem. Andrew to cwaniak, jakich mało. Bez krzty poczucia przyzwoitości.

- To znaczy?

- Bierze z dwóch stron, kwiatuśku.

- Co masz na myśli, Julianie?

- Andrew ma z Zizim umowę na wyłączność, co oznacza, że nie może przyjmować pieniędzy od jakiegokolwiek innego marszanda czy kolekcjonera. W ten sposób tacy wielcy chłopcy jak Zizi usiłują sobie zagwarantować, że rady, jakie otrzymują, nie będą skażone jakimkolwiek konfliktem interesów.

- W co umaczany jest Malone?

- Łapówki, wymuszenia, podwójne prowizje, co tylko chcesz.

- Jesteś pewien?

- Absolutnie, kwiatuszku. Każdy w mieście wie, że jeśli chce się robić interesy z Zizim, trzeba zapłacić haracz Andrew Malone'owi.

Isherwood wstał nagle z kanapy i zaczął przemierzać salę.

- Więc jaki masz plan? Wywabić Ziziego z kryjówki za pomocą van Gogha? Potrząsnąć mu nim przed oczyma w nadziei, że połknie haczyk, przypon i linkę? Ale po drugiej stronie wędki będzie niespodzianka, prawda? Jeden z twoich agentów?

- Coś w tym stylu.

- A gdzie zamierzasz odstawić to widowisko? Wnoszę, że tutaj?

Gabriel rozejrzył się po pokoju z aprobatą.

- Dobrze wnosisz - przyznał. - Sądzę, że to miejsce doskonale się nada.

- Tego się bałem.

- Potrzebuję marszanda - powiedział Gabriel. - Kogoś znanego w branży. Kogoś, komu mogę zaufać.

- Ja się zajmuję starymi mistrzami, nie impresjonistami.

- To nie będzie miało znaczenia przy takiej cichej transakcji.

Isherwood nie oponował. Wiedział, że Gabriel ma rację.

- Wziąłeś pod uwagę konsekwencje dla moi, jeśli twój mały gambit się powiedzie? Będę człowiekiem przeznaczonym na odstrzał, ściganym. Mogę zadawać się z typami pokroju Olivera Dimbleby'ego, ale pierdolona, w dupę jebana al Kaida to zupełnie inna para kaloszy.

- Naturalnie, będziemy musieli podjąć jakieś postoperacyjne środki bezpieczeństwa co do twojej osoby.

- Uwielbiam te eufemizmy, Gabrielu. Ty i Szamron zawsze sięgacie po eufemizmy, kiedy prawda jest zbyt straszna, by rzecz nazwać po imieniu. Obłożą moją głowę fatwą. Będę musiał zamknąć interes. Zejść do pieprzonego ukrycia.

Gabriel wyglądał na nieporuszonego protestami Isherwooda.

- Nie robisz się coraz młodszy, Julianie. Twoja droga dobiega końca. Nie masz dzieci. Żadnych spadkobierców. Kto niby przejmie tę galerię? Poza tym czy rozważyłeś choć przez chwilę, jaką prowizję dostaniesz za sprzedaż wcześniej nieznanego van Gogha? Dodaj do tego szmal, jaki zainkasujesz za resztę inwentarza. Naprawdę mogłoby być o wiele gorzej.

- Widzę piękną willę na południu Francji. Nowe nazwisko. Oddział ochroniarzy z Biura czuwających nad moją spokojną starością.

- Zarezerwuj jeden pokój dla mnie.

Isherwood usiadł ponownie.

- Twój plan ma jedną wadę, kwiatuszku. Łatwiej będzie załatwić twojego terrorystę niż tego van Gogha. Zakładając, że ciągle jest w posiadaniu Weinbergów, co każe ci wierzyć, że się go wyzbędą?

- A kto mówi o wyzbywaniu się?

Isherwood się uśmiechnął.

- Zapiszę ci adres.

Marais, Paryż

- Powinieneś coś zjeść - upierał się Uzi Nawot.

Gabriel potrząsnął głową. Jadł lunch w pociągu w czasie podróży z Londynu.

- Weź sobie barszczyk - naciska! Nawot. - Nie można być u Jo Goldenberga i nie spróbować barszczyku.

- Można - powiedział Gabriel. - Purpurowe jedzenie mnie frustruje.

Nawot przywołał wzrokiem kelnera i zamówił ekstra dużą misę barszczu oraz szklaneczkę koszerne go czerwonego wina. Gabriel skrzywił się i wyjrzał przez okno. O bruk rue des Rosiers nie przestawał bębnić miarowo deszcz i zrobiło się już prawie ciemno. Chciał spotkać się z Nawotem w jakimś innym miejscu, a nie w najbardziej znanym barze w najbardziej wystawionej na widok żydowskiej dzielnicy Paryża, ale Nawot upierał się przy Jo Goldenbergu, wychodząc ze starego przeświadczenia, że najciemniej jest pod latarnią.

- To miejsce mnie przygnębia - wymruczał Gabriel. - Chodźmy się przejść.

- W taką pogodę? Zapomnij. Zresztą w tym przebraniu nikt cię nie rozpozna. Nawet ja miałem trudności, kiedy stanąłeś w drzwiach.

Gabriel zerknął na upiorne odbicie w szybie. Miał na sobie zamszową czapkę z daszkiem, szkła kontaktowe, które zmieniły mu zielone oczy na brązowe, oraz sztuczną kozią bródkę, podkreślając szczupłość jego i tak wąskiej twarzy. Przyjechał do Paryża na niemieckim paszporcie opiewającym na osobę niejakiego Heinricha Kielvera. Po przybyciu na dworzec Gare du Nord spędził dwie godziny, chodząc nabrzeżem Sekwany, żeby się upewnić, że nikt go nie śledzi. W torbie na ramię miał podniszczony tom Woltera, który nabył od bouquiniste na Quai Montebello.

Odwrócił głowę od okna i spojrzał na Nawota, barczystego mężczyznę, o kilka lat młodszego od Gabriela, o krótkich rudoblon d włosach i bladoniebieskich oczach. W żargonie Biura Nawot był katsą: tajnym agentem operacyjnym. Uzbrojony w szeroki wachlarz obcych języków, szelmowski urok i fatalistyczną arogancję, infiltrował palestyńskie komórki terrorystyczne i werbował agentów w arabskich ambasadach na terenie całej Europy Zachodniej. Dysponował źródłami informacji w niemal wszystkich tajnych służbach na kontynencie i nadzorował rozległą sieć sayanim. Zawsze mógł liczyć na najlepszy stolik w restauracji w paryskim Ritzu, z tej prostej przyczyny, że maitre d'hotel był opłacanym informatorem, podobnie jak szefowa pokojówek. Teraz miał na sobie szarą tweedową marynarkę i czarny golf, ponieważ w Paryżu uchodził za Vincenta Laffonta, żyjącego na walizkach pisarza-globtrotera bretońskiego pochodzenia. W Londynie z kolei był Clyde'em Bridgesem, dyrektorem do spraw marketingu na Europę mało znanego producenta oprogramowania. W Madrycie kasiastym Niemcem, który trawił całe godziny w kafejkach i barach oraz dużo podróżował, by ulżyć cierpieniom swojej niespokojnej i skomplikowanej duszy.

Nawot sięgnął do aktówki i wyjął szarą teczkę, którą umieścił na stoliku przed Gabrielem.

- Oto właścicielka twojego van Gogha - powiedział. - Rzuć okiem.

Gabriel dyskretnie otworzył teczkę. Fotografia w środku ukazywała atrakcyjną kobietę w średnim wieku o ciemnych falujących włosach, oliwkowej cerze i długim orlim nosie. Nad głową trzymała parasolkę i schodziła po kamiennych schodach na Montmartrze.

- Hannah Weinberg - powiedział Nawot. - Czterdzieści cztery lata, niezamężna, bezdzietna. Żydowski przyrost naturalny w kapsułce: jedyne dziecko bez żadnych własnych. Jak tak dalej pójdzie, nie będziemy potrzebować oddzielnego państwa. - Spuścił wzrok i ponuro dziobał swojego kurczaka z warzywami. Podatny był na ataki przygnębienia, zwłaszcza jeśli chodziło o przyszłość narodu żydowskiego. - Ma mały butik na Montmartrze, dokładnie na rue Lepic. Przybytek nazywa się Butik Lepic. Zrobiłem to zdjęcie dzisiejszego popołudnia, kiedy szła na lunch. Można odnieść wrażenie, że ów sklepik to bardziej hobby niż źródło utrzymania. Widziałem wyciągi z jej kont bankowych. Marc Weinberg dobrze zadbał o przyszłość finansową swojej córki.

Podszedł kelner i postawił czarkę purpurowych pomoy przed Gabrielem. Ten natychmiast przesunął ją na środek stolika. Nie znosił zapachu barszczu. Nawot wrzucił kawał chleba do swojego i mieszał w nim łyżką.

- Ciekawy gość był z tego Weinberga. Wzięty prawnik tu w Paryżu. Także swego rodzaju bojownik pamięci. Wywierał naciski na rząd, by wreszcie wyjawiał całą prawdę o roli Francuzów w Holocauście. W efekcie czego nie cieszył się specjalną popularnością w niektórych paryskich kręgach.

- A dziewczyna? Jakie ma poglądy?

- Umiarkowanie eurosocjalistyczne, ale to we Francji nie zbrodnia. Oprócz kasy odziedziczyła po ojcu także waleczność. Udziela się w ugrupowaniu, które wypowiedziało wojnę tutejszemu antysemityzmowi. Nawet spotkała się raz z francuskim prezydentem. Zajrzyj pod zdjęcie.

Gabriel znalazł wycinek z jakiegoś francuskiego czasopisma na temat nowej fali antysemityzmu we Francji. Zamieszczona obok tekstu fotografia ukazywała żydowskich manifestantów pikietujących na jednym z mostów nad Sekwaną. Na czele grupy, z transparentem, którego hasło głosiło: DOŚĆ NIENAWIŚCI, szła Hannah Weinberg.

- Czy była kiedyś w Izraelu?

- Co najmniej cztery razy. Szabak już sprawdza, czy nie zbunkrowała się wtedy w Ramalli, knując z terrorystami. Ale jestem pewien, że nic na nią nie znajdą. To strzał w dziesiątkę. Dar od bogów wywiadu.

- Preferencje seksualne?

- Mężczyźni, o ile nam wiadomo. Jest związana z jakimś urzędnikiem.

- Żydem?

- Dzięki Bogu.

- Byłeś w jej mieszkaniu?

- Poszedłem osobiście z zespołem neviot.

Zespoły neviot specjalizowały się w zbieraniu informacji z trudnych obiektów, takich jak mieszkania, biura i pokoje hotelowe.

Jednostka składała się z najlepszych artystów od włamań i kradzieży na świecie. Gabriel planował wykorzystać ich na późniejszym etapie operacji - pod warunkiem, rzecz jasna, że Hannah Weinberg zgodzi się rozstać ze swoim van Goghciem.

- Widziałeś obraz?

Nawot skinął głową.

- Trzyma go w swojej sypialni z czasów dzieciństwa.

- Jak wygląda?

- Jesteś ciekaw mojej oceny van Gogha? - Nawot wzruszył szerokimi ramionami. -

Bardzo milusi obrazek przedstawiający jakąś dziewczynę stojącą przy toaletce. Nie jestem typem artysty jak ty. Mnie wystarcza kurczak z puszki i ładne love story w kinie. Nie jesz zupy.

- Nie lubię jej, Uzi. Mówiłem ci, że nie lubię.

Nawot wziął łyżkę Gabriela i zamieszał kapkę śmietany, rozjaśniając nieco barwę purpurowej cieczy.

- Przejrzeliśmy jej dokumenty - powiedział. - Pogrzebaliśmy w szafach i szufladach. Zostawiliśmy też mały drobiazg w komputerze i telefonie. Nigdy nie za wiele ostrożności w takiej sytuacji.

- Podłuch w pokojach?

Nawot sprawiał wrażenie dotkniętego pytaniem.

- Oczywiście - rzucił.

- Co służy za stanowisko odsłuchowe?

- Na razie furgonetka. Jeśli zgodzi się nam pomóc, będziemy potrzebowali czegoś bardziej stacjonarnego. Jeden z neviotowców już rozgląda się po okolicy za odpowiednim mieszkaniem.

Nawot odsunął na bok resztki kurczaka i zabrał się za barszcz Gabriela. Mimo całego swojego europejskiego obycia i wyrafinowania, w głębi duszy pozostał chłopcem ze sztetl.

- Widzę, do czego to wszystko zmierza - mówił między kolejnymi łyżkami. - Tobie przypadnie w udziale złapanie złoczyńcy, a mnie spędzenie roku na obserwowaniu dziewczyny. Ale tak jest z nami od zawsze, prawda? Ty zbierasz całą chwałę, a tacy operacyjni wyrobnicy jak ja odwalają czarną robotę. Mój Boże, uratowałeś przecież samego papieża. Jak taki zwykły śmiertelnik jak ja mógłby to przebić?

- Zamknij się, Uzi, i jedz zupkę.

Bycie wybrańcem Szamrona miało swoją cenę. Gabriel był przyzwyczajony do zawodowej zawiści kolegów.

- Jutro muszę wyjechać z Paryża - powiedział Nawot. - Nie będzie mnie tylko jeden dzień.

- Gdzie się udajesz?

- Amos chce zamienić ze mną słowo - urwał, potem dodał: - Myślę, że to ma coś wspólnego z robotą w specoperacjach. Tą, którą ty odrzuciłeś.

To ma sens, pomyślał Gabriel. Nawot był wyjątkowo kompetentnym agentem operacyjnym, który brał udział w kilku dużych akcjach, w tym także paru z udziałem Gabriela.

- Tego właśnie chcesz, Uzi? Pracy na bulwarze Króla Saula?

Nawot wzruszył ramionami.

- Od bardzo dawna siedzę na zesłaniu w terenie. Bella planuje ślub. Trudno jest uwić rodzinne gniazdko, kiedy się żyje w ten sposób. Czasem budzę się rano i nie wiem, gdzie przyjdzie mi zasnąć wieczorem. Jem śniadanie w Berlinie, lunch w Amsterdamie, a o północy siedzę już na bulwarze Króla Saula, zdając raport szefowi. - Nawot posłał Gabrielowi konspiracyjny uśmiech. - Tego właśnie nie są w stanie pojąć w nas Amerykanie. Rozstawiają swoich agentów operacyjnych na małych poletkach i dają po łapach, gdy tylko któryś odważy się przekroczyć wyznaczoną linię. Biuro nie działa w ten sposób. Nigdy zresztą nie działało. To właśnie czyni pracę w nim tak wspaniałą i to właśnie dlatego nasze służby biją na głowę ich. Nie wiedzieliby, co zrobić z kimś takim jak ty.

Nawot stracił zainteresowanie barszczem. Popchnął go przez stół, tak że wyglądało, jakby to Gabriel go jadł. Konserwator sięgnął po szklaneczkę wina, ale się rozmyślił. Bolała go głowa od jazdy pociągami i deszczowej paryskiej pogody, a ta kosztowna alpaga pachniała niemal równie odrażająco jak rozcieńczalnik do farb.

- Tylko że ta praca zbiera swoje żniwo, jeśli chodzi o małżeństwa i związki, prawda, Gabrielu? Jak wielu z nas jest rozwodnikami? Ilu miało romanse z dziewczynami w terenie?

Pracując w Tel Awiwie, będę mógł przynajmniej częściej zaglądać do domu. Praca i tak będzie wymagała częstych podróży, ale bez porównania mniej niż teraz. Bella ma dom niedaleko plaży w Cezarei. To będzie całkiem przyjemne życie. - Ponownie wzruszył ramionami. - Tylko mnie posłuchaj. Zachowuję się tak, jakby Amos już zaproponował mi tę robotę. A Amos nie zaproponował mi niczego. Nie zdziwiłbym się, gdyby wzywał mnie na bulwar Króla Saula, żeby mnie wylać.

- Nie bądź śmieszny. Jesteś najlepszym kandydatem na to stanowisko. Będziesz moim szefem, Uzi.

- Twoim szefem? Proszę cię. Ty nie masz szefa. Może z wyjątkiem Starego. - Twarz Nawota nagle sposepniała. - Jak on się miewa? Słyszałem, że nie wygląda to za dobrze.

- Wyliże się - zapewnił go Gabriel.

Ucichli, kiedy do stolika poszedł kelner, żeby zabrać naczynia.

Gdy się oddalił, Gabriel zwrócił teczkę Nawotowi, który wsunął ją do aktówki.

- Więc jak zamierzasz rozegrać to z Hannah Weinberg?

- Mam zamiar poprosić ją, żeby dała nam obraz wart osiemdziesiąt milionów dolarów. Muszę powiedzieć jej prawdę - albo przynajmniej jakąś jej wersję. A potem będziemy musieli jakoś zmierzyć się z kwestią jego zabezpieczenia.

- Ale jak zamierzasz ją podejść? Potańczysz przez chwilę czy od razu przejdiesz do uderzenia?

- Ja nie tańczę, Uzi. Nigdy nie miałem czasu na tańce.

- Przynajmniej nie powinieneś mieć kłopotów z przekonaniem jej, kim jesteś. Dzięki francuskim służbom bezpieczeństwa każdy w Paryżu zna twoje nazwisko i facjatę. Kiedy chcesz zacząć?

- Dziś wieczorem.

- No to masz szczęście.

Nawot patrzył przez okno. Gabriel poszedł za jego spojrzeniem i zobaczył ciemnowłosą kobietę idącą pod parasolem po rue des Rosiers. Wstał bez słowa i ruszył w kierunku drzwi.

- Nie martw się, Gabrielu - wymruczał Nawot pod nosem. - Ja zajmę się rachunkiem.

*

Na końcu ulicy skręciła w lewo i zniknęła mu z oczu. Gabriel zatrzymał się na rogu i obserwował odzianych na czarno ortodoksów podążających do dużej synagogi na wieczorne modły. Potem spojrział w dół rue Pavee i dostrzegł sylwetkę Hannah Weinberg rozplywającą się powoli w cieniu. Zatrzymała się przy wejściu do kamienicy i sięgnęła do torebki po klucze. Gabriel ruszył chodnikiem i stanął o krok od niej, właśnie w chwili, kiedy jej dłoń wyciągała się w kierunku zamka.

- Mademoiselle Weinberg?

Odwróciła się i przyjrzała mu się w ciemnościach. Jej oczy promieniowały spokojem i wyrafinowaną inteligencją. Jeśli przestraszyło ją jego podejście, nie dała tego po sobie poznać.

- Mam przyjemność z Hannah Weinberg, prawda?

- Czym mogę panu służyć, monsieur?

- Potrzebuję pani pomocy - powiedział Gabriel. - Zastanawiałem się, czy nie moglibyśmy zamienić słówka na osobności.

- Czy my się znamy, monsieur?

- Nie - odparł Gabriel.

- Jakże więc mogę panu pomóc?

- Byłoby lepiej, gdybyśmy omówili tę sprawę na osobności, mademoiselle.

- Nie mam zwyczaju rozmawiać na osobności z obcymi mężczyznami, monsieur. A teraz, zechce mi pan wybaczyć...

Odwróciła się i ponownie podniosła klucz do zamka.

- Chodzi o pani obraz, mademoiselle Weinberg. Musimy porozmawiać o pani van Goghu. Znieruchomiła i popatrzyła na niego ponownie. Jej spojrzenie pozostało spokojne.

- Przykro mi, monsieur, ale nie mam żadnego van Gogha. Jeśli chce pan zobaczyć jakieś prace Vincenta, radziłabym udać się do Musee d'Orsay.

Znowu odwróciła wzrok.

- Marguerite Gachet przy toaletce - wyszeptał Gabriel. - Został zakupiony przez pani dziadka od wdowy po Theo van Goghu, Johanny, i podarowany pani babce w prezencie urodzinowym. Pani babka przypominała nieco mademoiselle Gachet. Kiedy była pani dzieckiem, obraz wisiał w pani pokoju. Czy mam mówić dalej?

Jej opanowanie znikło. Głos, kiedy się wreszcie odezwała po chwili zszokowanego milczenia, był niespodziewanie ostry.

- Skąd wie pan o obrazie?

- Nie mogę powiedzieć.

- Naturalnie - rzuciła to jak obelgę. - Ojciec zawsze mnie ostrzegał, że pewnego dnia jakiś chciwy francuski marszand będzie próbował odebrać mi płótno. Nie jest na sprzedaż, a gdyby kiedykolwiek zaginęło, dopilnuję, by policja dostała pana dokładny rysopis.

- Nie jestem marszandem. I nie jestem Francuzem.

- Więc kim pan jest? - spytała. - I czego pan chce od mojego obrazu?

15

Marais, Paryż

Dziedziniec był pusty i tonął w mroku, który rozpraszały jedynie światła palące się w oknach mieszkań powyżej.

Przecięli go w milczeniu i weszli do klatki schodowej, gdzie czekała staroświecka winda. Ale zamiast z niej skorzystać, mademoiselle Weinberg ruszyła szerokimi schodami na czwarte piętro.

Znajdowały się tam dwie pary okazałych mahoniowych drzwi.

Te na prawo pozbawione były tabliczki z nazwiskiem. Otworzyła je i wpuściła go do środka. Przed zapaleniem światła wystukała szyfr na klawiaturze alarmu. Hannah Weinberg, doszedł do wniosku Gabriel, znała się na dochowywaniu sekretów.

Mieszkanie było duże, z okazałym przedsionkiem i biblioteką, która sąsiadowała z salonem. Antyczne meble obite spleśniałym brokatem były statecznie porzostawiane dokoła, okna zasłaniały mięsiste kotary z aksamitu, a na kominku tykał sobie spokojnie zegar z pozłacanego brązu, wskazując złą godzinę. Biegle oko Gabriela od razu skierowało się na sześć przyzwoitych obrazów olejnych zdobiących ściany. Wystrój miał sprawić, żeby wnętrze wyglądało na żywcem wyjęte z minionej epoki. I rzeczywiście, Gabriel nie zdziwiłby się, gdyby zaraz ujrzał w nim Paula Gacheta czytającego wieczorną prasę w świetle lampy gazowej.

Hannah Weinberg zdjęła płaszcz i zniknęła w kuchni. Gabriel skorzystał z tej sposobności, żeby zajrzeć do biblioteki. Oprawne w skórę tomy ksiąg prawniczych zapełniały okazale drewniane szafki na książki o szklanych drzwiczkach. Tutaj też wisiało kilka obrazów:

jakiś nieciekawy pejzaż, jakiś jeździec na koniu i obowiązkowa marina - ale żaden nie sugerował, że ich właścicielka może być w posiadaniu zaginionego van Gogha.

Wrócił do salonu w chwili, kiedy Hannah Weinberg wyłoniła się z kuchni z butelką Sancerre i dwiema szklaneczkami. Wręczyła mu wino oraz korkociąg i przyglądała się uważnie jego dłoniom, kiedy wyciągał korek. Nie była tak atrakcyjna, na jaką wyglądała na zdjęciu Uziego Nawota. Może to oszustwo paryskiego światła, a może po prostu każda kobieta wygląda pociągająco na schodach na Montmartrze. Plisowana wełniana spódnica i gruby sweter w rzeczywistości ukrywały, jak podejrzewał Gabriel, nieco krępą figurę. Brwi, bardzo szerokie, dodawały jej twarzy głębokiej powagi. Siedząc tak jak teraz, w otoczeniu antyków, wyglądała na znacznie więcej niż swoje czterdzieści cztery lata.

- Dziwię się, spotykając pana w Paryżu, monsieur Allon. Ostatnim razem, kiedy widziałam pańskie nazwisko na łamach prasy, paryska policja ciągle poszukiwała pana w celu przesłuchania.

- Obawiam się, że ten stan rzeczy nie uległ zmianie.

- A mimo to przyjechał tu pan - tylko po to, żeby zobaczyć się ze mną? To musi być coś bardzo ważnego.

- W istocie jest, mademoiselle Weinberg.

Gabriel napełnił dwa kieliszki winem, wręczył jeden kobiecie i uniósł swój w niemym toaście. Ona poszła jego śladem, potem zbliżyła kieliszek do ust.

- Jest pan świadom tego, co się rozpełtało tu w Marais po tym zamachu? - Sama odpowiedziała sobie na pytanie. - Sytuacja zrobiła się bardzo napięta. Krążyły plotki, że za zamachem stoi Izrael. Wszyscy w to uwierzyli, a francuski rząd, niestety, nie spieszył się ze sprostowaniem, nawet gdy już wiedział, że to bzdury. Bito nasze dzieci na ulicach. Rzucano kamienie w okna naszych sklepów i mieszkań. Na murach pojawiły się okropne napisy, tu w Marais i w innych żydowskich dzielnicach. Drogo zapłaciliśmy za to, co wydarzyło się na tym dworcu. - Rzuciła mu badawcze spojrzenie, jakby usiłowała ocenić, czy rzeczywiście siedzi przed nią ten sam człowiek, którego twarz oglądała w prasie i na ekranie telewizora. - Ale pan także zapłacił, czyż nie? To prawda, że wciągnęli w to pańską żonę?

Bezpośredniość jej pytania zaskoczyła Gabriela. W pierwszym odruchu chciał skłamać, ukryć prawdę, sprowadzić rozmowę na tor wybrany przez niego. Ale to miał być werbunek - a doskonały werbunek, mówił zawsze Szamron, jest w swojej istocie doskonałym uwiedzeniem. A kiedy się uwodzi, przypomniał sobie Gabriel, trzeba ujawnić coś na swój temat.

- Zwabili mnie na Gare de Lyon, porywając moją żonę - powiedział. - Ich zamiarem było zabicie nas obojga, ale chcieli także zdyskredytować Izrael i pogorszyć położenie Żydów żyjących we Francji.

- Udało im się... przynajmniej na jakiś czas. Proszę mnie źle nie zrozumieć, nasza sytuacja tutaj ciągle nie jest różowa. Ale już nie tak potwornie zła jak podczas tych pierwszych dni po zamachu. - Napiła się jeszcze wina, potem założyła nogę na nogę i wygładziła fałdy spódnicy. - Może to głupie pytanie, zważywszy na pana profesję, ale jak się pan dowiedział o moim van Goghu?

Gabriel milczał przez chwilę, potem powiedział jej prawdę.

Wzmianka o wizycie Isherwooda w tym właśnie mieszkaniu ponad trzydzieści lat temu sprawiła, że jej wargi wygięły się w słabym uśmiechu wspomnienia.

- Chyba go pamiętam - stwierdziła. - Wysoki mężczyzna, całkiem przystojny, pełen uroku i wdzięku, ale jednocześnie jakby nieco bezbronny - urwała, potem dodała: - Jak pan.

- Urok i wdzięk to słowa, które nieczęsto bywają używane w odniesieniu do mojej osoby.

- A bezbronność? - posłała mu jeszcze jeden słaby uśmiech. Zmiękczył nieco ostre rysy

jej twarzy. - Wszyscy jesteśmy w jakimś stopniu, pod jakimś względem bezbronni, prawda? Nawet ludzie tacy jak pan. Terrorysty znaleźli to słabe miejsce i skwapliwie je wykorzystali. W tym są najlepsi. Żerują na naszej przyzwoitości. Na naszym szacunku dla życia. Uderzają w rzeczy, które najbardziej kochamy.

Nawot miał rację, pomyślał Gabriel. Ona rzeczywiście była darem od bogów wywiadu. Postawił swój kieliszek na stole. Oczy Hannah śledziły jego każdy ruch.

- Co się stało z tym człowiekiem, Samuelem Isakowiczem? - spytała. - Przeżył wojnę? Gabriel pokręcił głową.

- On i jego żona zostali złapani w Bordeaux, kiedy Niemcy ruszyli na południe.

- Gdzie ich wysłali?

- Do Sobiboru.

Wiedziała, co to oznaczało. Gabriel nie musiał już niczego więcej dodawać.

- A pani dziadek? - spytał.

Patrzyła przez chwilę w swoje Sancerre, zanim odpowiedziała.

- Jeudi Noir - powiedziała. - Zna pan ten termin?

Gabriel skinął głową z powagą. Jeudi Noir: Czarny Czwartek.

- Rankiem szesnastego lipca tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku cztery tysiące francuskich policjantów wkroczyło do Marais i innych żydowskich osiedli w Paryżu z rozkazami zatrzymania dwudziestu siedmiu tysięcy żydowskich imigrantów z Niemiec, Austrii, Polski, Związku Radzieckiego i Czechosłowacji. Mój ojciec i dziadek znajdowali się na tej liście. Widzi pan, moi dziadkowie pochodzili z polskiego Lublina. Dwóm policjantom, którzy zapukali do drzwi tego mieszkania, zrobiło się żal mojego ojca i kazali mu uciekać. Ukryła go katolicka rodzina, która mieszkała piętro wyżej, został u niej aż do wyzwolenia. Dziadkowie nie mieli tyle szczęścia. Zostali wysłani do obozu przejściowego w Drancy. A pięć dni później zamkniętym wagonem towarowym do Auschwitz. Oczywiście to był ich koniec.

- A co z van Goghem?

- Nie było czasu na powzięcie żadnych kroków zabezpieczających, poza tym nie było też nikogo w Paryżu, komu dziadek mógłby zaufać. Wojna, rozumie pan. Ludzie zdradzali się nawzajem za skarpetki i papierosy. Kiedy usłyszał, że zbliżają się łapanki, zdjął obraz z blejtramu i ukrył go pod podłogą w bibliotece. Po wojnie całe lata minęły, zanim ojcu udało się odzyskać mieszkanie. Jakaś francuska rodzina wprowadziła się tu po aresztowaniu moich dziadków i nie uśmiechało jej się wyzbywać miłego gniazdka na rue Pavee. Kto by ich winił?

- W którym roku pani ojciec odzyskał mieszkanie?

- W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym drugim.

- Po dziesięciu latach - skonstatował Gabriel. - A van Gogh nadal tu był.

- Dokładnie tak, jak go zostawił dziadek: ukryty pod deskami podłogowymi w bibliotece.

- Niesamowicie.

- Tak - powiedziała. - Ten obraz jest w rodzinie Weinbergów od ponad wieku, przetrwał wojnę i Holocaust. A teraz pan prosi mnie, żebym go oddała.

- Nie oddała - zaproponował Gabriel.

- Więc co?

- Po prostu muszę go... - urwał, szukając właściwego słowa.

- Muszę go wypożyczyć.

- Wypożyczyć? Na jak długo?

- Nie potrafię powiedzieć. Może miesiąc. Może sześć miesięcy. Może rok albo dłużej.

- W jakim celu?

Gabriel zawahał się. Chwycił korek od wina i skubał go paznokciem kciuka.

- Ma pan pojęcie, ile ten obraz jest wart? - spytała. - Jeśli prosi mnie pan, żebym go oddała, nawet na krótki okres, tuszę, że mam prawo znać powód.

- Ma pani - przyznał Gabriel - ale musi pani także wiedzieć, że jeśli powiem prawdę, pani życie już nigdy nie będzie takie samo.

Nalała sobie jeszcze trochę wina i trzymała przez chwilę kieliszek przy piersiach, nie podnosząc go do ust.

- Dwa lata temu tu, w Marais, miała miejsce szczególnie bestialska napaść. Młody ortodoksyjny Żyd został zaatakowany przez gang Maghrebczyków, kiedy wracał ze szkoły. Podpalili mu włosy i wycięli swastykę na czole. Ciągle jeszcze ma bliznę. Zorganizowaliśmy manifestację, żeby zmusić rząd francuski do podjęcia jakichś kroków przeciwko narastającemu antysemityzmowi. Kiedy maszerowaliśmy na placu de la Republique, odbywała się tam antyizraelska kontrdemonstracja. Wie pan, co krzyczeli pod naszym adresem?

- Żydzi do gazu.

- A wie pan, co powiedział francuski prezydent?

- Że we Francji nie ma antysemityzmu.

- Moje życie nie jest już takie samo od tamtego dnia. Poza tym, jak może pan już wywnioskował, jestem dobra w dochowywaniu sekretów. Proszę mi powiedzieć, na co jest panu potrzebny mój van Gogh, monsieur Allon. Niewykluczone, że uda nam się osiągnąć jakieś porozumienie.

*

Furgonetka podsłuchowa zespołu neviot stała zaparkowana na skraju Parc Royal. Uzi Nawot dwukrotnie postukał kostkami dłoni w tylną, pokrytą folią szybę i został natychmiast wpuszczony do środka. Jeden z neviotowców siedział za kółkiem. Drugi, w słuchawkach na uszach, pochylał się nad konsolą ze sprzętem elektronicznym.

- Co się dzieje? - spytał Nawot.

- Gabriel ma ją już na widelcu - powiedział neviot. - I zaraz połknie.

Uzi wsunął słuchawki na uszy. Gabriel opowiadał Hannah Weinberg, jak zamierza posłużyć się jej van Goghiem, żeby złapać najniebezpieczniejszego człowieka świata.

*

Klucz leżał schowany w górnej szufladzie biurka w bibliotece.

Otworzyła nim drzwi na końcu nieoświetlonego korytarza. Pomieszczenie, którego strzegły, było dziecinnym pokojem. Sypialnia małej Hannah, zatrzymana w czasie. Łóżko z koronkowym baldachimem. Półki zasłane wypchanymi zwierzątkami i zabawkami.

Plakat jakiegoś amerykańskiego amanta. I wiszący nad komódką w stylu French Provincial, pogrążony w mroku, zaginiony obraz Vincenta van Gogha.

Gabriel zrobił kilka kroków do przodu i znieruchomiał z prawą dłonią na podbródku i głową przechyloną nieco na jedną stronę. Potem wyciągnął rękę i delikatnie przebiegł palcami po śladach pędzla. Należały do Vincenta - Gabriel nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Vincenta gorejącego. Vincenta po uszy w miłości. Konserwator spokojnie zbadał swój obiekt. Płótno wyglądało na nigdy nieodnawiane. Było pokryte szczodłą warstwą brudu i miało trzy poziome pęknięcia: skutek, jak podejrzewał Gabriel, zbyt ciasnego zwinięcia przez Izaaka Weinberga w wigilię Jeudi Noir.

- Sądzę, że powinniśmy omówić kwestie finansowe - powiedziała Hannah. - Za ile może pójść zdaniem Juliana?

- Coś w okolicach osiemdziesięciu milionów. Pozwoliłem mu zatrzymać

dziesięcioprocentową prowizję od sprzedaży w ramach rekompensaty za jego udział w operacji. Reszta pieniędzy zostanie natychmiast przelana na pani konto.

- Siedemdziesiąt dwa miliony dolarów?
- Plus minus kilka milionów, rzecz jasna.
- A co po zakończeniu operacji?
- Odzyskam obraz.
- Jak zamierza pan tego dokonać?
- Proszę zostawić to mnie, mademoiselle Weinberg.
- A kiedy zwróci mi pan obraz, co się stanie z tymi siedemdziesięcioma dwoma

milionami? Plus minus kilka milionów, rzecz jasna.

- Będzie pani mogła zatrzymać wszystkie narosłe odsetki. Plus opłatę za wypożyczenie.

Co pani powie na pięć milionów dolarów?

Uśmiechnęła się.

- Brzmi nieźle, ale nie mam zamiaru zatrzymać ich dla siebie. Nie chcę ich pieniędzy.
- W takim razie co zamierza pani z nimi zrobić?

Powiedziała mu.

- Brzmi nieźle - ocenił. - Więc jak, umowa stoi, mademoiselle Weinberg?
- Tak - potwierdziła. - Myślę, że umowa stoi.

*

Po wyjściu od Hannah Weinberg Gabriel udał się do należącego do Biura bezpiecznego mieszkania w pobliżu Bois de Boulogne.

Obserwowali ją przez trzy dni. Gabriel widywał ją tylko na zdjęciach i słuchał na taśmach. Każdego wieczoru przedzierał się przez te nagrania w poszukiwaniu najmniejszych oznak zdrady albo niedyskrecji, ale znajdował tylko pełną lojalność. W noc poprzedzającą zabranie obrazu słyszał, jak cichutko płakała. Zrozumiał, że żegna się z Marguerite.

Następnego ranka Nawot przyniósł obraz, zawinięty w starą kołdrę, którą zabrał z mieszkania Hannah. Gabriel rozważał wysłanie płótna kurierem do Tel Awiwu, ale ostatecznie postanowił, że sam je wywiezie z Francji. Wyjął obraz z ramy, potem podważył blejtram. Kiedy ostrożnie zwijał malowidło, myślał o Izaaku Weinbergu robiącym to samo w wigilię Jeudi Noir. Tym razem, zamiast pod klepkami parkietu, obraz został bezpiecznie wsadzony w podwójne obicie walizki Gabriela. Nawot podrzucił kolegę na Gare du Nord.

- Ze stacji Waterloo odbierze cię agent z naszej angielskiej komórki. Zawiezie cię na Heathrow. Samolot El Al już na ciebie czeka. Dopilnują, żebyś nie miał żadnych problemów z bagażem.

- Dzięki, Uzi. Wkrótce przestaniesz się zajmować przygotowaniami moich podróży.
- Nie jestem taki pewny.
- Coś poszło nie tak z Amosem?
- Trudno go rozgryźć.
- Co powiedział?
- Że potrzeba mu jeszcze kilku dni, żeby sprawę przemyśleć.
- Nie spodziewałeś się chyba, że na pniu zaproponuje ci awans?
- Nie wiem, czego się spodziewałem.
- Nie martw się, Uzi. Dostaniesz tę robotę.

Nawot zatrzymał się na poboczu, przecnicę przed dworcem.

- Wstawisz się za mną na bulwarze Króla Saula, dobrze, Gabrielu? Amos cię lubi.
- Co cię skłania do takiego wniosku?

- Po prostu widzę - powiedział. - Ciebie wszyscy lubią.

Gabriel wysiadł, wziął walizkę z tylnego siedzenia i ruszył w kierunku dworca. Nawot czekał przy krawężniku jeszcze pięć minut po planowanej godzinie odjazdu pociągu kolegi, po czym włączył się do ruchu i odjechał.

*

Mieszkanie tonęło w ciemnościach. Gabriel włączył halogenową lampę i z ulgą zobaczył, że pracownia stoi nietknięta. Gdy wszedł do sypialni, Chiara siedziała na łóżku. Świeżo umyte włosy przytrzymywała jej aksamitna opaska. Gabriel ściągnął ją i odpiął guziki koszuli nocnej. Obraz leżał obok nich, kiedy się kochali.

- Wiesz - powiedziała Chiara już po wszystkim - większość mężczyzn wraca do domu, przywożąc szal od Hermesa i jakieś perfumy.

O północy zadzwonił telefon. Gabriel odebrał, zanim rozległ się drugi dzwonek.

- Będę jutro - oznajmił chwilę później i odłożył słuchawkę.

- Kto to był? - spytała Chiara.

- Adrian Carter.

- Czego chciał?

- Żeby natychmiast przyleciał do Waszyngtonu.

- A co jest w Waszyngtonie?

- Dziewczyna - oświadczył Gabriel. - Carter znalazł mi dziewczynę.

16

McLean, Wirginia

- Jak podróż?

- Niekończąca się.

- To jesienne trasy prądów strumieniowych - tłumaczył Carter z wrodzoną drobiazgowością. - Wydłużają lot z Europy do Ameryki o co najmniej dwie godziny.

- Izrael nie leży w Europie, Adrianie. Izrael leży na Bliskim Wschodzie.

- Powiadasz?

- Możesz zapytać szefa waszego wywiadu. Rozproszy mętlik w twojej głowie.

Carter rzucił Gabrielowi pogardliwe spojrzenie, potem przeniósł wzrok na drogę.

Wysłużonym volvo Amerykanina kierowali się do Waszyngtonu drogą dojazdową Dullesa.

Carter miał na sobie sztruksową sportową marynarkę z łatami na łokciach.

Wzmacniała jego wizerunek profesjonalisty. Brakowało mu tylko płóciennej torby na książki i kubka na kawę z napisem „amerykańskie radio”. Jechał znacznie poniżej szybkości, jaką nakazywały znaki drogowe, i rzucał regularne spojrzenia we wsteczne lusterko.

- Czy ktoś nas śledzi? - spytał Gabriel.

- Policja drogowa - odparł Carter. - Robią się bardzo fanatyczni na tej trasie. Jakies problemy z celnikami?

- Żadnych - powiedział konserwator. - Rzekłbym nawet, że wyglądali na bardzo uszczęśliwionych moją wizytą.

Tego właśnie Gabriel nie potrafił zrozumieć w Ameryce: uprzejmości amerykańskiej straży granicznej. W gburowatości Izraelczyków, stemplujących paszporty na lotnisku Ben

Guriona, zawsze dostrzegał coś uspokajającego, krzepiącego. Amerykańskie służby celne były jego zdaniem stanowczo zbyt serdeczne.

Wyjrzał przez okno. Zjechali już z drogi Dullesa i sunęli teraz przez McLean. W Wirginii był wcześniej tylko raz, podczas krótkiego pobytu w bezpiecznym domu na zabitej deskami wsi niedaleko Middleburga. McLean sprawiało na nim wrażenie klasycznego amerykańskiego przedmieścia, schludnego i zasobnego, ale jakby pozbawionego życia. Ominęli handlową dzielnicę miasta i wjechali na osiedle dużych wolno stojących domów. Nosiły takie nazwy jak Merrywood albo Colonial Estates. Mignął im przed oczyma drogowskaz: CENTRUM SŁUŻB SPECJALNYCH IM. GEORGE'A BUSHA.

- Chyba nie chcesz zawieźć mnie do Centrali?

- Jasne, że nie - uśmiechnął się Carter. - Jedziemy do Dystryktu.

Dystryktem, jak Gabriel wiedział, mieszkańcy Waszyngtonu nazywali swoją małą miejscinę nad Potomakiem. Przecięli estakadę i wjechali w pagórkowatą, porośniętą lasem okolicę. Gabriel widział zza drzew wspaniałe rezydencje wznoszące się nad rzeką.

- Jak się nazywa?

- Sara Bancroft - odpowiedział Carter. - Jej ojciec był jednym z dyrektorów w międzynarodowym oddziale Citicorp. Sporą część dzieciństwa spędziła w Europie. W przeciwieństwie do większości Amerykanów świetnie czuje się za granicą. Zna języki. Wie, kiedy jakiego sztucca użyć.

- Wykształcenie?

- Wróciła tu, żeby skończyć college. Zrobiła licencjat z historii sztuki na Dartmouth, potem studiowała w londyńskim Instytucie Sztuki Courtaulda. Zakładam, że znasz to miejsce?

Gabriel skinął głową. Jedną z najbardziej prestiżowych uczelni na świecie. Do grona jej absolwentów należał też pewien marszałek z Saint James, niejaki Julian Isherwood.

- Potem obroniła doktorat na Harvardzie. Teraz jest kustoszem w Phillips Collection w Waszyngtonie. To niewielkie muzeum w pobliżu...

- Obiło mi się o uszy, Adrianie.

- Przepraszam - powiedział Carter poważnie.

Zza drzew wypadł duży jelen w irgiński i przeciął im drogę.

Amerikanin zdjął nogę z gazu i patrzył, jak zwierzę oddala się susami i niknie w ciemniejszym lesie.

- Jak ją znalazłeś? - spytał Gabriel, ale Carter nie odpowiedział.

Pochylał się nad kierownicą i lustrował drzewa rosnące wzdłuż pobocza w poszukiwaniu kolejnych jeleni.

- Tam gdzie jest jeden - szepnął - jest zazwyczaj i drugi.

- Jak z terrorystami - rzekł Gabriel. Powtórzył swoje pytanie.

- Aplikowała do nas kilka miesięcy po jedenastym wrześniu - odparł Carter. - Była świeżo po doktoracie. Jej papiery wyglądały interesująco, więc zaprosiliśmy ją na rozmowę i oddaliśmy w ręce psychiatrów z personalnego. Przepisnęli ją przez swoją wyżymaczkę i nie spodobało im się to, co zobaczyli. Zbyt niezależna, orzekli. Może nawet nieco za inteligentna. Kiedy odrzuciliśmy jej podanie, wylądowała w Phillips.

- Więc proponujesz mi jeden z waszych odrzutów?

- To określenie raczej nie pasuje do Sary Bancroft. - Carter sięgnął do kieszeni sztruksowej marynarki i wręczył Gabrielowi zdjęcie. Ukazywało uderzająco piękną kobietą o sięgających do ramion blond włosach, szerokich, wystających kościach policzkowych i dużych oczach koloru bezchmurnego letniego nieba.

- Ile ma lat?

- Trzydzieści jeden.
- Dlaczego nie jest zamężna?

Carter zawahał się przez chwilę.

- Dlaczego nie jest zamężna, Adrianie?

- Miała chłopaka, kiedy była na Harvardzie, młodego prawnika nazwiskiem Callahan, Ben Callahan. Źle się to skończyło.

- Co się stało Benowi?

- Na lotnisku Logana wsiadł na pokład samolotu lecącego do Los Angeles rankiem jedenastego września dwa tysiące pierwszego roku.

Gabriel wyciągnął zdjęcie w stronę Cartera.

- Zizi nie będzie chciał zatrudnić kogoś naznaczonego przez jedenasty września.

Niepotrzebnie mnie tu przywiozłeś, Adrianie.

Carter nie zdjął rąk z kierownicy.

- Ben Callahan był chłopakiem ze studiów, nie mężem. Poza tym Sara nigdy z nikim o nim nie rozmawia. Musieliśmy praktycznie wyciągać to z niej wołami. Bała się, że śmierć Bena będzie chodzić za nią przez resztę życia, że ludzie będą traktować ją jak wdowę w wieku zaledwie dwudziestu sześciu lat. Trzyma całą sprawę w sekrecie. Trochę powęszyliśmy w tym tygodniu dla ciebie. Nikt nie zna tej historii.

- Psy gończe z ochrony Ziziego nie poprzestaną na zwykłym węszeniu, Adrianie. A jeśli wyniuchają choćby najmniejszy ślad jedenastego września, on ucieknie od niej gdzie pieprz rośnie.

- Skoro mowa o Zizim, jego dom jest tuż przed nami.

Carter zwolnił, żeby pokonać zakręt. Na lewo pojawiła się okazała brama z cegieł i żelaza. Za nią długi brukowany podjazd prowadził do ogromnej, przywodzącej na myśl pałac rezydencji nad rzeką. Gabriel odwrócił głowę, kiedy przejeżdżali obok.

- Zizi nigdy się nie dowie o Benie - powiedział Carter.

- Jesteś gotów postawić na to życie Sary?

- Spotkaj się z nią, Gabrielu. Wyrób sobie zdanie.

- Już wyrobiłem. Jest doskonała.

- Więc w czym problem?

- Jeśli zrobimy choćby jeden najmniejszy błąd, Zizi wyekspeduje ją na tamten świat. W tym problem, Adrianie.

Zaskoczyła go raptowność, z jaką znaleźli się w centrum Waszyngtonu. W jednej chwili byli na dwupasmowej wiejskiej drodze biegnącej skrajem Potomaku, a już w następnej wlekli się ulicą Q po Georgetown w tłoku wieczornych godzin szczytu. Carter, odgrywając rolę przewodnika, wskazywał na domy co sławniejszych mieszkańców okolicy. Gabriel, z głową opartą o szybę, nie mógł wykrzesać z siebie wystarczającej energii, by choćby udawać zainteresowanie. Przejechali przez krótki most, strzeżony przy obu końcach przez parę wypłowiałych bizonów, i wjechali do dzielnicy ambasad. Tuż za Massachusetts Avenue Carter wskazał na wznoszącą się po lewej stronie ulicy budowlę z czerwonej cegły ozdobioną wieżyczkami.

- To jest Phillips - doniósł uprzejmie. Gabriel spojrzał na prawo i zobaczył pomnik Mohandasa Gandhiego wznoszący się przy malutkim trójkątnym parku. „Dlaczego akurat Gandhi? - zastanawiał się. - Co ideały Mahatmy mają wspólnego z tym skrawkiem amerykańskiego mocarstwa?”

Carter przejechał jeszcze jedną przecznicę i zaparkował w strefie dyplomatycznej ograniczonego dostępu przed sfatygowanym gmachem jakiejś latynoamerykańskiej ambasady.

Zostawił silnik włączony i nie zrobił żadnego gestu wskazującego, że ma zamiar wysiąść z samochodu.

- Ta część miasta nazywana jest Dupont Circle - powiedział ciągle tonem pilota wycieczki. - To jest to, co w Waszyngtonie uchodzi za awangardę.

Jakiś funkcjonariusz BOR zabębnił w szybę samochodu Cartera i gestem nakazał mu odjechać. Ten, ze wzrokiem wbitym w przestrzeń przed nim, przyłożył swoją legitymację do szyby i borowiec odszedł do radiowozu. Chwilę później coś w tylnym lusterku przykuło uwagę Cartera.

- Oto i ona - zakomunikował.

Gabriel wyjrzał przez okno, kiedy Sara Bancroft przedefilowała obok, ubrana w długi, wcięty w talię, ciemny płaszcz. W jednej dłoni trzymała skórzaną aktówkę, w drugiej telefon komórkowy.

Kiedy ich mijala, Gabriela przelotnie doleciał dźwięk jej głosu: niski, elegancki, ze śladem angielskiego akcentu - bez wątpienia pozostałość dzieciństwa spędzonego w międzynarodowych szkołach za granicą i nauk pobieranych w Courtauld.

- I jak ci się widzi? - indagował Carter.

- Powiem ci za chwilę.

Doszła do rogu ulic Dwudziestej i Q. Naprzeciw znajdowała się esplanada rojąca się od ulicznych sprzedawców oraz ruchome schody prowadzące na stację metra Dupont Circle. Światło na przejściu było czerwone. Nie zatrzymując się, przekroczyła krawężnik i ruszyła do przodu. Kiedy jakiś taksówkarz wcisnął klakson na znak protestu, rzuciła mu spojrzenie zdolne roztopić lód i kontynuowała rozmowę. Przeszła niespiesznie przez skrzyżowanie i wkroczyła na schody jadące do podziemi. Gabriel patrzył z podziwem, kiedy niknęła im powoli z widoku.

- Masz jeszcze parę takich jak ona?

Carter wyłowił z kieszeni komórkę i wystukał numer.

- Wkraczamy - powiedział. W jednej chwili duży czarny suburban wychynął zza rogu i zaparkował nielegalnie na ulicy Q tuż przy ruchomych schodach. Pięć minut później Gabriel ujrzał Sarę ponownie, tym razem wolno wylaniającą się ze stacji metra. Nie rozmawiała już przez telefon, nie była też sama. Towarzyszyło jej dwóch agentów Cartera, mężczyzna i kobieta, każde po jednym boku, na wypadek gdyby nagle się rozmyśliła. Otworzyły się tylne drzwiczki chevroleta i Sara Bancroft znowu zniknęła im z widoku. Carter uruchomił silnik i skierował się z powrotem do Georgetown.

17

Georgetown

Piętnaście minut później czarny suburban zatrzymał się przed dużym domem jednorodzinny w stylu federalnym na ulicy N. Kiedy Sara wspinała się po półokrągłych kamiennych schodach z cegły, drzwi domu otworzyły się nagle i w cieniu portyku pojawiła się jakaś postać. Mężczyzna miał na sobie niegniotaące się spodnie khaki i sztruksową marynarkę z łątami na łokciach. W jego wzroku czaiła się jakaś osobliwa chłodna rezerwa, nasuwająca Sarze myśl o psychoanalityku, do którego udała się po śmierci Bena z nadzieją, że pomoże jej się jakoś uporać z tą stratą.

- Jestem Carter - powiedział nieznajomy, tak jakby właśnie to sobie uświadomił. Nie

wyjaśnił, czy to jest jego imię, czy nazwisko, tylko że jest prawdziwe. - Już nie wymyślam sobie fałszywych tożsamości - oświadczył. - Teraz pracuję w Centrali.

Uśmiechnął się. Namiastką uśmiechu, podobną do namiastki uścisku dłoni, jakim ją obdarzył. zaproponował, żeby weszła do środka, i raz jeszcze udało mu się sprawić wrażenie tkniętego nagłym objawieniem.

- A ty jesteś Sara - poinformował ją, prowadząc szerokim centralnym korytarzem. - Sara Bancroft, kustosz w szacownym Phillips Collection. Sara Bancroft, ta sama, która mężnie zaofiarowała nam swoje usługi po jedenastym września, ale została odrzucona i poinformowana, że jest niepotrzebna. Jak się ma twój ojciec?

Zaskoczyła ją ta nagła zmiana tematu.

- Zna pan mojego ojca?

- Po prawdzie to nigdy go nie spotkałem. Pracuje w Citicorp, zgadza się?

- Wie pan doskonale, gdzie pracuje. Dlaczego was interesuje?

- Gdzie ostatnio przebywa? W Londynie? Brukseli? Hongkongu?

- W Paryżu - powiedziała. - To już jego ostatnia delegacja. W przyszłym roku odchodzi na emeryturę.

- I zamierza wrócić do domu?

Potrząsnęła głową.

- Zostaje w Paryżu. Ze swoją nową żoną. Rodzice rozwiedli się dwa lata temu. Ojciec ożenił się powtórnie zaraz potem. Wierzy, że czas to pieniądz.

- A twoja matka? Gdzie mieszka?

- Na Manhattanie.

- Często widzisz się z ojcem?

- W czasie świąt. Ślubów. Rzadkich krępujących lunchów, kiedy przyjeżdża do miasta.

To był brzydki rozwód. Każdy musiał się opowiedzieć, po której jest stronie, także dzieci.

Dlaczego zadaje mi pan te pytania? Czego pan chce od...

- Uważasz to za słuszne? - spytał Carter, wchodząc jej w słowo.

- Co uważam za słuszne?

- Opowiadanie się po jednej ze stron?

- Zależy od okoliczności. Czy to jest część jakiegoś sprawdzianu? Wydawało mi się, że zawałam wasze testy.

- Zawałaś - zgodził się Carter. - Śpiewająco.

Weszli do bawialni. Została urządzona w duchu okazałej, ale anonimowej elegancji zwykle zarezerwowanej dla hotelowych apartamentów. Carter pomógł dziewczynie zdjąć płaszcz i poprosił, żeby usiadła.

- To niby skąd ten comeback?

- Wszystko płynie, Saro. Świat się zmienia. Więc powiedz mi coś. W jakich okolicznościach uważasz, że jest rzeczą słuszną opowiadać się po jednej stronie?

- Nie zastanawiałam się nad tym.

- Na pewno się zastanawiałaś - powiedział Carter i Sara po raz drugi ujrzała w myślach swojego psychoanalityka, siedzącego w kwiecistym fotelu uszaku, trzymającego na kolanach ceramiczny kubek i monotonicznie namawiającego ją, by poszła do miejsc, do których odwiedzania nie było jej spieszno.

- Śmiało, Saro - mówił Carter. - Podaj choćby jeden przykład, kiedy twoim zdaniem słusznie jest stanąć po jednej stronie.

- Wierzę w dobro i zło. - Uniosła nieco podbródek. - Co prawdopodobnie wyjaśnia, dlaczego poległam na waszych testach. Wasz świat składa się z różnych odcieni szarości. Mój

jest nieco zbyt czarno-biały.

- Ojciec ci to powiedział?

Nie, pomyślała, to Ben wytykał jej tę wadę.

- O co w tym wszystkim chodzi? - spytała. - Dlaczego mnie tu sprowadziliście?

Ale Carter ciągle rozważał implikacje jej ostatniej odpowiedzi.

- A co z terrorystami? - indagował i raz jeszcze Sara miała wrażenie, jakby ta myśl dopiero co wpadła mu do głowy. - Zastanawiam się. Jak oni pasują do czarno-białego świata Sary Bancroft? Są złem czy może ich sprawa jest słuszna? Jesteśmy niewinnymi ofiarami czy sami ściągnęliśmy na siebie to nieszczęście? Powinniśmy znosić je cierpliwie z założonymi rękami czy bronić się z całych sił i z taką wściekłością, jaką tylko potrafimy z siebie wykrzesać?

- Jestem młodszym kustoszem w muzeum Phillips Collection - powiedziała. - Naprawdę spodziewa się pan, że zacznę się tu rozwodzić nad słusnością moralnych pobudek walki z terroryzmem?

- Zawężmy wobec tego zakres omawianej kwestii. Moim zdaniem to zawsze ułatwia życie. Weźmy na przykład tego człowieka, który skierował samolot Bena w wieżę World Trade Center.

- Urwał. - Przypomnij mi, Saro, którym samolotem leciał Ben?

- Doskonale pan wie, którym leciał - zachnęła się. - Samolot rejsowy sto siedemdziesiąt pięć.

- Który był pilotowany przez...

- Marwana al-Shehhięgo.

- Przypuśćmy na chwilę, że Marwanowi al-Shehhiemu udało się jakoś wyjść z tego cała.

Wiem, że to brzmi idiotycznie, ale puśćmy wodze fantazji dla dobra naszej dyskusji.

Przypuśćmy, że udało mu się wrócić do Afganistanu albo Pakistanu, albo jakiegoś innego przytuliska terrorystów. Przypuśćmy, że wiemy, gdzie się ukrywa. Czy powinniśmy wysłać tam FBI z nakazem aresztowania, czy też rozprawić się z nim w jakiś bardziej skuteczny sposób? Przy pomocy facetów w czerni? Oddziałów antyterrorystycznych? Pociskiem raketowym powietrze-ziemia wystrzelonym z jakiegoś samolotu widma?

- Myślę, że wie pan, co ja bym mu zrobiła.

- Przypuśćmy, że zależy mi, żeby to usłyszeć z twoich własnych ust, zanim posuniemy się dalej.

- Terroryci wypowiedzieli nam wojnę - stwierdziła. - Zaatakowali nasze miasta, zabili naszych obywateli i usiłowali przerwać ciągłość naszego rządu.

- Więc jaka powinna spotkać ich kara?

- Powinniśmy ich załatwić bez cackania się.

- A co to oznacza?

- Facetów w czerni. Oddziały antyterrorystyczne. Pocisk raketowy powietrze-ziemia wystrzelony z samolotu widma.

- A co z człowiekiem, który daje im pieniądze? Czy on także ponosi odpowiedzialność? A jeśli tak, to w jakim stopniu?

- Myślę, że to zależy od tego, czy wie, na co idą jego pieniądze.

- A jeśli wie cholernie dobrze na co?

- To jest winny w takim samym stopniu jak ci, którzy uderzyli samolotami w ten gmach.

- Czy czułabyś się w porządku - usprawiedliwiona - gdyby przyszło ci działać przeciwko komuś takiemu?

- Zaoferowałam wam swoją pomoc pięć lat temu - rzuciła wojowniczo. - Powiedzieliście mi, że nie mam kwalifikacji. Powiedzieliście, że się nie nadaję do takiej pracy. A teraz chcecie

mojej pomocy?

Carter sprawiał wrażenie nieporuszonego jej protestami. Sara poczuła nagle współczucie dla jego żony.

- Zaoferowałaś nam swoją pomoc, a my potraktowaliśmy cię podle. Obawiam się, że w tym jesteśmy najlepsi. Mógłbym cię oczywiście zapewnić, jak bardzo się myliliśmy. Mógłbym nawet uśmierzyć twój żal nieszczerymi przeprosinami. Ale, mówiąc otwarcie, nie ma na to czasu. - W jego tonie pojawiło się napięcie, którego wcześniej nie było. - Więc tym, czego mi teraz trzeba, jest prosta, szczerza odpowiedź. Czy ciągle masz ochotę i jesteś gotowa nam pomóc? Walczyć z terrorystami? Czy może wolałabyś wrócić do swojego spokojnego życia w nadziei, że coś takiego już się nie powtórzy?

- Walczyć? - spytała. - Jestem pewna, że możecie znaleźć ludzi lepiej do tego predysponowanych ode mnie.

- Walczy się na różne sposoby, Saro.

Zawahała się. Zapadło milczenie, które Carter spędził na gruntownym studiowaniu własnych dłoni. Nie był typem człowieka, który zadaje pytania dwa razy. Pod tym względem bardzo przypominał jej ojca.

- Tak - oznajmiła wreszcie. - Mam ochotę.

- A jeśli wiązałoby się to z pracą dla innych służb wywiadowczych niż CIA? - Zadał to pytanie, jakby omawiał jakieś abstrakcyjne zagadnienie. - Służb wywiadowczych, które pozostają naszym bardzo bliskim sojusznikiem w walce z islamskim terroryzmem?

- To znaczy z kim?

Carter nie miał sobie równych w dawaniu wymijających odpowiedzi. Raz jeszcze tego dowiódł.

- Chciałbym, żebyś się z kimś spotkała. To poważny gość. Nieco szorstki w obejściu. Zada ci kilka pytań. Po prawdzie to będzie cię drobiazgowo przesłuchiwał przez kilka godzin. Mogą wypłynąć bardzo intymne kwestie. Jeśli spodoba mu się to, co zobaczy, poprosi cię o pomoc w pewnym bardzo ważnym przedsięwzięciu. Nie jest ono pozbawione ryzyka, ale bardzo istotne dla bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych i cieszy się pełną akceptacją i wsparciem agencji. Jeśli cię to interesuje, zostań. Jeśli nie, wyjdź i wszyscy będziemy udawać, że zaplątałaś się tu przez pomyłkę.

*

Nie potrafiła powiedzieć, jak Carter go wezwał ani skąd się pojawił. Był niski i szczupły, miał krótko ostrzyżone, posiwiałe na skroniach włosy. Sara jeszcze nigdy nie widziała równie zielonych oczu. Jego uścisk dłoni był, podobnie jak Cartera, krótki, ale sondujący niczym dotknięcie lekarza. Mówił po angielsku płynnie, choć z obcym akcentem. Jeśli miał jakieś imię, na razie nie uznał za potrzebne go wyjawić.

Usiedli przy długim stole w eleganckiej jadalni: Carter i jego bezimienny towarzysz po jednej stronie, Sara naprzeciwko niczym podejrzany w pokoju przesłuchań. Towarzysz był teraz w posiadaniu jej akt z CIA. Wolno kartkował strony, tak jakby widział je po raz pierwszy, co, nie wątpiła, nie było prawdą. Jego pierwsze skierowane do niej pytanie zabrzmiało jak łagodne oskarżenie.

- Pisała pani doktorat na Harvardzie z niemieckich ekspresjonistów?

Miała wrażenie, że to dość osobliwy początek. Kusilo ją, żeby zapytać, dlaczego interesuje się tematem jej rozprawy doktorskiej, ale zamiast tego po prostu skinęła głową i powiedziała:

- Tak, zgadza się.

- Czy w trakcie badań natknęła się pani kiedykolwiek na człowieka nazwiskiem Frankel, Viktor Frankel?

- Uczeń Maksa Beckmanna - powiedziała. - Dziś już mało znany, ale w tamtych czasach był bardzo popularny i wysoko ceniony przez swoich współczesnych. W tysiąc dziewięćset trzydziestym szóstym roku naziści uznali jego sztukę za zdegenerowaną; dostał zakaz dalszego malowania. Niestety, postanowił zostać w Niemczech. Kiedy zmienił decyzję, było za późno. W tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim, razem z żoną i nastoletnią córką, Irene, deportowano go do Auschwitz. Przeżyła tylko Irene. Po wojnie wyjechała do Izraela i została jedną z tamtejszych najwybitniejszych malarek lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. O ile wiem, zmarła kilka lat temu.

- Zgadza się. - Towarzysz Cartera nie podnosił wzroku znad jej akt.

- Dlaczego tak pana interesuje, czy słyszałam o Viktorze Franklu?

- Ponieważ był moim dziadkiem.

- Jest pan synem Irene?

- Tak - odparł. - Irene była moją matką.

Spojrzała na Cartera, który gapił się na swoje dłonie.

- Chyba się domyślam, kto dowodzi tym waszym przedsięwzięciem. - Spojrzała znów na mężczyznę o siwych skroniach i zielonych oczach. - Jest pan Izraelczykiem.

- Przyznaję się do winy. Będziemy kontynuować, Saro, czy wolałaby pani, żebym teraz wyszedł?

Zawahała się na chwilę, potem skinęła głową.

- Mogę poznać pańskie imię czy też imiona są zabronione?

Rzucił je. Brzmiało znajomo. I przypomniała sobie, gdzie wcześniej już je widziała. „Izraelski agent zamieszany w zamach bombowy na Gare de Lyon w Paryżu...”.

- Pan jest tym, który...

- Tak - powiedział. - Jestem właśnie tym.

Ponownie przeniósł wzrok na otwarte akta i odwrócił je na kolejnej stronie.

- Ale wróćmy do pani, dobrze? Mamy wiele materiału do przerobienia i bardzo mało czasu.

Zaczął powoli, niczym alpinista mozolnie posuwający się po dolnych partiach góry, oszczędzający siły na niebezpieczeństwa czyhające na dalszej drodze. Jego pytania były krótkie, rzeczowe i zadawane metodycznie, tak jakby odczytywał je z wcześniej przygotowanej listy, co jednak nie miało miejsca. Pierwszą godzinę poświęcił na jej rodzinę. Ojca, ambitnego dyrektora Citicorp, który skąpił swego czasu własnym dzieciom i hojnie obdarzał nim obce kobiety. Matkę, której życie zupełnie się rozsypało po rozwodzie, mieszkała teraz samotnie w ośmiopokojowym mieszkaniu na Manhattanie na Piątej Alei. Starszą siostrę, którą Sara opisała jako „tę, której dostały się cała uroda i rozum”. Młodszemu bratu, który wybył szybko z ich życia i, ku niemałemu rozczarowaniu ojca, pracował teraz za psi grosz w jakiejś wypożyczalni nart gdzieś w Colorado.

Gdy uporali się już z rodziną, następną godzinę poświęcili wyłącznie jej kosztownej europejskiej edukacji. Szkole podstawowej - jeszcze w Ameryce, w Saint John's Wood. Międzynarodowemu gimnazjum w Paryżu, gdzie nauczyła się mówić po francusku i popadać w kłopoty. Żeńskiej szkole z internatem w Genewie, w której uwięził ją ojciec, żeby „poukładała sobie w głowie”. To w Szwajcarii, jak wyjawiała, zrodziła się w niej miłość do sztuki. Każdej z jej odpowiedzi towarzyszyło zgrzytanie pióra Gabriela po papierze. Pisał czerwonym atramentem w notesie o kartkach koloru słoneczników. Na początku myślała, że stawia jakieś znaki stenograficzne albo hieroglify. Dopiero potem uświadomiła sobie, że pisał po hebrajsku. Fakt, iż

czynił to z prawej strony do lewej - i z taką samą wprawą obiema rękoma - jedynie wzmagał prześladowające ją wrażenie, że oto przeszła na drugą stronę lustra.

W niektórych momentach zachowywał się tak, jakby mieli do dyspozycji całą wieczność, w innych zerkał na zegarek i marszczył brwi, jak gdyby zastanawiał się, jak daleko uda im się jeszcze dojść, zanim zapadnie mrok i trzeba będzie rozbić obozowisko. Od czasu do czasu przerzucał się na inne języki. Jego francuski był całkiem niezły. Włoski bezbłędny, ale skażony śladowym obcym akcentem, który zdradzał, że nie jest jego rodzimym użytkownikiem. Kiedy zwrócił się do niej po niemiecku, zaszła w nim jakaś zmiana. Wyprostowanie pleców. Zaostrenie rysów. Odpowiedziała w tym samym języku, choć on niezmiennie zapisywał wszystko po hebrajsku. Na ogół nie kwestionował jej odpowiedzi, choć każdą najdrobniejszą niespójność, prawdziwą lub wyimaginowaną, tropił z prokuratorską gorliwością.

- A pani miłość do sztuk plastycznych? - zapytał. - Jak pani sądzi, skąd się wzięła? Dlaczego akurat sztuki plastyczne? A nie, dajmy na to, muzyka albo literatura? Dlaczego nie film albo teatr?

- Obrazy stały się dla mnie azylem. Schronieniem.

- Przed czym?

- Przez prawdziwym życiem.

- Była pani bogatą dziewczynką uczęszczającą do najdroższych, najświetniejszych szkół.

Co było nie tak z pani prawdziwym życiem? - Przerzucił się z angielskiego na niemiecki w połowie oskarżenia. - Przed czym pani uciekała?

- Osądza mnie pan - odpowiedziała w tym samym języku.

- Oczywiście.

- Możemy mówić po angielsku?

- Jeśli pani musi.

- Obrazy to inne miejsca. Inna rzeczywistość. Chwilka w czasie, która istnieje tylko na płótnie i nigdzie indziej.

- Lubi pani przebywać w tych miejscach.

To było stwierdzenie, nie pytanie. Skinęła głową w odpowiedzi.

- Lubi pani żyć życiem innych ludzi? Stawać się kimś innym? Przechadzać się wśród pszenicznych pól Vincenta i kwiatnych ogrodów Moneta?

- A nawet koszmarów sennych Frankla.

Po raz pierwszy odłożył pióro.

- To dlatego złożyła pani podanie o pracę w agencji? Bo chciała pani zakosztować innego życia? Stać się inną osobą?

- Nie, zrobiłam to, ponieważ chciałam służyć swojemu krajowi.

Rzucił jej niezadowolony grymas, jakby uznał jej odpowiedź za naiwną, a potem ponownie zerkał na zegarek. Czas nie był jego sprzymierzeńcem.

- Miała pani do czynienia z Arabami, kiedy dorastała pani w Europie?

- Naturalnie.

- Z chłopcami? Dziewczętami?

- Z jednymi i drugimi.

- Z jakimi Arabami?

- Z dwunożnymi Arabami. Takimi, którzy żyją w arabskich krajach.

- Stać panią na więcej, Saro.

- Z Libańczykami. Palestyńczykami. Jordańczykami. Egipcjanami.

- A z Saudyjczykami? Chodziła pani do szkoły z jakimiś Saudyjkami?

- W szkole w Szwajcarii było kilka saudyjskich dziewcząt.

- Bogatych?
- Wszystkie tam byliśmy bogate.
- Przyjaźniła się pani z nimi?
- Trudno było się do nich zbliżyć. Trzymały się na dystans, w swoim gronie.
- A ci arabscy chłopcy?
- Co z nimi?
- Przyjaźniła się pani kiedyś z którymś z nich?
- Tak sędzę.
- Umawiała z którymś? Spała?
- Nie.
- Dlaczego?
- Chyba nie byli w moim guście.
- Miała pani francuskich chłopców?
- Kilku.
- Brytyjskich?
- Jasne.
- Ale żadnych Arabów.
- Żadnych Arabów.
- Żywi pani jakieś antyarabskie uprzedzenia?
- Niech pan nie będzie śmieszny.
- Więc teoretycznie mogła się pani umówić z Arabem. Tylko pani tego nie zrobiła.
- Mam nadzieję, że nie poprosicie mnie, żebym służyła za słodką przynętę, bo...
- Niech pani nie będzie śmieszna.
- Więc dlaczego zadaje mi pan te wszystkie pytania?
- Ponieważ chcę ustalić, czy czułaby się pani swobodnie na niwie towarzyskiej i zawodowej wśród arabskich mężczyzn.
- Odpowiedź brzmi: tak.
- Nie widzi pani automatycznie terrorysty w każdym napotkanym Arabie?
- Nie.
- Jest pani tego pewna, Saro?
- To zależy, jaki typ Araba ma pan na myśli.

Popatrzył na zegarek.

- Robi się późno - rzucił w przestrzeń. - Głowę daję, że biedna Sara umiera z głodu. - Narysował grubą czerwoną linię przez stronę swoich hieroglifów. - Zamówmy jakieś jedzenie, dobrze? Sara poczuje się lepiej, gdy coś przekąsi.

Zamówili kebaby z restauracji na wynos w centrum Georgetown. Jedzenie dotarło po dwudziestu minutach, przywiezione tym samym czarnym chevroletem suburban, który prawie trzy godziny wcześniej przywiózł Sarę. Gabriel potraktował jego przybycie jako sygnał do rozpoczęcia nocnej sesji. Przez następne dziewięćdziesiąt minut skupił się na jej wykształceniu i wiedzy z zakresu historii sztuki. Rzucił kolejne pytania w takim tempie, że z ledwością miała czas, żeby coś przełknąć między jedną odpowiedzią a drugą. Jego jedzenie stało nietknięte obok żółtego notesu. „Asceta - pomyślała. - Nie zawraca sobie głowy jedzeniem. Mieszka w pokoju o gołych ścianach, żyje o suchym chlebie i kilku kroplach wody dziennie”. Krótco po północy zaniósł swój talerz do kuchni i odstawił na blat. Wrócił do jadalni i stał przez chwilę za swoim krzesłem, z jedną dłonią podpierającą podbródek i głową lekko przechyloną na bok. W świetle żyrandola jego oczy wydawały się żywymi szmaragdami i lustrowały ją niczym reflektory-szperacze. „Już widzi szczyt - pomyślała. - Szykuje się do ostatecznej szarży”.

- Widzę z pani akt, że jest pani niezamężna.

- Zgadza się.

- A jest pani teraz z kimś związana?

- Nie.

- Sypia pani z kimś?

Spojrzała na Cartera, który rzucił jej smutne spojrzenie, jakby mówił: ostrzegałem, że mogą wypłynąć kwestie bardzo intymne.

- Nie, nie sypiam z nikim.

- Dlaczego nie?

- Stracił pan kiedyś kogoś bliskiego?

Ponury wyraz, który nagle pojawił się na jego twarzy, w połączeniu z widokiem Cartera nerwowo wiercącego się na krześle, zasygnalizował jej, że wkroczyła do strefy zakazanej.

- Przepraszam - powiedziała. - Nie chciałam...

- Chodzi o Bena? To on jest powodem, dla którego z nikim się pani nie związała?

- Tak, chodzi o Bena. Oczywiście, że chodzi o Bena.

- Proszę mi o nim opowiedzieć.

Pokręciła głową.

- Nie - powiedziała miękko. - Nie opowiem o Benie. Należy tylko do mnie. Nie jest częścią umowy.

- Jak długo się spotykaliście?

- Już mówiłam...

- Jak długo byliście parą, Saro? To ważne, inaczej bym nie pytał.

- Jakies dziewięć miesięcy.

- I potem się skończyło.

- Tak, skończyło się.

- Pani to skończyła, prawda?

- Tak.

- Ben był w pani zakochany. Chciał się z panią ożenić.

- Tak.

- Ale pani nie odwzajemniała jego uczuć. Nie interesowało panią małżeństwo. Może nawet nie interesował cię Ben, Saro.

- Bardzo mi na nim zależało...

- Ale...

- Nie byłam w nim zakochana.

- Niech pani opowie mi o jego śmierci.

- Nie mówi pan poważnie.

- Całkiem poważnie.

- Nie rozmawiam o jego śmierci. Nigdy nie rozmawiam o śmierci Bena. Poza tym doskonale pan wie, jak umarł Ben. Trzy minuty po dziewiątej rano czasu wschodniego, na żywo w telewizji. Wszyscy na świecie widzieli, jak Ben umiera. Pan nie?

- Niektórym z pasażerów lotu sto siedemdziesiąt pięć udało się wykonać telefony.

- Zgadza się.

- Czy Ben był jednym z nich?

- Tak.

- Czy zadzwonił do swojego ojca?

- Nie.

- Do matki?

- Nie.
- Do brata? Siostry?
- Nie.
- Do kogo więc zadzwonił, Saro?
Miała łzy w oczach.
- Zadzwonił do mnie, sukinsynu.
- Co powiedział?
- Powiedział, że samolot został porwany. Stewardesy zabite. Powiedział, że maszyna wyczynia dzikie ruchy. Powiedział, że mnie kocha i że przeprasza. Właśnie miał umrzeć i powiedział, że mnie przeprasza. Potem straciliśmy połączenie.
- Co pani zrobiła?
- Włączyłam telewizor i zobaczyłam dym unoszący się z nad północnej wieży World Trade Center. To było kilka minut po tym, jak uderzył w nią samolot rejsu numer jedenaste. Wtedy jeszcze nikt nie wiedział, co się naprawdę stało. Zadzwoniłam do FAA i powiedziałam im o telefonie Bena. Zadzwoniłam do FBI. Do bostońskiej policji. Czułam się tak całkowicie, cholernie bezradna.
- A potem?
- Oglądałam telewizję. Czekałam, żeby telefon ponownie zadzwonił. Nie zadzwonił. O godzinie dziewiątej zero trzy czasu wschodniego drugi samolot uderzył w World Trade Center. Palila się południowa wieża. Ben się palił.
Po jej policzku spłynęła łza. Starła ją pięścią i popatrzyła na niego gniewnie.
- Jest pan zadowolony?
Milczał.
- Teraz moja kolej, żeby zadała pytanie, i lepiej, żeby pan na nie odpowiedział, albo wychodzę.
- Proszę pytać, o co żywnie się pani podoba, Saro.
- Czego ode mnie chcecie?
- Chcemy, żeby rzuciła pani pracę w Phillips Collection i podjęła nową w koncernie Dżihad Spółka z o.o. Jest pani nadal zainteresowana?
Carterowi przypadło w udziale położenie przed nią kontraktu do podpisania. Carterowi z jego purytańską prawością i sztruksową marynarką. Carterowi z postawą terapeutę i angielszczyzną z amerykańskim akcentem. Gabriel wymknął się z domu jak nocny złodziej i przeszedł na drugą stronę ulicy do sfatygowanego volvo. Wiedział, jaka będzie odpowiedź Sary. Już mu jej udzieliła. „Palila się południowa wieża - powiedziała. - Ben się palił”.
Gabriela nie zaniepokoił zatem ponury wyraz jej twarzy dwadzieścia minut później, kiedy wyłoniła się ze stoickim spokojem z domu i zeszła po kamiennych schodach do czekającego suburbana.
Nie zmartwił go też widok Cartera, wlokącego się smętnie ulicą pięć minut po niej niczym zbliżający się do trumny żałobnik.
Dotarłszy do samochodu, Amerykanin usiadł za kółkiem i uruchomił silnik.
- W Andrews czeka na ciebie samolot, który zabierze cię z powrotem do Izraela - powiedział. - Ale po drodze na lotnisko musimy się jeszcze gdzieś zatrzymać. Ktoś chciałby zamienić z tobą słówko, zanim wyjedziesz.
Było po północy, wyludnioną ulicą K kursowały głównie nocne ciężarówki dostawcze i taksówki. Carter jechał szybciej niż zazwyczaj i raz za razem popatrywał na zegarek.
- Ona nie idzie za darmo. Wykorzystanie jej wiąże się z pewnymi kosztami. Kiedy będzie po wszystkim, musi zmienić miejsce pobytu i przez długi czas mieć ochronę.

- Ale tym wy się już zajmiecie, prawda, Adrianie? Macie kupę pieniędzy. Budżet wszystkich amerykańskich służb wywiadowczych bije na głowę budżet naszego całego kraju.

- Zapomniałeś, że tej operacji nie ma? Poza tym to wy skubniecie Ziziego na niezły kawałek jego fortunki.

- Zgoda - powiedział Gabriel. - Możesz sam powiedzieć Sarze Bancroft, że następne dziesięć lat spędzi w jakimś kibucu w Galilei, ukrywając się przed siłami światowego dżihadu.

- W porządku. Pokryjemy koszty jej przesiedlenia.

Carter pokonał serię zakrętów. Przez chwilę Gabriel stracił orientację, na jakiej ulicy się znajdują. Minęli fasadę dużego neoklasykistycznego budynku, po czym wjechali na jakiś oficjalnie wyglądający podjazd. Po lewej stała ufortyfikowana budka strażnicza z kuloodpornego szkła. Carter opuścił szybę po swojej stronie i wręczył wartownikowi legitymację.

- Czekają na nas.

Strażnik zajrzał do notesu i oddał Carterowi dokumenty.

- Jedźcie do przodu i zatrzymajcie się przed barierką po lewej stronie. Psy krótko zbadają samochód, potem możecie jechać dalej.

Carter skinął głową i zamknął okno.

- Gdzie jesteśmy? - spytał Gabriel.

Carter kluczył między barierkami i zatrzymał się zgodnie z poleceniem.

- Na tyłach Białego Domu - odparł.

- Z kim się spotykamy? - chciał wiedzieć Gabriel, ale Carter rozmawiał teraz z innym oficerem, który usiłował zapanować nad wielkim owczarkiem niemieckim wyrrywającym się na grubej skórzanej smyczy... Gabriel, którego strach przed psami obrósł już w Biurze legendą, siedział nieruchomo, kiedy bestia krążyła dokoła volvo, szukając ukrytych materiałów wybuchowych. Chwilę później zostali przepuszczeni przez kolejną bramkę. Carter zatrzymał samochód na pustym parkingu przy wschodnim podjeździe i wyłączył silnik.

- Ja zostaję tutaj.

- Z kim mam się zobaczyć, Adrianie?

- Przejdź przez tę bramkę i idź podjazdem w stronę gmachu. Za chwilę się pojawi.

Pierwsze pojawiły się psy, dwa kruczocharne teriery, które wystrzeliły z wejścia dla dyplomatów niczym pociski z lufy i zainicjowały wyprzedzający atak na spodnie Gabriela. Prezydent ukazał się kilka sekund później. Szedł w stronę Gabriela z jedną dłonią wyciągniętą do powitania, podczas gdy drugą przywoływał do porządku teriery. Mężczyźni krótko uściskali sobie dłonie, po czym ruszyli ścieżką, biegnącą dokoła południowej murawy. Teriery podjęły jeszcze jeden wypad w kierunku kostek Gabriela.

Carter widział, jak konserwator odwraca się i mamrocze coś po hebrajsku, a psy czmychają błyskawicznie pod ochronę jakiegoś borowca.

Rozmowa trwała zaledwie pięć minut, a Carter miał wrażenie, że mówił głównie prezydent. Szli różnym krokiem, zatrzymując się tylko raz, żeby wyjaśnić coś, co wyglądało na małą sprzeczkę.

Gabriel wyciągnął dłonie z kieszeni kurtki i ilustrował nimi swoją rację, jakakolwiek ona była. Prezydent zrazu sprawiał wrażenie nieprzekonanego, ale potem skinął głową i mocno klepnął konserwatora w ramię.

Skończyli okrążenie i rozstali się przy wejściu dla dyplomatów.

Kiedy Gabriel ruszył w kierunku wschodniego podjazdu, psy truchtały jakiś czas za nim, potem odwróciły się i pognały do Białego Domu śladem swojego pana. Gabriel prześlizgnął się przez otwartą bramkę i wszedł do samochodu.

- Jakie sprawił na tobie wrażenie? - spytał Carter, kiedy skręcili w ulicę Piętnastą.

- Stanowczego.
- Wyglądało na to, że trochę się pokłóciliście.
- Określiłbym to mianem uprzejmej różnicy zdań.
- Na jaki temat?
- To była prywatna rozmowa, Adrianie, i taka musi zostać.
- Brawo - powiedział Carter.

18

Londyn

Pogłoska, że galeria Isherwooda sprzedała Daniela w jaskini lwów Petera Paula Rubensa za kwotę dziesięciu milionów funtów, pojawiła się w pierwszą środę po Nowym Roku. Do piątku wrzawa wokół tego wydarzenia przycichła z powodu plotki, że Isherwood bierze sobie współnika.

To Oliver Dimbleby, przysadzista nemezis Isherwooda z King Street, pierwszy usłyszał wieść, choć później nawet on nie potrafił ustalić precyzyjnie jej prawdziwego pochodzenia. O ile sobie przypominał, ziarno zostało zasiane przez Penelopę, ponętą hostessę z niewielkiej winiarni na Jermyn Street, gdzie często widywano Isherwooda zabijającego czas w długie popołudnia.

- To blondynka - powiedziała Penelopa. - Naturalna blondynka, Oliver. Nie to, co te twoje dziewczyny. Ładna. Amerykanka ze śladowym angielskim akcentem.

Zrazu Penelopa podejrzewała, że Isherwood znowu robi z siebie głupca, uganiając się za młodszą kobietą, ale szybko zrozumiała, że chodzi o pracę.

- I to nie byle jaką, Oliver. Wygląda mi to na coś poważnego.

Dimbleby puściłby to wszystko mimo uszu, gdyby nie otrzymał drugiej relacji, tym razem z ust Percy'ego, znanego plotkarza, który pracował jako kelner w restauracji hotelu Dorchester.

- Głowę daję, że nie są kochankami - oznajmił Dimbleby'emu z pewnością człowieka, który zna się na rzeczy. - Gadali o wynagrodzeniu i dodatkach. Długo się targowali. Ona udawała niezainteresowaną. - Dimbleby wsunął Percy'emu dziesięciofuntowy banknot i spytał, czy nie dosłyszał przypadkiem nazwiska kobiety.

- Bancroft - przypomniał sobie Percy. - Sara Bancroft. Została na dwie noce. Całość rachunku pokryła galeria Isherwood: Sztuki Piękne, Mason's Yard, Saint James.

Trzecie doniesienie o kameralnej kolacji w Mirabelle ugruntowało w Dimblebym przekonanie, że istotnie coś wisi w powietrzu. Następnego wieczoru wpadł przy barze w restauracji Green's na Jeremy'ego Crabbe'a, dyrektora działu starych mistrzów u Bonhamsa. Crabbe pił bardzo dużą whisky i nadal pluł sobie w brodę, że dał się tak załatwić Isherwoodowi.

- Miałem tego Rubensa, Oliver, ale Julie mnie przechytrzył. Teraz jest o dziesięć milionów bogatszy, a ja stoję przed plutonem egzekucyjnym o świcie. Tymczasem on w najlepsze rozwija skrzydła. Z tego, co słyszę, sprowadza sobie wyczesanego figuranta. Ale nie cytuj mnie, Oliver. To tylko złośliwe ludzkie gadanie.

Kiedy Dimbleby zapytał, czy wyczesany figurant Isherwooda nie jest przypadkiem Amerykanką nazwiskiem Sara Bancroft, Crabbe posłał mu krzywy uśmiech.

- Wszystko możliwe, mój drogi. Pamiętaj, że mówimy o Jurnym Julianie.

Przez następne czterdzieści osiem godzin Oliver Dimbleby poświęcał swój raczej

pokażny wolny czas na ustalanie proveniencji niejakiej Sary Bancroft. Pewien kumpel od kieliszka i wykładowca Instytutu Courtaulda w jednej osobie opisał ją mianem „meteora”.

Tenże sam kumpel dowiedział się od jakiegoś znajomego na Harvardzie, że jej rozprawę doktorską zaliczano do obowiązkowych lektur wszystkich chcących poważnie zajmować się niemieckimi ekspresjonistami. Później Dimbleby sam zadzwonił do innego starego kumpla, zajmującego się konserwacją obrazów w waszyngtońskiej National Gallery of Art, i poprosił, by ten powęszył w Phillips w sprawie przyczyn jej odejścia. To była sprzeczka na tle finansowym, relacjonował kumpel. Dwa dni później oddzwonił do Dimbleby'ego i powiedział, że sprawa ma ponoć coś wspólnego z nieszczęśliwym romansiem w pracy. W trzeciej konwersacji telefonicznej wyszło na jaw, że Sara Bancroft rozstała się z Phillips Collection w absolutnej zgodzie i przyjaźni, a jedynym motywem jej odejścia była chęć rozwoju. Co do życia osobistego i stanu cywilnego, opisano ją jako singielkę i nieosiągalną.

To wszystko jednak nie dostarczało odpowiedzi na jedno podstawowe pytanie: dlaczego mianowicie Isherwood ni z gruszki, ni z pietruszki postanowił przyjąć współnika? Jeremy Crabbe słyszał, że ponoć jest chory. Roddy Hutchinson słyszał, że ma w brzuchu guz wielkości melona. Penelopa, dziewczyna z ulubionej winiarni Isherwooda, słyszała, że zakochał się w posażnej Greczynce rozwódce i planował spędzić resztę dni na jakiejś plaży w Mykonos, oddając się błogosławionej rozpuście. Dimbleby, choć uważał te obficie napływające plotki za zabawne, podejrzewał, że prawda jest znacznie bardziej prozaiczna. Julian zaczynał się starzeć. Julian był zmęczony. Właśnie dokonał największego wyczynu w całej swojej marszandzkiej karierze. Niby dlaczego nie miałby sprowadzić sobie kogoś do pomocy?

Podejrzenia Dimbleby'ego potwierdziły się trzy dni później, kiedy w „Timesie” u dołu rubryki poświęconej sztuce pojawiła się krótka informacja, że Sara Bancroft, wcześniej pracująca w Phillips Collection w Waszyngtonie, zostanie wicedyrektorem galerii Isherwood: Sztuki Piękne. „Siedzę już w tym biznesie od czterdziestu lat - skarżył się dziennikarzowi marszand. - Potrzebowałem kogoś, kto pomógłby mi dalej pchać ten wózek, i anioły zesłały mi Sarę”.

Przybyła w następnym tygodniu, w poniedziałek. Całkiem przypadkiem Oliver Dimbleby przechadzał się właśnie Duke Street dokładnie w chwili, kiedy ona, w trenchu burberry, z blond włosami okrywającymi jej ramiona niczym atlasowa peleryna, skrzyła na Mason's Yard. Dimbleby nie zdawał sobie jeszcze sprawy, kim była, ale, jak to Oliver, wsadził głowę w przejście, żeby obejrzeć ją sobie od tyłu. Ku jego zaskoczeniu kierowała się prosto do galerii Isherwooda znajdującej się w najdalszym rogu placu. Tego pierwszego dnia przycisnęła dzwonek u drzwi i musiała czekać dwie bardzo długie minuty, dopóki Tanya, letargiczna sekretarka Isherwooda, jej nie wpuściła. „Tak oto Tanya przedstawia się nowej szefowej” - pomyślał Dimbleby. I podejrzewał, że jak amen w pacierzu wyleci do następnego piątku.

Skutki przybycia Sary nie dały na siebie długo czekać. Była huraganem. Od dawna potrzebnym powiewem świeżego powietrza. Była całkowitym przeciwieństwem Isherwooda: szybka, punktualna, zorganizowana, zdyscyplinowana i, rzecz jasna, na wskroś amerykańska. Przychodziła do galerii codziennie o ósmej rano.

Julian, który przywykł był pojawiać się w stylu włoskim koło dziesiątej, musiał strymować swoje żagle. Doprowadziła do porządku jego haniebne księgi rachunkowe oraz duże pomieszczenie biurowe, które dzielili. Wymieniła wybrakowany napis na domofonie i poplamioną brązową wykładzinę na schodach. Rozpoczęła bolesną operację likwidacji ogromnej kupy niechodliwych obrazów i podjęła ciche negocjacje w celu przejęcia sąsiadującej przestrzeni biurowej, aktualnie zajmowanej przez smutne biuro podróży panny Archer.

- To Amerykanka - powiedział Dimbleby. - Ma ekspansję we krwi. Podbije twój kraj, ani się obejrzysz, a potem wmówi ci jeszcze, że to w twoim własnym interesie.

Tanya, jak się okazało, nie dociągnęła do piątku; po raz ostatni widziano, jak opuszcza galerię w środę wieczorem. Zwolniła ją osobiście Sara, dlatego też cała rzecz przebiegła gładko i zupełnie niepodobnie do tego, czego wcześniej świadkiem bywały ściany galerii Isherwooda. Wspaniałomyślna odprawa - „bardzo wspaniałomyślna, jak doszły mnie słuchy”, mówił Dimbleby - pozwoliła jej na długie zimowe, bardzo zasłużone wakacje w Maroku.

W następnym poniedziałek w galerii pojawiła się nowa pracownica, niejaka Elena Farnese, wysoka Włoszka o oliwkowej cerze, bujnych ciemnych włosach i karmelowych oczach. Nieformalny sondaż opinii publicznej przeprowadzony przez Roddy'ego Hutchinsona wykazał, że męska cześć Saint James's uznała ją za nawet jeszcze piękniejszą od zachwycającej Sary. Nazwa Isherwood: Sztuki Piękne szybko nabrała wśród mieszkańców Duke Street zupełnie nowego wydźwięku, a sama galeria zaczęła przeżywać prawdziwe oblężenie zagląających i wpadających. Nawet Jeremy Crabbe z Bonhamsa pojawiał się bez zapowiedzenia, żeby, ot tak, rzucić okiem na kolekcję Isherwooda.

Po doprowadzeniu do porządku galerii Sara podjęła wysiłek poznania ludzi z branży. Umawiała się na oficjalne spotkania z najważniejszymi z nich w różnych londyńskich domach aukcyjnych. Chodziła na drogie lunche z kolekcjonerami i spokojne, długie drinki z ich doradcami, konsultantami i pobratymcami najróżniejszego sortu. Wpadała do galerii konkurentów Isherwooda, żeby przedstawić się i przywitać. Raz czy dwa zatrzymała się przy barze w Green's i postawiła chłopcom kolejkę. Oliver Dimbleby w końcu zebrał się na odwagę, żeby zaprosić ją na lunch, ale ona bardzo rozsądnie zamieniła to na kawę. Następnego popołudnia pili ciemną ciecz z mlekiem z papierowych kubków w jednym z barów jakiejś amerykańskiej sieci na Piccadilly. Oliver ścisnął dłoń Sary i zaprosił ją na kolację.

- Niestety, nie chadzam na kolacje - powiedziała.

„Czemuż, u licha, nie? - zachodził w głowę Dimbleby, tocząc się do swojej galerii na King Street. - Czemuż, u licha, nie, doprawdy?”

*

Uzi Nawot miał go już na oku od jakiegoś czasu. Zawsze wydawało mu się, że będzie doskonałą kryjówką. Miejscem, które dobrze mieć w odwodzie na czarną godzinę. Znajdował się zaledwie szesnaście kilometrów za obwodnicą M25 w Surrey - albo, jak wyjaśnił Gabrielowi, godzinkę jazdy metrem i samochodem od galerii Isherwooda w Saint James's. Dom był pełnym zakamarków gmaszyskiem w stylu Tudorów z mnóstwem mansard i frontonów oraz małutkimi oknami z szybkami w ołowianych ramkach. Prowadził do niego wyboisty, obrośnięty bukami podjazd i złowroga brama z żelaza. Na terenie znajdowała się też rozwalająca się stodoła i także dwie szklarnie. Był także zarośnięty ogród: idealne miejsce do głębokich rozmyślań, trzy hektary do walki z własnymi demonami, staw hodowlany, od piętnastu lat nieodrybiany. Pracownik biura nieruchomości pośredniczący w wynajmie, wręczając klucze Nawotowi, nazywał posiadłość Niebem Winsłowa. Ale dla takiego agenta operacyjnego jak Nawot to miejsce było po prostu Nirwaną.

Dina, Ramona i Jakow pracowali w zakurzonej bibliotece; Lavon i Josi ulokowali się w rozległym pokoju gier obwieszonym masą myśliwskich trofeów. Gabriel natomiast zaadaptował na prowizoryczną pracownię słoneczną bawialnię na piętrze, której okna wychodziły na ogród. Ponieważ nie mógł pokazywać się w londyńskim świecie sztuki, zlecił innym wystaranie się o potrzebne mu materiały. Był to sam w sobie rodzaj specoperacji.

Dina i Josi odbywali osobno wycieczki do składu L. Cornelissen & Sons na Russell Street, pieczołowicie rozdzielając między siebie pozycje z listy, tak by pracujące w sklepie ekspedientki nie zorientowały się, że realizują zamówienie zawodowego konserwatora.

Jakow udał się do sklepu z oświetleniem na Earl's Court, żeby kupić lampy halogenowe dla Gabriela, a potem do mistrza stolarskiego w Camden Town, żeby odebrać wykonane na zamówienie sztalugi. Eli Lavon był odpowiedzialny za ramę. Świeżo upieczony ekspert od wszystkiego, co łączyło się z al-Bakarim, kwestionował decyzję Gabriela, że rama powinna być w stylu staro włoskim.

„W jego guście jest wyrafinowana Francja - dowodził. - Włoska rama będzie się kłóciła z jego poczuciem smaku”. Ale Gabriel zawsze uważał, że bardziej zdecydowana rzeźba włoskich ram najlepiej pasuje do techniki impasto Vincenta, tak więc koniec końców to włoską ramę Lavon zamówił! w czarownej siedzibie sklepu Arnold Wiggins & Sons na Bury Street.

Każdego dnia wczesnym wieczorem w Nirwanie zjawiała się Sara, zawsze inną drogą i zawsze z Lavonem, sprawdzającym, czy nie jest śledzona. Była bardzo pojętną uczennicą, obdarzoną, jak Gabriel słusznie przewidział, rewelacyjną pamięcią. Mimo wszystko starał się jednak nie przytłaczać jej lawiną informacji. Zaczynali zwykle około siódmej, o dziewiątej robili sobie przerwę na wspólny obiad w oficjalnej jadalni, po czym kontynuowali nierzadko aż do północy, kiedy wreszcie Josi, który zajmował mieszkanie po drugiej stronie ulicy, odwoził Sarę do domu w Chelsea.

Tydzień poświęcili samemu Ziziemu al-Bakariemu, zanim przeszli do jego współpracowników i innych członków świty oraz najbliższego kręgu. Specjalną uwagę skupili na osobie niejakiego Wazira ibn Talala, wszechobecnego szefa ochrony AAB. Ibn Talal sam był jednoosobową agencją wywiadu, z siecią tajnych szpiegów w AAB i opłacanych konfidentów porzrzucanych po całym świecie, którzy dostarczali mu informacji na temat wszelkich potencjalnych zagrożeń dla majątku AAB lub samego Ziziego.

„Jeśli Ziziemu spodoba się towar, to właśnie ibn Talal prześwietli cię z należytą starannością - wyjaśniał Lavon. - Nikt nie ma szans zbliżyć się do szefa, jeśli wcześniej nie przejdzie przez sito ibn Talala. A jeśli ktoś zachowa się nieodpowiednio, to ibn Talal wymierza karę”. W swoich badaniach Josi natrafił na ślad co najmniej sześciu byłych współpracowników Ziziego, którzy zginęli w tajemniczych okolicznościach, ale ów fakt na prośbę Gabriela zatajono przed Sarą.

W następnych dniach w bezpiecznym domu w Surrey pojawiali się ludzie zwani w żargonie Biura „specami z tytułami”. Pierwsza przyjechała kobieta z Uniwersytetu Hebrajskiego, która spędziła dwie noce, wykładając Sarze zwyczaje i tradycje Saudyjczyków.

Następnie pojawił się psychiatra, który przez dwa kolejne wieczory uczył Sarę, jak pokonać strach i lęk, pracując w charakterze tajnego agenta. Specjalista od łączności zaopatrzył ją w elementarz głównych odmian szyfrów i kodów. Trener sztuk walki nauczył podstaw izraelskiego stylu walki wręcz. Zgodnie z postanowieniem Gabriela Lavon, najświetniejszy obserwator w dziejach Biura, wprowadził ją w tajniki sztuki inwigilacji fizycznej i elektronicznej.

„Wkroczysz do obozu wroga - powiedział jej Eli, podsumowując. - Załóż sobie, że obserwują każdy twój ruch i słuchają każdego twojego słowa. Jeśli tak zrobisz, nic nie może pójść źle”.

Przez większość czasu Gabriel pozostawał jedynie biernym obserwatorem jej szkolenia. Każdego wieczora witał ją, kiedy przybywała do domu, a potem zegnał przy drzwiach, kiedy wyjeżdżała z Josim do Londynu. W miarę upływu dni zaczęli wyczuwać w nim niepokój. Lavon, który pracował z Gabrielem częściej niż reszta zespołu, zdiagnozował stan przyjaciela jako niecierpliwość.

„Chciałby już włączyć ją do gry - orzekł - a wie, że nie jest jeszcze gotowa”.

Konserwator zaczął spędzać coraz więcej czasu przed płótnem, skrupulatnie naprawiając

zniszczenia, jakich doznała Marguerite.

Ale intensywna praca jedynie jeszcze bardziej nasilała jego niepokój. Lavon poradził mu, żeby od czasu do czasu robił przerwy, i Gabriel się z tym zgodził. Znalazł parę kaloszy w sieni i począł wyruszać na samotne wędrówki po okolicy. Ze schowka w piwnicy wykopał wędkę i kołowrotek i za ich pomocą wyłowił ze stawu ogromnego pstrąga. W stodole znalazł schowany pod brezentową płachtą stary samochód MG, który wyglądał tak, jakby nie był uruchamiany od dwudziestu lat. Trzy dni później reszta zespołu usłyszała charkotliwy odgłos pracującego silnika dobiegający ze stodoły, chwilę potem nastąpił wybuch, który rozszedł się echem po okolicy. Jakow wybiegł z domu, przerażony, że Gabriel leży gdzieś w kawałkach, ale zastał go stojącego nad otwartą maską auta, umazanego po łokcie smarem i uśmiechającego się po raz pierwszy od chwili ich przyjazdu do Surrey.

- Działa! - rozdarł się nad gromkim terkotem samochodu. - To cholerstwo ciągle działa!

Tego wieczora po raz pierwszy aktywnie włączył się w sesję szkoleniową Sary. Lavona i Jakowa nie zdziwiło to specjalnie, ponieważ omawianym tematem był nie kto inny jak Ahmed ibn Shafik, człowiek, którego Gabriel zaczynał uważać za swojego osobistego wroga. Postanowił, że to Dina, z jej miłym głosem i wyglądem kobiety przedwcześnie owdowiałej, będzie prowadzić wykład. Pierwszej nocy mówiła o Grupie 205, tajnej jednostce ibn Shafika w strukturach GID, ukazując, jakie spustoszenie na Bliskim Wschodzie i w Azji Południowej wywołała mieszanka wahhabistycznej ideologii i saudyjskich pieniędzy. Drugiego wieczoru zrelacjonowała drogę, jaką przebył ibn Shafik od lojalnego sługi saudyjskiego państwa do organizacyjnego mózgu Braterstwa Allaha. Potem opisała w szczegółach zamach na Watykan, choć ani słówkiem się nie zająknęła, że Gabriel był wtedy obecny na miejscu zbrodni. Gabriel zdawał sobie sprawę, że większość tych informacji jest zbyt cenna, ale chciał, żeby Sara nie miała cienia wątpliwości, że Ahmed ibn Shafik zasłużył na los, który mu gotowali.

Ostatniej nocy pokazali jej serię wygenerowanych komputerowo potencjalnych wersji aktualnego wyglądu ibn Shafika. Ibn Shafik z brodą. Ibn Shafik z plackiem łysinki. Ibn Shafik w siwej peruce. W czarnej peruce. Z kręconymi włosami. W ogóle bez włosów.

Ostre beduińskie rysy ibn Shafika złagodzone przez operację plastyczną. Ale to uszkodzona ręka będzie stanowiła najcenniejszą przesłankę do ustalenia jego tożsamości, powiedział jej Gabriel. Ta blizna na wewnętrznej stronie przedramienia, którego nigdy nie wystawiał na widok publiczny. Lekko niesprawną dłoń, której nigdy nie podawał na przywitanie i trzymał bezpiecznie schowaną przed wzrokiem niewiernych.

- Wiemy, że ukrywa się gdzieś w imperium Ziziego - mówił Gabriel. - Może się pojawić w jego otoczeniu jako bankier inwestycyjny albo doradca. Może pojawić się jako deweloper albo dyrektor firmy farmaceutycznej. Może się pojawić za miesiąc. Za rok. Może się nie pojawić w ogóle. Ale jeśli się pojawi, z pewnością będzie obyty, świetnie wychowany i w żaden sposób nieprzywodzący na myśl zawodowego terrorysty. Nie szukaj terrorysty albo kogoś, kto zachowuje się jak terrorysta. Szukaj po prostu człowieka.

Zebrał wydruki z wygenerowanymi komputerowo wizerunkami.

- Chcemy mieć informację o każdym, kto wkracza na orbitę Ziziego lub ją opuszcza. Chcemy, żebyś zebrała tyle nazwisk, ile tylko zdołasz. Ale to tego człowieka szukamy. - Gabriel umieścił przed nią na stole jedno ze zdjęć. - Tego człowieka chcemy. - Kolejna fotografia. - Tego człowieka ścigamy. - Następna. - To on jest powodem, dla którego siedzimy tutaj, zamiast w domu z naszymi rodzinami i dziećmi. - Kolejna. - To z jego powodu poprosiliśmy, żebyś porzuciła swoje dotychczasowe życie i dołączyła do nas. - Kolejna. - Jeśli go spotkasz, masz ustalić, jakiego nazwiska używa i dla jakiego przedsiębiorstwa pracuje. Kraj wystawiający mu paszport, jeśli zdołasz. - Kolejna fotografia. - Jeśli nie będziesz miała pewności, czy to naprawdę

on, nieważne. Powiedz nam i tak. Do niczego nie dojdzie na podstawie samych twoich słów. Nikomu nie stanie się krzywda z twojego powodu, Saro. Jesteś tylko posłańcem.

- A jeśli podam wam to nazwisko? - spytała. - Co się stanie potem?

Gabriel popatrzył na zegarek.

- Myślę, że czas już, żebyśmy z Sarą zamienili słówko na osobności. Bądźcie tak mili i wybaczcie nam.

Zaprowadził ją na górę do swojej pracowni i włączył halogenowe lampy. W ich intensywnym białym blasku Marguerite Gachet promieniowała uwodzicielską poświatą. Sara usiadła na zabytkowym fotelu z zagłówkiem, Gabriel nasunął na oko binokular i przygotował paletę.

- Jak długo jeszcze? - spytała.

Takie samo pytanie zadał mu Szamron owego wietrznego październikowego popołudnia, kiedy pojawił się na ulicy Narkissa, żeby wyciągnąć Gabriela z jego samotni. Rok, powinien był powiedzieć Szamronowi tamtego dnia. A wtedy nie siedziałby tutaj, w bezpiecznym domu w Surrey, szykując się do posłania pięknej amerykańskiej dziewczyny w samo serce Dżihad Spółki z o.o.

- Usunąłem powierzchowne zabrudzenia i zlikwidowałem wgniecenia za pomocą rozgrzanej, wilgotnej szpachli - powiedział Gabriel. - Teraz muszę dokończyć podmalunek i nałożyć cienką warstwę werniksu - tylko tyle, żeby podkreślić ciepło oryginalnej kolorystyki Vincenta.

- Nie mówiłam o obrazie.

Uniósł głowę znad palety.

- To, jak sądzę, zależy już całkowicie od ciebie.

- Jeśli wy jesteście gotowi, ja też.

- Niezupełnie.

- Co się stanie, jeśli Zizi nie połknie haczyka? Co się stanie, jeśli nie spodoba mu się obraz albo ja?

- Żaden poważny kolekcjoner z takimi pieniędzmi jak Zizi nie machnie ręką na świeżo odnalezionego van Gogha. A co do ciebie, nie będzie miał w tej kwestii zbyt wielkiego wyboru. Sprawimy, że nie będzie mógł ci się oprzeć.

- Jak?

- Są rzeczy, o których lepiej, żebyś nie wiedziała.

- Na przykład co się stanie z Ahmedem ibn Shafikiem, kiedy go rozpoznam?

Dodał pigmentu do kapki rozcieńczalnika i wymieszał wszystko razem pędzlem.

- Wiesz, co się stanie z Ahmedem ibn Shafikiem. Bardzo jasno ci to wyłuszczyłem tamtej nocy w Waszyngtonie, kiedy się poznaliśmy.

- Powiedz mi wszystko bez ogródek - poprosiła. - Muszę wiedzieć.

Gabriel opuścił na oczy binokular i podniósł pędzel do płótna.

Kiedy przemówił, zwracał się nie do Sary, ale do Marguerite.

- Będziemy go obserwować. Podśluchiwać, jeśli nam się uda. Zdobędziemy jego zdjęcie i nagranie jego głosu. Wyślemy je naszym ekspertom do analizy.

- A jeśli wasi eksperci potwierdzą, że to on?

- W miejscu i czasie przez nas wybranym załatwimy go.

- Załatwicie?

- Zamordujemy. Zabijemy. Zlikwidujemy. Wybierz sobie słowo, które najbardziej ci odpowiada, Saro. Mnie się to jeszcze nie udało.

- Jak wiele razy to już robiłeś?

Zbliżył twarz do płótna i wymruczał:

- Wiele razy, Saro.

- Ilu ludzi zabiłeś? Dziesięciu? Dwudziestu? Czy to rozwiązało problem terroryzmu? A może tylko pogorszyło sytuację? Jeśli znajdziecie Ahmeda ibn Shafika i go zabijecie, co to da? Czy wszystko się zakończy, czy też ktoś inny pojawi się na jego miejsce?

- W końcu pojawi się jakiś inny morderca. Do tego czasu jednak zaoszczędzi się życie iluś tam ludzi. I dokona się sprawiedliwość.

- Czy to naprawdę jest sprawiedliwość? Czy naprawdę można wymierzać sprawiedliwość pistoletem z tłumikiem albo samochodem z bombą?

Odsunął lupę na czoło i odwrócił się; zielone oczy połyskiwały w świetle lamp.

- Bawi cię ta mała debata nad moralną słusnością walki z terroryzmem? Poprawia ci samopoczucie? Możesz być absolutnie pewna, że Ahmed ibn Shafik nigdy nie marnuje czasu na zawracanie sobie głowy takimi kwestiami. Możesz być spokojna, że jeśli kiedykolwiek udałoby mu się wejść w posiadanie bomby nuklearnej domowej roboty, jedyną kwestią sporną w jego głowie, jedyną debatą, na jaką sobie pozwoli, będzie pytanie, czy lepiej spożytkować ją przeciwko Nowemu Jorkowi, czy Tel Awiwowi.

- Czy to jest sprawiedliwość, Gabrielu, czy tylko zemsta?

Raz jeszcze w myślach zobaczył siebie w towarzystwie Szamrona. Tym razem sceneria była inna: ciepłe wrześnie popołudnie 1972 roku, dzień, w którym Szamron po raz pierwszy się do niego zgłosił. Gabriel zadał wtedy to samo pytanie.

- Jeszcze nie jest za późno, Saro. Możesz się wycofać, jeśli chcesz. Możemy znaleźć kogoś innego na twoje miejsce.

- Nie ma drugiej takiej jak ja. Poza tym nie chcę się wycofać.

- Więc czego chcesz?

- Pozwolenia na sen nocą.

- Śpij, Saro. Śpij dobrze.

- A co z tobą?

- Ja muszę dokończyć obraz.

Odwrócił się i ponownie opuścił na oczy binokular. Sara nie uznała rozmowy za zakończoną.

- Czy to prawda? - spytała. - Te wszystkie rzeczy wypisywane o tobie w gazetach po zamachu na Gare de Lyon?

- Większość.

- Zrobiłbyś to raz jeszcze, mając swoją dzisiejszą wiedzę?

Zawahał się przez chwilę.

- Tak, Saro, zrobiłbym je raz jeszcze. I powiem ci dlaczego. Tu nie chodzi o zemstę.

Czarny Wrzesień był najbardziej brutalną grupą terrorystyczną, z jaką świat miał do czynienia, i musiała zostać zlikwidowana.

- Ale zobacz, ile cię to kosztowało. Straciłeś rodzinę.

- Każdy, kto angażuje się w tę walkę, coś traci. Spójrz na swój kraj na przykład. Byliście niewinni, gwiazda przewodnia wolności i przyzwoitości. Teraz macie krew na rękach i ludzi w tajnych więzieniach. Nie wykonujemy tej pracy, bo sprawia nam ona przyjemność. Wykonujemy ją, bo musimy. Bo nie mamy innego wyjścia. Myślisz, że ja mam jakieś inne wyjście? Że ma je Dina Sarid? Nie mamy. I ty też nie masz. - Popatrzył na nią przez chwilę. - Chyba że chcesz, bym poszukał kogoś innego na twoje miejsce.

- Nie ma drugiej takiej jak ja - powtórzyła. - Kiedy będę gotowa?

Gabriel odwrócił się i zbliżył pędzel do płótna. Niedługo, pomyślał. Jeszcze tylko dzień

albo dwa podmalówki. Potem warstwa werniksu. Wtedy będzie gotowa.

Pozostało jeszcze tylko szkolenie terenowe. Lavon i Uzi Nawot sprawdzili praktyczne umiejętności Sary. Przez trzy dni i noce zabierali ją na ulice Londynu i wpajali jej podstawowe arkana sztuki szpiegowskiej. Nauczyli, jak zorganizować tajne spotkanie i jak ocenić, czy miejsce jest czyste. Pokazali, jak wykryć ogon i jak w najprostszy sposób się go pozbyć. Nauczyli, jak oddać śmiertelny strzał i jak przekazać materiały żywemu kurierowi.

Jak łączyć się z alarmowymi numerami Biura ze zwykłych aparatów telefonicznych i jak zasygnalizować, że jest spalona i wymaga ewakuacji. Lavon opisywał ją później jako najświetniejszego agenta operacyjnego-amatora, jakiego dane mu było szkolić.

Mógł zakończyć cały kurs w dwa dni, ale Gabriel, chyba tylko dla spokoju własnego sumienia, nalegał na trzeci. Kiedy Lavon wreszcie wrócił do Surrey, zastał przyjaciela stojącego ponuro nad brzegiem stawu, z wędką w dłoni i wzrokiem wbitym w taflę wody, tak jakby chciał siłą spojżenia wyciągnąć rybę na powierzchnię.

- Ona jest gotowa - powiedział Lavon. - Pytanie tylko, czy ty też?

Gabriel wolno zwinął żyłkę i poszedł za Lavonem do domu.

*

Później tego samego wieczoru w melancholijnym małym biurze podróży sąsiadującym z galerią Isherwooda zgasły światła. Panna Archer, kurczowo ściskając pod pachą plik starych folderów, przystanęła na chwilę na podeście i zajrzała przez szklane drzwi do galerii. Za biurkiem, na stanowisku recepcjonistki, siedziała Elena, skandalicznie ładna włoska sekretarka pana Isherwooda. Oderwała wzrok od ekranu monitora i posłała pannie Archer ostentacyjnie długiego pożegnalnego całusa, potem opuściła wzrok i wróciła do przerwanej pracy.

Panna Archer uśmiechnęła się smutno i skierowała do wyjścia.

W jej oczach nie było łez. Popłakała już sobie ile wlezie na osobności, tak jak robiła większość rzeczy. W jej krokach nie było wahania. Przez dwadzieścia siedem lat przychodziła do swojego biura pięć razy w tygodniu. Czasami także w soboty, jeśli wypadała pora sprzątanina. Cieszyła się na myśl o emeryturze, nawet jeśli ta przyszła nieco wcześniej, niż się spodziewała. Może pojedzie na długie wakacje. A może kupi jakiś domek na wsi. Od jakiegoś czasu miała na oku śliczne miejsce w parku krajobrazowym Chilterns. Jedno wiedziała na pewno: nie żal jej było odchodzić.

Mason's Yard już nigdy nie będzie tym samym miejscem co dawniej, nie z tą odstawioną panoszącą się panną Bancroft. Nie żeby panna Archer żywiła jakieś osobiste uprzedzenia do Amerykanów. Ale po prostu nie interesowało jej przebywanie z jednym z nich po sąsiedztwie.

Kiedy zbliżyła się do dołu schodów, zadźwięczał brzęczyk i automatyczne zamki na zewnętrznych drzwiach otworzyły się gwałtownie. „Dziękuję, Elena - wymruczała w myślach panna Archer, wychodząc w chłód wieczornego powietrza. - Nie możesz nawet podnieść tego swojego kształtnego zadka, żeby pożegnać się jak należy, a teraz mnie praktycznie wypychasz przez drzwi”. Kusilo ją, żeby pogwałcić stare zarządzenie pana Isherwooda, by wychodzący czekali, aż drzwi zamkną się za nimi ponownie od środka, ale, profesjonalistka w każdym calu do końca, poczekała dziesięć sekund na głuchy szcęk zasuw i ruszyła, powłócząc nogami, w stronę wyjścia z dziedzińca.

Nie wiedziała, że jej odejście obserwuje trzyosobowy zespół czekający w furgonetce zaparkowanej po drugiej stronie Duke Street. Jego członkowie siedzieli w samochodzie jeszcze przez godzinę - chcieli mieć pewność, że niczego nie zapomniała.

Potem, tuż przed ósmą, wślizgnęli się przez przejście i ruszyli wolno po bruku starego dziedzińca w stronę galerii. Julianowi Isherwoodowi, który z okien gabinetu patrzył, jak

niespiesznie nadchodzą, przywodzili na myśl kopaczy grobów, którzy mają długą noc przed sobą.

19

Londyn

Operacja zaczęła się na serio późnym rankiem nazajutrz, kiedy Julian Isherwood, znany londyński marszand o świetnej reputacji, wykonał dyskretny telefon do pewnej rezydencji w Knightsbridge należącej do Andrew Malone'a, wyłącznego doradcy Ziziego al-Bakariego do spraw sztuki. Odebrała jakaś zaspana kobieta, która poinformowała Isherwooda, że Malone wyjechał z kraju.

- Ucieka przed sprawiedliwością? - spytał Isherwood, próbując obrócić w żart niezręczną sytuację.

- Proszę spróbować na komórkę - rzuciła radę, a zaraz potem słuchawkę.

Na szczęście Isherwood znał numer. Wykręcił go natychmiast i, zgodnie z instrukcją, zostawił krótką wiadomość. Upłynął prawie cały dzień, zanim Malone zadał sobie trud oddzwonienia.

- Jestem w Rzymie - odezwał się półgłosem. - Mam tu coś dużego. Bardzo dużego.

- To mnie nie dziwi, Andrew. Ty robisz wyłącznie w dużych rzeczach.

Malone z miejsca storpedował tę próbę podlizania się.

- Niestety, czas mnie goni - stwierdził. - W czym mogę ci pomóc, Julie?

- Chyba mam coś dla ciebie. Dla twojego klienta, ściśle mówiąc.

- Mojego klienta nie interesują starzy mistrzowie.

- Nie dzwoniłbym do ciebie w sprawie starych mistrzów. Dzwonię w sprawie impresjonisty. I to nie byle jakiego impresjonisty, jeśli wiesz, co mam na myśli. To coś specjalnego, Andrew. Ten rodzaj rzeczy, o której posiadaniu może marzyć jedynie garsteczka kolekcjonerów na świecie, a twój człowiek przypadkiem należy do tego grona. Proponuję ci pierwsze oględziny - na prawach wyłączności. Zainteresowany czy mam się kontaktować z kimś innym?

- Powiedz coś więcej, Julie.

- Wybacz, mój drogi, ale to nie jest sprawa, którą można omawiać przez telefon. Co powiesz na lunch jutro? Ja stawiam.

- Jutro lecę do Tokio. Pewien tamtejszy kolekcjoner ma Moneta, którym zainteresowany jest mój człowiek.

- Zatem pojutrze?

- Będę padnięty po podróży i zmianie czasu. Umówmy się na czwartek, zgoda?

- Nie pożałujesz, Andrew.

- Żal daje nam siłę. Ciao, Julie.

Isherwood rozłączył się i popatrzył na barczystego mężczyznę z jasnorudymi włosami, siedzącego po drugiej stronie biurka.

- Nieźle - powiedział Uzi Nawot. - Ale następnym razem niech to Zizi płaci za lunch.

To, że Andrew Malone jest w Rzymie, nie zaskoczyło Gabriela, ponieważ Anglik był pod ścisłą obserwacją od prawie tygodnia.

Do Wiecznego Miasta udał się, żeby zdobyć pewną rzeźbę Degasa, na którą Zizi już od jakiegoś czasu ostrzył sobie zęby, ale w poniedziałek wyjechał z pustymi rękoma i poleciał do

Tokio. Anonimowym kolekcjonerem, którego Malone miał nadzieję pozbawić ciężaru jednego Moneta, był nie kto inny, jak sławny przemysłowiec Morito Watanabe. Z przygnębionej miny, jaka zdobiła oblicze Malone'a po wyjściu z mieszkania Watanabego, Gabriel wywnioskował, że negocjacje się nie udały. Wieczorem Malone zadzwonił do Isherwooda poinformować go, że zostaje w Tokio dzień dłużej, niż planował.

- Obawiam się, że będziemy musieli przełożyć nasze spotkanie - powiedział. - Możemy zobaczyć się w przyszłym tygodniu?

Gabriel, który chciał jak najszybciej zacząć, kazał Isherwoodowi nie ustępować, i ostatecznie spotkanie zostało przełożone tylko o jeden dzień, z czwartku na piątek, choć Isherwood zgodził się, by był to późny lunch, tak żeby Malone zdążył złapać jeszcze kilka godzin snu we własnym łóżku. Anglik rzeczywiście pozostał w Tokio przez następny dzień, ale tokijska komórka Biura nie odnotowała żadnych dalszych kontaktów między nim a Watanabem lub którymkolwiek z jego współpracowników. Wrócił do Londynu późnym wieczorem w czwartek, wyglądając, według słów Eliego Lavona, jak trup w szytym na miarę garniturze z Savile Row.

O godzinie piętnastej trzydzięci nazajutrz ówże trup prześlizgnął się przez drzwi restauracji Green's na Duke Street i ruszył w stronę zacisznego, narożnego stolika, przy którym czekał już Isherwood.

Julian nalał mu bardzo duży kieliszek białego burgunda.

- W porządku, Julie - powiedział Malone. - Skończmy z tymi pierdołami, zgoda? Co masz w rękawie? I kto, do jasnej kurwy, tam to wsadził? Zdrówko!

*

Chiara czekała na piętrze półtorej godziny później, kiedy Isherwood, pokrępowany dwiema butelkami białego burgunda na koszt Gabriela, wchodził, chwiejąc się, po schodach dopiero co wysłanych nową wykładziną. Skierowała go na lewo, do dawnej siedziby biura Archer Travel, gdzie powitał go jeden ze speców od podsłuchów z zespołu neviot. Zdjął mu płaszcz i odpiął koszulę, ukazując małe urządzenie nagrywające przytwierdzone za pomocą elastycznej taśmy do klatki piersiowej marszanda.

- Zazwyczaj nie robię takich rzeczy na pierwszej randce - krygował się Isherwood.

Neviotowiec usunął rejestrator i uśmiechnął się.

- Jak smakował homar?

- Trochę żyłasty, ale poza tym palce lizać.

- Dobrze się pan spisał, panie Isherwood. Bardzo dobrze.

- To moja ostatnia transakcja, jak podejrzewam. Miejmy teraz nadzieję, że zarobię na niej coś więcej niż kulkę.

*

Nagranie mogło zostać przekazane szyfrowanym łączem, ale Gabriel, podobnie jak Adrian Carter, ciągle w niektórych sprawach nieco staroświecki, upierał się, żeby zgrać je na dysk i doręczyć do bezpiecznego domu w Surrey. W konsekwencji było już po ósmej, kiedy wreszcie się tam znalazło. Gabriel włożył dysk do komputera w bawialni i kliknął ikonkę odtwarzania. Dina leżała rozwalona na kanapie. Jakow z podbródkiem w dłoniach i łokciami opartymi o kolana siedział w fotelu, pochylony do przodu, jakby nasłuchiwał komunikatu z frontu. Tego wieczoru dyżur w kuchni wypadał Rimonie. Kiedy Andrew Malone zaczął mówić, krzyknęła do Gabriela, żeby zrobił głośniejsze, tak by i ona słyszała.

- „Bierzesz mnie za głupca, Julianie?”
- To oryginał. Widziałem na własne oczy.
- Masz zdjęcie?
- Nie pozwolono mi.
- Kto jest właścicielem?
- Chce pozostać anonimowy.
- Tak, naturalnie, ale kto to, u diabła, jest, Julianie?
- Nie mogę ujawnić nazwiska. Kropka. Koniec dyskusji. Powierzyła mi reprezentowanie jej w tej sprawie i to wszystko, co mogę zdradzić.
- Powierzyła? Więc właścicielką jest kobieta?
- Obraz jest w tej samej rodzinie od trzech pokoleń. Obecnie znajduje się w rękach kobiety.
- Co to za rodzina, Julianie? Spraw mi przyjemność.
- Pewna rodzina z Francji, Andrew. Tylko tyle ze mnie wyciągniesz.
- Obawiam się, że to nie wystarczy, Julianie. Musisz mi dać coś, na czym mógłbym zawiesić kapelusz. Nie mogę iść do Ziziego z pustymi rękoma. Wścieka się w takich sytuacjach. Jeśli chcesz grać z Zizim, musisz przestrzegać jego reguł.
- Nie dam się zaszantażować, Andrew. Zgłosiłem się do ciebie jedynie przez sentyment. Mówiąc szczerze, mam głęboko w dupie reguły Ziziego. Zizi w ogóle nie jest mi potrzebny do szczęścia. Jeśli tylko szepnę słówko, że mam nieznanego van Gogha, każdy poważniejszy kolekcjoner i każde muzeum na świecie będzie dobijać się do moich drzwi i zasypywać mnie kasą. Proszę, staraj się z łaski swojej o tym nie zapominać.
- Wybacz, Julie. Miałem ciężki tydzień. Zacznijmy od nowa, zgoda?
- Dobrze. Zaczynaj.
- Mogę zadać kilka niegroźnych pytań?
- Zależy jak bardzo niegroźnych.
- Na początek bardzo proste. Gdzie jest teraz obraz? We Francji czy w Anglii?
- Tu, w Londynie.
- W twojej galerii?
- Jeszcze nie.
- O jakim rodzaju obrazu mówimy? Pejzaż? Martwa natura? Portret?
- Portret.
- Auto?
- Nie.
- Kobiety czy mężczyzny?

- Kobiety.
- Pysznie. Wczesny czy późny?
- Bardzo późny.
- Saint-Remy? Auvers?
- To drugie, Andrew. Został namalowany podczas ostatnich dni jego życia w Auvers.
- Chyba nie masz nieznanego portretu Marguerite Gachet, Julianie?
- Może powinniśmy rzucić okiem na kartę dań.
- Pierdolę kartę dań. Odpowiedz mi na pytanie. Czy masz nieznaną portret Marguerite?
- Posunąłem się tak daleko, jak tylko mogłem, żeby cię zadowolić, Andrew. To tyle. Jeśli chcecie wiedzieć, co to jest, musicie sami się pofatygować.
- Proponujesz mi obejrzenie?
- Proponuję obejrzenie twojemu człowiekowi, nie tobie.
- Łatwiej powiedzieć, niż zrobić. Zarządzanie światem zajmuje mojemu człowiekowi nieco czasu.
- Jestem gotów zagwarantować tobie i Ziziemu wyłączność przez najbliższe siedemdziesiąt dwie godziny. Później będę musiał dopuścić innych kolekcjonerów.
- Fatalna forma, Julianie. Mój człowiek nie przyjmuje ultimatum.
- To nie jest ultimatum. Zwyczajne interesy. Zrozumie.
- O jakiej cenie mówimy?
- Osiemdziesiąt pięć milionów.
- Osiemdziesiąt pięć milionów? Więc rzeczywiście potrzebny ci jest Zizi. Coś ostatnio krucho z pieniędzmi w branży, prawda? Nie przypominam sobie, kiedy ostatni raz ktoś wyłożył osiemdziesiąt pięć milionów. A ty, Julie?
- Ten obraz wart jest każdego centa z tej sumy.
- Jeśli to rzeczywiście jest to, o czym mówisz, i jeśli jest w doskonałym stanie, załatwię ci te osiemdziesiąt pięć milionów dolarów na pniu. Widzisz, mój człowiek od bardzo dawna już szukał czegoś równie imponującego. Ale przecież sam o tym świetnie wiesz, prawda, Julie? Dlatego właśnie przyszedłeś z tym od razu do mnie. Wiedziałaś, że dobijemy targu w jedno popołudnie. Bez żadnych aukcji. Bez prasy. Bez natrętnych pytań o twoją cichą Francuzeczkę, która chce pozostać anonimowa. Jestem dla ciebie kurą znoszącą złote jaja i będziesz musiał się jakoś tej kurze odwdziżyć.
- O czym, na Boga, mówisz, Andrew?
- Doskonale wiesz, o czym mówię.
- Chyba nie jestem dziś specjalnie lotny. Mógłbyś dokładniej objaśnić?
- Mówię o pieniądzach, Julianie. Mówię o bardzo małym kawałeczku bardzo dużego tortu.
- Liczysz na jakąś część. Udział w zyskach, jak to określają Amerykanie.
- Nie mieszajmy w to Amerykanów, dobrze? Mój człowiek jakoś nieszczególnie za nimi przepada ostatnio.
- O jak dużym kawałku tortu mówimy, Andrew?
- Powiedzmy, czysto hipotetycznie, że twoja prowizja za sprzedaż wyniesie dziesięć procent. To oznacza, że zgarniesz osiem i pół miliona dolarów za pół dnia roboty. Ja proszę o dziesięć procent twoich dziesięciu procent. Po prawdzie to nie proszę. Domagam się. A ty je zapłacisz, ponieważ tak właśnie gra się w te klocki.
- O ile mnie nie myli moja szwankująca pamięć, Zizi ma wyłączne prawa do twoich usług doradczych w dziedzinie sztuki i płaci ci za to bająnskie wynagrodzenie. Praktycznie żyjesz sobie z ogromnego konta Ziziego. A większość wolnego czasu spędzasz, relaksując się w jego

równie ogromnych posiadłościach. Wszystko po to, żeby Zizi miał pewność, iż rady, których mu udzielasz, nie będą kolidowały z twoimi innymi transakcjami. Ale ty od dawna ciągniesz dwie sroki za ogon, prawda, Andrew? Jak długo już? Jak wiele wzięłeś do kieszeni? Na ile pieniędzy go już skubnąłeś?

- To nie są pieniądze Ziziego. To moje pieniądze. A czego Zizi nie wie, to go nie zaboli.

- A jeśli się dowie? Kropnie cię na pustyni Rub al-Khali i pozwoli, żeby sępy objadły twoje kości.

- Dokładnie tak, mój drogi. I właśnie dlatego nigdy nie wspomnisz Ziziemu o tym ani słówkiem. Proponuję ci ponad siedem i pół miliona dolarów za pół dnia pracy. Nie tak źle, Julie. Nie wybrzydź. Przybij piątkę. Wzbogaćmy się razem, zgoda?

- W porządku, Andrew. Dostaniesz swoje dziesięć procent. Ale Zizi al-Bakari ma się pojawić w mojej galerii w całej swej okazałości w ciągu siedemdziesięciu dwóch godzin albo z interesu nici”.

Gabriel zatrzymał odtwarzanie, uruchomił raz jeszcze i ponownie odsłuchał końcowy fragment.

„Ale ty od dawna ciągniesz dwie sroki za ogon, prawda, Andrew? Jak długo już? Jak wiele wzięłeś do kieszeni? Na ile pieniędzy go już skubnąłeś?

- To nie są pieniądze Ziziego. To moje pieniądze. A czego Zizi nie wie, to go nie zaboli.

- A jeśli się dowie? Kropnie cię na pustyni Rub al-Khali i pozwoli, żeby sępy objadły twoje kości.

- Dokładnie tak, mój drogi. I właśnie dlatego nigdy nie wspomnisz Ziziemu o tym ani słówkiem”.

Gabriel zamknął plik i wyjął płytę z komputera.

- Pan Malone jest bardzo niegrzecznym chłopcem - powiedział Jakow.

- Tak, to prawda - zgodził się Gabriel, ale on przecież wiedział już o tym od jakiegoś czasu.

- Nie sądzisz, że ktoś powinien poinformować o tym Ziziego? - spytała Dina. - Tak nakazuje uczciwość.

- Tak. - Gabriel wsunął płytę do kieszeni. - Ktoś powinien. Ale jeszcze nie teraz.

*

To były jedne z najdłuższych siedemdziesięciu dwóch godzin, jakie kiedykolwiek przeżyli. Znosili falstarty i niedotrzymane obietnice, terminy umawiane i odwoływane w ciągu jednego popołudnia. Malone występował raz w roli straszaka, raz kornego petenta.

„Zizi ma tu niezły kram - powiedział w sobotę wieczorem. - Jest w trakcie dużej transakcji. Dziś w Delhi, jutro leci do Singapuru. Nie ma szans, żeby wcisnął gdzieś Londyn wcześniej niż w środku przyszłego tygodnia”. Isherwood obstawał przy swoim. „Gwarancja wyłączności dla Ziziego wygasa w poniedziałek o siedemnastej - utrzymywał. - Później będzie musiał walczyć w kupie razem z innymi chętnymi”.

W niedzielę późnym wieczorem Malone zadzwonił z rozczarującą wiadomością, że Zizi postanowił dać sobie spokój. Gabriel nie przejął się tym ani krztyny, ponieważ tego samego popołudnia zespół neviot stacjonujący w biurze Archer Travel zauważył dobrze ubranego Araba po trzydziestce ewidentnie dokonującego rekonesansu Mason's Yard. Lavon, zobaczywszy go na wykonanych przez chłopców zdjęciach, zidentyfikował jegomościa jako niejakiego Dżafara Sharukiego, byłego członka saudyjskiej gwardii narodowej, który pracował u Ziziego jako jeden z ochroniarzy ze straży przedniej.

- Przyjeżdża - oznajmił Lavon. - Kokietek. Zawsze lubi udawać trudnego do zdobycia.

Telefon, na który wszyscy czekali, nadszedł dokładnie o godzinie dziesiątej minut dwadzieścia dwie następnego ranka. Dzwonił Andrew Malone, i mimo że nie widzieli jego twarzy, nie wątpili, że promienieje zadowoleniem. „Zizi jest w drodze do Londynu - powiedział. - Będzie w galerii Isherwooda o szesnastej trzydzieści”.

- Ma kilka zasad - dorzucił jeszcze, zanim się rozłączył. - Żadnego alkoholu ani papierosów. I dopilnuj, żeby te twoje dwie dzierlatki były przyzwoicie ubrane. Zizi lubi ładne dziewczyny, ale lubi też, żeby były skromnie odziane. To pobożny człowiek ten nasz Zizi. Łatwo go obrazić.

20

Londyn

Pierwsza przybyła Marguerite Gachet. Przyjechała w nieoznakowanej furgonetce prowadzonej przez bodela z londyńskiej komórki i została wniesiona do siedziby Isherwood: Dzieła Sztuki przez zabezpieczoną strefę. Dostawę obserwowało dwóch ochroniarzy z oddziału Wazira ibn Talala, którzy siedzieli w zaparkowanym samochodzie na Duke Street, oraz Dżafar Sharuki, straż przednia, który tkwił nad talerzem frytek z rybą w pubie sąsiadującym z galerią Isherwooda. Potwierdzenie przekazania obrazu dotarło do bezpiecznego domu w Surrey o godzinie piętnastej minut osiemnaście w formie szyfrowanego maila od neviotów. Odebrała go Dina i odczytała na głos Gabrielowi, który wolno przemierzał w tę i we w tę wytarty dywan w bawialni.

Przystanął na moment i przechylił głowę, jakby nasłuchując dźwięków odległej muzyki, potem podjął swoją niespokojną przechadzkę.

Czuł się bezradny jak autor sztuki w wieczór premiery. Wymyślił postaci. Przydzielił im kwestie i mógł je teraz obserwować na scenie własnej wyobraźni. Widział Isherwooda w garniturze w kredowy prążek i przynoszącym szczęście czerwonym krawacie, marzącego o drinku i obgryzającego paznokiec palca wskazującego u lewej ręki, żeby rozładować napięcie. Widział Chiarę siedzącą za nowym, błyszczącym biurkiem recepcjonistki, z włosami zaczesanymi do tyłu i długimi nogami skrzyżowanymi skromnie w kostkach. A także Sarę w czarnym kostiumie od Chanel, który kupiła dwa tygodnie wcześniej u Harrodsa, upozowaną spokojnie na sofie w sali wystawienniczej na górze, z wzrokiem utkwionym w Marguerite Gachet i myślami krążącymi wokół potwora, który za godzinę wjedzie tam windą. Gdyby mógł napisać czyjąkolwiek rolę na nowo, byłaby to rola Sary. Ale teraz już na to za późno. Za chwilę kurtyna pójdzie w górę.

Zatem wszystko, co teraz mógł robić ów dramatopisarz, to przemierzać nerwowo bawialnię bezpiecznego domu i czekać na informację. O piętnastej minut cztery widziano, jak 747 Mr Bakera podchodzi do lądowania na lotnisku Heathrow. Mr Baker był ich kryptonimem Ziziego al-Bakariego. O piętnastej trzydzieści dwie nadeszła informacja, że Mr Baker i jego świta przeszli przez odprawę celną dla VIP-ów. Kwadrans później widziano, jak wsiadają do swoich limuzyn, a o piętnastej pięćdziesiąt dwie zaobserwowano, jak te same limuzyny usiłują pobić rekord prędkości na autostradzie A4. O godzinie szesnastej zero cztery doradca do spraw sztuki Mr Bakera, przemianowany w ich szyfrze na Marlowe'a, zadzwonił do Isherwooda z karawany samochodów i powiedział, że nieco się spóźnił. Co ostatecznie zresztą okazało się nieprawdą, ponieważ o szesnastej dwadzieścia siedem ta sama kawalkada skręciła z Piccadilly w Duke

Street.

I wtedy nastąpiło pierwsze potknięcie tego popołudnia. Na szczęście potknął się Zizi, nie oni. Stało się to, kiedy pierwsza limuzyna usiłowała pokonać wąski wjazd z Duke Street w Masoni Yard. Po chwili zmagania kierowca doszedł do wniosku, że samochody są za duże, żeby się zmieścić. Sharuki, ochroniarz ze straży przedniej, nie pomierzył wszystkiego dokładnie podczas swego rekonesansu. I tak ostatnia wiadomość, jaką Gabriel otrzymał z zespołu neviot, mówiła, że Mr Baker, prezes i dyrektor naczelny Dżihad Spółka z o.o., właśnie wysiada z samochodu i idzie w stronę galerii.

Ale Sara nie czekała na górze w sali wystawienniczej. Znajdowała się wtedy piętro niżej, w gabinecie, który dzieliła z Julianem, i obserwowała raczej groteskową scenę rozgrywającą się w wejściu na dziedziniec. To był jej pierwszy akt buntu. Gabriel nalegał wcześniej wyraźnie, żeby została na górze, niewidoczna aż do ostatniej chwili, tak by zaprezentować się razem z Marguerite.

Miała zamiar w ostatecznym rachunku wykonać jego polecenie, ale nie wcześniej, niż zobaczy Ziziego na własne oczy. Obejrzała już sobie gruntownie jego twarz na wycinkach z różnych czasopism przygotowanych przez Josiego i zapisała w pamięci brzmienie jego głosu, który знаła z nagrań. Ale wycinki i nagrania nie mogły zastąpić widoku na żywo. A zatem stała tam, jaskrawo gwałcąc zalecenia Gabriela, i patrzyła, jak Zizi i jego świta wylewają się z wąskiego przejścia na ciemniejszy dziedziniec.

Rafik al-Kamal, szef osobistej ochrony Ziziego, szedł pierwszy. Był większy, niż wydawał się na fotografiach, ale poruszał się ze zwinnością mężczyzny o połowę skromniejszych wymiarów. Nie miał żadnego okrycia wierzchniego, ponieważ okrycie wierzchnie spowalniałoby jego ruchy. Nie miał też sumienia, jak wcześniej poinformował ją Eli Lavon. Dokonał szybkiego oglądu dziedzińca niczym samolot zwiadowczy wypatrujący wroga, po czym odwrócił się i staroświeckim gestem dłoni przywołał resztę.

Następnie szły dwie bardzo urodziwe dziewczęta o długich czarnych włosach i w płaszczach do kostek, sprawiające wrażenie mocno poirytowanych koniecznością pokonania na piechotę tych trzydziestu metrów od porzuconych samochodów do galerii. Tą z prawej była Nadia al-Bakari, rozpuszczona córka Ziziego.

Tą z lewej Rahima Hamza, córka Daouda Hamzy, wykształconego w Stanford Libañczyka, który był podobno prawdziwym geniuszem finansowym kryjącym się za sukcesami AAB Holdings. Sam Hamza podążał kilka kroków za dziewczętami z komórką przyciśniętą do ucha.

Za Hamzą szedł Herr Manfred Wehrli, szwajcarski bankier sprawujący pieczę nad pieniędzmi Ziziego. Za nim kroczyło dziecko, bez wyraźnego właściciela, a za dzieckiem dwie kolejne piękności: jedna blondynka, druga z krótkimi włosami koloru piaskowca.

Kiedy berbeć rzucił się nagle przez dziedziniec w niewłaściwym kierunku, natychmiast został pochwycony i osadzony w miejscu jednym panterzym ruchem Jeana-Michela, francuskiego kickboksera, który był osobistym trenerem Ziziego i jego dodatkowym ochroniarzem.

Abdul-Dżalil i Abdul-Hakim, wykształceni w Ameryce prawnicy, szli w następnej kolejności. Josi zakończył kiedyś jeden z wykładów, pogardliwie zauważając, że Zizi wybrał sobie prawników chyba z uwagi na znaczenie ich imion: Sługa Wspaniałego i Sługa Mądrego. Po jurystach szedł Mansur, szef sekcji podróży Ziziego, potem Hassan, szef łączności, wreszcie Andrew Malone, wkrótce były już wyłączny doradca Ziziego do spraw sztuki. A na końcu, wciśnięty między Wazira ibn Talala i Dżafara Sharukiego, kroczył sam Zizi.

Sara odwróciła się od okna. Pod baczny spojrzeniem Chiary weszła do maciupkiej

windy i przycisnęła guzik górnego piętra.

Chwilę później była już w sali wystawienniczej. Na środku pomieszczenia, ustawiony na okazałych sztalugach i zasłonięty przed wzrokiem ciekawskich niczym mużmanka, znajdował się van Gogh. Słyszała, jak Rafik, ochroniarz, taszczy się ciężko po schodach.

„Nie myśl o nim jak o terroryście - mówił jej wcześniej Gabriel.

- Nie zastanawiaj się, czy jego pieniądze wylądowały w kieszeni Marwana al-Shehiego albo innego z tych zamachowców, którzy zabili Bena. Myśl o nim jak o wyjątkowo bogatym i ważnym człowieku. Nie flirtuj. Nie próbuj go uwieść. Traktuj to jak rozmowę kwalifikacyjną. Nie masz z nim spać. Masz dla niego pracować. I cokolwiek by się działo, nie próbuj udzielać Ziziemu żadnych rad. Pograżysz transakcję. Je obie”.

Odwróciła się i zlustrowała swoje odbicie w drzwiach windy.

Było nieco niewyraźne, co uznała za stosowne. Ciągle była tą samą Sarą Bancroft, inną jej wersją po prostu. Nową wariacją tego samego obrazu. Wyglądziła przód kostiumu od Chanel - nie z myślą o Zizim, usprawiedliwiła się przed sobą, ale o Gabrielu - i wtedy z dołu dobiegł jej uszu głos potwora.

- Witam, panie Isherwood - powiedział prezes i dyrektor naczelny Dzihad Spółki z o.o. - Nazywam się Abdul Aziz al-Bakari. Andrew mówi, że ma pan dla mnie jakiś obraz.

Pierwszy kurs wyrzucił z windy jedynie ochroniarzy. Rafik wpadł do pomieszczenia i bezwstydnie obmacał ją wzrokiem, podczas gdy Sharuki zaglądał pod sofę, szukając ukrytej broni, a Jean-Michel, kickbokser, obszedł całą salę na palcach niczym jakiś baletmistrz śmierci. W następnym rzucie z windy wychynęli Malone i Isherwood, wciśnięci ku swojemu zadowoleniu między Nadię a Rahimę. Zizi pojawił się trzecim kursem, jedynie w towarzystwie zaufanego Talala. Ciemny, szyty na miarę garnitur układał się z gracją na figurze, która bez niego uchodziłaby za brzuchatą. Miał starannie przystrzyżoną brodę i siwiejące włosy z głębokimi zakolami. Oczy były czujne i ruchliwe. Z miejsca spoczęły na jedynej osobie w pomieszczeniu, której imienia nie znał.

„Nie próbuj się przedstawiać, Saro. Nie patrz mu prosto w oczy.

Jeśli trzeba będzie wykonać jakiś ruch, niech to Zizi go wykona”.

Wbiła wzrok w swoje buty. Drzwi windy otworzyły się ponownie, tym razem wypluwając Abdula i Abdula, Sługi Wielkiego i Mądrego, i Herr Wehrliego, szwajcarskiego finansistę. Sara patrzyła, jak wchodzi do sali, potem zerknęła na Ziziego, który nadal się na nią gapił.

- Proszę mi wybaczyć, panie al-Bakari - powiedział Isherwood. - Moje maniery wzięły sobie chyba dzisiaj wolne. To jest Sara Bancroft, nasz wicedyrektor. To właśnie dzięki Sarze możemy się spotkać dzisiejszego popołudnia.

„Nie próbuj potrząsać dłonią. Jeśli wyciągnie swoją, uściśnij ją przelotnie i puść”.

Stała wyprostowana, z rękoma na plecach i lekko spuszczonego wzrokiem. Zizi lustrował ją od stóp do głów. W końcu zrobił krok naprzód i wyciągnął dłoń.

- Miło mi.

Ścisnęła jego dłoń i usłyszała swój głos:

- Cała przyjemność po mojej stronie, panie al-Bakari. To prawdziwy zaszczyt poznać pana, sir.

Uśmiechnął się i przytrzymał jej dłoń chwilę dłużej, niż przyjęto.

Potem nagle puścił i szybko ruszył w stronę obrazu. Sara odwróciła się i tym razem została uraczona widokiem jego pleców, wąskich w ramionach i rozszerzających się w biodrach.

- Chciałbym zobaczyć obraz, jeśli można - powiedział, nie zwracając się do nikogo w szczególności, ale Sara znowu słyszała w uszach słowa Gabriela.

„Zaprezentuj obraz, kiedy Zizi wyrazi chęć jego obejrzenia - instruował ją wcześniej. - Jeśli każesz mu wysłuchiwać historii płótna, tylko go rozżłościsz. Pamiętaj, to Zizi jest gwiazdą pokazu, nie Marguerite”.

Sara prześlizgnęła się obok Saudyjczyka, uważając, by nie otrzeć się o jego ramię, potem uniosła ręce i powoli zdjęła sukno. Stała jeszcze chwilę przed obrazem, składając materiał i zasłaniając Ziziemu widok, zanim wreszcie odsunęła się na bok.

- Niech mi będzie wolno zaprezentować Marguerite Gachet przy toaletce pędzla Vincenta van Gogha - powiedziała oficjalnie. - Olej na płótnie, rzecz jasna, namalowany w Auvers w lipcu tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego roku.

Z szeregów świty Ziziego podniosło się zbiorowe westchnienie, a zaraz potem pełen zachwyty pomruk. Tylko Zizi zachował milczenie. Jego ciemne oczy wędrowały po powierzchni płótna, twarz pozostała nieprzenikniona. Po chwili oderwał wzrok od obrazu i przeniósł na Isherwooda.

- Gdzie go pan znalazł?

- Chciałbym móc przypisać sobie tę zasługę, panie al-Bakari, ale to Sara odkryła Marguerite.

Spojrzenie Ziziego powędrowało do Sary.

- Pani? - spytał z podziwem.

- Tak, panie al-Bakari.

- Zatem zadam pani to samo pytanie, z którym zwróciłem się do pana Isherwooda. Gdzie pani znalazła obraz?

- Jak Julian wyjaśnił już panu Malone, właściciel pragnie zachować anonimowość.

- Nie pytam o tożsamość właściciela, panno Bancroft. Chciałbym jedynie wiedzieć, jak pani natrafiła na obraz.

„Będziesz musiała mu coś powiedzieć, Saro. Ma prawo się tego domagać. Ale zrób to niechętnie i bądź dyskretna. Ludzie pokroju Ziziego bardzo cenią sobie dyskrecję”.

- To jest owoc moich kilkuletnich badań i poszukiwań, panie al-Bakari.

- Bardzo interesujące. Proszę powiedzieć mi coś więcej, panno Bancroft.

- Obawiam się, że nie mogę, nie naruszając mojej umowy z właścicielami, panie al-Bakari.

- Z właścicielką - poprawił ją Zizi. - Według Andrew obraz stanowi własność jakiejś Francuzki.

- Tak, zgadza się, sir, niestety jednak, obawiam się, że nie mogę wyjawić więcej szczegółów.

- Ale mnie tylko ciekawi, jak pani na niego trafiła. - Założył ręce na piersi. - Uwielbiam dobre historie detektywistyczne.

- Naprawdę chciałabym zaspokoić pana ciekawość, panie al-Bakari, ale nie wolno mi. Mogę jedynie zdradzić, że odnalezienie obrazu zajęło mi dwa lata intensywnych poszukiwań w Paryżu i Auvers, a przekonanie właścicielki, by go wystawiła na sprzedaż, kolejny rok.

- Może pewnego dnia, kiedy upłynie już więcej czasu, będzie pani na tyle uprzejma, by podzielić się ze mną tą fascynującą historią.

- Niewykluczone, sir - powiedziała. - Co do potwierdzenia autentyczności, ustaliliśmy, że obraz bez cienia wątpliwości jest dziełem Vincenta, i oczywiście jesteśmy gotowi oficjalnie firmować i odpowiadać za tę identyfikację.

- Chętnie rzuciłbym okiem na raporty waszych ekspertów, panno Bancroft, ale mówiąc szczerze, nie są mi do niczego potrzebne. Widzi pani, dla mnie jest całkiem ewidentne, że to prawdziwy van Gogh. - Położył jej dłoń na ramieniu. - Proszę tu podejść - powiedział po

ojcowsku. - Coś pani pokażę.

Sara zbliżyła się o krok do płótna. Zizi wskazał na górny prawy róg.

- Proszę spojrzeć na ten delikatny ślad na powierzchni. Jeśli się nie mylę, to odcisk kciuka Vincenta. Widzi pani, Vincent znany był z tego, że bardzo niefrasobliwie obchodził się ze swoimi pracami. Kiedy skończył tę, prawdopodobnie chwycił ją za róg i zaniósł przez ulicę Auvers do swojego pokoju nad Cafe Ravoux. Gdzie nieustannie walały się tuziny jego obrazów. Miał w zwyczaju opierać je o ścianę, jeden na drugim. Pracował tak szybko, że wcześniejsze prace nie miały czasu porządnie wyschnąć, kiedy już opierał o nie kolejne. Jeśli uważnie przyjrzy się pani tej, dostrzeże szrafowane odbicie struktury płótna na powierzchni farby.

Jego dłoń ciągle tkwiła na jej ramieniu.

- Imponujące, panie al-Bakari. Ale nie dziwi mnie, zważywszy na reputację, jaką się pan cieszy.

- Nauczyłem się już dawno temu, że człowiek mojej pozycji nie może polegać na zapewnieniach innych. Musi bez przerwy mieć się na baczności, uważać na intrygi i zręczne fałszerstwa. Jestem przeświadczony, że nikomu nie udałoby się nabrać mnie na żadne szachrajstwo ani w interesach, ani w sztuce.

- Trzeba by stracić rozum, żeby w ogóle próbować, sir.

Zizi popatrzył na Isherwooda.

- Ewidentnie ma pan smykałkę do wynajdywania zaginionych dzieł. Czy nie czytałem kiedyś o jakimś Rubensie z pana galerii?

- Zgadza się, sir.

- A teraz van Gogh. - Spojrzenie Ziziego przeniosło się na obraz. - Andrew mówi, że ustaliliście już cenę.

- Ustaliliśmy, panie al-Bakari. Wydaje nam się całkiem rozsądna.

- Mnie też - spojrział przez ramię na Herr Wehrliego, bankiera. - Myślisz, że udałoby ci się znaleźć jakieś osiemdziesiąt pięć milionów w naszych zasobach, Manfredzie?

- Myślę, że to całkiem możliwe, Zizi.

- Zatem umowa stoi, panie Isherwood. - Popatrzył na Sarę i oznajmił: - Biorę ją.

*

O szesnastej pięćdziesiąt trzy zespół neviot przesłał Gabrielowi informację, że towarzystwo przeniosło się już do biura na niższym piętrze i że Isherwood pogrążony jest teraz w dyskusji z Herr Wehrlim oraz Abdulem & Abdulem co do szczegółów przekazania zapłaty i towaru. Powyższe rozmowy trwały nieznacznie ponad godzinę i o osiemnastej zero pięć nadeszła wiadomość, że Mr Baker i jego świta suną właśnie pociemniałym dziedzińcem w stronę samochodów zaparkowanych na Duke Street. Ich inwigilacją zajął się Eli Lavon. Przez kilka minut wydawało się, że kawalkada kieruje się do rezydencji w Mayfair, ale dziesięć minut później było już jasne, że Mr Baker i jego ekipa wraca na Heathrow, by odlecieć w nieznanym kierunku. Gabriel kazał Lavonowi zaprzestać obserwacji. Nie obchodziło go, dokąd teraz podąży Mr Baker. Wiedział, że już niedługo znowu się spotkają.

Nagranie wideo dotarło za kwadrans dwudziesta. Zostało zarejestrowane z kamery umieszczonej w najdalszym rogu sali wystawienniczej nad pejzażem Claude'a Moneta. Oglądając je teraz, Gabriel miał wrażenie, jakby siedział w łoży wysoko nad sceną.

„To jest Sara Bancroft, nasz wicedyrektor. To właśnie dzięki Sarze możemy się dziś tu spotkać... Zatem umowa stoi, panie Isherwood. Biorę ją”.

Gabriel wyłączył odtwarzanie i popatrzył na Dinę.

- Jedną dziewczynę już mu sprzedałeś - powiedziała. - Teraz musisz sprzedać tę drugą.

Gabriel otworzył plik z nagraniem rozmowy między Isherwoodem a Andrew i uruchomił odtwarzanie.

- „To nie są pieniądze Ziziego. To moje pieniądze. A czego Zizi nie wie, to go nie zaboli.
- A jeśli się dowie? Kropnie cię na pustyni Rub al-Khali i pozwoli, żeby sępy objadły twoje kości”.

21

Londyn

Donos na Andrew Malone’a dotarł do siedziby AAB Holdings w Genewie o godzinie dziesiątej dwadzieścia dwie rano w następny czwartek. Był zaadresowany do „Sz. P. Abdula Aziz al-Bakariego”, a dostarczył go na motocyklu goniec w uniformie lokalnej genewskiej firmy kurierskiej. Jako nadawca figurowała niejaka panna Rebecca Goodheart, zamieszkała przy Earl’s Court w Londynie, ale szybkie śledztwo przeprowadzone przez pracownika ochrony AAB ujawniło, że Goodheart to jedynie pseudonim jakiegoś anonimowego donosiciela. Nie wykrywszy żadnych śladów broni biologicznej, chemicznej albo materiału wybuchowego, ówże pracownik przekazał list do biura Wazira ibn Talala. Pozostała tam aż do późnego piątkowego popołudnia, kiedy ibn Talal powrócił do Genewy po jednodniowym pobycie w Rijadzie.

Miał masę pilniejszych spraw do załatwienia, więc zrobiła się prawie dwudziesta, zanim wreszcie zabrał się za otwarcie koperty.

Natychmiast pożałował tej zwłoki, ponieważ zawarte w liście zarzuty były bardzo poważnej natury. Przy co najmniej dziewięciu okazjach, dowodziła panna Goodheart, Andrew Malone przyjął wpłaty gotówkowe od różnych kolekcjonerów i marszandów, gwałcąc umowę na wyłączność świadczonych usług, jaką był zawarł z Abdulem Azizem al-Bakarim. Zarzutom towarzyszył pakiet potwierdzających je dowodów, w tym wyciągów z konta bankowego, faksów i e-maili ściągniętych z komputera domowego Malone’a. Ibn Talal natychmiast wykonał telefon do położonej nad jeziorem genewskiej rezydencji pryncypała i już o godzinie dziewiątej kładł dokumenty na biurku rozwścieczonego Ziziego al-Bakariego.

Tego samego wieczoru o jedenastej czasu londyńskiego ibn Talal zadzwonił do rezydencji Malone’a w Knightsbridge i kazał mu przylecieć do Genewy pierwszym samolotem. Kiedy ten protestował, że nie był wcześniej umówiony - i że przecież jest weekend, na miłość boską - ibn Talal jednoznacznie dał mu do zrozumienia, że niestawienie się będzie potraktowane jak poważna zniewaga. Ich rozmowa została zarejestrowana przez chłopców z zespołu neviot i natychmiast przekazana Gabrielowi do bezpiecznego domu w Surrey razem z nagraniem telefonu, jaki dziesięć minut później Malone wykonał do British Airways, drżącym głosem rezerwując bilet na samolot odlatujący o ósmej trzydzięci rano do Szwajcarii.

Eli Lavon także zabukował miejsce na ten lot. Po przybyciu do Genewy na obu mężczyzn czekały dwa samochody, choć raczej do siebie nieprzystające: na Malone’a czarny mercedes klasy S prowadzony przez jednego z szoferów Ziziego, a na Lavona obryzany błotem opel, za którego kierownicą siedział kurier z genewskiej komórki Biura. Lavon kazał Bodelowi trzymać się na rozsądną odległość od mercedesa. Pojawili się przy rezydencji Ziziego kilka minut po Malonie. Zaparkowali w ustronnym miejscu nieco dalej na ulicy, ale nie musieli czekać długo, ponieważ dwadzieścia minut później Malone wyłonił się z domu, wyglądając bardziej trupio niż zazwyczaj.

Skierował się prosto na lotnisko i zarezerwował miejsce na najbliższy lot powrotny do Londynu, to znaczy na godzinę siedemnastą. Lavon zrobił to samo. Po dotarciu na Heathrow każdy z mężczyzn ruszył dalej swoją drogą: Lavon do Surrey, a Malone do Knightsbridge, gdzie poinformował swoją żonę, że jeśli bezzwłocznie nie wytrzaśnie skądś czterech milionów funtów, Zizi al-Bakari osobiście zrzuci go z bardzo wysokiego mostu.

To działo się w sobotni wieczór. Do środy Gabriel i reszta zespołu mieli już pewność, że Zizi rozgląda się w branży za następnym doradcą do spraw sztuki na wyłączność. Było też oczywiste, że miał już na oku konkretną osobę, ponieważ Sara Bancroft, wicedyrektor galerii Isherwood: Sztuki Piękne mieszczącej się na Mason's Yard, była śledzona.

Zaczynała myśleć o nich jak o przyjaciółach. Jeździli z nią metrem. Spacerowali po Mason's Yard i wałęsali się po Duke Street. Szli za nią, gdy wychodziła na lunch, i codziennie każdego wieczoru co najmniej jeden czekał w Green's, kiedy wstępowała do baru na kolejkę z Oliverem i resztą chłopców z branży. Towarzyszyli jej na aukcji w Sotheby's i patrzyli, jak grzebie w ponurej zawartości pokoju wystawienniczego w Hull. Raz nawet przedsięwzięli z nią długą wycieczkę do Devon, gdzie wdziękowała się do zasuszonego podrzędnego arystokraty, chcąc go skłonić do rozstania się z prześliczną wenecką Madonną z Dzieciątkiem, której Isherwood pożył od lat.

- Zizi przyjeżdża po ciebie - poinformował ją Gabriel w krótkiej rozmowie telefonicznej w poniedziałek po południu. - To tylko kwestia czasu. A, i nie przestrasz się, jeśli po powrocie do domu zastaniesz rzeczy niezupełnie na swoim miejscu. Sharuki włamał się dziś rano do twojego mieszkania i je przeszukał.

Nazajutrz doręczono pierwszy podarunek: diamentowy zegarek Harry'ego Winstona. Do pudełka z prezentem dołączony był skreślony odręcznie liścik: „Dziękuję bardzo za odnalezienie Marguerite. Wdzięczny po wieki - Zizi”. Następnego dnia przybyły kolczyki od Bulgari. Podwójny sznur pereł Mikimoto dzień później.

Złota bransoleta Tiffany'ego czwartkowego wieczoru, kiedy Sara wychodziła już do domu. Wsadziła ją na prawy nadgarstek i powędrowała do Green's, gdzie Oliver czynił do niej niezręczne podchody.

- W innym życiu - powiedziała, całując go w policzek. - Ale na pewno nie dziś wieczorem. Bądź kochany i odprowadź mnie do metra.

Najtrudniej zносиła wieczory. Skończyły się wycieczki do bezpiecznego domu w Surrey. Dla Sary dom w Surrey już nie istniał.

Okazało się, że bardzo jej ich wszystkich brakuje. Byli czymś na kształt rodziny, głośnej, kłótlivej, kochającej się rodziny - takiej, jakiej Sara nigdy nie miała. Wszystko, co jej po nich teraz zostało, to okazjonalne szyfrowane telefony od Gabriela i światło w oknach po drugiej stronie ulicy. Tam mieszkał Josi, ale wkrótce miała stracić także i jego. Nocą, kiedy była sama i przerażona, czasami żałowała, że nie powiedziała im, żeby znaleźli kogoś innego na jej miejsce. A czasami myślała o biednym Julianie i zachodziła w głowę, jak, u Boga Ojca, poradzi sobie bez niej.

Ostatnia przesyłka dotarła o piętnastej następnego popołudnia.

Została doręczona przez posłańca w garniturze i pod krawatem.

W pudełku znajdowała się odręcznie skreślona notka i bilet samolotowy w jedną stronę. Sara zerknęła na kierunek. Dziesięć sekund później zadzwonił telefon na biurku.

- Galeria Isherwood: Sztuki Piękne. Mówi Sara.

- Dobry wieczór, Saro.

To był Zizi.

- Witam, panie al-Bakari. Jak się pan miewa, sir?

- Będę wiedział za chwilę. Czy otrzymała pani zaproszenie i bilet?
- Otrzymałam, sir. A także kolczyki. I zegarek. I perły. I bransoletę.
- Najbardziej podoba mi się bransoleta.
- Mnie też, sir, ale te prezenty były zupełnie niepotrzebne. Podobnie jak zaproszenie.

Niestety nie mogę go przyjąć.

- Obraża mnie pani, Saro.
- Nie było to moim zamiarem, sir. Choć bardzo chciałabym spędzić kilka dni na słońcu, nie mogę polecieć, nie mając czasu na przygotowanie się i powiadomienie współnika.

- Ma pani czas, Saro. Jeśli dokładniej przyjrzy się pani biletowi, zobaczy pani, że zostały całe trzy dni do wylotu.

- Za trzy dni to także nie będzie możliwe. Mam sporo pracy w galerii.
- Jestem pewien, że Julian obejdzie się jakoś bez pani przez ten krótki czas. Dopiero co

przysporzyła mu pani okrągłej sumki.

- To prawda.
- Więc jak będzie, Saro? Przyleci pani?
- Obawiam się, że odpowiedź nadal brzmi nie, sir.
- Powinna pani wiedzieć o mnie jedną rzecz, Saro, a mianowicie, że nigdy nie przyjmuję

odmowy do wiadomości.

- Po prostu nie sądzę, by to było stosowne, sir.
- Stosowne? Zdaje się, że błędnie interpretuje pani moje zamiary.
- A jakie są pańskie zamiary, sir?
- Chciałbym, żeby pani dla mnie pracowała.
- W jakim charakterze, sir?
- Nigdy nie omawiam tego typu spraw przez telefon. Przyleci pani, Saro?

Pozwoliła, żeby upłynęło dziesięć sekund, zanim odpowiedziała.

- Wyśmienicie - skwitował. - Będzie pani towarzyszył jeden z moich ludzi. Zabierze panią z mieszkania o ósmej rano w poniedziałek.

- Jestem w stanie podróżować sama, panie al-Bakari.
- Nie mam co do tego żadnych wątpliwości, ale będzie prościej, jeśli jeden z chłopców z mojej obstawy przyleci z panią. Do zobaczenia w poniedziałek wieczorem.

Rozłączył się. Odkładając słuchawkę, Sara uświadomiła sobie, że nie zapytał jej o adres.

Gabriel zajęty był likwidowaniem pracowni w bezpiecznym domu w Surrey, kiedy po schodach wtaszczył się Lavon z informacją, którą właśnie otrzymali od zespołu neviot z Mason's Yard.

- Zizi wykonał ruch - powiedział, wręczając Gabrielowi komputerowy wydruk. - Chce ją natychmiast widzieć.

Gabriel przeczytał wiadomość, potem popatrzył na Lavona.

- Cholera - mruknął. - Będziemy potrzebowali łodzi.

Dla uczczenia sukcesu przygotowali kolację z szampanem, zostawiając puste nakrycie dla Sary, jedynego członka zespołu, który nie mógł do nich dołączyć. Następnego ranka Lavon zawiózł Gabriela na lotnisko Heathrow i już o szesnastej trzydzieści tego samego dnia Gabriel podziwiał zachód słońca z okien bezpiecznego mieszkania CIA na Collins Avenue w Miami Beach. Adrian Carter miał na sobie spodnie khaki, bawełniany pulower i mokasyny bez skarpetek. Wręczył Gabrielowi szklankę z lemoniadą i zdjęcie bardzo dużej łodzi.

- Nazywa się „Słoneczna Tancerka” - powiedział. - To luksusowy, ponad dwudziestodwumetrowy oceaniczny jacht motorowy. Jestem pewien, że ty i cały zespół uznacie go za więcej niż wygodny.

- Skąd go macie?
- Zarekwirowaliśmy go kilka lat temu niejakiemu Carlosowi Castillo, panamskiemu przemytnikowi narkotykowemu. Pan Castillo przebywa teraz w więzieniu federalnym w Oklahomie, a my tymczasem korzystamy z jego łodzi, by czynić zbrojne dzieło tu, na Karaibach.

- Ile razy była używana?
- Pięć lub sześć przez DEA³, a my korzystaliśmy z niej dwukrotnie.
Gabriel zwrócił zdjęcie Carterowi.

- Jest spalona - orzekł. - Nie możesz załatwić mi czegoś z czystym kontem?
- Kilkakrotnie zmienialiśmy jej nazwę i dokumenty rejestracyjne. Nie ma mowy, żeby Zizi albo któryś z jego zbirów z ochrony dokopał się do nas.

- Gdzie jest teraz?
- W marinie na Fisher Island. - Carter wskazał na południe. - Właśnie ją przygotowują. Dziś wieczorem z Langley wyrusza załoga CIA.

- Wszystko pięknie - powiedział Gabriel - ale skorzystamy z własnej załogi.
- Wy?
- Mamy własną marynarkę, Adrianie. Nawet bardzo dobrą, jeśli idzie o ścisłość. Moja załoga czeka w gotowości w Hajfie. I powiedz swoim chłopcom, żeby pousuwali urządzenia podsłuchowe. W przeciwnym razie będziemy musieli zrobić to za nich i „Słoneczna Tancerka” nie będzie wyglądała już tak ładnie, kiedy do was wróci.

- Już się tym zajęto - powiedział Carter. - Jak zamierzasz przetransportować tu swoją załogę?
- Miałem nadzieję, że jeden z moich kumpli z amerykańskiego wywiadu będzie służył pomocą.
- Czego potrzebujesz?
- Samolotu i zgody na lądowanie.
- Jak szybko wasza załoga może dotrzeć z Hajfy do Londynu?
- Wyjadą z samego rana.

1

- Wyślę dziś wieczorem do Londynu jeden z naszych samolotów. Odbierze waszą załogę i dostarczy ją tutaj. Wysadzimy ich w Homestead, unikając całego tego zawracania głowy z paszportami i kontrolą celną. Na morze moglibyście wypłynąć w niedzielę wieczór i zdążyć na rendez-vous z Zizim w poniedziałek po południu.

- Zatem wszystko ustalone - powiedział Gabriel. - Teraz potrzeba nam tylko Ahmeda ibn Shafika.
- Pojawi się - stwierdził Carter stanowczo. - Pytanie tylko, czy wasza dziewczyna jeszcze tam wtedy będzie.
- To nasza dziewczyna, Adrianie. Sara należy do nas wszystkich.

Część trzecia

Nocna podróż

Harbour Island, Bahamy

- Oto jest - rozdarł się Wazir ibn Talal, przekrzykując warkot wirnika sikorsky'ego. Wskazał na prawo od śmigłowca.

„Aleksandra”, ogromny prywatny jacht Ziziego, sunęła po wodzie na zachód od wyspy.

- Czyż nie piękna?

- Z pewnością bardzo duża - odkrzyknęła Sara.

- Osiemdziesiąt cztery metry - powiedział ibn Talal chełpliwie, tak jakby sam ją zbudował.

„Osiemdziesiąt sześć metrów” - poprawiła w myślach Sara, ale kto by tam liczył. Josi opisywał jej łódź jako pływający emirat.

Pozwoliła sobie uciec myślami do Gabriela i jego zespołu. Ostatni kontakt miała z nimi w niedzielne popołudnie. Eli Lavon wpadł na nią na Oxford Street, kiedy kupowała sobie jakieś drobiazgi na podróż. „Będziemy przy tobie przez cały czas - powiedział jej wtedy. - Nie szukaj nas. Nie próbuj nawiązać kontaktu, chyba że dojdzie do katastrofy dziesiątego stopnia. To my skontaktujemy się z tobą. Życzę miłej podróży”.

Zapadła się głębiej w fotel. Ciągle miała na sobie dzinsy i wełniany sweter, które nałożyła rano. Jej ciało, oddalone tylko o dziesięć godzin od chłodnej wilgoci Londynu, nie było przygotowane na atak tropikalnego upału. Miała wrażenie, że spodnie przykleiły jej się do ud, a sweter wrzynał w kark niczym piła. Zerknęła na ibn Talalą, któremu najwyraźniej dostosowanie się do gwałtownej zmiany klimatu nie sprawiło najmniejszej trudności. Miał szeroką twarz, parę małych ciemnych oczu i kocią bródkę. Odziany tak jak teraz, w szyty na miarę szary garnitur i pod krawatem, mógł uchodzić za finansistę. Jednak ręce zdradzały prawdziwy charakter jego pracy. Wyglądały jak młoty.

Huk śmigieł skutecznie uniemożliwiał dalszą rozmowę, za co była bezbrzeżnie wdzięczna. Nie mogła go już ścierpieć ani chwili dłużej. Od świtu towarzyszył jej nieustannie, przerażający w swojej uprzejmości. Na lotnisku nalegał, by iść z nią do sklepów wolnocłowych i, mimo jej protestów, uregulował płatność firmową kartą kredytową, kiedy zakupiła buteleczkę toniku aloesowego. Podczas lotu wykazywał nienasycone zainteresowanie wszystkimi aspektami jej życia. „Proszę, panno Saro, niech mi pani opowie o swoim dzieciństwie... Proszę, panno Saro, niech mi pani opowie o swoim zainteresowaniu sztuką... Proszę opowiedzieć, panno Saro, dlaczego zdecydowała się pani wyjechać z Waszyngtonu i przeprowadzić do Londynu?...”. Żeby się wymigać od tej natrętnej indagacji, udała, że śpi. Dwie godziny później, kiedy udała, że się budzi, zaczął drążyć dalej. „Mówi pani, że pani ojciec pracował dla Citicorp? A wie pani, niewykluczone, że spotkali się z panem al-Bakarim. Pan al-Bakari robi wiele interesów z Citicorp...”.

Wtedy nasunęła na uszy słuchawki, żeby obejrzeć pokładowy film. Ibn Talal wybrał ten sam.

Kiedy teraz wyjrzała ponownie przez okno śmigłowca, „Aleksandra” wydawała się wypełniać cały horyzont. Widziała Nadię i Rahimę, chwytające ostatnie promienie słońca na przednim pokładzie; ich czarne włosy tańczyły na wietrze. Widziała także obydwu Abdulów pograżonych w naradzie z Herr Wehrim na tylnym pokładzie, knujących następną podbój czy

przejęcie. A nad tym wszystkim górowała, ubrana na biało, z ręką uniesioną w geście powitania, postać Ziziego we własnej osobie. „Zawróć - pomyślała. - Poszukaj pewnego gruntu pod nogami. Pan tu zostaje, panie ibn Talal. Sama trafię do Londynu, dziękuję”. Ale wiedziała, że nie ma już teraz odwrotu. Gabriel dał jej ostatnią szansę tam w Surrey, a ona ją odrzuciła, zobowiązując się doprowadzić rzecz do końca.

Sikorsky opadł w kierunku rufy i wolno osiadł na lądowisku.

Sara zobaczyła w myślach coś jeszcze: Ziziego w sali wystawienniczej galerii Isherwooda, ostrzegającego ją, że nikt nie jest w stanie nabrać go na żadne szachrajstwo, czy to w interesach, czy w sztuce. „Ja nie jestem szachrajstwem - powtarzała sobie, wysiadając z helikoptera. - Jestem Sarą Bancroft. Pracowałam jako kustosz w Phillips Collection w Waszyngtonie. Teraz pracuję w londyńskiej galerii Isherwood: Sztuki Piękne. Zapomniałam więcej z historii sztuki, niż ty kiedykolwiek będziesz wiedział. Nie chcę ani twojej pracy, ani twoich pieniędzy. Po prawdzie to nie chcę mieć z tobą nic wspólnego”.

Ibn Talal zaprowadził ją do przeznaczonych dla niej pomieszczeń, znacznie większych od jej mieszkanek w Chelsea: okazałej sypialni z oddzielną bawialnią i marmurową łazienką z wpuszczoną w podłogę wanną i jacuzzi oraz szerokiego prywatnego pokładu teraz oświetlonego przez zachodzące słońce. Położył jej walizkę na królewskich rozmiarów łóżku niczym hotelowy boj i zaczął rozsuwać zamek. Sara usiłowała go powstrzymać.

- To nie jest konieczne. Sama zajmę się bagażem, dziękuję.

- Obawiam się, że to jednak jest konieczne, panno Saro.

Uniósł klapę walizki i zaczął wyjmować jej rzeczy.

- Co pan wyprawia?

- Mamy swoje zasady, panno Saro. - Z jego głosu zniknęła bezbrzeżna uprzejmość, którą raczył ją wcześniej. - Do moich obowiązków należy dopilnowanie, by goście się do nich stosowali. Żadnego alkoholu, tytoniu i żadnej pornografii jakiegokolwiek rodzaju. - Uniósł amerykański magazyn o modzie, który kupiła na lotnisku w Miami. - Niestety muszę to skonfiskować. Ma pani jakiś alkohol?

Potrząsnęła głową.

- Ani papierosów.

- Nie pali pani?

- Okazjonalnie, ale nie nałogowo.

- Muszę także zabrać pani telefon komórkowy do czasu, kiedy opuści pani pokład „Aleksandry”.

- Dlaczego?

- Ponieważ gościom nie wolno używać komórek na pokładzie tej jednostki. Poza tym i tak nie działają z uwagi na elektronikę jachtu.

- Jeśli i tak nie działa, to jaki jest sens konfiskowania go?

- Zakładam, że pani komórka jest wyposażona w aparat fotograficzny i dyktafon? Potrafi także przechowywać pliki audio i wideo?

- Coś takiego mówił ten mały człowieczek, który mi go sprzedawał, ale nigdy jeszcze nie korzystałam z tych funkcji.

Wyciągnął ogromną dłoń.

- Pani telefon, proszę. Zapewniam, że nic mu się nie stanie.

- Muszę pracować. Nie mogę stracić łączności ze światem.

- Może pani jak najbardziej korzystać z naszego systemu telefonii satelitarnej.

„A wy będziecie podsłuchiwać, prawda?”.

Odkopała telefon w torebce, wyłączyła go i przekazała ibn Talalowi.

- A teraz, proszę, pani aparat fotograficzny. Pan al-Bakari nie lubi błyskających dokoła fleszów, kiedy odpoczywa. Fotografowanie jego, personelu albo gości stoi w sprzeczności z obowiązującymi tu przepisami.

- A są jeszcze jacyś goście poza mną?

Zignorował jej pytanie.

- Czy ma pani ze sobą komputer kieszonkowy BlackBerry albo jakiś inny notes elektroniczny?

Pokazała mu sprzęt. Wyciągnął dłoń.

- Jeśli będziecie czytać moją pocztę, przysięgam...

- Nie mamy zamiaru czytać pani poczty. Proszę, panno Saro, im szybciej się z tym uporamy, tym szybciej będzie pani mogła się rozgościć i cieszyć pobytem tutaj.

Wręczyła mu komputerek.

- Czy ma pani jakiegoś iPod'a lub inny odtwarzacz osobisty?

- Żarty pan sobie ze mnie stroi?

- Pan al-Bakari uważa, że odtwarzacze osobiste są niegrzeczne i w złym tonie. Pani pokój jest wyposażony w supernowoczesny sprzęt telewizyjny i muzyczny. Nie będzie pani potrzebować własnego.

Oddała mu iPod'a.

- Jakiś inny sprzęt elektryczny?

- Suszarka do włosów.

Wyciągnął dłoń.

- Nie może pan ograbić kobiety z suszarki.

- W łazience jest inna, kompatybilna z elektrycznym systemem statku. Muszę zabrać pani suszarkę, żeby nie dochodziło do pomyłek.

- Obiecuję, że nie będę z niej korzystać.

- Pani suszarka, panno Saro.

Wyciągnęła suszarkę z walizki i wręczyła ją ibn Talalowi.

- Pan al-Bakari zostawił w szafie małą niespodziankę dla pani. Jestem pewien, że byłoby mu bardzo miło, gdyby zechciała pani zrobić z niej użytek na czas kolacji. Siadamy do niej o dziewiątej. Radziłbym pani przespać się nieco do tego czasu. Miała pani długi, męczący dzień - plus, oczywiście, jest jeszcze kwestia zmiany czasu.

- Oczywiście.

- Czy życzy pani sobie, żeby ją obudzono o dwudziestej?

- Obudzę się sama. Przywiozłam podróżny budzik.

Uśmiechnął się niewesoło.

- Też muszę go zabrać.

Ku swojemu niemałemu zaskoczeniu naprawdę udało jej się zasnąć. Spała spokojnie, bez marzeń, i obudziła się w ciemnościach, nie wiedząc, gdzie się znajduje. Ale zaraz podmuch ciepłego morskiego wiatru owionął jej piersi, niczym oddech kochanka. Wtedy przypomniała sobie, że jest na pokładzie „Aleksandry” i że jest tam zupełnie sama. „Założ sobie, że śledzą każdy twój ruch i słuchają każdego twojego słowa” - powiedział jej wcześniej Eli. Wyobraziła sobie scenę rozgrywającą się w jakimś innym miejscu na łodzi. Wazir ibn Talal czytający każdego e-maila w jej BlackBerrym. Wazir ibn Talal sprawdzający każdy numer, z którym się łączyła ze swojej komórki. Wazir ibn Talal rozkładający na czynniki pierwsze jej suszarkę, jej iPod'a i jej budzik w poszukiwaniu urządzeń podsłuchowych lub naprowadzających. Ale nie było żadnych urządzeń podsłuchowych czy naprowadzających, ponieważ Gabriel przewidział, że przetrząsną jej rzeczy, gdy tylko wkroczy do ich obozu. „W sytuacji takiej jak ta najlepsze są

wyjścia najprostsze. Będziemy robić to po staremu. Szyfry telefoniczne. Fizyczne znaki sygnalizacyjne”.

Uniosła zegarek do twarzy i zobaczyła, że dochodzi za pięć ósma. Zamknęła ponownie oczy, pozwalając, by bryza raz jeszcze owionęła jej ciało. Pięć minut później telefon przy łóżku cicho zaterkotał. Wyciągnęła rękę w ciemnościach i przystawiła słuchawkę do ucha.

- Już się obudziłam, panie ibn Talal.

- Miło mi to słyszeć.

Głos nie należał do ibn Talala, ale do Ziziego.

- Przepraszam, panie al-Bakari. Myślałam, że to ktoś inny.

- Najwyraźniej - powiedział sympatycznie. - Udało się pani trochę odpocząć?

- Tak myślę.

- A jak podróż?

- Doskonale, sir.

- Możemy zawrzeć umowę?

- To całkowicie zależy tylko i wyłącznie od jej treści, panie al-Bakari.

- Wolałbym, żeby nazywała mnie pani Zizi. Tak mówią do mnie przyjaciele.

- Postaram się - i dodała żartobliwie - sir.

- Czekam na ciebie na kolacji, Saro.

Rozmowa została przerwana. Sara odłożyła słuchawkę i wyszła na pokład słoneczny.

Tonął już w ciemnościach. Księżyc wisiał nisko nad horyzontem, a niebo usłane było migoczącymi gwiazdami. Spojrzała w kierunku rufy i ujrzała parę mrugających szmaragdowych świateł pozycyjnych majaczących kilka mil w oddali.

Od strony dziubu było ich jeszcze więcej. Przypomniała sobie, co Eli powiedział jej podczas ćwiczeń ulicznych: czasami najlepszym sposobem śledzenia człowieka jest podążanie przed nim. Podejrzewała, że to samo odnosiło się do inwigilacji na morzu.

Wróciła do pokoju, zrzuciła ubranie i poczłapała do łazienki.

„Zamknij oczy, Wazir - pomyślała. - Żadnej pornografii”. Wykąpała się w należącej do Ziziego hedonistycznej wannie z jacuzzi, słuchając Keitha Jarretta na supernowoczesnym sprzęcie muzycznym Ziziego. Owinęła się szlafrokiem frotte Ziziego i wysuszyła włosy jego suszarką. Nałożyła na twarz makijaż, tylko tyle, by ukryć ślady transatlantyckiej podróży, a kiedy czesała się, pozwalając włosom swobodnie opaść na ramiona, pomyślała przelotnie o Gabrielu.

- „Jak lubisz nosić włosy, Saro?

- Rozpuszczone, na ogół.

- Masz bardzo ładne kości policzkowe. I pełną wdzięku szyję. Powinnaś się zastanowić, czy nie nosić ich od czasu do czasu wysoko upiętych. Jak Marguerite”.

Ale nie dziś wieczór. Kiedy była usatysfakcjonowana odbiciem w lustrze, poszła do sypialni i otworzyła szafę. Na jednej z półek leżało owinięte w ozdobny papier pudełko. Usunęła papier, uniosła wieczko. W środku znajdowało się spodnie z gnieczonego jedwabiu w kolorze kości słoniowej i jedwabna hałeczka. Pasowała doskonale, podobnie jak cała reszta. Dodała jeszcze zegarek Winstona, kolczyki Bułgariego, perły Mikimoto i bransoletę Tiffany’ego. Za pięć dziesiąta opuściła pokój i ruszyła na pokład rufowy. „Spróbuj zapomnieć, że w ogóle istniejemy. Bądź po prostu Sarą Bancroft, a wszystko się uda”.

Zizi powitał ją nader serdecznie.

- Sara! Tak miło cię znowu widzieć. Uwaga, wszyscy: to jest Sara. Saro, to są wszyscy. Zbyt wiele nazwisk, żebyś od razu mogła je spamiętać. Chyba że należysz do tych nielicznych osób ze świetną głową do imion. Proponuję, żebyśmy zrobili to pomalutku. Proszę, spocznij. Miałaś bardzo męczący dzień. Na pewno umierasz z głodu.

Posadził ją przy krańcu długiego stołu i udał się na swoje miejsce na jego drugim końcu. Miejsce po jej prawej zajmował któryś z Abdulów, a to po lewej Herr Wehrli, bankier. Naprzeciwko siedział Mansur, szef podróży, i płochliwa żona Herr Wehrliego, która zdawała się cały ów spektakl uważać za nieco przerażający.

Obok Frau Wehrli tkwił nieporuszenie Jean-Michel, trener osobisty. Długie blond włosy miał związane w kucyk i gapił się na Sarę z nieskrywanym zainteresowaniem ku zmartwieniu swojej żony, Monique. Dalej znajdowała się Rahima ze swoim pięknym chłopcem, Hamidem, egipskim gwiazdorem filmowym. Nadia siedziała obok ojca z miną właścicielki. Kilka razy podczas długiego posiłku Sara spoglądała w kierunku Ziziego i za każdym razem napotykała piorunujące spojrzenie. Nadia, podejrzewała Sara, może sprawić nie mniejszy problem niż ibn Talal.

Zizi, ustaliwszy ponad wszelką wątpliwość, że Sara nie zna arabskiego, zarządził, że językami wieczoru będą francuski i angielski. Konwersacja przy stole okazała się szokująco banalna.

Rozmawiano o ubraniach i filmach, restauracjach, które Zizi chciał przejąć, i o hotelu w Nicei, którego kupno chodziło mu po głowie.

Wojna, terroryzm, ciężki los Palestyńczyków, amerykański prezydent - nie poruszano żadnego z tych tematów tak, jakby nie istniało nic poza reelingiem „Aleksandry” albo granicami imperium Saudyjczyka. Zizi, odgadując, że Sarę nudzi rozmowa, poprosił ponownie, by wyjaśniła, jak natrafiła na van Gogha. Kiedy nie połknęła haczyka, uśmiechnął się wilczym uśmiechem i obiecał:

- Któregoś dnia wyciągnę to z ciebie.

I Sara po raz pierwszy poczuła przyprawiającą o mdłości falę wszechogarniającego przerażenia.

Podczas deseru Zizi wstał ze swego miejsca i przysiadł się do niej. Miał na sobie lniany garnitur kremowego koloru, a jego zażywne policzki były rumiane od słońca.

- Mam nadzieję, że jedzenie ci smakowało.

- Było przepyszne. Musieliście chyba całe popołudnie spędzić w kuchni.

- Ja nie - powiedział skromnie. - Moi kucharze.

- Masz więcej niż jednego?

- Trzech, jeśli idzie o ścisłość. Załoga i personel liczy sobie wszystkiego czterdzieści osób. Pracują wyłącznie dla mnie, niezależnie od tego, czy „Aleksandra” jest akurat na morzu, czy czeka w porcie. Poznasz ich w trakcie naszej podróży. Jeśli czegoś będzie ci trzeba, proś bez wahania. Zakładam, że uznałaś swoją kwaterę za zadowalającą.

- Więcej niż zadowalającą, panie al-Bakari.

- Zizi - przypomniał jej. Bawił się sznurem hebanowych paciorków różańca. - Pan ibn Talal powiedział mi, że zdenerwowały cię niektóre nasze przepisy i środki bezpieczeństwa.

- Może „zaskoczyły” byłoby bliższe prawdy. Żałuję, że nie zostałam z góry uprzedzona. Miałabym lżejszy bagaż.

- Pan ibn Talal potrafi być cokolwiek fanatyczny w swoim oddaniu sprawie mojego bezpieczeństwa. Przepraszam za jego zachowanie. Niemniej, kiedy przekracza się próg świata AAB Holdings, Saro, trzeba przestrzegać pewnych zasad - dla dobra nas wszystkich. - Zamachnął się nadgarstkiem i owinął paciorki różańca dokoła dwóch palców prawej dłoni. - Czy miałaś czas, żeby przemyśleć moją propozycję?

- Nadal nie znam jej treści.

- Ale jesteś zainteresowana. W przeciwnym wypadku nie byłoby cię tutaj.

- Powiedzmy po prostu, że zaintrygowana i gotowa omówić rzecz bardziej szczegółowo.

- Prawdziwa kobieta interesu z ciebie, Saro. Podziwiam to. Ciesz się morzem i słońcem. Porozmawiamy za kilka dni, kiedy już trochę odpoczniesz.

- Za kilka dni? Ależ ja muszę wracać do Londynu.

- Julian Isherwood obchodził się bez ciebie przez wiele lat, Saro. Coś mi mówi, że przeżyje, jeśli pojedziesz z nami na te wszystkie miar zasłużone wakacje.

Co rzekłszy, wrócił na swoje miejsce na końcu stołu i usiadł przy Nadii.

- Witamy w rodzinie - powiedział Herr Wehrli. - Bardzo panią lubi. Kiedy będzie pani negocjować swoje uposażenie, proszę się nie ograniczać. Zapłaci każdą sumę, którą pani wymieni.

*

Kolacja na pokładzie „Słonecznej Tancerki” była tej nocy o wiele mniej wystawna niż na „Aleksandrze”, a konwersacja o wiele bardziej ożywiona. Nie unikano takich tematów jak wojna czy terroryzm. Zostały skwapliwie podjęte, wzięte w obroty i dyskutowane zażarcie jeszcze długo po północy. Gdy wieczór miał się ku końcowi, wybuchła jeszcze jedna dyskusja, tym razem o tym, na kogo przypada kolej zmywania naczyń. Dina i Rimona domagały się zwolnienia, jako że odwały już to zadanie poprzedniego wieczoru w Surrey. Gabriel jednym ze swoich nielicznych rozkazów wydanych tego dnia zrzucił ów obowiązek na barki nowych chłopców: Odeda i Mordechaja, dwóch doświadczonych uniwersalnych agentów operacyjnych do wszystkiego, i Michała, zabójcę wypożyczonego do Biura z Sayeret Matkal.

Był to Żyd rosyjskiego pochodzenia o bezkrwistej skórze i oczach koloru lodowca.

- Twoja młodsza wersja - powiedział Jakow, przedstawiając go Gabrielowi. - Świetny pistolet, ale bez sumienia. Praktycznie sam jeden zlikwidował strukturę dowodzenia Hamasu.

Ich kwaterom brakowało przepychu „Aleksandry” i nikt nie cieszył się przywilejem prywatnego lokum. Gabriel i Lavon, weterani dawnych obław, waletowali razem na dziobie. Lavon był przyzwyczajony do nieobliczalnych zwyczajów nocnych Gabriela i kiedy obudził się przed świtem następnego ranka, wcale go nie zdziwiło, że koka Gabriela jest pusta. Wygramolił się ze swojej i wyszedł na pokład. Konserwator stał na dziobie z kubkiem kawy w dłoni i wzrokiem wbitym w smugę światła na horyzoncie.

Lavon wrócił do łóżka i przespał jeszcze dwie godzinki. Kiedy ponownie wychynął na pokład, Gabriel stał dokładnie w tym samym miejscu, wpatrując się w puste morze.

23

Karaiby

Jej dni szybko nabrały rutyny.

Każdego ranka budziła się wcześniej i leżała w półśnie na ogromnym łożu, nasłuchując, jak „Aleksandra” wolno budzi się do życia. Potem, zwykle koło siódmej trzydzieści, dzwoniła do stewarda i zamawiała poranną kawę z rogalikiem, które przybywały podane na tacy, zawsze ze świeżym kwiatkiem, pięć minut później. Jeśli nie padało, zabierała śniadanie na swój wychodzący na sterburtę prywatny pokład słoneczny. „Aleksandra” płynęła południowo-wschodnim kursem, niespiesznie kierując się ku nieznanemu celowi, i zwykle Sara dostrzegała jedynie niskie, płaskie wyspy archipelagu Bahamów w oddali. Apartament Ziziego znajdował się nad jej sypialnią. W niektóre ranki słyszała, jak rozmawiał przez telefon,

zamykając pierwsze transakcje tego dnia.

Po śniadaniu wykonywała dwa telefony do Londynu, korzystając z telefonii pokładowej. Najpierw dzwoniła do swojego mieszkania w Chelsea i, nieodmiennie, natrafiała tam na dwie lub trzy fałszywe wiadomości zostawione przez Biuro. Potem telefonowała do galerii i rozmawiała z Chiara, której miękki angielski z włoskim akcentem był jak deska ratunku. Sara pytała o będące w toku transakcje, potem Chiara odczytywała wiadomości telefoniczne do Sary. Te pozornie niewinne konwersacje zawierały żywotne informacje: przekaz od Sary, że jest bezpieczna i nie pojawił się ślad Ahmeda ibn Shafika, przekaz od Chiary, że Gabriel i cała reszta zespołu są niedaleko, że Sara nie jest sama. Rozłączenie się z Włoszką było najtrudniejszą częścią jej dnia.

Wtedy zazwyczaj dochodziła już dziesiąta, co oznaczało, że Zizi i Jean-Michel zakończyli swój trening i sala gimnastyczna jest dostępna dla reszty personelu i gości. Większość z nich jednak należała do zwolenników siedzącego trybu życia, jedynym towarzyszem Sary każdego ranka był Herr Wehrli, który kilka minut katował się na trenażerze eliptycznym, zanim udał się do sauny wycisnąć z siebie ostatnie poty. Sara biegła przez czterdzieści minut na ruchomej bieżni, potem pół godziny wiosłowała. Na studiach należała do reprezentacji Dartmouth i już po kilku dniach zaczęła dostrzegać na ramionach i plecach zarys mięśni, który zupełnie zniknął po śmierci Bena.

Po treningu dołączała do kobiet na przednim pokładzie, żeby złapać trochę słońca przed lunchem. Nadia i Rahima dalej traktowały ją z rezerwą, ale żony stopniowo się do niej przekonały, zwłaszcza Frau Wehrli i Dżihan, blondwłosa jordańska żona Hassana, specjalisty od łączności Ziziego. Monique, żona Jeana-Michela, rzadko z nią rozmawiała. Dwukrotnie Sara zerknęła zza okładki powieści, którą czytała, i za każdym razem widziała, że Monique piorunuje ją wzrokiem, jakby planowała wypchnąć Sarę za burtę, kiedy nikt nie będzie patrzył.

Lunch był zawsze niespiesznym, rozwlekłym wydarzeniem. Gdy dobiegał końca, załoga zatrzymywała „Aleksandrę” i odbywały się - jak to określał Zizi - popołudniowe derby skuterów wodnych.

Przez pierwsze dwa dni Sara tkwiła bezpiecznie na pokładzie, przyglądając się, jak Zizi i jego egzekutywa zanurzają się i przeskakują przez fale. Trzeciego dnia przekonał ją, żeby też spróbowała, i osobiście pouczył, jak ma sterować skuterem. Oddaliła się od rufy „Aleksandry”, wyłączyła silnik i długo wpatrywała się w punkcik bieli na horyzoncie przed nimi. Musiała chyba zapuścić się za daleko, ponieważ kilka chwil później Jean-Michel podpłynął do jej boku i gestem pokazał, żeby wróciła na statek.

- Granicą jest sto metrów - powiedział. - Zasady Ziziego.

Dni Saudyjczyka były zaplanowane w najdrobniejszych szczegółach i bardzo do siebie podobne. Lekkie śniadanie w pokoju. Rozmowy telefoniczne. Ćwiczenia z Jeanem-Michelem na sali gimnastycznej. Zebranie z personelem późnym rankiem. Lunch. Wyścigi skuterów. Kolejne spotkanie z personelem, które zazwyczaj przeciągało się aż do kolacji. Potem znowu rozmowy telefoniczne do późna w noc. Drugiego dnia o dziesiątej rano z pokładu „Aleksandry” wystartował helikopter i po godzinie wrócił z sześcioma osobami. Sara zlustrowała uważnie twarze przybyłych, kiedy wchodzili do sali konferencyjnej Ziziego, i doszła do wniosku, że żadna nie należy do Ahmeda ibn Shafika.

Później któryś z Abdulów sam z siebie rzucił nazwiska trzech gości. Sara natychmiast zapisała je sobie w pamięci do późniejszego odtworzenia. Tego popołudnia natknęła się na Ziziego siedzącego samotnie na leżaku i spytała, czy mogliby omówić jego ofertę pracy.

- Po co ten pośpiech, Saro? Zrelaksuj się. Odpocznij. Porozmawiamy we właściwym czasie.

- Muszę wracać do Londynu, Zizi.

- Do Juliana Isherwooda? Jak mogłabyś po tym wrócić do Juliana?

- Nie mogę zostać tu na zawsze.

- Oczywiście, że możesz.

- A powiesz mi przynajmniej, dokąd płyniemy?

- To niespodzianka - powiedział. - Jedna z naszych małych tradycji. Jako honorowy kapitan sam wybieram nasz cel podróży. I trzymam w sekrecie. Planujemy zawitać jutro na Grand Turk. Jeśli chcesz, możesz wyjść na brzeg i porobić sprawunki.

Właśnie wtedy pojawił się Hassan, wręczył Ziziemu telefon i wymamrotał coś po arabsku, czego Sara nie rozumiała.

- Wybacz mi, Saro, muszę odebrać. - Zniknął w sali konferencyjnej, zamykając za sobą drzwi.

Następnego dnia obudziło ją uczucie całkowitego bezruchu.

Zamiast wylegiwać się w łóżku, natychmiast się zerwała, wyszła na pokład słoneczny i zobaczyła, że zakotwiczyli w pobliżu Cockburn Town, stolicy Turks i Caicos. Zjadła śniadanie u siebie w pokoju, sprawdziła, co słychać u Chiary w Londynie, następnie zaś zamówiła u załogi łódkę mającą zabrać ją do miasta. O jedenastej trzydzieści wyszła na rufę i zastała czekającego tam na nią Jeana-Michela, ubranego w czarny pulower i białe bermudy.

- Zgłosiłem się na ochotnika w charakterze twojej eskorty.

- Nie potrzebuję eskorty.

- Nikt nie wychodzi na brzeg bez ochrony, zwłaszcza dziewczęta. Zasady Ziziego.

- Twoja żona też jedzie?

- Niestety, Monique nie czuje się dziś dobrze. Chyba kolacja musiała jej zaszkodzić.

Do portu płynęli w milczeniu. Jean-Michel umiejętnie wprowadził łódkę na przystań, potem szedł u boku Sary nabrzeżną promenadą handlową, kiedy ona załatwiała swoje sprawunki. W jednym z butików wybrała sobie dwie letnie sukienki na ramiączkach i nowe bikini. W innym parę sandałów, torbę plażową i nowe okulary przeciwsłoneczne w miejsce tych, które zgubiła poprzedniego dnia w trakcie derbów. Potem udali się do drogerii po szampon, balsam do ciała i naturalną gąbkę, za pomocą której miała nadzieję usunąć łuszczącą się jej na spalonych ramionach skórę. Jean-Michel upierał się, by płacić za wszystko jedną z kart kredytowych Ziziego. W drodze powrotnej do łodzi minęła ich Rimona, skryta za opadającym rondem słomkowego kapelusza i dużymi okularami przeciwsłonecznymi. A w malutkim barze wychodzącym na port Sara zauważyła znajomo wyglądającego mężczyznę w białym kapeluszu plażowym i ciemnych szklach, ponuro wpatrującego się w drinka z ozdobną parasolką. Dopiero gdy znalazła się na pokładzie „Aleksandry”, uświadomiła sobie, że to był Gabriel.

Kiedy następnego dnia zadzwoniła do Londynu, do rozmowy włączył się na chwilę Julian i zapytał, kiedy zamierza wrócić.

Dwa dni później sytuacja się powtórzyła, ale tym razem w głosie marszanda słychać było wyraźną nutę irytacji. Tego samego popołudnia Zizi zadzwonił do pokoju Sary.

- Wejdiesz do mojego gabinetu? Myślę, że już czas, byśmy porozmawiali.

Rozłączył się, nie czekając na odpowiedź.

Ubrała się na tyle profesjonalnie, na ile było to możliwe: białe rybaczki, żółta zakrywająca ramiona bluzka, sandały na płaskim obcasie. Zastanawiała się, czy nie nałożyć makijażu, ale doszła do wniosku, że nie ma sensu poprawiać dobrodziejstw, jakich jej cerze dostarczył tydzień spędzony w promieniach karaibskiego słońca. Dziesięć minut po otrzymaniu wezwania opuściła swój apartament i skierowała się na górę do gabinetu Ziziego. Siedział za stołem konferencyjnym razem z Daoudem Hamzą, oboma Abdulami i Herr Wehrim, którzy powstali jednocześnie, kiedy Sarę wprowadzono do środka, po czym zebrali swoje papiery i bez

słowa gęsiego opuścili pomieszczenie. Zizi gestem poprosił, by usiadła. Po drugiej stronie pokoju na wielkim, płaskim ekranie telewizyjnym migiała bezgłośnie Al-Dżazira: izraelskie oddziały niszczące dom jakiegoś zamachowca-samobójcy z Hamasu na oczach płaczących do kamer rodziców. Spojrzenie Ziziego na chwilę zatrzymało się na tej scenie, zanim spoczęło na Sarze.

- Zainwestowałem dziesiątki milionów dolarów w terytoria palestyńskie, a kolejne miliony przekazałem w formie dotacji charytatywnych. Teraz zaś Izraelczycy rozpirzają to w drobny mak, a świat stoi z założonymi rękoma.

„Gdzie były te słowa potępienia wczoraj - pomyślała Sara - kiedy na pewnej ulicy w Tel Awiwie wały się porozrzucone kawałki zwęglonych i poszatkowanych dwudziestu dwóch ciał?”. Spojrzała na swoje dłonie, na złotą bransoletę od Ziziego, na zegarek Winstona i nie powiedziała nic.

- Ale porozmawiajmy o czymś przyjemniejszym - zaproponował Zizi.

- Chętnie. - Podniosła głowę i uśmiechnęła się. - Chcesz złożyć mi bajeczną propozycję przejścia do pracy u ciebie.

- Naprawdę?

- Tak, naprawdę.

Zizi odpowiedział uśmiechem na jej uśmiech.

- Mamy wakat w naszym wydziale sztuki. - Jego twarz sposepniała. - Niespodziewany wakat, niemniej wakat wszakże. Chciałbym, żebyś go zapełniła.

- W waszym wydziale sztuki?

- Przepraszam najmocniej - powiedział. - Tak określamy rozliczne sfery naszych działań. Hassan jest szefem wydziału łączności. Wydziałem Mansura są podróże... Bankowość to działka Herr Wehrliego. Pan ibn Talal kieruje wydziałem...

- Bezpieczeństwa.

- Właśnie - potwierdził Zizi.

- Kto jest szefem wydziału sztuki?

- Obecnie ja sam. Ale chciałbym, żebyś ty objęła to stanowisko.

- A co z Andrew Malone'em?

- Andrew Malone już dla mnie nie pracuje. - Zizi bawił się przez chwilę swoim różańcem. Jego wzrok znowu powędrował na ekran telewizora i pozostał tam, kiedy podjął wątek. - Moja umowa z Andrew opiewała na wyłączność. Płaciłem mu z tego tytułu hojne wynagrodzenie. W zamian za co on miał służyć mi radą nieskażoną żadnym konfliktem interesów z jego strony. Jak się okazało, Andrew nagminnie mnie oszukiwał. Przez ostatnich kilka lat brał pieniądze ode mnie i od ludzi, od których kupowałem, co stanowiło jawne pogwałcenie warunków umowy. Wśród marszandów i kolekcjonerów, którzy płacili Andrew, był też Julian Isherwood. - Spojrzał na nią.

- Wiedziałaś o jakichkolwiek transakcjach gotówkowych między nimi?

- Nie wiedziałam - powiedziała. - A jeśli miały miejsce, przepraszam.

- Wierzę ci - rzekł Zizi. - Andrew zobowiązał Juliana do milczenia. Starannie zacierał ślady swoich szemranych interesów. Niestety, nie mógł wymazać dowodów zdrady z rachunków bankowych. Właśnie tak się o wszystkim dowiedzieliśmy.

Zerknął raz jeszcze na telewizor i zmarszczył brwi.

- Praca, którą chcę ci zaproponować, miałaby o wiele szerszy zakres niż to, co robił Andrew. Nie tylko pomagałabyś mi w nabywaniu kolejnych dzieł, ale sprawowałabyś pieczę nad całą kolekcją i doglądała prac konserwatorskich. Zamierzam wypożyczać niektóre z obrazów amerykańskim i europejskim muzeom w ramach promowania lepszych kulturalnych więzi między moim krajem a Zachodem. Jako były kustosz masz więcej niż dobre kwalifikacje do zajęcia się takimi umowami. - Przyglądał się jej badawczo przez chwilę. - Interesowałoby cię

takie stanowisko?

- Niewykluczone, ale...

- Ale chciałabyś omówić kwestię uposażenia, zanim udzielisz mi ostatecznej odpowiedzi, co oczywiście rozumiem. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałbym zapytać, ile płaci ci teraz Julian?

- Prawdę rzekłszy, mam coś przeciwko temu.

Westchnął ciężko i zakręcił swoim różańcem.

- Zamierzasz specjalnie uczynić naszą rozmowę jak najtrudniejszą?

- Usiłuję tylko nie nabrać nawyku negocjowania na własną szkodę.

- Jestem gotów zgodzić się na honorarium w wysokości pięciuset tysięcy dolarów rocznie, plus koszty zakwaterowania, plus nielimitowany fundusz reprezentacyjny. Praca będzie wymagała częstych podróży - i, rzecz jasna, będziesz spędzała wiele czasu ze mną i moją liczną rodziną. Dlatego właśnie zaprosiłem cię na ten rejs. Chciałem, żebyś nas poznała. Ufam, że odpowiada ci nasza gościnność i dobrze się bawisz.

- Bardzo dobrze - potwierdziła.

Podniósł dłonie.

- Zatem?

- Trzyletni kontrakt gwarantowany.

- Zrobione.

- Pięćset pierwszego roku, sześćset następnego i siedemset pięćdziesiąt w ostatnim.

- Zgoda.

- No i pozostaje jeszcze premia za przejście.

- Podaj kwotę.

- Dwieście pięćdziesiąt tysięcy.

- Byłem gotów dać ci kolejne pięćset. A zatem umowa stoi?

- Stoi. - Jej uśmiech szybko zgasł. - Aż boję się myśleć, jak przyjmie to Julian.

- To interesy, Saro. Julian zrozumie.

- Będzie czuł się bardzo urażony.

- Może byłoby prościej, gdybym ja z nim porozmawiał?

- Nie. - Pokręciła głową. - Zrobię to sama. Tak wypada.

- Jesteś kobietą wielkiej uczciwości. - Podniósł się raptownie.

- Wydam prawnikom polecenie przygotowania kontraktu. Herr Wehrli wystawi ci czek opiewający na premię za przejście razem z kartą kredytową AAB na pokrycie wydatków reprezentacyjnych.

- Wyciągnął dłoń. - Witamy w rodzinie, Saro.

Ucisnęła ją, potem ruszyła w stronę drzwi.

- Saro?

Odwróciła się.

- Proszę cię, nie popełnij tego samego błędu co Andrew. Jak widzisz, jestem bardzo hojny w stosunku do ludzi, którzy dla mnie pracują, ale robię się bardzo zły, kiedy są nielojalni.

*

Usłyszawszy nowinę, Julian Isherwood był, zgodnie z przewidywaniami, do gruntu zbulwersowany. Złorzeczył Ziziemu, potem złorzeczył Sarze.

- Nie zwracaj sobie głowy i nie fatyguj się do galerii po swoje rzeczy - krzyczał. - Nie jesteś tu mile widziana - ani ty, ani twój cholerny saudyjski szejk. - Trzasnąwszy słuchawką, ruszył do Green's, gdzie zastał Olivera Dimbleby'ego i Jeremy'ego Crabbe'a szepczących

konspiracyjnie na końcu baru.

- Skąd ta ponura mina, Julie? - spytał Dimbleby odrobinę za radośnie.

- Odeszła.

- Kto?

- Sara - powiedział Isherwood. - Porzuciła mnie dla Ziziego al-Bakariego.

- Nie mów tylko, że wskoczyła na miejsce Andrew Malone'a.

Isherwood pokiwał posępnie głową.

- Powiedz jej, żeby trzymała się z dala od słoika z ciasteczkami Ziziego - powiedział Crabbe. - Odrąbie jej rękę. Tam to legalne, wicie.

- Jak udało mu się ją przekonać? - dopytywał się Dimbleby.

- Pieniędźmi, naturalnie. Dzięki nim zawsze dostają, co im się żywnie spodoba.

- W rzeczy samej - odparł Dimbleby. - Ale przynajmniej nadal mamy śliczną Elenę.

Mamy, pomyślał Isherwood. Ale jak długo jeszcze?

Sześć i pół tysiąca kilometrów dalej, na pokładzie „Słonecznej Tancerki”, Gabriel podzielał pieśni nastrój Isherwooda, choć z innych powodów. Usłyszawszy wieści o zatrudnieniu Sary, zaszył się na swoim posterunku na dziobie, odmawiając przyjmowania gratulacji składanych przez resztę zespołu.

- W czym problem? - spytał Jakow Lavona. - Naprawdę tego dokonał. Wprowadził agenta do Dżihad Spółka z o.o.

- Tak - rzekł Lavon. - I pewnego dnia będzie musiał go stamtąd wydostać.

24

Gustavia, Wyspa Świętego Bartłomieja

Sekretnym celem podróży Ziziego okazała się francuska Wyspa Świętego Bartłomieja. Dotarli na miejsce następnego ranka i zarzucili kotwicę w Gustavii, malowniczym porcie i stolicy administracyjnej wysepki. Sara kończyła właśnie swoje ćwiczenia, kiedy do sali weszła Nadia, ubrana w twarzowe białe bikini i przezroczystą białą plażową sukienkę.

- Dlaczego nie jesteś jeszcze gotowa? - spytała.

- O czym mówisz?

- Zabieram cię na Salinę - najwspanialszą plażę na świecie.

Kiedy Sara się zawahała, Nadia przyjaźnie dotknęła jej ramienia.

- Słuchaj, wiem, że nie byłam dla ciebie szalenie miła, ale teraz, kiedy pracujesz u mojego ojca, będziemy spędzać ze sobą dużo czasu. Więc równie dobrze możemy zostać przyjaciółkami.

Sara uśmiechnęła się, że się zastanawia.

- Potrzebuję dziesięciu minut.

- Masz pięć - uśmiechnęła się ciepło Nadia. - Czego się spodziewałaś? Jestem nieodrodną córką swojego ojca.

Sara poszła do swojej kabiny, wzięła szybki prysznic i przebrała się w kostium kąpielowy i sukienkę plażową. Wrzuciła kilka rzeczy do nowej torby plażowej, po czym wyszła na rufę. Nadia była już na łodzi w towarzystwie Rafika al-Kamala i Dżafara Sharukiego.

Jean-Michel siedział za sterem, sprawdzając tablicę rozdzielczą.

- Tylko my dwie? - spytała Sara, wchodząc na pokład i zajmując miejsce obok Nadii w

przedniej komorze.

- Może później dołączy do nas Rahima - powiedziała Nadia. - Ale, mówiąc prawdę, mam nadzieję, że nie. Przydałaby mi się chwila odpoczynku od niej.

Jean-Michel ostrożnie odbił od rufy „Aleksandry”, potem odkręcił gaz i pognał do przodu. Płynęli wzdłuż południowych wybrzeży wyspy, mijając przedmieścia Gustavii, potem dokoła Grande Pointe. Dwie minuty później dotarli do małej zatoczki otoczonej z obydwu stron nierównymi spiętrzeniami szarobrazowej skały wulkanicznej. Między nimi, pod czystym, intensywnie błękitnym niebem, roztaczał się szeroki półksiężyc plaży.

- Witaj na Saline - odezwała się Nadia.

Jean-Michel ostrożnie przeprowadził łódź przez delikatne bałwany i zatrzymał się kilka metrów od brzegu. Rafik i Sharuki wskoczyli do płytkiej wody i ruszyli w kierunku dziobu. Nadia podniosła się i wślizgnęła przez burtę w silne ramiona Rafika.

- To jest najlepsza strona posiadania ochroniarzy - stwierdziła. - Nigdy nie musisz się zmoczyć w drodze na plażę.

Sara niechętnie opadła w ramiona Sharukiego. Kilka sekund później została opuszczona na twardy piasek tuż przy linii wody.

Jean-Michel odwrócił łódź i ruszył z powrotem na „Aleksandrę”, a Nadia stała na plaży, rozglądając się za najodpowiedniejszym miejscem, gdzie mogłyby się rozlokować.

- Tam - zdecydowała, po czym wzięła Sarę za rękę i poprowadziła w odległy zakątek plaży, na którym nie było ludzi. Rafik i Sharuki wlekli się za nimi objuczeni torbami i leżakami. Niecałe pięćdziesiąt metrów od najbliższego plażowicza Nadia zatrzymała się i wymamrotała coś po arabsku do Rafika, który w odpowiedzi rozłożył na piasku parę ręczników i dwa leżaki.

Obydwaj ochroniarze zajęli miejsca jakieś dwadzieścia metrów dalej. Nadia zdjęła sukienkę plażową i usiadła na ręczniku. Długie czarne włosy były zaczesane gładko do tyłu i połyskujące od żelu.

Miała na sobie okulary lustrzanki, przez które można było zobaczyć jej szerokie, wilgotne oczy. Zerknęła przez ramię na ochroniarzy, po czym zdjęła górę kostiumu, ukazując ciężkie, pięknie uformowane piersi. Skóra, po dwóch tygodniach wylegiwania się na słońcu, była ciemnobrązowa. Sara opadła na leżak i zakopała stopy w piasku.

- Lubisz, jak się przy tobie kręca? - spytała.

- Ochroniarze? - Nadia wzruszyła ramionami. - Kiedy jest się córką Ziziego al-Bakariego, stają się częścią życia. Wiesz, ile byłabym warta dla jakiegoś porywacza albo terrorysty?

- Miliardy.

- Właśnie. - Sięgnęła do torby plażowej i wygrzebała paczkę Virginia Slims. Wyjęła papierosa i zapaliła, po czym podała paczkę Sarze, która potrząsnęła głową.

- Nie palę na pokładzie „Aleksandry”, szanując życzenia ojca. Ale kiedy ją opuszczam... - urwała. - Nie powiesz mu, prawda?

- Przysięgam. - Sara skłoniła głowę w kierunku ochroniarzy.

- A oni?

- Nie ośmieliliby się.

Włożyła papierosy z powrotem do torby i wydmuchnęła dym w kierunku bezchmurnego nieba. Sara zamknęła oczy i wystawiła twarz do słońca.

- Nie masz tam przypadkiem butelki bardzo schłodzonego rose?

- Niestety - westchnęła Nadia. - Ale Jeanowi-Michelowi zawsze udaje się przemyścić jakieś wino na pokład. Jestem pewna, że chętnie odstąpiłby ci butelkę lub dwie, gdybyś ładnie poprosiła.

- Obawiam się, że Jean-Michel chciałby mi dać coś więcej niż tylko wino.

- Tak, bardzo mu się podobaasz. - Nadia odsunęła okulary na czoło i zamknęła oczy. - Tuż za tymi wydmami jest restauracja. Później możemy wstąpić tam na drinka, jeśli chcesz.

- Nie wiedziałam, że pijesz.

- Niedużo, ale uwielbiam bananowe daiquiri w takie upalne dni jak dzisiaj.

- Myślałam, że wasza religia tego zabrania.

Nadia machnęła ręką lekceważąco.

- Nie jesteś religijna? - spytała Sara.

- Kocham swoją wiarę, ale jestem także nowoczesną Saudyjką. Mamy dwie twarze. U siebie w domu musimy trzymać je zasłonięte. Ale na Zachodzie...

- Możecie popijać okazjonalnie daiquiri i leżeć topless na plaży.

- Właśnie.

- Twój ojciec o tym wie?

Skinęła głową.

- Chce, żebym była prawdziwą kobietą Zachodu, ale pozostała wierna przykazaniom islamu. Powiedziała mi, że to nie jest możliwe, przynajmniej nie tak rygorystycznie, i on to szanuje. Nie jestem dzieckiem, Saro. Mam dwadzieścia siedem lat.

Przekręciła się na bok i oparła głowę na dłoni.

- A ty masz ile?

- Trzydzieści jeden.

- Byłaś zameżna?

Sara pokręciła głową. Palila ją twarz ciągle wystawiona do słońca. „Nadia wie - pomyślała - oni wszyscy wiedzą”.

- Jesteś piękną dziewczyną - rzekła Nadia. - Dlaczego jeszcze nie wyszłaś za mąż?

„Z powodu telefonu, który odebrałam o godzinie ósmej pięćdziesiąt trzy rankiem jedenastego września dwa tysiące pierwszego roku”.

- Z banalnych powodów - powiedziała. - Najpierw były studia, potem doktorat, później praca. Chyba nigdy tak naprawdę nie miałam czasu na miłość.

- Nie miałaś czasu na miłość? Jakże to smutne.

- Amerykańska choroba. - Nadia opuściła okulary na oczy i przekręciła się na plecy. - Słońce jest bardzo ostre. Powinnaś się przykryć - ostrzegła Sara.

- Nie grozi mi poparzenie. To jedna z dobrych stron bycia Saudyjką. - Wyciągnęła ospale dłoń i zakopała papierosa w piasku. - To musi być dla ciebie bardzo osobliwe doświadczenie.

- Co?

- Taka na wskroś amerykańska dziewczyna pracująca dla Ziziego al-Bakariego.

- Przykro mi cię rozczarować, ale trudno mnie nazwać prawdziwą Amerykanką.

Większość dzieciństwa spędziłam w Europie. Kiedy wróciłam do Stanów, żeby pójść do college'u, czułam się strasznie obco. Przystosowanie się zajęło mi mnóstwo czasu.

- Nie przeszkadza ci, że będziesz pracować dla Saudyjczyka?

- A dlaczego miałoby przeszkadzać?

- Ponieważ masa ludzi w twoim kraju wini nas za atak z jedenastego września.

- Ale nie ja - powiedziała Sara i wyrecytowała tekst, który przedstawił jej w Surrey Gabriel. - Osama wybrał Saudyjczyków na wykonawców zamachów, żeby wbić klin między nasz kraj i wasz. Wypowiedział wojnę nie tylko Ameryce, ale także al-Saudom. Jesteśmy sojusznikami w wojnie z al Kaidą, nie przeciwnikami.

- Wywiad saudyjski wielokrotnie ostrzegał ojca, że terroryści wzięli go na cel z powodu jego zażytych związków z rodziną królewską. To właśnie dlatego mamy taką silną obstawę. - Wskazała ręką na ochroniarzy. - I musimy chodzić na plażę z tymi dwoma gorylami zamiast z

parą przystojnych chłopców.

Przekreśliła się na brzuch, wystawiając do słońca plecy. Sara przymknęła oczy i zatonała w zagmatwanym, pełnym marzeń śnie. Obudziła się godzinę później. Ich ustronny zakątek roił się od plażowiczów. Rafik i Sharuki siedzieli teraz bezpośrednio przy nich. Wyglądało na to, że Nadia śpi.

- Gorąco mi - mruknęła Sara do ochroniarzy. - Idę popływać.

Kiedy Rafik zaczął się podnosić, Sara powstrzymała go ręką.

- Poradzę sobie - powiedziała.

Weszła wolno do morza i dopiero kiedy fale zaczęły rozbijać się na jej talii, dała nura pod wodę i wykonała kilka mocnych ruchów, zanim wypłynęła na spokojną przestrzeń. Kiedy ponownie wynurzyła się na powierzchnię, u jej boku płynął Jakow.

- Jak długo zamierzacie zostać na Świętym Bartłomieju?

- Nie wiem. O niczym mnie nie informują.

- Jesteś bezpieczna?

- O ile potrafię to ocenić.

- Widziałaś kogoś, kto mógłby być ibn Shafikiem?

Potrząsnęła głową.

- Jesteśmy tutaj z tobą, Saro. Cały zespół. Teraz odpłyn ode mnie i nie oglądaj się za siebie. Jeśli będą cię o mnie wypytywać, powiedz, że cię podrywałem.

Zniknął pod wodą. Sara wróciła na plażę i położyła się na ręczniku obok Nadii.

- Kim był facet, z którym rozmawiałaś? - spytała córka Ziziego.

Sara poczuła, że serce podchodzi jej do gardła. Udało jej się odpowiedzieć spokojnie.

- Nie mam pojęcia - rzuciła - ale dowalał się do mnie dosłownie na oczach swojej dziewczyny.

- Dziwisz się? To Żyd.

- Skąd wiesz?

- Zaufaj mi, wiem. Nigdy nie rozmawiaj z nieznanymi, Saro. Zwłaszcza z Żydami.

Sara była w swojej kabinie i ubierała się do obiadu, kiedy usłyszała warkot wirnika sikorski'ego. Zapięła naszyjnik z pereł i pospieszyła na górny pokład, gdzie zastała Ziziego siedzącego na kanapie w chłodzie wieczornego powietrza, ubranego w modnie skrojone, sprane dzinsy i biały pulower.

- Dzisiaj będziemy jeść na wyspie - oznajmił. - Nadia i ja lecimy jako ostatni. Ty z nami.

Dwadzieścia minut później siedzieli już w helikopterze. Światła Gustavii migotały ciepło w zapadającym zmroku. Przelecieli nad pasmem stromych wzgórz za portem i opadli na lądowisko, gdzie na końcu pasa czekali już inni zbici w kupkę obok konwoju lśniący czarnych toyot land cruiser.

Kawalkada ruszyła w stronę wyjazdu z lotniska. Po drugiej stronie drogi, na parkingu głównego centrum handlowego wyspy, Sara przelotnie ujrzała Josiego i Rimonę na siodelku motocykla.

Pochyliła się do przodu i popatrzyła na Ziziego, który siedział obok córki.

- Dokąd jedziemy?

- Na obiad zarekwirowaliśmy restaurację w Gustavii. Ale najpierw pojedziemy do willi po drugiej stronie wyspy na drinka.

- Willę też zarekwirowaliście?

Zizi się roześmiał.

- Mówiąc szczerze, wynajmuje ją jeden z naszych współpracowników.

Zapisała komórkę. Hassan odebrał ją po pierwszym dzwonku i sprawdziwszy

tożsamość rozmówcy, przekazał aparat Ziziemu.

Sara wyjrzała przez okno. Pędzili teraz po Baie de Saint-Jean.

Zerknęła przez ramię i zobaczyła przednie światła ostatniego land cruisera sunącego tuż za nimi. W głowie uformował się jej obraz:

Josi za kierownicą motocykla, Rimona trzymająca się go w pasie.

Wrzuciła szybko tę wizję do wymaganej niszcarki i pocięła na wążutkie paseczki.

Konwój nagle zwolnił, kiedy wjechali do rojnego plażowego miasteczka Saint-Jean. Po obu stronach wąskiej drogi znajdowały się sklepy i restauracje, a opaleni przechodnie lawirowali między niemrawymi samochodami. Jean-Michel zaklął pod nosem, gdy jakiś mężczyzna z kobietą wstrzelili się na motorze w lukę w korku przed nimi.

Po drugiej stronie miasteczka ruch gwałtownie zelżał, a droga pięła się do góry nad urwiskiem wzdłuż wybrzeża zatoki. Skręcili o sto osiemdziesiąt stopni i przez chwilę tuż pod sobą mieli morze, jarzące się kolorem rてci w świetle dopiero co weszłego księżyca.

Następnym miasteczkiem było Lorient. Nie tak reprezentacyjne jak Saint-Jean i o wiele mniej tłoczne: schludne centrum handlowe, zamknięta na głucho stacja benzynowa, salon piękności obsługujący miejscowe kobiety, budka z hamburgerami karmiąca głównie szalejących na motocyklach młodzieńców o gołych torsach. Przy stole z chromowanym blatem, ubrany w szorty khaki i sandały, siedział samotnie Gabriel.

Zizi opuścił wieczko komórki z głośnym trzaskiem i nie zaszczycając Hassana spojrzeniem, wręczył mu ją przez ramię. Nadia trzymała w dłoniach pasmo własnych włosów, przyglądając się końcówkom w poszukiwaniu oznak zniszczenia.

- W Gustavii jest całkiem przyzwoity klub nocny - powiedziała obojętnym tonem. - Możemy pójść potańczyć po obiedzie.

Sara nie odpowiedziała i ponownie wyjrzała przez okno. Minęli cmentarz z wysokimi, naziemnymi nagrobkami i zaczęli piąć się stromym wzgórzem. Jean-Michel zredukował bieg i wcisnął gaz.

W połowie zбочa droga skręcała ostro na lewo. Kiedy land cruiser wykonał gwałtowny manewr, Sarę rzuciło na Nadię. Jej goła skóra była rozpalona od słońca.

Chwilę później znaleźli się na wąskim, targanym wiatrem cyplu.

Niedaleko jego końca konwój gwałtownie zwolnił i wjechał przez bramę na dziedziniec dużej, tonącej w światłach białej willi. Kiedy żelazna brama zamykała się za nimi automatycznie, Sara obejrzała się przez ramię. Przed oczyma śmignął jej motocykl prowadzony przez mężczyznę w szortach khaki i sandałach i zaraz zniknął.

Otworzyły się drzwi land cruisera. Wysiadła.

Stał w wejściu, obok blondynki w średnim wieku, i witał każdego członka wchodzącej na kamienne schody świty Ziziego.

Wysoki, miał szerokie kwadratowe ramiona pływaka, wąskie biodra i czarne, lekko kręcone włosy. Ubrany był w bladobłękitny pulower Lacoste i białe spodnie. Spuszczone rękawy swetra opadały na nadgarstki, prawa ręka tkwiła w kieszeni spodni. Zizi wziął Sarę pod ramię i dokonał prezentacji.

- To jest Sara Bancroft, nowy szef wydziału sztuki. Saro, to jest Alain al-Nasser. Alain kieruje jedną z naszych spółek kapitałowych w Montrealu.

- Miło cię poznać, Saro.

Płynny angielski, z nieznacznym obcym akcentem. Ręka twardo tkwiąca w kieszeni. Skinął głową w kierunku stojącej obok blondynki.

- Moja żona, Sophie.

- Bonsoir, Saro.

Kobieta podała jej dłoń. Sara ją uścisnęła, potem wyciągnęła rękę w kierunku Alaina al-Nassera, ale on szybko spojrzął w drugą stronę i ostentacyjnie zaczął się witać z ibn Talalem.

Sara weszła do środka. Willa była przestronna i widna, z jednym bokiem otwierającym się na zewnętrzny taras z widokiem na turkusowy basen, a za nim na pociemniałe morze. Stół zastawiony był przekąskami i napojami. Sara na próżno rozglądała się za butelką wina i w końcu musiała się zadowolić sokiem z papai.

Zabrała drinka na taras i usiadła. Wiatr tańczył wśród lamp gazowych i jej włosów. Wsadziła zbuntowane pasma za uszy i spojrzała w stronę willi. Alain al-Nasser zostawił Sophie w towarzystwie Jeana-Michela i konferował teraz z Zizim, Daoudem Hamzą i ibn Talalem. Sara sączyła sok. W ustach czuła papier ścierny. Serce waliło jej w piersiach jak oszalałe.

- Myślisz, że jest przystojny?

Uniosła głowę, przestraszona, i zobaczyła stojącą obok Nadię.

- Kto?

- Alain.

- O czym ty mówisz?

- Widziałam, jak mu się przyglądasz, Saro.

„Wymyśl coś szybko” - przebiegło jej przez głowę.

- Patrzyłam na Jeana-Michela.

- Nie mów, że serio to rozważasz?

- Romanse w pracy zawsze oznaczają kłopoty.

- Ale jest piękny, prawda?

- Bardzo - przyznała Sara. - Tylko kłopotliwy.

- Jak oni wszyscy.

- Dobrze znasz Alaina?

- Trochę - powiedziała. - Pracuję dla ojca od jakichś trzech lat.

- Chyba nie jest Saudyjczykiem?

- My nie nadajemy takich imion jak Alain. To Libańczyk. Wychowany we Francji, jak sądzę.

- A teraz mieszka w Montrealu?

- Chyba tak. - Twarz Nadii sponęniała. - Najlepiej nie zadawać zbyt wielu pytań o interesy ojca ani o ludzi, którzy dla niego pracują. Ojciec tego nie lubi.

Odeszła i usiadła przy Rahimie. Sara zapatrzyła się w morze na światła przepływającej łodzi.

„Wiemy, że ukrywa się gdzieś w imperium Ziziego. Może pojawić się jako bankier inwestycyjny albo doradca. Może pojawić się jako deweloper albo dyrektor firmy farmaceutycznej”.

Albo prezes spółki kapitałowej nazwiskiem Alain al-Nasser.

Alain, który jest Libańczykiem, ale wychowanym we Francji, jak sądzę. Alain z okrągłą twarzą, która nie całkiem pasuje do jego ciała, ale śladowo przypomina tę pokazaną mi w Surrey, w wiejskim domu, który nie istnieje. Alain, który właśnie udaje się do ustronnego pokoju na prywatną rozmowę z prezesem i dyrektorem naczelnym Dżihad Spółka z o.o. Alain, który nie uścisnął ręki Sary. Czy tylko dlatego, że boi się skalać dotykiem niewiernej?

A może dlatego, że jego dłoń jest nieco niesprawna na skutek obrażeń od szrapnela, którym dostał w Afganistanie?

„W sytuacji takiej jak ta najlepsze są wyjścia najprostsze. Zrobimy to po staremu. Szyfry telefoniczne. Fizyczne znaki sygnalizacyjne.

- Fizyczne znaki sygnalizacyjne?

- Zegarek na lewej dłoni, zegarek na prawej dłoni. Kołnierz płaszcz postawiony, kołnierz opuszczony. Torebka w prawej dłoni, torebka w lewej dłoni.
 - Złożona gazeta wciśnięta pod ramię?
 - Zdziwiłabyś się. Ja osobiście zawsze wołałem włosy.
 - Włosy?
 - Jak lubisz je nosić, Saro?
 - Rozpuszczone, na ogół.
 - Masz bardzo ładne kości policzkowe. Pełną wdzięku szyję. Powinnaś się zastanowić czy nie nosić ich od czasu od czasu wysoko upiętych. Jak Marguerite.
 - Zbyt staromodnie.
 - Niektóre rzeczy nigdy nie wychodzą z mody. Upnij włosy teraz dla mnie”.
- Sięgnęła do torebki po klamrę, którą dostała od Chiary ostatniego dnia w galerii, i zrobiła, o co prosił Gabriel.
- „- Wyglądasz bardzo pięknie z upiętymi włosami. To będzie nasz sygnał, jeśli zobaczysz mężczyznę, który twoim zdaniem może być ibn Shafikiem.
- A co się wtedy stanie?
 - Zostaw to nam, Saro”.

25

Gustavia, Wyspa Świętego Bartłomieja

Tej nocy, po raz pierwszy od wejścia na pokład „Aleksandry”, Sara nie spała. Leżała w wielkim łóżu, zmuszając się do bezruchu, tak by ibn Talal, jeśli obserwował ją za pomocą ukrytych kamer, nie podejrzewał jej o nieczyste sumienie. Na krótko przed szóstą niebo zaczęło się przejaśniać, a nad horyzontem pojawiła się czerwona plama. Poczekała jeszcze pół godziny, zanim zamówiła kawę. Kiedy przyniesiono tacę, Sarę męczył przeszywający ból głowy.

Wyszła na pokład słoneczny i stanęła przy barierce z wzrokiem wbitym w wolno wznoszące się nad portem słońce, myślami krążąc wokół Alaina al-Nassera z Montrealu. Spędzili w jego willi nieco ponad godzinę, potem pojechali do Gustaw na obiad. Zizi zarezerwował restaurację na skraju portu pod wdzięcznym szyldem La Vela. Alain al-Nasser nie pojechał z nimi. Jego nazwisko nie padło w trakcie całego posiłku, przynajmniej nie w zasięgu słuchu Sary.

Gdy podawano deser, jakiś mężczyzna, który mógł być Elim Lavonem, przeszedł obok restauracji. Sara spuściła wzrok na serwetkę, żeby otrzeć usta, a kiedy go podniosła, mężczyzny już nie było.

Teraz poczuła gwałtowną potrzebę ruchu i postanowiła pójść na salę gimnastyczną, zanim Zizi obejmie ją we władanie. Naciągnęła na siebie parę spandeksowych szortów, koszulkę bez rękawów i buty do biegania, potem weszła do łazienki i stojąc przed lustrem, wysoko upięła włosy. Sala gimnastyczna, kiedy do niej dotarła, pogrążona była w ciszy. Sara spodziewała się, że zastanie ją pustą, ale zobaczyła Jeana-Michela schylonego nad jednym z przyrządów i pracującego nad bicepsami. Przywitała go chłodno i weszła na bieżnię.

- Idę na wyspę na prawdziwy jogging. Chcesz dołączyć?
- A co z treningiem Ziziego?
- Mówi, że bolą go plecy.
- Coś mi się zdaje, że nie bardzo w to wierzysz.

- Zawsze bolą go plecy, kiedy chce sobie zrobić dzień przerwy. - Skończył zestaw swoich ćwiczeń i wytarł ręcznikiem lśniące ramiona. - Chodźmy, zanim zrobi się zbyt ludno.

Wsiedli na motorówkę i ruszyli w stronę portu. Nie było jeszcze wiatru ani fali. Jean-Michel przycumował w publicznym doku, w pobliżu pustej kawiarni, która właśnie otwierała podwoje i zaczynała serwować śniadanie. Rozciągali się przez kilka minut na pomoście, potem ruszyli spokojnymi uliczkami starego miasta.

Jean-Michel biegł bez wysiłku u jej boku. Kiedy zaczęli kręty bieg pod górę po wzgórzach za portem, Sara została kilka kroków z tyłu. Wyprzedził ją jakiś motocykl, kierowany przez dziewczynę w kasku, o kształtnych biodrach opiętych niebieskimi dżinsami.

Sara zmusiła się do większego wysiłku i dogoniła Jeana-Michela. Na szczycie wzgórza przystanęła, łapiąc oddech, podczas gdy Jean-Michel truchtał lekko w miejscu.

- O co chodzi?

- Przytyłam z pięć kilogramów w trakcie tej wycieczki.

- Już się kończy.

- Jak długo jeszcze tu zabawimy?

- Jeszcze dwa dni na Świętym Bartłomieju. - Ściągnął usta w typowo francuski sposób. - Może trzy. Widzę, że Zizi chciałby już wyjechać.

Właśnie wtedy pierwszy poranny samolot przeleciał im nisko nad głowami i zanurkował po drugiej stronie wzgórz w kierunku pasa startowego poniżej. Bez żadnego ostrzeżenia Jean-Michel ruszył drogą jego śladem. Przebiegli obok lotniska i głównego centrum handlowego wyspy, pokonali zakręt i skierowali się w stronę miasteczka Saint-Jean. Zaczęły pojawiać się pierwsze samochody, dwa razy musieli odsłaniać na piaszczyste pobocze, żeby uniknąć spotkania z nadjeżdżającymi ciężarówkami. Jean - Michel poprowadził ją przez wyrwę w kamiennym murze na skraju drogi, a potem w dół piaszczystą ścieżką na plażę.

- Lepiej jak pobiegamy tutaj - oznajmił. - Chcę zrobić kilka szybkich rundek. Myślisz, że uda ci się nie wpaść w tym czasie w tarapaty?

- Skąd wiesz, że nie dotrzymam ci kroku?

Przyspieszył. Sara nadążała za nim z wielkim trudem.

- Zaraz zaczynamy rundkę - powiedział. - Gotowa?

- Myślałam, że to była rundka.

Jean-Michel rzucił się do przodu. Sara, wyczerpana bezsennością, zwolniła do truchtu, upajając się tym, że po raz pierwszy od czasu wejścia do obozu Ziziego była sama. Nie trwało to długo. Po dwóch minutach Jean-Michel już pędził z powrotem w jej kierunku z rękoma pracującymi niczym tłoki. Sara odwróciła się i znowu zaczęła biec. Jean-Michel wyprzedził ją i zwolnił kroku.

- Umieram z głodu - westchnęła. - Może czas na śniadanie?

- Najpierw skończmy biegać. Potem zjemy coś w tej kafejce niedaleko motorówki.

Dwadzieścia minut zajęło im pokonanie odległości dzielącej ich od portu. Kafejka zaczynała powoli zapełniać się ludźmi, ale Jean - Michel znalazł pusty stolik w cieniu na zewnątrz i usiadł. Sara studiowała przez chwilę kartę dań, potem przeniosła wzrok na butik z męską konfekcją naprzeciwko. Na wystawie widniały ręcznie szyte francuskie koszule frakowe z bawełny wyglądającej na bardzo kosztowną. Zamknęła menu i popatrzyła na Jeana - Michela.

- Powinam kupić Ziziemu jakiś prezent w ramach podziękowania.

- On nie potrzebuje prezentów. To człowiek, który naprawdę ma wszystko.

- Ale powinam mu coś podarować. Był dla mnie bardzo hojny.

- Nie wątpię.

Dotknęła ramienia Jeana-Michela i wskazała na butik.

- Ostatnia rzecz na ziemi, jakiej mu trzeba, to kolejna koszula - zaśmiał się.

- Ale te są bardzo ładne.

Jean-Michel skinął głową.

- Francuskie - powiedział. - Ciągle jeszcze umiemy zrobić porządnie parę rzeczy.

- Daj mi swoją kartę kredytową.

- To firmowa karta AAB.

- Zwrócę pieniądze.

Wyciągnął kartę z kieszeni szortów do biegania i podał jej.

- Nie zwracaj sobie głowy oddawaniem. Zaufaj mi, Saro, nie będziesz pierwszą osobą, która kupuje Ziziemu prezent za jego własne pieniądze.

- Jaki rozmiar nosi?

- Kołnierzyk: czterdzieści dwa, rękaw osiemdziesiąt trzy.

- Imponujące.

- Jestem jego osobistym trenerem.

Powiedziała Jeanowi-Michelowi, co chciałaby zjeść na śniadanie: tartin, jajecznicą, i cafe au lait, po czym poszła do butiku.

Stała na zewnątrz przez chwilę, oglądając koszule na wystawie, potem wślizgnęła się do środka. Powitała ją po francusku atrakcyjna młoda kobieta z krótkimi blond włosami. Sara wybrała dwie koszule, jedną ciemnoniebieską, drugą bladożółtą, i podała ekspedientce wymiary Ziziego. Kobieta zniknęła na zapleczu i chwilę później pojawiła się z koszulami.

- Można je zapakować w jakieś ozdobne pudełko?

- Oczywiście, madame.

Wyciągnęła jedno spod lady, potem ostrożnie zawinęła koszule w bibułę i włożyła je do środka.

- A mają państwo jakieś karty biletowe? - spytała Sara. - W kopercie?

Raz jeszcze ekspedientka sięgnęła pod ladę. Położyła przed Sarą elegancki kartonik i wręczyła jej pióro.

- Jak będzie pani płacić, madame?

Sara podała jej kartę kredytową. Kiedy sprzedawczyni zajęła się transakcją, Sara pochyliła się nad bilecikiem i napisała: „Alain al-Nasser; Montreal”. Potem wsadziła kartę do koperty, pośliniła pokryty warstwą kleju brzeg i mocno przycisnęła. Sprzedawczyni położyła na ladzie paragon transakcji. Sara podpisała go, potem podała kobiecie pióro razem z zaklejoną kopertą.

- Nie rozumiem, madame.

- Jeszcze tego ranka przyjdzie tutaj jeden z moich przyjaciół sprawdzić, czy czegoś nie zapomniałam - powiedziała Sara.

- Proszę przekazać mu tę kopertę. Zostanie pani hojnie wynagrodzona. Zależy mi bardzo na dyskrecji. Czy pani mnie rozumie, madame?

- Oczywiście - uśmiechnęła się do Sary figlarnie, potem popatrzyła na Jeana-Michela siedzącego w kafejce. - Pani sekret jest u mnie bezpieczny.

Wsadziła pudło z koszulami do papierowej torby i wręczyła ją Sarze. Sara puściła do niej oko, wyszła i wróciła do stolika. Śniadanie już na nią czekało.

- Jakież problemy? - spytał Jean-Michel.

Potrząsnęła głową i oddała mu kartę kredytową.

- Nie - powiedziała. - Żadnych.

*

Pół godziny później wsiedli na motorówkę i wrócili na „Aleksandrę”. Gabriel odczekał jeszcze piętnaście minut, zanim wszedł do butiku. Odebrał kopertę od ekspedientki i dał jej za tę fatygę sto euro. Pięć minut później siedział przy sterze zodiaka i wypływał z wewnętrznego portu w stronę kotwiczowiska.

„Aleksandra” znajdowała się na wprost niego i z pewnością była największym jachtem w porcie, rozmiarami ustępującym jedynie statkowi rejsowemu, który przyplłynął w nocy. Gabriel skręcił kilka stopni na bakburtę i skierował się na „Słoneczną Tancerkę”, która stała zakotwiczona kilkaset metrów dalej, w pobliżu bliźniaczej pary skał, pilnujących wejścia do portu. Przycumował zodiaka przy rufie i wszedł do głównej kabiny, przekształconej w ruchome centrum dowodzenia. Mieli tu do dyspozycji satelitarne łącza telefoniczne i komputerowe z bulwarem Króla Saula. Dwa tuziny komórek i kilka krótkofalówek stało rządkiem podłączone do ładowarek, a wideokamera z teleobiektywem skierowana była na „Aleksandrę”.

Gabriel stanął przed monitorem i patrzył, jak Sara wychodzi na swój prywatny pokład słoneczny. Potem spojrział na Jakowa, który rozmawiał z Tel Awiwem. Kiedy rozłączył się chwilę później, Gabriel wyciągnął bilecik. „Alain al-Nasser; Montreal”.

- Zuch dziewczyna - powiedział Jakow. - Klapnij sobie, Gabrielu. Bulwar Króla Saula ma dzisiaj urwanie głowy.

Gabriel nalał do kubka kawy z termosu i usiadł.

- Dziś rano techniczni włamali się do systemu rezerwacji firmy wynajmującej wille - raportował Jakow. - Ta, w której Sara była wczoraj wieczorem, została wynajęta przez Meridian Construction, firmę z Montrealu.

- Meridian Construction jest w całości kontrolowana przez AAB - dorzucił Lavon.

- Czy w rezerwacji była mowa o tym, kto się zatrzyma w willi? - spytał Gabriel.

Jakow pokręcił głową.

- Rezerwacją zajmowała się jakaś kobieta z siedziby Meridian, niejaka Katrine Devereaux. Zapłaciła za wszystko z góry i poleciła firmie wynajmującej przygotować dom na jego przyjazd.

- Kiedy się tam zjawił?

- Trzy dni temu, tak przynajmniej wynika z dokumentów.

- Jak długo ma jeszcze zostać?

- Rezerwacja opiewa na cztery noce.

- A co z jego samochodem?

- Przed domem stoi jakiś kabriolet. Nalepka na tyle wskazuje na wypożyczalnię Island Rental Cars. Nie mają elektronicznego systemu rezerwacji. Wszystko na papierze. Jeśli chcecie konkretnych danych, będziemy musieli włamać się po staroświecku.

Gabriel spojrział na Mordechaja, który przeszedł szkolenie w zespole neviot.

- Mają biuro na lotnisku - powiedział Mordechaj. - Zwykłą budkę z opuszczanymi aluminiowymi żaluzjami na okna i jednym wejściem. Dostalibyśmy się do środka w ciągu kilku sekund. Problem w tym, że samo lotnisko jest strzeżone nocą. Moglibyśmy pogrzebać całą operację tylko po to, żeby ustalić dane i numer kary kredytowej, którymi się posłużył do wynajęcia samochodu.

- Zbyt ryzykowne - przyznał Gabriel. - Jakiś ruch na łączach telefonicznych?

Mordechaj umieścił w nocy nadajnik w puszcze przyłączowej.

- Jedna rozmowa dziś rano - oznajmił. - Kobieta. Zadzwoiła do salonu fryzjerskiego w Saint-Jean i umówiła się na dzisiejsze popołudnie.

- Jak się przedstawiła?

- Madame al-Nasser - stwierdził Mordechaj. - Jest mały problem z tym podsłuchem. Jak

się okazuje, znajdujemy się na samym końcu zasięgu. Sygnał jest słaby i pełen szumów. Jeśli nawet ibn Shafik odebrałby teraz telefon, moglibyśmy nie dać rady przeprowadzić identyfikacji głosowej z powodu zakłóceń na linii. Potrzebujemy lepszego stanowiska odsłuchu.

Gabriel spojrział na Jakowa.

- A gdybyśmy podpłynęli jachtem?

- Wody w tamtym miejscu są zbyt niespokojne, żeby służyć za kotwiczowisko. Gdybyśmy się tam zatrzymali, żeby obserwować willę, rzucalibyśmy się w oczy jak wrzód na tyłku. Równie dobrze możemy pójść do frontowych drzwi al-Nassera i przedstawić się z pełnymi honorami.

- To nie taki zły pomysł. - Michaił wszedł do kabiny. - Zgłaszam się na ochotnika.

- Potrzebny nam stacjonarny odsłuch - powiedział Jakow.

- Więc zdobędziemy taki. - Gabriel wyciągnął ponownie bilecik od Sary. - A co z tym nazwiskiem? Mówi wam coś?

- Nigdy wcześniej się nim nie posługiwał - oznajmił Jakow.

- Powiem, żeby bulwar Króla Saula przepuścił je przez komputery, zobaczymy, co nam to da.

- A co teraz? - spytał Michaił.

- Będziemy go obserwować przez jeden dzień - zaproponował Gabriel. - Spróbujemy zdobyć zdjęcie i nagranie głosu. Jeśli nam się uda, wyślemy je do analizy na bulwar Króla Saula.

- To mała wyspa - zauważył Lavon ostrzegawczo. - A my mamy ograniczoną liczbę ludzi.

- To może działać na naszą korzyść. W miejscach takich jak to nikogo nie dziwi, że człowiek codziennie natyka się na te same twarze.

- Zgoda - przyznał Lavon - ale psy ibn Talala zrobią się nerwowe, jeśli będą się natykać na zbyt wiele znajomych twarzy.

- A jeśli bulwar Króla Saula potwierdzi, że Alain al-Nasser z Montrealu to naprawdę saudyjski oficer GID nazwiskiem Ahmed ibn Shafik? - spytał Michaił. - Co wtedy?

Gabriel zerknął na monitor i wbił wzrok w postać Sary.

- Wracam do Gustavii - powiedział, ciągle gapiąc się na ekran. - Potrzebne nam stanowisko odsłuchowe.

*

Kulturalna Angielka, która powitała go kwadrans później w agencji wynajmu willi Sibarth, miała brązowe rozjaśnione słońcem włosy i jasnoniebieskie oczy. Gabriel wskoczył w skórę niejakiego Heinricha Kievera, zamożnego Niemca, który przypadkiem trafił do rajy i miał chęć zabawić w nim jeszcze troszeczkę. Angielka uśmiechnęła się - słyszała już masę takich historii - i wydrukowała listę dostępnych nieruchomości. Gabriel przestudiował ją i zmarszczył czoło.

- Miałem nadzieję dostać coś w tej okolicy. - Postukał palcem w rozłożoną na stole mapę. - Na tym cypelku z północnej strony wyspy.

- Pointe Milou? Tak, tam jest uroczo, ale niestety, w chwili obecnej nie mamy niczego wolnego w tamtym rejonie. Mamy za to coś tutaj. - Również postukała w mapę. - Cypelek wyżej. Pointe Mangin.

- Widać stamtąd Pointe Milou?

- Tak, całkiem dobrze. Chciałby pan zobaczyć kilka zdjęć?

- Proszę.

Kobieta wyciągnęła folder i otworzyła na właściwej stronie.

- Ma cztery sypialnie, Herr Kiever. Ale pan chyba nie szuka czegoś aż tak dużego?

- Prawdę rzekłszy, możemy mieć gości.

- W takim razie podejrzewam, że ten dom nada się wyśmienicie. Jest nieco kosztowny, dwanaście tysięcy na tydzień, i niestety, najkrótszy okres umowy opiewa na dwa tygodnie.

Gabriel wzruszył ramionami, jakby sygnalizując, że pieniądze nie stanowią przeszkody.

- Żadnych dzieci i bezwzględnie żadnych zwierząt. Nie mają chyba państwo psa?

- Uchowaj Boże.

- Jest także kaucja w wysokości dwóch tysięcy dolarów, co zamyka nam całość sumą dwudziestu sześciu tysięcy, płatnych z góry, naturalnie.

- Kiedy możemy się wprowadzić?

Spojrzała na zegarek.

- Teraz jest kwadrans po jedenastej. Jeśli się pospieszymy, uda nam się chyba zainstalować pana i szanowną małżonkę przed - góra - jedenastą trzydzieści.

Gabriel uśmiechnął się i wręczył jej kartę kredytową.

Angielka nie podejrzewała nawet, że pierwsi goście przybyli do willi państwa Kieverów już piętnaście minut po rozlokowaniu się w niej Gabriela i Diny. Ich bagaże nie przypominały tobołów zwykłych turystów przyjeżdżających na wyspę. Mordechaj przyniósł ze sobą uruchamiany głośno odbiornik i aparat Nikon z długim obiektywem, Michał zjawił się z nylonowym plecakiem zawierającym telefony komórkowe, krótkofalówki i cztery pistolety.

Godzinę później po raz pierwszy ujrzeli swoją zwierzynę, kiedy wyszła na taras, ubrana w białe szorty i takąż koszulę z długimi rękawami. Mordechaj zrobił kilka zdjęć. Pięć minut później, kiedy al-Nasser wynurzył się z gołym torsem z basenu po energicznej rundce pływania, pstryknął jeszcze kilka. Gabriel zbadał fotografie na ekranie komputera, ale uznał, że nie nadają się do wysłania na bulwar Króla Saula do analizy.

O trzynastej światło z uruchamianego głośno rejestratora zmieniło się z czerwonego na zielone. Na linii pojawił się sygnał telefoniczny, po którym słychać było, jak ktoś w domu wykręca lokalny numer. Po dwóch dzwonekach telefon odebrała pracownica restauracji La Gloriette. Gabriel rozczarowany przymknął oczy, kiedy zaraz potem usłyszeli głos madame al-Nasser, proszącej o zarezerwowanie stolika na godzinę czternastą. Przelotnie rozważał, czy nie umieścić w restauracji zespołu, ale uzyskawszy opis tłocznej sali jadalnej przy plaży, odrzucił ten pomysł. Mordechaj zdołał pstryknąć jeszcze dwa zdjęcia al-Nasserowi, jedno, kiedy Saudyjczyk wysiadał z samochodu na parkingu, i drugie, kiedy sączył drinka przy stoliku. Na obu miał na sobie ciemne sportowe okulary przeciwsłoneczne i koszulę z długim rękawem.

Gabriel przekazał je na bulwar Króla Saula do analizy. Godzinę później, kiedy państwo al-Nasser opuszczali restaurację, bezpiecznym łączem z Tel Awiwu nadeszła odpowiedź, że wyniki nie są rozstrzygające.

O piętnastej trzydzieści po wyjściu z La Gloriette obserwowani udali się do Saint-Jean, gdzie al-Nasser zostawił małżonkę w salonie fryzjerskim. Stamtąd pojechał do Gustavii, wszedł na pokład motorówki i popłynął na „Aleksandrę”. Josi z mostka „Słonecznej Tancerki” utrwalił scenę jego przybycia razem z ciepłym powitaniem ze strony Ziziego, który zaraz potem zaprowadził gościa do apartamentów biurowych na górze na rozmowę na osobności.

Sara nie widziała przybycia al-Nassera - nie było jej na pokładzie, ponieważ w tym czasie, podobnie jak większość świty Ziziego, nurkowała przy Ile Fourche, małej bezludnej wysepce jakieś półtora kilometra na północny wschód od Świętego Bartłomieja.

Spotkanie trwało nieco ponad godzinę. Josi nagrał al-Nassera wychodzącego z gabinetu Ziziego z nader zaciętą miną i wsiadającego na pokład motorówki, która zabrała go z powrotem do Gustavii. Michał śledził go potem w drodze do Saint-Jean, skąd odebrał swoją świeżo u fryzowaną lepszą połowę krótko po osiemnastej. O wpół do siódmej Libańczyk znowu pływał w swoim basenie, a Michał siedział z posepną miną obok Gabriela w willi po drugiej stronie

zatoczki.

- Uganiamy się za nim przez cały dzień - powiedział. - I co nam to dało? Kilka bezużytecznych fotek. Alain al-Nasser to ewidentnie ibn Shafik. Załatwmy go i miejmy to już z głowy.

Gabriel rzucił mu lekceważące spojrzenie.

- Za jakiś czas, kiedy będziesz nieco starszy i kapkę mądrzejszy, opowiem ci, jak pewnej nocy zespół z Biura myślał, że ma już właściwy cel na widelcu, i zabił przez pomyłkę niewinnego kelnera.

- Znam tę historię, Gabrielu, wydarzyła się w Lillehammer. W Biurze ciągle nazywacie to Leyl-ha-Mar. Nocą Goryczy. Ale to było dawno temu.

- To największy błąd operacyjny w dziejach Biura. Zabili niewłaściwego człowieka i jeszcze dali się złapać na gorącym uczynku. Złamali wszystkie zasady. Działali pospiesznie i pozwolili, żeby emocje wzięły nad nimi górę. Zaszliśmy za daleko, żeby sobie pozwolić na kolejną Leyl-ha-Mar. Najpierw musimy mieć dowód - niepodważalny, niezbity dowód - że Alain al-Nasser to Ahmed ibn Shafik. Tylko wtedy możemy zacząć mówić o jego likwidacji. A na spust naciśniemy dopiero, kiedy będziemy mogli bezpiecznie ewakuować stąd Sarę i cały zespół, nie ryzykując wpadki.

- Jak zdobędziemy ten dowód?

- Same zdjęcia nie wystarczą - powiedział Gabriel. - Potrzebujemy jego głosu.

- On nie mówi.

- Każdy mówi. Musimy tylko sprawić, by się odezwał, kiedy będziemy słuchać.

- A jak to zrobimy?

Właśnie w tej chwili na rejestratorze rozbłysło zielone światelko i w głośnikach rozległ się terkot wykręcania numeru. Rozmowa madame al-Nasser trwała niecałe pół minuty. Kiedy dobiegła końca, Gabriel odsłuchał ją raz jeszcze, żeby upewnić się, iż dobrze zapamiętał wszystkie szczegóły.

- „Le Poivre.

- Chcielibyśmy zarezerwować stolik dla dwóch osób na dziewiątą.

- Mamy już komplet na tę godzinę, madame. Proponuję dwudziestą albo dwudziestą pierwszą trzydzieści.

- Dwudziesta to za wcześnie. Niech będzie dziewiąta trzydzieści.

- Pani godność?

- Al-Nasser”.

Gabriel nacisnął STOP i popatrzył na Michała.

- Cierpliwości, mój chłopcze. Kto czeka, temu będzie dane.

*

Restauracja znana jako Le Poivre to jeden z nieodkrytych klejnotów wyspy. Mieści się w najdalszym zakątku przyjemnego ryneczku w Saint-Jean, przy skrzyżowaniu głównej drogi nadbrzeżnej i wąskiego traktu biegnącego okalającymi plażę wzgórzami.

Nie może się poszczycić specjalną atmosferą ani pięknym widokiem, poza tym na parking i ruch uliczny. Jadalnia ma rozmiar przeciętnego patio w dzielnicy podmiejskiej. Obsługa jest czasem cokolwiek ospała i apatyczna, ale za to jedzenie, kiedy wreszcie przybywa, zawsze należy do najlepszych w okolicy. Jednak, z uwagi na nieciekawe położenie lokalu, ci, którzy przyjeżdżają na Wyspę Świętego Bartłomieja, żeby się pokazać, rzadko bywają w Le Poivre, i nieczęsto wydarza się tam coś godnego uwagi. To właśnie dlatego ciągle mówi się o pewnym incydencie, do którego doszło tam z udziałem monsieur i madame al-Nasserów.

Personel świetnie zna tę historię, podobnie jak miejscowi popijający przy maciupkim barze. Popołudniami, podczas spokojnego okresu między lunchem a wieczorną gorączką, często wracają do niej przy szklaneczce rose albo espresso i papierosie. Rezerwacja była na dwudziestą pierwszą trzydzieści, ale para pojawiła się nieco przed czasem. Odette, hostessa pełniąca dyżur tamtego wieczora, pamięta, że zegar wskazywał dziewiątą piętnaście, Etienne, barman, utrzymuje stanowczo, że dwadzieścia po dziewiątej. Nie było jeszcze wolnych stolików, więc musieli czekać przy barze. Drinkami zajął się, rzecz jasna, Etienne. Kieliszek szampana dla madame al-Nasser.

Sok z ananasa dla dżentelmena.

- Coś mocniejszego? - spytał Etienne, ale jegomość tylko uśmiechnął się pozbawionym wdzięku uśmiechem i głosem niewiele donośniejszym od szeptu powiedział:

- Tylko sok.

Stolik zwolnił się niedługo po wpół do dziesiątej. Tutaj znowu pojawiają się rozbieżności. Denise, kelnerka, upiera się przy dziewiątej czterdzieści, ale Odette, która pilnowała rezerwacji i kontrolowała zegarek, przysięga, że była góra dziewiąta trzydzieści pięć.

Niezależnie od czasu, stolik nie przypadł do gustu państwu al-Nasser. Madame utyskiwała, że stoi zbyt blisko wejścia do toalety, ale odnosiło się wrażenie, że monsieur al-Nasser kręci nosem z innego powodu, choć nie wyraził głośno swoich zastrzeżeń.

Dochodziła prawie dwudziesta druga, kiedy zwolnił się inny stolik. Ten znajdował się przy balustradzie wychodzącej na ulicę.

Monsieur al-Nasser usiadł na krześle przodem do baru, ale Etienne pamięta, że wzrok miał wbity w samochody przejeżdżające na zewnątrz. Denise przedstawiła im wieczorne menu i przyjęła zamówienia na drinki. Madame zażyczyła sobie butelkę wina. Côtes du Rhône, mówi Denise. Bordeaux, upiera się Etienne. Jedyne kolor trunku nie wzbudza kontrowersji. Był czerwony, a duża jego część miała wkrótce wylądować na białym spodniom madame.

Katalizator incydentu pojawił się w Le Poivre kwadrans po dwudziestej drugiej. Był niewysokiego wzrostu i nieimponującej budowy. Etienne ocenił go na jakieś metr siedemdziesiąt pięć i góra sześćdziesiąt osiem kilogramów. Miał na sobie workowate szorty khaki, nieprane od jakiegoś już czasu, za duży szary T-shirt z rozdarciem na lewym rękawie, parę zapinanych na rzepy sandałów i mocno sponiewieraną bejsbolówkę, której najlepsze czasy już dawno minęły. Rzecz dziwna, nikt nie był w stanie przypomnieć sobie jego twarzy. Etienne zapamiętał parę niemodnych okularów. Odette nieprzystrzyżony wąsik, zupełnie niepasujący do reszty rysów. Denise pamięta tylko jego chód. Nogi miał lekko skrzywione, kształtem przypominające literę „o”, jak u facetów potrafiących bardzo szybko biegać lub bardzo dobrze grać w piłkę.

Nie przedstawił się im się z imienia, ale później zaczęli mówić o nim „Claude”. Przyjechał do Saint-Jean na motocyklu od strony Gustavii i większość wieczoru spędził, popijając heinekę w barze kilka domów dalej. Kiedy kwadrans po dziesiątej pojawił się w restauracji, szukając wolnego stolika, oddech cuchnął mu papierosami i chmielem, reszta ciała wydzielala woń nie lepszą. Odette wyjaśniła, że nie ma wolnych stolików - i że nie obsłużyłaby go, nawet gdyby się jakiś znalazł - a on wymamrotał coś niezrozumiałego i poprosił o klucz do toalety. Na co Odette odparła, że toaleta przeznaczona jest jedynie dla płacących gości. Wtedy popatrzył na Etienne i zażądał:

- Heineken.

Etienne postawił butelkę na stole, wzruszył ramionami w kierunku Odette i podał mu klucz do ubikacji.

Jak długo nieznajomy zabawił w jej środku, jest także kwestią sporną. Szacunki wahają się tu od dwóch minut do pięciu i rozniewane są najdziwniejsze teorie na temat tego, co naprawdę

tam robił.

Nieszczęsna para, której dostał się stolik wzgardzony przez madame i monsieur al-Nasserów, opisywała później, że sikał tak, jakby nie robił tego od wieków, a gdy skończył, rozległ się dźwięk spuszczonej wody i słychać było, jak cała jej masa wlewa się do sedesu. Kiedy wreszcie wyłonił się z przybytku, manipulował w okolicach rozporoka i uśmiechał się jak człowiek, któremu wielki ciężar spadł z serca.

Ruszył z powrotem w kierunku baru, z wzrokiem wbitym w czekającego tam heinekena. I wtedy rozpętała się burza.

Denise właśnie skończyła ponownie napełniać winem kieliszek madame al-Nasser. Madame uniosła go do ust, żeby skosztować, ale szybko opuściła z odrazą na widok Claude'a grzebiącego w kroczu. Pech chciał, że postawiła naczynie na stole i wypuściła z ręki, żeby nachylić się do przodu i powiedzieć monsieur al-Nasserowi o rozgrywającym się widowisku. Kiedy Claude przechodził chwiejnym krokiem obok ich stolika, przewrócił ręką kieliszek, wylewając jego zawartość na kolana madame al-Nasser.

Relacje z tego, co rozegrało się potem, różnią się od siebie w zależności od ich autora. Wszyscy są zgodni co do jednego: że Claude przedsięwziął coś, co wyglądało na próbę płynących ze szczerego serca przeprosin, i że to monsieur al-Nasser wybrał drogę eskalacji konfliktu. Z obydwu stron padły twarde słowa, podobnie jak i groźby czynnej przemocy. Cały incydent mógłby zakończyć się polubownie, gdyby Claude nie zaproponował pokrycia kosztów pralni chemicznej. Kiedy oferta została z gniewem odrzucona, sięgnął do kieszeni swoich brudnych szortów w kolorze khaki i rzucił kilka wymiętych banknotów euro w twarz monsieur al-Nassera. Denise zdołała uchylić się w samą porę, zanim monsieur al-Nasser chwycił Claude'a za gardło i zaczął pchać w kierunku wyjścia. Trzymał go tam przez chwilę, wykrzykując mu w twarz kolejne zniewagi, po czym zepchnął ze schodów na ulicę.

Rozległy się krótkie oklaski pozostałych klientów restauracji i znacznie dłuższe utyskiwania nad pożałowania godnym stanem garderoby madame al-Nasser. Tylko Etienne zawracał sobie jeszcze głowę rozpląszczoną na chodniku postacią. Pomógł biedakowi się podnieść i, z poważnymi zastrzeżeniami, obserwował, jak wsiada na motocykl i chybotliwie odjeżdża ulicą nadbrzeżną. Do dziś Etienne żywi poważne wątpliwości co do autentyzmu wydarzeń tamtego wieczoru. Sam, legitymując się czarnym pasem w karate, dostrzegł coś w postawie pijaka, co powiedziało mu, że ma do czynienia z kolegą szkolonym w sztukach walki. Gdyby ów mały człowieczek w okularach i bejsbolówce zdecydował się stanąć do bójki, dowodzi Etienne z niezachwianą pewnością osoby, która zna się na rzeczy, z łatwością wyrwałby ramię monsieur al-Nassera z panewki stawu i podał mu je na kolację razem z jego Bordeaux.

- Nie żadne Bordeaux - obstaje przy swoim Denise - tylko Côtes du Rhône.
- Côtes du Rhône, Bordeaux, jeden pies. I powiem wam coś jeszcze. Kiedy ten mały nicpoń odjeżdżał, szczyrzył się od ucha do ucha. Jakby właśnie wygrał milion w totka.

*

Eli Lavon oglądał występ Gabriela z parkingu nieopodal, tak więc to on opisał go później tego wieczoru reszcie zespołu w willi.

Gabriel wolno przemierzał wyłożoną płytkami podłogę, sącząc wodę sodową na kaca i przykładając torebkę z lodem na opuchnięty lewy łokieć. Myśłami był przy scenie rozgrywającej się na drugim końcu świata w Tel Awiwie, gdzie zespół ekspertów od identyfikacji głosu właśnie decydował, czy człowiek znany jako Alain al-Nasser będzie żył, czy umrze. Gabriel wiedział, jaka padnie odpowiedź. Znał ją od chwili, kiedy jego zwierzyzna zerwała się od stołu niesiona morderczą wściekłością. A kilka sekund później zobaczył niezbite potwierdzenie, gdy udało mu

się unieść prawy rękaw koszuli zwierzyny i rzucić okiem na brzydką bliznę po szrapnelu na jej przedramieniu. O dwudziestej trzeciej trzydziści w domu po drugiej stronie zatoczki zapaliły się światła.

Gabriel wyszedł na taras, a w willi naprzeciwko Ahmed ibn Shafik zrobił to samo. Michał nie mógł się oprzeć wrażeniu, że tych dwóch gapi się na siebie nad ciemniejącą przepaścią. O dwudziestej trzeciej trzydziści pięć zadzwonił cicho telefon satelitarny.

Odebrał Jakow, słuchał przez chwilę w milczeniu, potem rozłączył się i zawołał Gabriela do środka.

26

Pointe Mangin, Wyspa Świętego Bartłomieja

Zebrali się w niezadaszonej bawialni i porzysiadali na kanapach z żaglowego płótna i wiklinowych krzesłach. Dina przygotowała pierwszy dzbanek kawy, Lavon rozwiesił na ścianie dużą mapę wyspy. Gabriel przez długi czas gapił się na nią w posępnym milczeniu. Kiedy wreszcie się odezwał, rzucił tylko jedno słowo:

- Zwaiter.

Potem popatrzył na Lavona.

- Pamiętasz Zwaitera, Eli?

Lavon uniósł brwi, ale nic nie powiedział. Oczywiście, że Lavon pamiętał Zwaitera, szefa Czarnego Września we Włoszech. Pierwszego, który poniósł karę za Monachium. Gabriel niemalże go widział jak na dłoni: chuderlawy intelektualista w kraciastej kurtce, przechodzący Piazza Annibaliano w Rzymie z butelką figowego wina w jednej ręce i egzemplarzem Księgi tysiąca i jednej nocy w drugiej.

- Jak długo go obserwowałeś, Eli? Dwa tygodnie?

- Prawie trzy.

- Powiedz, czego się dowiedziałeś o Wadalu Zwaiterze, zanim choćby powstało nam w głowie brać się do jego zabijania.

- Że codziennie wstępował do tego samego małego sklepiku. Że zawsze szedł do baru Trieste wykonać kilka telefonów i że zawsze wchodził do budynku, w którym mieściło się jego mieszkanie, wejściem C. Że światła na klatce schodowej były regulowane timerem i że zawsze stał przez chwilę w ciemnościach, szukając w kieszeniach dziesięciolirówki, żeby wezwać windę.

- Właśnie tam go zlikwidowałeś, prawda, Gabrielu? Przed windą.

- „Przepraszam, czy pan Wadal Zwaiter?”

- Nie, proszę, nie!”.

- A potem zniknąłeś - ciągnął Lavon. - Dwa samochody do ucieczki. Cały zespół osłaniający trasę. Rankiem siedziałeś już w Szwajcarii. Szamron powiedział, że to było jak zdmuchnięcie zapalki.

- Mieliśmy pod kontrolą każdy najdrobniejszy szczegół. Wybraliśmy czas i miejsce egzekucji i zaplanowaliśmy wszystko z aptekarską precyzją. Tamtej nocy spisaliśmy się na medal. Ale na tej wyspie nie możemy na to liczyć. - Gabriel popatrzył na mapę. - Najlepiej działa się nam w miastach, nie w miejscach takich jak to.

- Może i prawda - odezwała się Dina - ale nie wolno pozwolić mu wyjechać stąd żywym.

- Dlaczego nie?

- Bo na skinienie palcem ma do dyspozycji środki multimilionera. Bo w jednej chwili może uciec do Nadzid i zniknąć nam z oczu na zawsze.

- Takie rzeczy załatwia się lepiej lub gorzej. Ten sposób jest z pewnością fatalny.

- Nie bój się pociągnąć za spust z powodu tego, co stało się na Gare de Lyon, Gabrieli.

- To nie ma nic wspólnego z Paryżem. Mamy do odstrzału zawodowca, a do dyspozycji bardzo małe pole bitwy i bardzo ryzykowną drogę ucieczki. Plus nieprzewidywalną zmienną pod tytułem Sara Bancroft. Wymieniać dalej?

- Ale Dina ma rację - włączył się Josi. - Musimy zrobić to teraz. Później możemy już nigdy nie mieć okazji.

- Jedenaste przykazanie: i nigdy nie dasz się złapać. To nasza pierwsza powinność. Wszystko inne jest sprawą drugorzędną.

- Widziałeś go dziś na pokładzie jachtu Ziziego? - spytała Rimona. - Mamy raz jeszcze obejrzeć taśmę? Widziałeś jego minę, kiedy wychodził? Jak ci się wydaje, o czym rozmawiali w środku, Gabrieli? O inwestycjach? Próbował zabić mojego wujka. Musi umrzeć.

- Co zrobimy z kobietą? - spytał Josi.

- To współpracownica - rzekł Lavon. - Ewidentnie jest częścią siatki. Bo i dlaczegóż słyszymy tylko jej głos? Czy nie wydaje jej się nieco dziwne, że szanowny mąż nie odbiera telefonów?

- Więc ją zabijemy?

- Jeśli tego nie zrobimy, nigdy nie uda nam się wydostać z wyspy. Dina zaproponowała, by poddać całą operację pod głosowanie.

Jakow potrząsnął głową.

- Na wypadek gdybyś jeszcze nie zauważyła - powiedział - to nie jest demokracja. Gabriel popatrzył na Lavona. Tych dwóch przez chwilę mierzyło się wzrokiem, potem Lavon zamknął oczy i skinął głową.

*

Nie spali tej nocy. Rankiem Josi wypożyczył drugie suzuki vitara z napędem na cztery koła, a Rimona i Jakow motocykle Piaggio. Oded i Mordechaj udali się do sklepu ze sprzętem wodnym w Gustavii i kupili dwa zodiaki z przyczepnymi silnikami.

Dina spędziła większość dnia, wydzwanając do najbardziej ekskluzywnych restauracji na wyspie i próbując zarezerwować salę dla trzydziestu osób. O trzynastej trzydzięci dowiedziała się, że Le Tetou, modna restauracja na plaży w Saint-Jean, została już zarezerwowana na wieczór na prywatne przyjęcie i nie będzie otwarta dla zwykłych gości.

Gabriel pojechał do Saint-Jean, żeby samemu rzucić okiem.

Restauracja była odkrytą budowlą z pasami kolorowej tkaniny zwieszającymi się z sufitu i rozrywającą bębni w uszach muzyką dobywającą się z głośników. Pod spiczastą altaną stał jakiś tuzin stolików; kilka dodatkowych poustawiano na plaży. Znajdował się tam też mały barek i, jak w wielu restauracjach na wyspie, butik, w którym sprzedawano potwornie drogą damską odzież plażową. Była pora lunchu, personel związał się jak w ukropie, bose kelnerki, odziane tylko w bikini i sięgające łydek plażowe sukienki, biegały od stolika do stolika, roznosząc potrawy i napoje.

Z butiku wychynęła jakaś dziewczyna w kostiumie kąpielowym w koci wzorek i w kuszącej pozie stanęła przed Gabrielem. Kiedy nie zdradził oznak zachwyty, zmarszczyła brwi i przeniosła się do stolika dobrze wstawionych Amerykanów, którzy z zachwyty wyli.

Gabriel podszedł do baru, zamówił kieliszek rose i zaniósł go w pobliże butiku. Przebieralnie i toalety znajdowały się w wąskim, wychodzącym na parking korytarzyku. Gabriel

stał tam przez chwilę, odgrywając w myślach ruchy, obliczając potrzebny czas.

Potem przełknął połowę zawartości kieliszka i wyszedł.

Doskonale miejsce, pomyślał. Ale był pewien szkopał. Przechwycenie Sary przy stoliku nie wchodziło w grę. Ochroniarze Ziziego byli świetnie uzbrojeni i co do jednego rekrutowali się z byłych członków Saudyjskiej Gwardii Narodowej. Dziewczyna musiałaby udać się do przebieralni o z góry ustalonym czasie, skąd dałoby się ewakuować ją bez komplikacji. A żeby mogła to zrobić, musiałaby wcześniej dostać wiadomość. Gdy tylko oddalił się na motocyklu, zadzwonił do willi do Lavona i spytał, czy Sara jest na wyspie.

*

Restauracja na plaży Saline nie ma widoku na morze, tylko na wydmy i szerokie słone błota otoczone porośniętymi buszem zielonymi wzgórzami. Sara siedziała na pogrążonej w cieniu werandzie, z palcami owiniętymi dokoła nóżki wypełnionego zmrożonym rose kieliszka. Obok niej spoczywała Nadia, nowoczesna muzulmanka, pracując nad trzecim daiquiri i poprawiającym się z każdą chwilą humorem. Po drugiej stronie stołu Monique i Jean-Michel kłócili się po cichu. Oczy Francuza skryte były za ciemnymi panoramicznymi szklami, ale Sara widziała, że przygląda się badawczo młodej parze, która właśnie przyjechała na motocyklu i wchodziła teraz po schodach na werandę.

Mężczyzna był wysoki i szczupły, ubrany w sięgające kolan spodenki kąpielowe, japonki oraz bawełniany pulower. Jego angielska wymowa zdradzała oksfordzkie wykształcenie, podobnie jak wyniosły sposób, w jaki dopytywał się o wolny stolik. Dziewczyna mówiła z nieokreślonym europejskim akcentem; góra jej bikini była mokra po niedawnej kąpeli i sugestywnie oblepiała parę bujnych, opalonych piersi. Spytała hostesę, na tyle głośno, że słyszała to Sara i wszyscy inni goście w lokalu, gdzie mieści się toaleta, potem spokojnie wytrzymała spojrzenie Jeana-Michela, przechodząc obok ich stolika w turkusowej chuście zamotanej na rozłożystych biodrach.

Nadia przyssała się do swojego daiquiri, podczas gdy Monique patrzyła z ukosa na Jeana-Michela, jakby podejrzewając, że jego zainteresowanie dziewczyną wykracza poza zwykły zawodowy obowiązek. Dwie minuty później nieznajoma pojawiła się z powrotem. Szła, bawiąc się włosami i kołysząc swawolnie w rytm reggae płynącego ze stereo za barem. Doktryna Biura, pomyślała Sara. „Podczas akcji w miejscach publicznych, takich jak bary i restauracje, nie siedź cicho w rogu ani nie czytaj gazety. To sprawia, że natychmiast zaczynasz wyglądać na agenta. Zwracaj na siebie uwagę. Flirtuj. Zachowuj się głośno. Pij za dużo. Dobra sprzeczka też jest zawsze mile widziana”. Ale było coś jeszcze, co zauważyła Sara, a Jean-Michel na pewno nie. Rimona nie miała na sobie kolczyków, co oznaczało, że zostawiła dla niej wiadomość w toalecie.

Sara patrzyła, jak siada obok Josiego i warczy na niego, że nie chce się z nią napić. Nad wydmami zbierały się chmury, a w błotnych zaroślach zerwał się porywisty wiatr.

- Zanosi się na niezły sztorm - powiedział Jean-Michel i zamówił trzecią butelkę rose, żeby łatwiej go przetrwać. Nadia zapaliła papierosa, potem dała paczkę Monique, która poszła za jej przykładem. Sara odwróciła się, żeby popatrzeć na nadciągającą burzę. Myślała jednak tylko o czasie, zastanawiając się, ile powinno go minąć, zanim uda się do toalety. I co tam znajdzie.

Pięć minut później lunęło jak z cebra, a podmuch wiatru rzucił krople deszczu na jej plecy. Jean-Michel wezwał kelnerkę i polecił obniżyć markizę. Sara wstała, chwyciła swoją torbę plażową i ruszyła na tył restauracji.

- Dokąd cię niesie? - spytał Jean-Michel.

- Pijemy trzecią butelkę wina. Jak ci się zdaje, dokąd może mnie nieść?

Podniósł się i ruszył za nią.

- To bardzo troskliwie z twojej strony, ale naprawdę obejdę się bez pomocy. Radzę sobie sama z tymi sprawami od czasów dzieciństwa.

Wziął ją pod ramię i poprowadził do toalety. Drzwi były uchylone. Otworzył je na całą szerokość, rozejrzał się szybko dokoła, potem zrobił krok w bok i pozwolił wejść Sarze. Zamknęła drzwi, przesunęła zasuwkę, potem opuściła deskę wystarczająco głośno, by było to słychać na zewnątrz.

„Jest kilka miejsc, w których lubimy chować rzeczy - instruował ją kiedyś Gabriel. - Przyklejone do wnętrza zbiornika toaletowego albo w środku pojemnika z nakładkami na sedes. Kosze na śmieci też są dobre, zwłaszcza jeśli mają pokrywkę. Często zostawiamy wiadomości w pudełkach po tamponach, ponieważ odkryliśmy, że Arabowie, nawet zawodowcy, brzydzą się ich dotykać”.

Zajrzała pod umywalkę, zobaczyła aluminiowy kosz i nacisnęła nogą pedał. Kiedy pokrywka się uniosła, wypatrzyła opakowanie po tamponach, częściowo przykryte zmiętymi ręcznikami toaletowymi. Sięgnęła po nie. „Przeczytaj wiadomość szybko - uczył ją Gabriel. - Zapamiętaj szczegóły. Nigdy, ale to nigdy, nie zabieraj jej ze sobą. Lubimy korzystać z łatwopalnego papieru, więc jeśli będziesz miała zapalniczki albo zapałki, podpal go nad umywalką, a zniknie bez śladu. Jeśli nie, wrzuc do toalety i spuść wodę. W najgorszym wypadku włóż z powrotem w pudełko do kosza na śmieci. Usuniemy go po twoim wyjściu”.

Sara zajrzała do torby plażowej w poszukiwaniu zapalek. Zaczęła już je wyjmować, ale uznała, że to nie na jej nerwy, i po prostu podarła wiadomość na kawałeczki, po czym wrzuciła do toalety i spłukała. Stała chwilę przed lustrem, przyglądając się własnej twarzy, podczas gdy do umywalki lała się odkręcona woda. „Jesteś zwykłą Sarą Bancroft - powtarzała sobie. - Nie znasz kobiety, która zostawiła to pudełko po tamponach w koszu na śmieci. Nigdy wcześniej jej nie widziałas”.

Zakręciła kurki i wróciła na werandę. Woda w rynnach płynęła teraz strumieniami. Josi właśnie hałaśliwie odsyłał butelkę Sancerre, Rimona studiowała od niechcenia kartę dań, najwyraźniej uznając ją za mało interesującą. Jean-Michel przyglądał się Sarze idącej przez salę, tak jakby widział ją po raz pierwszy w życiu.

Usiadła i obserwowała burzę przetaczającą się po bagnach, wiedząc, że niedługo się skończy. „Jesz dziś wieczorem kolację w Le Tetou - brzmiała wiadomość. - Kiedy nas zobaczysz, udaj, że źle się poczułaś, i idź do łazienki. Nie przejmuj się, jeśli wyślą z tobą ochroniarza. Zajmiemy się nim”.

*

Teraz potrzebowali jeszcze tylko gościa honorowego. Nie widzieli go przez większość dnia. Gabriel zaczął się niepokoić, że ibn Shafikowi udało się jakoś niezauważenie wymknąć. Przelotnie rozważał nawet wykonanie telefonu do jego willi, żeby się upewnić, że ciągle jeszcze jest zamieszkana. Ale o jedenastej trzydzieści Libańczyk pojawił się na tarasie, gdzie, po swojej zwyczajowej porcji dziarskiego pływania, opalał się przez jakąś godzinkę.

O dwunastej trzydzieści wszedł z powrotem do środka. Kilka minut później ich oczom ukazał się biały kabriolet z opuszczonym dachem sunący podjazdem. Za kółkiem siedziała kobieta. Pojechała do delikatesów mięsnych w miasteczku Lorient, spędziła w środku jakieś dziesięć minut, potem wróciła do willi na Pointe Milou na lunch na świeżym powietrzu.

O piętnastej, kiedy po wybrzeżu przewalała się burza, kabriolet ponownie pojawił się na podjeździe, ale tym razem za kółkiem siedział ibn Shafik. Lavon wyruszył za nim na jednym z nowo nabytych skuterów, z Mordechajem i Odedem w charakterze dodatkowego wsparcia. Szybko stało się oczywiste, że Saudyjczyk sprawdza, czy nie jest śledzony, ponieważ darował

sobie zatłoczone drogi północnego wybrzeża i ruszył w kierunku skąpo zabudowanego wschodniego krańca wyspy. Jechał wzdłuż skalistego wybrzeża Toiny, potem skręcił w głąb lądu i popędził przez serię zaniedbanych wsi na trawiastych wzgórzach Grand Fond. Przy zjeździe na Lorient zatrzymał się na kilka sekund, ale wystarczająco długo, by Mordechaj musiał go wyprzedzić. Dwie minuty później przy skrzyżowaniu z drogą do Saint-Jean wykonał ten sam, sprawdzony manewr. Tym razem to Oded musiał zrezygnować z dalszej inwigilacji.

Lavon był przekonany, że celem podróży ibn Shafika jest Gustavia. Pospieszył do miasta inną drogą i czekał nieopodal hotelu Karol Gustaw, kiedy na wzgórzu od strony Lurin pojawił się kabriolet. Saudyjczyk zaparkował na końcu portu. Dziesięć minut później, raz jeszcze upewniwszy się - tym razem pieszo - że nie ma ogona, dołączył do ibn Talala w kafejce na nabrzeżu. Lavon zamówił sushi w restauracji znajdującej się nieco dalej i czekał.

Godzinę później wrócił do willi i oznajmił Gabrielowi, że mają problem.

- Dlaczego spotyka się z ibn Talalem? Ibn Talal to ochrona - ochrona Ziziego. Musimy wziąć pod uwagę możliwość, że Sara jest spalona. Działaliśmy od kilku dni w bezpośredniej bliskości. To mała wyspa. Wszyscy jesteśmy zawodowcami, ale... - Lavon urwał.

- Ale co?

- Ludzie Ziziego też są zawodowcami. Tak samo ibn Shafik. Prowadził dzisiaj ten samochód jak człowiek, który wie, że jest śledzony.

- To standardowe środki bezpieczeństwa. - Gabriel bez specjalnego entuzjazmu bawił się w adwokata diabła.

- Łatwo zauważyć różnicę między kimś, kto odważy się dla świętego spokoju, a kimś, kto jest przekonany, że ma ogona. Coś mi się zdaje, że ibn Shafik wie, że go obserwujemy.

- Więc co sugerujesz, Eli? Odwołać wszystko?

- Nie - powiedział Lavon. - Ale jeśli będziemy w stanie zająć się dziś w nocy tylko jednym celem, niech będzie nim Sara.

Dziesięć minut później. Zielone światło. Sygnał telefoniczny.

Odgłos wybierania numeru.

- „La Terrazza.

- Chciałabym zrobić rezerwację na dzisiejszy wieczór.

- Dla ilu osób?

- Dwóch.

- Na którą?

- Dwudziestą pierwszą.

- Będzie pani uprzejma poczekać chwilkę? Muszę sprawdzić grafik.

- Naturalnie.

- Czy kwadrans po dwudziestej pierwszej satysfakcjonowałby państwa?

- Naturalnie.

- Świetnie, w takim razie mamy rezerwację na dwie osoby, kwadrans po dziewiątej. Pani godność?

- Al-Nasser.

- Merci, madame. Au revoir”.

Trzask.

Gabriel podszedł do mapy.

- La Terrazza jest tutaj. - Stuknął palcem we wzgórze nad Saint-Jean. - Opuszczą willę nie wcześniej niż przed dziewiątą.

- Chyba że najpierw wybiorą się jeszcze gdzieś indziej - zauważył Lavon.

- Kolacja Ziziego zaczyna się o ósmej. To daje nam prawie godzinę, zanim będziemy

musieli przewieźć Sarę na miejsce ewakuacji.

- Chyba że Zizi się spóźni - Lavon znów miał zastrzeżenia.

Gabriel podszedł do okna i popatrzył na zatoczkę. Pogoda się popsowała i zapadał zmierzch. Morze zaczynało ciemnieć, na wzgórzach zapalały się światła.

- Zabijemy ich w willi - wewnątrz domu albo na podjeździe.

- Ich? - spytał Lavon.

- Tylko tak mamy szansę wydostać się z wyspy - stwierdził Gabriel. - Kobieta też musi umrzeć.

27

Port Gustavia, Wyspa Świętego Bartłomieja

W ciągu następnych dwóch godzin po oświadczeniu Gabriela miała miejsce relokacja sprzętu i ludzi, niezauważona właściwie przez spokojną miejscową ludność. Sara była świadkiem tylko jednego elementu przygotowań: siedziała na swoim prywatnym pokładzie, opatulona w biały szlafrok frotte, kiedy „Słoneczna Tancerka” podniosła kotwicę i odpłynęła cicho w mrok. Porywisty południowy wiatr już dawno zamarł i teraz tylko delikatna ciepła bryza owiewała jachty zakotwiczone u wejścia do portu.

Sara przymknęła oczy. Bolała ją głowa od słońca, a w ustach miała posmak niklu od zbyt dużej ilości rose. Uczepiła się tego złego samopoczucia. Pozwalało zająć myśli czymś jeszcze oprócz tego, co miało się zdarzyć. Zerknęła na zegarek, zegarek Harry’ego Winstona, który dostała od prezesa i dyrektora naczelnego Dżihad Spółki z o.o. Dziewiętnasta dwadzieścia. Była już prawie w domu.

Spojrzała w stronę rufy i zobaczyła, że sikorski stoi ciemny i nieruchomy. Dzisiaj płynęli na brzeg motorówką, odjazd przewidziano na dziewiętnastą czterdzieści pięć, zgodnie z ustaleniami poczynionymi przez Hassana, nader efektywnego szefa departamentu podróży Ziziego. „Tylko proszę się nie spóźnić, panno Saro, ostrzegł ją Hassan. Zizi zasugerował, żeby włożyła coś specjalnego.

Le Tetou to moja ulubiona restauracja na wyspie - powiedział.

- Zapowiada się wyjątkowa noc”.

Wietrzyk przybrał nieco na sile, a gdzieś z portu dochodził szcęk boi. Raz jeszcze zerknęła na zegarek; dziewiętnasta dwadzieścia dwie. Pozwoliła sobie odmalować oczyma wyobraźni scenę spotkania. Może zjedzą rodzinny obiad, taki jak te, które spożywali razem w Surrey, w wiejskim domu, którego nie ma.

A może okoliczności sprawią, że posiłek będzie nie na miejscu.

Ale niezależnie od tego, jak sprawy się potoczą, bardzo pragnęła znaleźć się już w ich objęciach. Kochała ich. Wszystkich. Kochała ich, ponieważ cały świat ich nienawidził. Kochała ich, ponieważ byli wyspą normalności na morzu szaleństwa i fanatyzmu i ponieważ bała się, że prąd historii zmyje ich kiedyś zupełnie z mapy świata, a ona chciała być ich częścią, nawet jeśli miałoby to trwać tylko chwilę. Kochała ich ukryty ból i ich łatwość radowania się, ich żądę życia i pogardę dla tych, którzy mordują niewinnych.

Życie każdego z nich miało jakiś cel i sens, a Sarze każde wydawało się małym cudem. Pomyślała o Dinie, okaleczonej, pokrytej bliznami, pięknej Dinie, najmłodszej z szóstki rodzeństwa: jedno dziecko za każdy milion pomordowanych. Jej ojciec, opowiedziała kiedyś

Sarze, był jedynym członkiem rodziny, który przeżył Holocaust. Po przyjeździe do Izraela przybrał nazwisko Sarid, co po hebrajsku oznacza ten, który się ostał, resztką, a ostatniej ze swoich pociech dał na imię Dina, co oznacza pomszczona. „Nazywam się Dina Sarid - powiedziała Sarze. - Pomszczona resztką”.

„A dziś w nocy - pomyślała Sara - walczymy razem”.

O siódmej trzydzieści jeszcze się nie ruszyła, nadal siedziała na pokładzie. Był powód tej zwłoki. Chciała mieć tylko kilka minut na ubranie się i przygotowanie do wyjścia, ponieważ dawało to mniej czasu na wysłanie niezaplanowanego sygnału, że nie zamierza wracać. „Nie zabieraj ze sobą niczego - pisała w wiadomości Rimona. - Zostaw kabinę w nieładzie”.

Więc siedziała na pokładzie przez kolejne pięć minut, zanim wreszcie wstała i weszła do pokoju. Pozwoliła, żeby szlafrok zsunął się jej z ramion i opadł na podłogę, potem szybko założyła majtki i biustonosz. Ubranie: luźne spodnium w kolorze szafranu, które poprzedniego dnia kupiła dla niej w Gustavii Nadia, leżało rozłożone na nieposłanym łóżku. Wciągnęła je szybko i poszła do toaletki w łazience. Wsunęła złotą bransoletę, ale resztę biżuterii podarowanej jej przez Ziziego zostawiła na blacie. Zastanawiając się, co zrobić z włosami, po raz pierwszy się zawahała. Upiąć czy zostawić rozpuszczone? Rozpuszczone, postanowiła. Pierwszy krok w stronę jej dawnego życia. Życia, które, jak ostrzegwał Gabriel, już nigdy nie będzie takie samo.

Wróciła do pokoju i po raz ostatni ogarnęła go wzrokiem. „Zostaw kabinę w nieładzie”. Misja wykonana. „Nie bierz niczego ze sobą”. Żadnej torebki, portfela, żadnych kart kredytowych czy pieniędzy, ale na co pieniądze członkowi świty Ziziego al-Bakariego. Wyszła na korytarz i zamknęła za sobą drzwi, pamiętając, by zamek zostawić otwarty. Potem ruszyła na rufę, gdzie czekały już motorówki. Rafik przekazał ją na pokład Jeanowi-Michelowi i została usadowiona pomiędzy dwoma Abdulami w tylnej części.

Naprzeciwko siedział Zizi, obok niego Nadia. Kiedy łódź ruszyła w stronę brzegu, w ciemnościach mierzyli ją badawczo wzrokiem.

- Szkoda, że nie założyłaś swoich pereł, Saro. Pięknie wyglądałyby z tym spodnium. Ale z przyjemnością widzę, że znowu rozpuściłaś włosy. Tak ci jest o wiele lepiej. Nie podobasz mi się z upiętymi wysoko. - Spojrzał na Nadię. - Nie sądzisz, że bardziej jej do twarzy w rozpuszczonych?

Zanim Nadia zdążyła odpowiedzieć, Hassan wcisnął Ziziemu w dłoń telefon komórkowy i wymamrotał po arabsku kilka słów takim tonem, jakby chodziło o coś potwornie pilnego. Sara popatrzyła w stronę wewnętrznego portu, gdzie na skraju przystani czekały cztery czarne toyoty land cruiser. Zebrała się też tam mała grupka gapiów, mających nadzieję przyjrzeć się z bliska znakomitości, która potrzebowała tak imponującej kawalkady samochodów na tak małej wyspie. Ciemnowłosa dziewczyna siedząca w altance pięćdziesiąt metrów dalej nie zwracała sobie głowy wypatrywaniem znakomitości. „Pomszczona resztką” patrzyła w przestrzeń, myśli najwyraźniej mając zaprzątnięte poważniejszymi sprawami.

*

Plaża Saline, jedna z nielicznych na wyspie pozbawiona hoteli i willi, tonęła w ciemnościach, jeśli nie liczyć fosforyzującej poświaty grzywaczy migoczących w jaskrawym świetle księżyca.

Mordechaj przybił do brzegu pierwszym zodiakiem o dwudziestą zero pięć. Oded pojawił się dwie minuty później, kierując drugim i ciągnąc na nylonowej linie jeszcze jeden. O ósmej dziesiąt wysłali sygnał Gabrielowi: zespół Saline dotarł na miejsce. Luk bezpieczeństwa był teraz otwarty.

Plaża w Saint-Jean jak zwykle opustoszała bardzo późno, nadal jeszcze gdzieniegdzie

siedzieli w zapadających ciemnościach co bardziej wytrwali plażowicze. Na końcu pasa startowego lotniska, nieopodal zmaltretowanego zbyt wieloma deszczami i wichurami znaku ostrzegającego przed nisko latającymi samolotami, zebrała się mała grupka. Było ich wszystkiego cztery osoby: trzech mężczyzn i ciemnowłosa dziewczyna, która przyjechała na motocyklu z Gustavii kilka chwil wcześniej. Ktoś przywiózł trochę heinekena, ktoś inny przenośny odtwarzacz CD, z którego teraz sączył się jakiś kawałek Boba Marleya. Mężczyźni leżeli dokoła w różnych stadiach relaksu. Dwaj - wyglądający na twardziela osiłek z dziobatą twarzą i delikatny młodzieniec o bystrych brązowych oczach i rozwianych włosach - palili jednego papierosa za drugim. Dziewczyna tańczyła do muzyki, jej biała bluzka połyskiwała miękko w świetle księżycy.

Choć nie sposób było tego poznać z ich zachowania, bardzo starannie wybrali sobie miejsce na swoją małą imprezę. Z punktu, w którym się znajdowali, mogli obserwować ruch na drodze z Gustavii i jednocześnie duże prywatne przyjęcie zaczynające się właśnie jakieś sto metrów dalej na plaży w restauracji Le Tetou.

O ósmej trzydzieści jeden z mężczyzn, osiłek z dziobatą twarzą, otrzymał połączenie na swoją komórkę. Nie był to jednak zwykły telefon, ale krótkofalówka przystosowana do przesyłu i odbioru szyfrowanych przekazów. Zaraz po tym, jak się rozłączył, on i jego pozostałych dwóch towarzyszy wstało i hałaśliwie powlekło się w stronę drogi, gdzie wsiedli do zaparkowanego tam suzuki.

Ubrana na białą dziewczyna została na plaży, słuchając Boba Marleya i patrząc na prywatny turbośmigłowiec schodzący coraz niżej nad wody zatoki w kierunku pasa startowego. Popatrzyła na zmaltretowany wiatrem i deszczem znak: uwaga na nisko latające samoloty. Dziewczyna miała naturę dysydentki, więc puściła ostrzeżenie mimo uszu. Podgłośniła muzykę i tańczyła dalej, kiedy silnik maszyny ryczał nad jej głową.

Plaża w zatoce Marigot jest mała, kamienista i z tego powodu rzadko odwiedzana przez turystów. Miejscowi trzymają tam swoje łodzie. Przy drodze nabrzeżnej znajduje się malutki placik z miejscem na dwa lub trzy samochody i rzędem rozchwianych drewnianych schodów prowadzących na plażę. Tego wieczoru placik zajęty był przez dwa motocykle Piaggio. Ich właściciele siedzieli na pograżonej w ciemnościach plaży na odwróconej do góry dnem łódce. U stóp każdego spoczywał nylonowy plecak, w którego środku znajdowała się wyposażona w tłumik broń. Młodszy mężczyzna miał 45-kalibrowego baraka SP-21s. Starszy wolał mniejsze pistolety, a szczególną słabość żywił do włoskich. W jego plecaku znajdowały się więc dwie 9-milimetrowe beretty.

W odróżnieniu od swoich rodaków imprezujących na plaży Saint-Jean ci dwaj nie popijali piwa, nie słuchali muzyki i nie silili się na żadne pozory fałszywej wesołości. Obaj milczeli; obaj oddychali wolno i równomiernie, żeby uspokoić szalejące w ich piersiach serca. Starszy mężczyzna śledził ruch na drodze, młodszy przyglądał się delikatnym falom. Obaj jednak wyobrażali sobie scenę, która miała rozegrać się za kilka minut w willi na końcu cypla. O ósmej trzydzieści starszy uniósł krótkofalówkę do ust i wyszeptał dwa słowa: „Zaczynaj, Dina”.

*

To Monique, żona Jeana-Michela, pierwsza zauważyła dziewczynę.

Podano już napoje, a Zizi przykazał wszystkim, żeby cieszyli się posiłkiem, ponieważ jest to ich ostatni na Świętym Bartłomieju.

Sara siedziała na drugim końcu stołu, obok Herr Wehrliego. Szwajcarski bankier zwierzał się jej właśnie z podziwu, jaki żywił dla prac Ernsta Ludwiga Kirchnera, kiedy Sara kątem oka dostrzegła szybki obrót kanciastej głowy Monique i miękki ruch jej ciemnych włosów.

- Tam jest ta dziewczyna - rzuciła żona Jeana-Michela w niczym konkretnie kierunku. - Ta z potworną szramą na nodze. Pamiętasz, Saro? Widziałyśmy ją wczoraj na plaży Saline. Dzięki Bogu, dzisiaj ma na sobie spodnie.

Sara grzecznie uwolniła się od wywodów szwajcarskiego bankiera i poszła za spojrzeniem Monique. Dziewczyna szła skrajem wody, ubrana w białą bluzkę i niebieskie, podwinięte do łydek dzinsy. Kiedy zbliżyła się do restauracji, jeden z ochroniarzy podszedł i usiłował zablokować jej przejście. Sara, choć nie słyszała ich rozmowy, widziała, że dziewczyna uparcie obstaje przy swoim prawie do przechadzania się publicznym skrawkiem plaży niezależnie od prywatnego przyjęcia odbywającego w restauracji Le Tetou. „Doktryna Biura - pomyślała. - Nie siedź jak mysz pod miotłą. Rób z siebie przedstawienie”. Ochroniarz w końcu ustąpił, dziewczyna pokulała wolno dalej i zniknęła w ciemnościach. Sara odczekała jeszcze chwilę, potem pochyliła się przez stół na oczach Monique i spokojnie wyszeptwała Jeanowi-Michelowi do ucha:

- Niedobrze mi.
- Co się stało?
- Za dużo wina przy lunchu. Omal nie zwymiotowałam w motorówce.
- Chcesz iść do toalety?
- Możesz mnie zaprowadzić, Jean-Michel?

Jean-Michel potaknął i wstał.

- Czekaście - powiedziała Monique. - Pójdę z wami.

Jean-Michel pokręcił głową, ale Monique podniosła się raptownie i pomogła wstać Sarze.

- Biedaczka, źle się czuje - wyszczała do męża po francusku.

- Musi się nią zająć kobieta.

W tej samej chwili na parking Le Tetou zajechał suzuki vitara.

Josi siedział za kółkiem, Jakow i Lavon na tyle. Jakow załadował pierwszy nabój do beretty, potem zajrzał do korytarzyka i czekał, aż pojawi się Sara.

Sara obejrzała się przez ramię, kiedy opuszczali plażę, i zobaczyła, że Zizi i Nadia gapią się na nią. Odwróciła się i spojrzała prosto przed siebie. Jean-Michel szedł przy jej lewym boku, Monique przy prawym. Każde z nich trzymało ją pod ramię. Szybko przeprowadzili ją przez wewnętrzną część restauracji i obok butik. Korytarzyk pograżony był w głębokim mroku. Jean-Michel otworzył drzwi prowadzące do damskiej toalety, włączył światło, szybko zlustrował pomieszczenie i gestem nakazał Sarze wejść.

Drzwi zamknęły się z trzaskiem. Za mocno, pomyślała. Przekręciła zamek i popatrzyła w lustro. Twarz, którą widziała, nie była już jej twarzą. Mógłby ją namalować Max Beckmann albo Edvard Munch. Albo dziadek Gabriela, Viktor Frankel. Portret przerażonej kobiety. Przez zamknięte drzwi doleciał ją głos Monique pytającej, czy wszystko z nią w porządku. Sara nie odpowiedziała. Oparła się o zlew, potem zamknęła oczy i czekała.

- Cholera - mruknął Jakow. - Dlaczego musiała sprowadzić tego pierdolonego kickboksera?

- Możesz go zdjąć? - spytał Lavon.
- Chyba tak, ale jeśli coś się nie uda, strzelaj mu prosto w łeb.
- Nigdy w życiu jeszcze nikogo nie zabiłem.
- To nic trudnego - powiedział Jakow. - Połóż palec na spuście i pociągnij.

*

Była dokładnie ósma trzydzieści dwie, kiedy Gabriel wszedł na drewniane schody prowadzące na plażę w zatoce Marigot. Miał na głowie motocyklowy kask z ciemną owiewką, a

pod nim miniaturowy mikrofon i słuchawkę. Czarny nylonowy plecak zawierający beretty przymocował do pleców naramiennymi paskami. Michał, podążający krok za nim, był wyposażony identycznie.

Wsiedli na motocykle i jednocześnie je odpalili. Gabriel skinął głową i razem popędzili pustą drogą.

Runęli w dół stromego zbocza, Gabriel na przedzie, Michał kilka metrów za nim. Droga była wąska i z obydwu stron obrzeżona kamiennym murem. Przed nimi, na szczycie następnego wzgórza, znajdował się zjazd na Pointe Milou. Przy końcu murku stał zaparkowany motocykl, a na jego siodełku siedziała Rimona w niebieskich džinsach, obcisłej koszulce i kasku na głowie.

Zamrugała dwukrotnie światłami na znak, że droga jest wolna.

Gabriel i Michał pokonali zakręt na pełnej szybkości, pochylając się mocno na bok, i pomknęli na cypel. Przed nimi roztaczało się morze, połyskujące w świetle księżyca. Na lewo wznosiło się zbocze pozbawionego roślinności wzgórza, na prawo rząd małych domków. Z ostatniego wypadł czarny pies i jął dziko ujadać, kiedy przejeżdżali obok.

Przy następnym skrzyżowaniu stała budka ze skrzynkami na listy i mała pusta wiata autobusowa. Jakiś nadjeżdżający samochód pokonał za szybko zakręt i wjechał na pas drogi Gabriela. Ten zwolnił, poczekał, aż tamten przejedzie, i znowu wcisnął gaz.

Wtedy usłyszał w uchu głos Rimony.

- Mam problem - powiedziała spokojnie.

Skręcając, Gabriel obejrzał się przez ramię i zobaczył, w czym rzecz. Jechał za nimi zdezelowany niebieski range rover z oznakowaniem żandarmerii.

Na parkingu w Le Tetou Jakow sięgał właśnie do klamki u drzwi, kiedy usłyszał w słuchawce głos Rimony. Spojrzał na Lavona i zapytał:

- Co się, kurwa, dzieje?

Gabriel mu wyjaśnił.

W roverze było dwóch żandarmów, jeden za kierownicą i drugi, wyglądający na starszego, na siedzeniu pasażera z radiostacją przyciśniętą do ust. Gabriel oparł się pokusie obejrzenia się po raz drugi i patrzył prosto przed siebie.

Tuż za wiatą autobusową droga się rozwidła. Willa ibn Shafika leżała na prawo. Gabriel i Michał pojechali w lewo. Kilka sekund później zwolnili i spojrzeli do tyłu.

Żandarmi skręcili w drugą stronę.

Gabriel zatrzymał się i zastanawiał co dalej. Czy to rutynowy patrol, czy reakcja na jakieś wezwanie? Zwykły pech czy coś więcej? Jedno wiedział na pewno. Ahmed ibn Shafik znajdował się w jego zasięgu i Gabriel chciał go zabić.

Zawrócił, pojechał z powrotem na rozwidlenie i popatrzył na koniec cypla. Droga była pusta, jak okiem sięgnąć ani śladu żandarmów. Przekręcił manetkę i popędził przed siebie w ciemnościach. Kiedy dojechał do willi, zobaczył, że brama jest otwarta, a policyjny range rover stoi zaparkowany na podjeździe. Ahmed ibn Shafik, najniebezpieczniejszy terrorysta na świecie, pakował walizki do bagażnika swojego subaru.

I pomagało mu dwóch francuskich żandarmów.

Gabriel wrócił na miejsce, gdzie czekał Michał, i przekazał tę wiadomość jednocześnie całemu zespołowi.

- Nasz przyjaciel właśnie szykuje się do opuszczenia wyspy. A Zizi załatwił mu policyjną eskortę.

- Jesteśmy spaleni? - spytał Michał.

- Musimy założyć, że tak się rzeczy mają. Zabrać Sarę i przedostać się na plażę Saline.

- Obawiam się, że to już nie jest możliwe - odparł Lavon.

- Co jest niemożliwe?
- Nie możemy zabrać Sary - wyjaśnił. - Tracimy ją.

Pięść załomotała w drzwi trzy razy. Pełen napięcia głos krzyknął, by wyszła. Sara przekreśliła zamek i otworzyła drzwi. W korytarzyku na zewnątrz stał Jean-Michel w towarzystwie czterech ochroniarzy Ziziego. Chwycili ją za ręce i zaciągnęli z powrotem na plażę.

Biały kabriolet przejechał przez bramę i skręcił na drogę, za nim podążał policyjny range rover. Piętnaście sekund później ów mały konwój minął Gabriela i Michała. Góra kabrioletu była ciągle opuszczona. Ibn Shafik trzymał obie dłonie na kierownicy i patrzył prosto przed siebie.

Gabriel zerknął na Michała i zwrócił się przez radio do całego zespołu. „Natychmiast ewakuujcie się na Salinę. Wszyscy. Zostawcie mi jedną łódź, ale zabierajcie się z wyspy”.

Potem popędził za ibn Shafikiem i żandarmami.

*

- To boli.
- Przepraszam, panno Saro, ale musimy się spieszyć.
- Na co? Główne danie?
- Pojawiło się zagrożenie bombowe. Opuszczamy wyspę.
- Zagrożenie bombowe? Kogo? Czego?
- Proszę już nic nie mówić, panno Saro. Tylko iść szybko.
- Pójdę, ale puśćcie moje ręce. To boli.

*

Gabriel trzymał się jakieś dwieście metrów za range roverem i jechał z wyłączonymi światłami. Przejechali przez miasteczko Lorient, potem Saint-Jean. Kiedy posuwali się wybrzeżem zatoki, zobaczył sztyl Le Tetou. Zwolnił i spojrzał na parking, właśnie kiedy Zizi i jego świta pakowali się do land cruiserów pod czujnym okiem dwóch żandarmów. Sara została wciśnięta między Rafika i Jeana-Michela. Gabriel nie mógł nic zrobić. Niechętnie przyspieszył i pomknął za ibn Shafikiem.

Lotnisko znajdowało się teraz bezpośrednio przed nimi. Nagle, bez żadnego ostrzeżenia, dwa pojazdy skręciły gwałtownie w drogę dla personelu i pospieszyły otwartą bramą na płytę lotniska.

Na pasie czekał już turbośmigłowiec z włączonym silnikiem. Gabriel zatrzymał się na poboczu drogi i patrzył, jak ibn Shafik, kobieta i dwaj żandarmi wychodzą z aut.

Saudyjski terrorysta i jego towarzyszka natychmiast weszli na pokład samolotu, podczas gdy żandarmi pakowali ich bagaże do luku. Piętnaście sekund po tym, jak zamknęły się drzwi kabiny, samolot ruszył pasem startowym. Gdy wlatywał nad Baie de Saint-Jean, szosą przemknęła czarna plama konwoju Ziziego i skierowała się wzgórzem w stronę Gustavii.

Była dwudziesta czterdzieści, kiedy Mordechaj i Oded zobaczyli Michała i Rimonę schodzących z wydm na plażę Saline. Dwie minuty później pojawiły się jeszcze cztery postaci. O ósmej czterdzieści trzy wszyscy już byli na łodziach z wyjątkiem Lavona.

- Słyszałeś go, Eli - krzyknął Jakow. - Chce, żebyśmy wszyscy opuścili wyspę.
- Wiem - powiedział Lavon - ale ja się bez niego nie ruszam.

Jakow zrozumiał, że nie ma sensu się kłócić. Chwilę później zodiaki sunęły już przez fale w stronę „Słonecznej Tancerki”.

Lavon patrzył, jak rozplywają się w ciemnościach, potem odwrócił się i zaczął przemierzać brzeg morza.

Kawalkada samochodów Ziziego z ogromną szybkością zjechała ze wzgórza do Gustavii. Jadący za nimi Gabriel widział mieniącą się światłami „Aleksandrę” zakotwiczoną na skraju portu. Dwie minuty później land cruisery skrzyły na parking mariny. Ochroniarze Ziziego przeprowadzili proces przeładunku z szybkością i precyzją zawodowców. Akcja ratunkowa nie wchodziła w grę.

Gabriel ujrzał Sarę tylko raz i przez moment - mignięcie pomarańczy między dwiema dużymi ciemnymi postaciami - i już po chwili wszyscy ponownie znajdowali się na morzu, kierując się w stronę jachtu. Nie pozostawało mu nic innego, jak tylko odwrócić się i pojechać na Salinę, gdzie czekał na niego Lavon. Gabriel siedział z posępną miną na rufie, kiedy wpływali do zatoki.

- Pamiętasz, co ci powiedziałem po południu, Gabrielu?
- Pamiętam, Eli.
- Jeśli okaże się, że dziś wieczorem w grę wchodzi tylko jeden cel, niech tym celem będzie Sara. Tak powiedziałem.
- Wiem, Eli.
- Kto popełnił błąd? My? A może Sara?
- Teraz to już nie ma znaczenia.
- Nie, nie ma. Zabije ją, jeśli nie uda nam się jej jakoś wydostać.
- Tutaj tego nie zrobi. Nie po tym, jak zaangażował francuską żandarmerię.
- Znajdzie jakiś sposób. Nikt nie zdradza Ziziego bezkarnie. Zasady Ziziego.
- Będzie chciał ją gdzieś przenieść - stwierdził Gabriel. - I, oczywiście, dowiedzieć się, dla kogo pracuje.
- Co oznacza, że może pojawi się cień szansy, w zależności od metody, której użyje, żeby uzyskać odpowiedzi.

Konserwator milczał. Lavon czytał mu w myślach.

„Wydostaniemy ją - tłuło się Gabrielowi po głowie. - Miejmy tylko nadzieję, że coś jeszcze z niej wtedy zostanie”.

28

Centrala CIA

Wiść o katastrofie na Wyspie Świętego Bartłomieja dotarła do sekcji kontroli operacji na bulwarze Króla Saula dziesięć minut po powrocie Gabriela na „Słoneczną Tancerkę”. Amos Szarret, dyrektor generalny, był wtedy na górze w swoim gabinecie; meldunek o rozwoju wydarzeń złożył mu oficer dyżurny.

Pomimo późnej pory Amos natychmiast zbudził premiera i przekazał mu informację. Po pięciu minutach wykonano z pokładu „Słonecznej Tancerki” jeszcze jedno szyfrowane połączenie telefoniczne. Zadzwoniono do Langley w Wirginii, ale nie do Centrum Operacyjnego, lecz na prywatną linię gabinetu Adriana Cartera na siódmym piętrze. Carter przyjął wiadomość ze spokojem, jak przyjmował większość rzeczy, i bawił się zabłąkanym spinaczem do papieru, kiedy Gabriel przedstawiał mu swoją prośbę.

- Mamy w tej chwili jeden samolot w Miami - powiedział Amerykanin. - Może być na Saint Maarten o świcie.

Rozłączył się i popatrzył na rząd monitorów telewizyjnych po drugiej stronie pokoju.

Prezydent odbywał pojednawczą wizytę w Europie. Spędził dzień na rozmowach z nowym kanclerzem Niemiec, podczas gdy na zewnątrz policja w całym Berlinie toczyła nieustające uliczne boje z antyamerykańskimi manifestantami.

Tego samego spodziewano się na dwóch ostatnich etapach prezydenckiej podróży: w Paryżu i Rzymie. Francuzi przygotowywali się na falę muzułmańskich wystąpień, a karabinierzy oczekiwali demonstracji na skalę nieogłdaną we włoskiej stolicy od pokoleń.

Nie były to raczej sceny transatlantyckiej harmonii, na które liczyli spece od PR z Białego Domu.

Carter wyłączył telewizję i zamknął dokumenty w ściennym sejfie, potem zdjął z haczyka na drzwiach swój płaszcz i wyszedł.

Sekretarki udały się już na noc do domów i korytarz pogrążony był w mroku z wyjątkiem trapezu światła wydostającego się spod na wpół otwartych drzwi po drugiej stronie. Prowadziły do gabinetu Sheparda Cantwella, zastępcy dyrektora służb specjalnych, odpowiednika Cartera w departamencie analiz agencji. Z wnętrza pomieszczenia dochodził stukot klawiatury komputera. Cantwell jeszcze nie wyszedł. Według dowcipnisiów z agencji Cantwell nigdy nie wychodził. Po prostu zamykał się w swoim ściennym sejfie gdzieś koło północy i wypuszczał się o świcie, tak by siedzieć już za biurkiem, kiedy przybędzie dyrektor.

- To ty, Adrianie? - zapytał teraz, zaciągając z bostońska.

Kiedy Carter wsadził głowę do środka, przestał pisać i podniósł głowę znad stosu dokumentów. Był rygorystyczny niczym przeor i dwa razy bardziej przebiegły.

- Chryste, Adrian, wyglądasz jak z krzyża zdjęty. Co cię gryzie?

Carter wymruczał coś niewyraźnie o chaosie towarzyszącym prezydenckiej wizycie dobrej woli w Europie, a Cantwell natychmiast jął prawić o pozornych niebezpieczeństwach antyamerykanizmu. Był analitykiem. Nie mógł na to nic poradzić.

- Zawsze mnie fascynowało, Adrianie, to nasze nedorzeczne pragnienie bycia silnymi i kochanymi jednocześnie. Amerykański prezydent przebył pół świata i obalił władcę Mezopotamii w jedno popołudnie. Nawet Cezar nie zdołał czegoś takiego dokonać. A teraz chce, żeby jego przeciwnicy nosili go na rękach. Im szybciej przestaniemy zawracać sobie głowę tym, czy jesteśmy lubiani, tym lepiej na tym wyjdziemy.

- Znowu czytałeś Machiavellego, Shep?

- Nigdy nie przestałem. - Splótł dłonie na karku i rozstawił łokcie, częstując Cartera niespecjalnie atrakcyjnym widokiem swych pach. - Brzydka plotka niesie się po wsi, Adrianie.

- Naprawdę? - Carter spojrział na zegarek, czego Cantwell, jak się zdawało, nie zauważył.

- Jesteś jakoby zamieszany w jakąś operację specjalną wymierzoną w pewnego zamożnego przyjaciela al-Saudów. A twoimi partnerami w tym przedsięwzięciu są - powtarzam ci tylko, co słyszałem, Adrianie - Izraelczycy.

- Nie powinieneś słuchać plotek - powiedział Carter. - Jak daleko ta zaszła?

- Poza Langley - odparł Cantwell, co oznaczało, że dotarła do niektórych bratnich agencji, które przez cały czas wchodziły na teren CIA od czasu siejącej zgrozę reorganizacji amerykańskich służb specjalnych.

- Jak daleko poza?

- Wystarczająco daleko, by niektórzy ludzie w mieście zaczęli się denerwować. Znasz zasady tej gry. Między Rijadem a Waszyngtonem jest rurociąg i tym rurociągiem płyną zielone. To miasto jest zalane saudyjskimi pieniędzmi. Zasilają zespoły doradcze i firmy prawnicze. Kurczę, lobbyści nie gadają o niczym innym. Saudyjczycy zdołali ukuć system dawania nam w łapę, gdy jeszcze jesteśmy na urzędzie. Nawet dziecko wie, że jeśli zaopiekuje się al-Saudem w trakcie pracy w budżetówce, al-Saud zaopiekuje się nim, kiedy przyjdzie czas wrócić do sektora

prywatnego. Może pod postacią lukratywnego kontraktu doradczego albo jakiegoś innego zlecenia. Może w formie fotela prezesa jakiejś nieciekawej instytucji lansującej linię polityczną al-Saudów. Więc kiedy wróble ćwierkają, że jakiś kowboj z Langley ostrzy sobie zęby na jednego z hojniejszych benefaktorów tego niecnego systemu, ludzie się denerwują.

- Ty też, Shepard?

- Ja? - Cantwell pokręcił głową. - Ja wracam prosto do Bostonu, kiedy tylko nadejdzie moje zwolnienie warunkowe. Ale są jeszcze inni ludzie w tym gmachu, którzy zamierzają zostać w mieście i inkasować profity.

- A jeśli hojni benefaktorzy tego niecnego systemu napychają kiesy także i gościom, którzy rozbijają samoloty o nasze budynki? Jeśli ci nasi przyjaciele po uszy siedzą w terroryzmie? Jeśli skłonni są pójść na każdy układ z każdym diabłem, byleby tylko zapewnić sobie przetrwanie, nawet kosztem życia iluś tam Amerykanów?

- Ściskasz im ręce i się uśmiechasz - stwierdził Cantwell.

- I myślisz o terroryzmie jako o trochę dokuczliwej dopłacie do następnego baku paliwa. Ciągłe jeszcze jeździsz tym starym volvo?

Cantwell świetnie wiedział, czym Carter jeździ. Ich miejsca parkingowe sąsiadowały ze sobą.

- Nie stać mnie na nowy samochód - powiedział Carter. - Nie przy trójce dzieciaków w college'u.

- Może zatem powinieneś przystąpić do saudyjskiego funduszu emerytalnego. Widzę już lukratywny kontrakt doradczy dla ciebie rysujący się na horyzoncie.

- Nie w moim stylu, Shep.

- Więc co z tymi plotkami? Tkwi w nich jakieś ziarno prawdy?

- Absolutnie żadnego.

- Cieszę się, że to słyszę - zakończył Cantwell. - Dopilnuję, żeby wszyscy się o tym dowiedzieli. Dobranoc, Adrianie.

- Dobranoc, Shep.

Carter zszedł na dół, na prawie pusty parking dla kadry kierowniczej. Wsiadł do volvo i skierował się w stronę północno-zachodniego Waszyngtonu, jadąc tą samą trasą, którą przemierzał osiem tygodni wcześniej w towarzystwie Gabriela. Kiedy przejeżdżał obok rezydencji Ziziego al-Bakariego, zwolnił i rzucił okiem przez kraty bramy w kierunku monstrualnej quasi-rezydencji wiejskiej usadowionej na klifie nad rzeką. „Nie waż się jej ruszyć - pomyślał z wściekłością. - Niech choćby jeden włos spadnie jej z głowy, a zabiję cię własnymi rękoma”. Mijając Chain Bridge, zerknął na tablicę rozdzielczą. Światelko ostrzegawcze rozbłyskało czerwienią. „Jakże celnie” - pomyślał. Jego bak był prawie pusty.

*

Dokładnie w tym samym momencie „Słoneczna Tancerka” opływała Grande Pointe i wracała na kotwiczowisko przy Gustavii. Gabriel stał samotnie na dziobie, z lornetką przyciśniętą do oczu, patrząc na rufę „Aleksandry”, gdzie stewardzi podawali naprędce przyszykowaną kolację dla czekających przy stole trzydziestu osób. Gabrielowi wydawały się one postaciami z jakiegoś obrazu. „W łodzi? - pomyślał konserwator. - A może Ostatnia wieczerza?”.

Był tam Zizi, siedzący niczym król u szczytu stołu, tak jakby wydarzenia wieczoru stanowiły tylko miłe urozmaicenie monotonii poza tym nudnej podróży. Po lewej ręce miał swoją piękną córkę, Nadię. Po prawej, skubiąc coś bez apetytu, siedział jego zaufany, drugi po Bogu, Daoud Hamza. Dalej prawnicy, Abdul & Abdul, za nimi Herr Wehrli, stróż pieniędzy. Był także Mansur, zajmujący się podróżami, i Hassan, szef do spraw łączności, szyfrowanej i innej. Był

Jean-Michel, strażnik formy Ziziego i jego żywieniowych suplementacji, oraz ponura żona Jeana-Michela, Monique. Była Rahima Hamza i jej kochanek Hamid, piękny egipski gwiazdor filmowy. Była też czwórka wyglądających na zdenerwowanych goryli i kilka atrakcyjnych kobiet o cnotliwych twarzach. A na najdalszym miejscu przy stole, jak najdalej od Ziziego, siedziała piękna kobieta w szafranowym jedwabiu. Utrzymywała w równowadze cały układ malowidła. Była niewinnością równoważącą zło Ziziego. I była, jak Gabriel widział, śmiertelnie przerażona. Miał świadomość, że jest świadkiem przedstawienia.

Ale z myślą o kim je odgrywano? O nim czy o Sarze?

O północy postaci z jego płótna wstały i życzyły sobie dobrej nocy. Sara weszła do korytarza i znowu zniknęła mu z oczu. Zizi, Daoud Hamza i Wazir ibn Talal udali się do gabinetu. Gabriel wyobraził to sobie jako kolejny obraz: Spotkanie trzech łotrów, artysta nieznany.

Pięć minut później do gabinetu wpadł Hassan i wręczył Ziziemu telefon komórkowy. Kto dzwonił? Czy jeden z jego brokerów proszący o instrukcje na otwarcie sesji londyńskiej giełdy? A może Ahmed ibn Shafik, morderca niewinnych, mówiący, co zrobić z dziewczyną Gabriela?

Zizi wziął telefon i ruchem dłoni wyrzucił Hassana z gabinetu.

Wazir ibn Talal, szef ochrony, podszedł do okien i opuścił żaluzje.

*

Zamknęła drzwi na zamek i zapaliła wszystkie światła w pokoju.

Włączyła telewizję satelitarną i zmieniła kanał na CNN. Niemiecka policja wojująca na ulicach z demonstrantami. Kolejny dowód, powiedział zasapany reporter, amerykańskiej klęski w Iraku.

Wyszła na prywatny pokład i usiadła. Jacht, który widziała opuszczający port dziś po południu, przyplłynął teraz z powrotem.

Czy to jacht Gabriela? Czy ibn Shafik jest martwy, czy żywy? Czy Gabriel jest martwy, czy żywy? Wiedziała tylko, że coś poszło nie tak. „Takie rzeczy zdarzają się od czasu do czasu - powiedział jej Zizi. - Dlatego właśnie tak poważnie podchodzimy do kwestii bezpieczeństwa”.

Wpatrywała się w jacht, szukając jakichś oznak ruchu na pokładzie, ale znajdował się za daleko, żeby mogła cokolwiek dostrzec. „Jesteśmy tu z tobą, Saro. Cały zespół”. Zerwał się wiatr.

Przyciągnęła nogi pod brodę i oplótła je ramionami.

„Mam nadzieję, że nadal nade mną czuwacie - myślała. - Proszę, zabierzcie mnie stąd, zanim mnie zabiją”.

W jakiejś chwili, nie pamiętała dokładnie kiedy, zimno zagnało ją do łóżka. Obudziła się o szarym świcie, słysząc, jak kapuśniaczek miarowo stuka o pokład. Telewizor był nadal włączony, prezydent dotarł już do Paryża i plac de la Concorde zalewało morze demonstrantów.

Podniosła słuchawkę telefonu i zamówiła kawę. Dostarczono ją pięć minut później. Wszystko było tak jak zawsze z wyjątkiem odręcznego liściku, złożonego na pół i opartego o koszyczek z rogalikiem. List był od Ziziego. „Mam dla ciebie zadanie, Saro. Spakuj się i bądź gotowa na dziewiątą. Porozmawiamy przed twoim odlotem”. Nalała sobie filiżankę kawy i podeszła do drzwi prowadzących na pokład słoneczny. Wtedy zauważyła, że „Aleksandra” płynie i że opuścili wody Świętego Bartłomieja. Ponownie spojrzała na liścik Ziziego. Nie wyjaśniał, dokąd miała się udać.

Saint Maarten

Sara pojawiła się na pokładzie rufowym punktualnie o dziewiątej. Teraz lało już jak z cebra, niebo zasłaniały ciężkie i ciemne chmury, a silny wiatr hulał po morzu. Zizi miał na sobie błady marynarski sztormiak i pomimo pieskiej pogody okulary przeciwsłoneczne. Przy nim stał ibn Talal ubrany w lekką marynarkę sportową, ukrywającą kaburę z bronią.

- Ani chwili nudy - odezwała się Sara, siląc się na przyjazny ton.

- Najpierw zagrożenie bombowe, teraz list przy śniadaniu z poleceniem spakowania się. - Popatrzyła na lądowisko dla helikopterów. Pilot Ziziego sadowił się za sterami sikorsky'ego. - Dokąd lecę?

- Powiem ci po drodze - powiedział Zizi, biorąc ją za rękę.

- Lecisz ze mną?

- Tylko do Saint Maarten. - Pociągnął ją w stronę schodów prowadzących na lądowisko. -

Czeka tam na ciebie prywatny odrzutowiec.

- I dokąd ten odrzutowiec leci?

- Zabierze cię, żebyś obejrzała pewien obraz. Opowiem ci o nim po drodze.

- Ale dokąd on leci, Zizi?

Zatrzymał się w połowie schodów i spojrzał na nią oczyma skrytymi za ciemnymi szklami.

- Coś cię trapi, Saro? Wydajesz się spięta.

- Po prostu nie lubię wsiadać do samolotów, kiedy nie wiem, dokąd lecą.

Zizi uśmiechnął się i zaczął mówić, ale jego słowa zagłuszył silnik sikorsky'ego.

*

Gabriel był na dziobie „Słonecznej Tancerki”, kiedy helikopter wzniósł się do góry. Obserwował go przez chwilę, potem pognął na mostek, gdzie przy sterze stał kapitan.

- Przenoszą ją do Saint Maarten. Jak daleko jesteśmy od brzegu?

- Jakies pięć mil.

- Kiedy tam dotrzemy?

- Wziąwszy pod uwagę pogodę, powiedziałbym, że za jakies pół godziny. Może troszkę wcześniej.

- A zodiakami?

- Nie radziłbym próbować tego w zodiaku, nie w tych warunkach.

- Podpłyn bliżej - jak najszybciej.

Kapitan skinął głową i zaczął się przygotowywać do zmiany kursu. Gabriel wszedł do centrum dowodzenia i zadzwonił do Cartera.

- Ona leci w kierunku lotniska na Saint Maarten.

- Jest sama?

- Razem z Zizim i jego szefem ochrony.

- Ile czasu potrzebujecie, żeby tam dotrzeć?

- Czterdzieści pięć minut na brzeg. Kolejny kwadrans na lotnisko.

- Postawię załogę w stan gotowości. Kiedy się pojawicie, samolot będzie już czekał.

- Teraz musimy tylko wiedzieć, dokąd Zizi ją wysłał.

- Dzięki al Kaidzie jesteśmy teraz podłączeni do każdej kontroli lotów na tej półkuli.

Kiedy pilot Ziziego przekaże plan lotu, będziemy wiedzieli, dokąd ją wysła.

- Jak długo to potrwa?
- Zazwyczaj trwa tylko kilka minut.
- Nie muszę ci chyba przypominać, że im szybciej, tym lepiej.
- Dostańcie się na brzeg - powiedział Carter. - Ja zajmę się resztą.

*

- To Manet - oznajmił Zizi, kiedy zbliżali się do wybrzeża tuż pod piętnem niskich ciemnych chmur. - Mam na niego oko już od ładnych kilku lat. Właściciel nie wyrażał chęci rozstania się z nim, ale wczoraj wieczorem zadzwonił do mojego genewskiego biura i powiedział, że chce dobić targu.

- Co mam zrobić?

- Zbadać obraz, upewnić się, że jest w odpowiednim stanie. Potem zweryfikować dokładnie jego pochodzenie. Jak, w co nie wątpię, doskonale wiesz, tysiące prac francuskich impresjonistów trafiło podczas wojny do Szwajcarii niezupełnie legalnie. Ostatnie, czego mi trzeba, to jakaś żydowska rodzina waląca do moich drzwi i domagająca się wydania obrazu.

Sara poczuła ukłucie strachu w piersiach. Odwróciła się i wyjrzała przez okno.

- A jeśli pochodzenie będzie w porządku?

- Wynegocjuj zadowolającą cenę. Jestem skłonny dać trzydzieści milionów, ale na miłość boską, nie mów mu tego. - Wręczył jej wizytówkę z odręcznie napisanym numerem telefonu na odwrocie. - Kiedy już ustalicie ostateczną sumę, zadzwoń do mnie, zanim się zgodzisz.

- O której się z nim zobaczę?

- O dziesiątej jutro rano. Jeden z moich kierowców odbierze cię dziś wieczorem z lotniska i zawiezie do hotelu. Będiesz mogła porządnie się wyspać przed obejrzeniem obrazu.

- Dowiem się, jak brzmi nazwisko właściciela?

- Hermann Klarsfeld. To jeden z najbogatszych ludzi w Szwajcarii, co już coś o nim mówi. Ostrzegłem go, jaka jesteś piękna. Nie może się doczekać twojego przyjazdu.

- Uroczo - powiedziała, ciągle popatrując przez okno na zbliżający się ląd.

- Herr Klarsfeld jest po osiemdziesiątce, Saro. Nie musisz się obawiać jakiegokolwiek niestosownego zachowania.

Zizi popatrzył na ibn Talala. Szef ochrony sięgnął pod swoje siedzenie i wyciągnął nową torbę od Gucciego.

- Pani rzeczy, panno Saro - powiedział przeproszającym tonem.

Sara wzięła torbę i otworzyła. W środku znajdował się sprzęt elektroniczny zabrany jej w dniu przyjazdu: telefon komórkowy, notes elektroniczny, iPod i suszarka, nawet jej budzik podróżny.

Na „Aleksandrze” nie został po niej żaden ślad, żaden dowód, że kiedykolwiek tam była.

Helikopter zaczął tracić wysokość. Sara ponownie wyjrzała przez okno i zobaczyła, że schodzą na płytę lotniska. Na jej końcu stało kilka prywatnych odrzutowców. Jeden z nich był właśnie tankowany i przygotowywany do odlotu. Zizi dalej rozpływał się nad bogactwem Herr Klarsfelda, ale Sara nie słuchała. Myślała tylko o ucieczce. Nie ma żadnego Herr Klarsfelda, kołatało jej się po głowie. I nie ma żadnego Maneta. Leci na zatracenie. Pamiętała homilię Ziziego wygłoszoną tego popołudnia, kiedy przyjęła propozycję pracy dla niego. „Jak widzisz, jestem bardzo hojny dla ludzi, którzy u mnie pracują, ale robię się bardzo zły, gdy ktoś mnie zdradza”. Ona go zdradziła. Zdradziła go dla Gabriela. A teraz przypłaci to swoim życiem. „Zasady Ziziego”.

Spojrzała na płytę lotniska, zastanawiając się, czy Zizi zostawił jakąś szczelinę, przez

którą mogłaby uciec. Na pewno będzie jakiś celnik sprawdzający jej paszport. Może jakiś pracownik lotniska. Albo policjant, może dwóch. Powtórzyła sobie w myślach, co im powie. „Nazywam się Sara Bancroft. Jestem obywatelką amerykańską a ci ludzie próbują przewieźć mnie do Szwajcarii wbrew mojej woli”. Potem zerknęła na Ziziego i szefa jego ochrony. „Wzięliście ten scenariusz pod uwagę, prawda? Opłaciliście celników, przekupiliście lokalną policję”. Zizi nie tolerował zwłoki, zwłaszcza wywołanej histerią jakiejś niewiernej.

Płozy sikorsky'ego uderzyły o pas startowy. Ibn Talal otworzył drzwi kabiny i wysiadł, potem wyciągnął dłoń do środka i zaoferował Sarze pomoc. Przyjęła ją i zeszła po schodkach w wir zapierającego dech wiatru. Pięćdziesiąt metrów od helikoptera stał falcon 2000 z wyjącmi silnikami gotującymi się do odlotu.

Rozejrzała się: żadnych celników, śladu policjanta. Zizi zamknął jej jedyne okienko. Odwróciła się i popatrzyła na niego po raz ostatni. Pomachał do niej przyjaźnie, potem zerknął na swojego złotego roleksa niczym lekarz sprawdzający czas zgonu pacjenta.

Ibn Talal chwycił jej bagaże, przypomniał, żeby schyliła głowę, potem wziął ją pod ramię i poprowadził w stronę falcona. Na schodkach próbowała mu się wyrwać, ale ścisnął jej rękę jak imadłem i poprowadził na pokład. Krzyczała, wzywając pomocy, jednak jej głos tonął w ogłuszającym ryku odrzutowych silników i wirnika sikorsky'ego.

Na szczycie schodków podjęła próbę jeszcze jednej rebelii, która natychmiast została stłumiona przez ibn Talala jednym silnym pchnięciem między łopatki. Wpadła do wnętrza niewielkiej, luksusowo urządzonej kabiny obitej lakierowanym drewnem i miękką brązową skórą. Przypominała jej wnętrze trumny. Zebrała się do jeszcze jednego buntu i rzuciła na Saudyjczyka z wściekłością. Teraz, gdy nikt nie patrzył, jego odpowiedź była niczym nieskrępowana. Wymierzył otwartą dłonią jeden cios, który wylądował na jej prawym policzku i posłał zataczającą się na podłogę kabiny. Saudyjczycy umieli postępować z buntowniczymi kobietami.

Dzwoniło jej w uszach i na moment przed oczyma zawirowały gwiazdki. Kiedy wzrok wrócił jej do normy, zobaczyła Jeana-Michela, stojącego nad nią i osuszającego ręce w lniany ręcznik.

Chwilę później usiadł na jej nogach i czekał, aż ibn Talal przyszpili jej ramię do podłogi, zanim wyciągnął strzykawkę. Poczowała jedno ukłucie, potem ciekły metal wpływający do żył. Z twarzy Jeana-Michela ześlizgnęła się skóra, a Sara zanurzyła się pod powierzchnię zimnej czarnej wody.

30

Saint Maarten

Zodiak pojawił się w Great Bay godzinę później. Czterej mężczyźni na pokładzie ubrani byli w sportowe kurtki i spodnie, a każdy trzymał w ręku małą torbę podróżną z myślą o lokalnych władzach. Po wpłynięciu do Bobby's Marina wsiedli do czekającej taksówki i z dość znaczną szybkością udali się na lotnisko. Tam, po kontroli paszportów, jak najbardziej zresztą fałszywych, weszli na pokład prywatnego odrzutowca Gulfstream V.

Załoga już wcześniej złożyła plan lotu i poprosiła o przydział czasu na start. Godzinę później, o jedenastej trzydzięci siedem czasu lokalnego, samolot wystartował. Celem podróży było lotnisko Kloten. Zurych, Szwajcaria.

Kiedy gulfstream wlatywał nad wodami Simpson Bay, Adrian Carter odbył trzy rozmowy telefoniczne: jedną z dyrektorem CIA, drugą z ekspozyturą agencji zajmującą się tajnymi podróżami i trzecią z agencyjnym medykiem, który specjalizował się w leczeniu wywiadowców w warunkach mniej niż optymalnych. Potem otworzył ścienny sejf i wyjął jeden z trzech leżących tam portfeli. W środku znajdował się fałszywy paszport, razem z pasującym dowodem osobistym, kartami kredytowymi, pewną ilością gotówki i zdjęciami rodziny, która nie istniała. Dziesięć minut później szedł parkingiem w stronę swojego volvo sedana. Sztabowiec przedzierzgnął się na powrót w agenta. I jechał do Zug.

*

W centrum Monachium Uzi Nawot delectował się właśnie późnym lunchem, który spożywał w towarzystwie płatnego informatora z niemieckiego BND, kiedy otrzymał pilny telefon z Tel Awiwu.

Nie dzwoniła sekcja kontroli operacji, ale sam Amos Szarret. Rozmowa była krótka i jednostronna. Nawot słuchał w milczeniu, pochrząkując od czasu do czasu, żeby dać znać szefowi, że rozumie, co ma zrobić. Potem się rozłączył.

Nie chciał, by funkcjonariusz niemieckich służb bezpieczeństwa zorientował się, że Biuro boryka się właśnie z dużym kryzysem, więc pozostał w restauracji jeszcze przez następne pół godziny, skubiąc pod stołem do krwi paznokcie kciuka, podczas gdy Niemiec raczył się strudlem i kawą. Kwadrans po piętnastej Nawot usiadł za kierownicą swojego mercedesa klasy E, a o wpół do czwartej pędził już na zachód autostradą E54.

„Potraktuj to jak rodzaj sprawdzianu - powiedział mu Amos.

- Załatw to czysto, a operacje specjalne są twoje”. Ale kiedy Uzi Nawot gnał do Zurychu w błędnym świetle popołudnia, awans osobisty był ostatnią rzeczą, o której myślał. Chciał dostać Sarę. I chciał ją dostać w jednym kawałku.

*

Sara, pogrążona w narkotykowej mgłę, była zupełnie nieświadoma wydarzeń rozgrywających się dokoła. Nie miała pojęcia nawet o stanie, w jakim się znajduje. Nie wiedziała, że spoczywa w fotelu zwróconym ku ogonowi lecącego na wschód samolotu Falcon 2000, należącego do linii lotniczej firmy Meridian, w całości kontrolowanej przez AAB Holdings, Rijad-Genewa. Nie wiedziała, że ręce ma skute, a nogi spętane. Ani że na jej policzku wykwitł pąsowy ślad, wyraz uznania ibn Talala. Ani że siedzący naprzeciw mej, oddzielony małym lakierowanym stolikiem Jean-Michel przegląda jakieś holenderskie pisemko pornograficzne i popija whisky single-malt, którą nabył w sklepie wolnocłowym na lotnisku Saint Maarten.

Sara była świadoma jedynie swoich marzeń sennych. Miała mgliste wrażenie, że sceny rozgrywające się pod jej powiekami nie są prawdziwe, ale nie ma dość siły, by nad nimi zapanować.

Usłyszała dzwonek telefonu, a kiedy go odebrała, doleciał ją głos Bena, który zamiast rozbić się o południową wieżę World Trade Center, wylądował bezpiecznie w Los Angeles i podążył na jakieś zebranie. Weszła do okazałego domu w Georgetown, ale zamiast Adriana Cartera powitał ją Zizi al-Bakari. Potem była w ruderowatej angielskiej rezydencji wiejskiej, zamieszkaney nie przez Gabriela i jego zespół, lecz komórkę saudyjskich terrorystów przygotowujących następny zamach. Później pojawiły się kolejne, nakładające się na siebie obrazy. Piękny jacht sunący przez morze krwi. Galeria w Londynie obwieszona portretami nieżywych.

I konserwator sztuki o posiwiałych skroniach i szmaragdowych oczach, stojący przed portretem kobiety przykutej do toaletki.

Konserwatorem był Gabriel, kobietą z portretu Sara. Wizja wybuchła płomieniami, a kiedy te ustąpiły, zobaczyła twarz Jeana-Michela.

- Dokąd mnie zabieracie?

- Najpierw zabierzemy się za ustalenie, dla kogo pracujesz - powiedział. - Potem cię zabijemy.

Sara przymknęła oczy z bólu, kiedy igła zatonęła w jej udzie.

Ciekły metal. Czarna woda...

31

Kloten, Szwajcaria

Hotel Flyaway na Marktgasse 19 to przybytek raczej dogodny niż luksusowy. Fasadę ma bezbarwną i ponurą, lobby niewyszukane i antyseptycznie zimne. Jedyłą jego wartą uwagi zaletą jest bezpośrednie sąsiedztwo z lotniskiem Kloten, które znajduje się zaledwie o pięć minut drogi. Tego śnieżnego lutowego wieczoru hotel był miejscem tajnego zebrania, o którym ani jego kierownictwo, ani lokalne władze nic nie wiedziały. Dwóch mężczyzn przyjechało z Brukseli, jeden z Rzymu, czwarty z Londynu. Wszyscy czterej byli ekspertami od fizycznej inwigilacji.

Wszyscy czterej zameldowali się pod przybranymi nazwiskami, okazując fałszywe paszporty. Piąty mężczyzna, Mosze, przyjechał z Paryża pod swoim własnym. Nie był to spec od inwigilacji, ale bodeh kurier operacyjny niższego szczebla. Jego samochód, audi A8, stał zaparkowany na ulicy. W bagażniku znajdowała się walizka z pistoletami, krótkofalówkami, noktowizorami i kominiarkami.

Ostatniego mężczyznę, który przybył, dziewczęta z recepcji doskonale znały, ponieważ często podróżował przez lotnisko Kloten i spędził więcej nocy w hotelu Flyaway, niż trudził się pamiętać.

- Dobry wieczór, panie Bridges - powitała go jedna z pracownic, kiedy wkroczył do lobby. Po pięciu minutach był już w swoim pokoju na górze. W ciągu dwóch kolejnych dołączyła do niego reszta.

- Na Kloten wkrótce ma wylądować pewien samolot - powiedział im. - Na jego pokładzie ma być pewna dziewczyna. A my mamy dopilnować, żeby nie umarła dziś w nocy.

*

Sara obudziła się po raz drugi. Otworzyła oczy tylko na chwilę, by ogarnąć, co się dzieje dookoła, potem szybko zamknęła, żeby Jean-Michel nie wbił jej w nogę kolejnej igły ze strzykawką.

Samolot schodził teraz niżej i miotaly nim potężne turbulencje.

Głowa opadła jej na bok i przy każdym szarpnięciu maszyny waliła pulsującą bólem skronią w ścianę kabiny. Ręce miała zdrętwiałe od ucisku kajdanek i czuła, jakby w podeszwy stóp wbijały jej się tysiące małych igiełek. Jean-Michel nadal siedział rozparty na siedzeniu naprzeciwko. Miał zamknięte oczy i palce splecione nad genitaliami.

Rozejrzała się raz jeszcze. Ale obraz był nieostry i zamazany, jakby oczy spowijała jej czarna mgła. Uniosła ręce do twarzy i poczuła materiał. „Kaptur”, pomyślała. Potem spojrzała w

dół ciała i zobaczyła, że jest otulone czarnym welonem. Jean-Michel owinął ją w abaję. Cicho zaskakała. Francuz otworzył jedno oko i spojrzał na nią złowrogo.

- Jakiś problem, Saro?
- Zabieracie mnie do Arabii Saudyjskiej, prawda?
- Zabieramy cię do Szwajcarii, tak jak powiedział ci Zizi.
- Po co ta abaja?

- Ułatwi twój wjazd do kraju. Kiedy szwajcarscy celnicy zobaczą Saudyjkę w woalu, będą cię traktować z najwyższym szacunkiem. - Posłał jej kolejny groteskowy uśmiezek. - Uważam, że to prawdziwa szkoda chować pod kirem dziewczynę taką jak ty, ale naprawdę sprawiło mi przyjemność zakładanie go na ciebie.

- Świnia z ciebie, Jean-Michel.

Nie zauważyła nadchodzącego ciosu: doskonale wymierzonego uderzenia grzbietem dłoni, które wylądowało precyzyjnie na jej spuchniętym prawym policzku. Kiedy odzyskała wzrok, Jean-Michel siedział już na swoim miejscu. Samolotem zakołysała kolejna porcja wstrząsów. Sara poczuła, jak w gardle wzbiera jej ogromna gula.

- Niedobrze mi.
- Tak jak w Le Tetou?
- „Myśl szybko, Saro”.
- Naprawdę było mi niedobrze w Le Tetou, ty idioto.
- Bardzo szybko wydobrzałaś. Według mnie wyglądałaś świetnie, kiedy wróciliśmy na „Aleksandrę”.

- Mam mdłości od tych narkotyków, które mi wstrzykujesz. Zabierz mnie do łazienki.
- Chcesz sprawdzić wiadomości?
- „Szybko, Saro. Szybko”.
- O czym ty mówisz? Weź mnie do łazienki, żebym mogła zwymiotować.
- Nigdzie nie pójdziesz.
- To przynajmniej odchyl tę abaję.

Popatrzył na nią z niedowierzaniem, potem nachylił się do przodu i uniósł welon, wystawiając jej twarz na chłodne powietrze kabiny. Miała upiorne wrażenie, jakby to pan młody unosił welon z twarzy oblubienicy. Zalała ją fala gniewu i zamachnęła się na Jeana-Michela skutymi rękoma. Z łatwością odparował atak, potem sam wymierzył jej cios prosto w lewy bok głowy. Uderzenie zrzuciło ją ze skórzanego fotela i posłało na podłogę. Nie podnosząc się z miejsca, kopnął ją w brzuch, pozbawiając jej płuca reszty powietrza. Kiedy usiłowała odzyskać oddech, zawartość jej żołądka powędrowała na dywan.

- Pierdolona dziwka - rzucił Jean-Michel z wściekłością. - Powinienem kazać ci to posprzątać.

Chwycił za łańcuch łączący jej nadgarstki i podciągnął ją z powrotem na fotel, potem wstał i poszedł do toalety. Sara słyszała odgłos wody rozpryskującej się o umywalkę. Kiedy Jean-Michel pojawił się ponownie, trzymał w rękach wilgotny lniany ręcznik, za pomocą którego mściwie starł z jej warg wymiociny. Potem z małego skórzanego etui wyjął kolejną strzykawkę i buteleczkę przezroczystego płynu. Naciągnął ciecz do strzykawki, nie bardzo zwracając uwagę na dawkę, potem mocno chwycił ramię Sary.

Usiłowała je wyrwać, ale dwukrotnie uderzył ją w twarz. Kiedy narkotyk wpłynął do krwiobiegu, pozostała przytomna, czuła się jednak tak, jakby ciało miała przywalone wielkim ciężarem. Powieki jej opadły, ale pozostała uwięziona w teraźniejszości.

- Nadal jestem przytomna - stwierdziła. - Wasze narkotyki już nie działają.
- Działają jak należy.

- Więc dlaczego nie straciłam przytomności?
- Żeby było nam łatwiej uzyskać odpowiedzi.
- Odpowiedzi na co?
- Lepiej zapnij pas - powiedział drwiąco. - Za kilka minut lądujemy.

Sara, przykładowy więzień, usiłowała wykonać polecenie, ale ręce leżały bezwładnie na podłożu, głuche na rozkazy.

Oparła twarz o zimną szybę i wyjrzała na zewnątrz. Ciemno, choć oko wykol. Kilka chwil później wlecieli w chmury i samolotem zaczęły miotać serie następujących po sobie wstrząsów. Jean-Michel nalał sobie kolejną szklaneczkę whisky i opróżnił ją jednym haustem.

Wyłonili się zza chmur w sam środek burzy śnieżnej. Sara spojrzała na dół i przyglądała się światłom na ziemi. Morze przepięknej iluminacji dokoła północnego końca masy jakiejś wody i sznury słabszych światełek biegnących niczym klejnoty wzdłuż linii brzegowej. Usiłowała przypomnieć sobie, co Zizi mówił na temat celu jej podróży. Zurych, pomyślała. Tak, to był Zurych...

Herr Klarsfeld... Manet, za którego Zizi był skłonny zapłacić trzydzieści milionów i ani grosza więcej...

Samolot skierował się na północ od centrum miasta i zaczął opadać w stronę lotniska. Sara modliła się o katastrofę przy lądowaniu. Jednak wszystko przebiegło perwersyjnie gładko - tak gładko, że umknął jej moment, kiedy dotknęli ziemi. Kołowali przez kilka minut. Jean-Michel patrzył spokojnie przez okno, a ona znowu zapadała się w nicość. Kabina samolotu na jej oczach zrobiła się długa niczym alpejski tunel, a kiedy próbowała coś powiedzieć, słowa nie chciały uformować się jej w ustach.

- Narkotyku, który właśnie ci dałem, ma krótsze działanie - powiedział Jean-Michel irytująco uspokajającym głosem. - Niedługo będziesz w stanie mówić. Przynajmniej mam taką nadzieję - dla twojego dobra.

Samolot zwalniał. Francuz opuścił jej na twarz czarną zasłonę, odpiął kajdanki i uwolnił nogi. Kiedy wreszcie się zatrzymali, otworzył tylne drzwi kabiny i wystawił głowę na zewnątrz, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku. Potem chwycił Sarę pod pachy i podniósł ją do pozycji pionowej. Do stóp napłynęła jej boleśnie krew, kolana się pod nią ugięły. Jean-Michel złapał ją, zanim upadła.

- Stawiaj nogę przed nogą - zakomenderował. - Po prostu idź, Saro. Pamiętasz, jak się chodzi.

Pamiętała, ale słabo. Drzwi były tylko jakieś trzy metry dalej, jednak miała wrażenie, jakby dzieliło ją od nich półtora kilometra.

Po kilku krokach tej niekończącej się podróży nastąpiła na brzeg abai i poleciała do przodu, ale raz jeszcze Jean-Michel nie pozwolił jej upaść. Kiedy wreszcie dotarła do drzwi, powitał ją podmuch mroźnego powietrza. Na zewnątrz sypał śnieg i było potwornie zimno, a zasłona na jej twarzy potęgowała jeszcze mrok i tak ciemnej nocy. I znowu na horyzoncie nie było widać żadnych celników czy służb ochrony, stał tylko czarny mercedes na dyplomatycznej rejestracji. Tylne drzwi miał uchylone i przez tę szparę Sara zobaczyła w środku mężczyznę w szarym płaszczu i fedorze.

Mimo narkotyku mącającego myśli, rozumiała, co się dzieje. AAB Holdings i saudyjski konsul w Zurychu wystąpiły o status dyplomatycznego VIP-a dla pasażera przybywającego z Saint Maarten.

Było jak przy odlocie: żadnej kontroli celnej, żadnej ochrony, żadnej drogi ucieczki.

Jean-Michel pomógł jej zejść po schodach i zaprowadził przez płytę lotniska do czekającego mercedesa. Zamknął drzwi i natychmiast wrócił do odrzutowca. Kiedy samochód

ruszył, Sara popatrzyła na mężczyznę siedzącego obok. Przez abaję widziała go tylko w ogólnym zarysie. Ogromne dłonie. Okrągła twarz. Wąskie usta okolone szczeciniastą kozią bródką.

„Kolejna wersja ibn Talala - pomyślała. - Zadbany goryl”.

- Kim pan jest? - spytała.

- Ja jestem nieistotny. Jestem nikim.

- Dokąd jedziemy?

Uderzył ją pięścią w ucho i kazał siedzieć cicho.

Trzydzieści sekund później mercedes sedan na dyplomatycznych tablicach przemknął obok oblepionej śniegiem postaci gapiącej się z rozpaczą pod maskę stojącego na poboczu samochodu. Zdawało się, że mężczyzna nie zwrócił żadnej uwagi na przejeżdżające obok auto, choć rzucił na nie przelotnie okiem, kiedy kierowało się w stronę wjazdu na autostradę. Zmusił się, by wolno odliczyć do pięciu. Potem opuścił maskę i wskoczył za kierownicę. Kiedy przekreślił kluczyk, silnik natychmiast odpalił. Wrzucił bieg i wjechał na drogę.

Nie wiedziała, jak długo jadą - godzinę, może dłużej - ale знаła przyczynę. Te gwałtowne przystawania, ruszania, raptowne nawroty i przyprawiające o mdłości przyspieszenia. Eli Lavon określał takie manewry mianem kontrinteligencji. Uzi Nawot nazywał je czyszczeniem tyłów.

Wyrzała przez silnie przyciemnione okno samochodu. Jako młoda dziewczyna spędziła w Szwajcarii kilka lat i znała miasto stosunkowo dobrze. To nie były jednak rejony Zurychu, w jakich bywała w czasach swojego tu pobytu. Jechali przez piaszczyste, ciemne ulice północnych dzielnic i Industriequartier. Brzydkie magazyny, poczerńnięte budynki fabryczne z cegły, zadymione bocznicie kolejowe. Na chodnikach nie było żadnych przechodniów, w tramwajach żadnych pasażerów. Jakby ona i Nieistotny byli jedynymi ludźmi na świecie. Spytała go raz jeszcze, dokąd zmierzają. Uderzenie łokciem w brzuch sprawiło, że zawołała na głos matkę.

Popatrzył długo przez ramię, potem zrzucił Sarę na podłogę i mruknął coś po arabsku do kierowcy. Leżała teraz pogrążona w kompletnych ciemnościach. Zepchnęła ból w najdalszy zakątek mózgu i usiłowała skoncentrować się na ruchach samochodu.

Skręt w prawo. W lewo. Łup-łup kolejowych torów. Gwałtowne hamowanie, które wydusiło pisk z opon. Nieistotny podciągnął ją na siedzenie i otworzył drzwi. Kiedy chwyciła się podłokietnika, odmawiając opuszczenia samochodu, przez chwilę bawił się w przeciąganie liny, zanim wreszcie stracił cierpliwość i wymierzył jej przeszywający cios w nerki, który posiał wyładowania bólu do każdej komórki jej ciała.

Krzyknęła w męczarni i puściła oparcie. Nieistotny wyciągnął ją z samochodu i rzucił na ziemię. To był zimny cement. Leżała tam, zwijając się z bólu i patrząc na swojego oprawcę przez czarną gazę zasłony. Spojrzenie na świat Saudyjki. Jakiś głos kazał jej wstać.

Próbowała, ale nie mogła.

Kierowca wysiadł z samochodu i razem z Nieistotnym podnieśli ją na nogi. Stała w zawieszaniu przez chwilę z ramionami rozłożonymi szeroko w bok i ciałem spowitym w abaję, czekając na kolejny piorunujący cios w brzuch. Zamiast tego została przeniesiona na tylne siedzenie drugiego samochodu. Człowiek, który tam siedział, wyglądał znajomo. Po raz pierwszy zobaczyła go w Surrey, w dworku ziemskim, który nie istniał. Po raz drugi na Wyspie Świętego Bartłomieja, w willi, która istniała jak najbardziej.

- Dobry wieczór, Saro - powiedział Ahmed ibn Shafik. - Tak miło znowu cię widzieć.

- Naprawdę masz na imię Sara czy powinienem zwracać się do ciebie jakoś inaczej?
Próbowała odpowiedzieć, ale z trudem łapała powietrze.

- Mam... na... imię... Sara.

- Niech więc będzie Sara.

- Dlaczego... mi... to... robicie?

- Dajże pokój, Saro.

- Proszę... wypuście... mnie!

- Obawiam się, że to niemożliwe.

Siedziała zgięta w pół z głową między nogami. Chwycił ją za kark i wyprostował, potem ściągnął zasłonę i przyjrzał się obrażeniom na jej twarzy. Z jego miny nie sposób było wywnioskować, czy uważa, że obeszli się z nią zbyt surowo, czy zbyt pobłaźliwie.

Spojrzała na niego. Skórzany trencz, kaszmirowy szal, małe okrągłe okulary w szylkretowych oprawkach: uosobienie świetnie prosperującego zuryskiego finansisty. Ciemne oczy promieniowały wyrachowaną inteligencją. Wyraz twarzy miał dokładnie taki sam jak wtedy, gdy spotkali się po raz pierwszy.

- Dla kogo pracujesz? - spytał dobrotliwie.

- Pracuję... - zanosła się kaszlem -... dla Ziziego.

- Oddychaj, Saro. Bierz długie, wolne wdechy.

- Nie... bijcie... mnie... już... więcej.

- Nie będę - obiecał. - Ale musisz wyjawić mi to, co chcę wiedzieć.

- Ja nic nie wiem.

- Chcę wiedzieć, dla kogo pracujesz.

- Już mówiłam, pracuję dla Ziziego.

Na jego twarzy pojawił się wyraz lekkiego rozczarowania.

- Proszę, Saro. Nie utrudniaj tego. Po prostu odpowiedz na moje pytania. Mów prawdę, a cały ten niemiły epizod dobiegnie końca.

- Zabijecie mnie.

- Niestety, to prawda - powiedział tak, jakby zgadzał się z jej oceną pogody. - Ale jeśli zdradzisz nam, co chcemy wiedzieć, zaoszczędzisz sobie noża, a twoja śmierć będzie możliwie bezbolesna. Jeśli zaczniesz upierać się przy tych kłamstwach, twoje ostatnie godziny na ziemi zamienią się w prawdziwe piekło.

„Jego okrucieństwo nie zna granic - pomyślała. - Mówi o mojej egzekucji, a nie ma na tyle przyzwoitości, by odwrócić wzrok”.

- Nie kłamię.

- Będziesz mówić, Saro. Każdy w końcu zaczyna. Nie ma sensu się opierać. Proszę, nie rób sobie tego.

- Ja nic nie robię. To wy...

- Chcę wiedzieć, dla kogo pracujesz, Saro.

- Pracuję dla Ziziego.

- Chcę wiedzieć, kto cię przysłał.

- Zizi po mnie przyjechał. Przysłał mi biżuterię i kwiaty. Przysłał mi bilety lotnicze i kupił ubranie.

- Chcę znać nazwisko mężczyzny, który kontaktował się z tobą na plaży Saline.

- Ja nie...

- Chcę znać nazwisko mężczyzny, który rozlał wino na moją współpracownicę w Saint-Jean.

- Jaki mężczyzna?

- Chcę znać nazwisko tej kulejącej dziewczyny, która spacerowała przy Le Tetou podczas przyjęcia Ziziego.

- Skąd niby mam znać jej nazwisko?

- Chcę wiedzieć, dlaczego obserwowałaś mnie na moim przyjęciu. Dlaczego nagle zdecydowałaś się upiąć włosy. I dlaczego miałaś je upięte, kiedy poszłaś pobiegać z Jeanem-Michelem.

Zanosila się teraz płaczem.

- To jakieś szaleństwo!

- Chcę znać nazwiska mężczyzn, którzy śledzili mnie na motocyklach później tego samego dnia. Chcę znać nazwiska tych dwóch, którzy przyjechali do mojej willi, żeby mnie zabić. I nazwisko mężczyzny, który obserwował, jak mój samolot odlatuje.

- Mówię prawdę! Nazywam się Sara Bancroft. Pracowałam w galerii sztuki w Londynie. Zizi kupił ode mnie obraz i prosił, żebym przeszła do niego.

- Tego van Gogha?

- Tak!

- Marguerite Gachet przy toaletce?

- Tak, ty draniu.

- A skąd miałaś ten obraz? Został nabyty w twoim imieniu przez twoje służby specjalne?

- Nie pracuję dla żadnych służb specjalnych. Pracuję dla Ziziego.

- Pracujesz dla Amerykanów?

- Nie.

- Dla Żydów?

- Nie!

Westchnął ciężko, potem zdjął okulary i przez długi czas w zamyśleniu polerował je kaszmirowym szalem.

- Powinnaś wiedzieć, że wkrótce po twoim odlocie z Saint Maarten na lotnisku pojawiło się czterech mężczyzn i odlecieli prywatnym samolotem. Rozpoznaliśmy ich. Zakładamy, że kierują się tu, do Zurychu. To Żydzi, Saro, prawda?

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Zaufaj mi, Saro. Są Żydami. To można zawsze poznać.

Przyjrzał się badawczo okularom i uznał, że wymagają jeszcze nieco przetarcia.

- Powinnaś także wiedzieć, że wspólnicy tych Żydów nieudolnie usiłowali jechać za tobą dziś wieczorem, kiedy wylądowałaś na lotnisku. Nasz kierowca pozbył się ich bez trudu. Widzisz, my też jesteśmy zawodowcami. Już ich nie ma. I jesteś zupełnie sama. Zdana tylko na siebie.

Włożył okulary.

- Czy sądzisz, że ci tak zwani profesjonaliści, dla których pracujesz, byliby skłonni poświęcić dla ciebie życie? Wyrzykiwaliby mi teraz swoje tajemnice po całej podłodze. Ale ty jesteś lepsza od nich, Saro, prawda? Zizi też to zauważył. Dlatego popełnił błąd i cię zatrudnił.

- Nie popełnił błędu. To ty go popełniasz.

Uśmiechnął się smutno.

- Zostawiam cię teraz w rękach mojego przyjaciela Muhammada. Pracował dla mnie w Grupie 205. Ta nazwa nie jest ci obca, Saro? Grupa 205? Z pewnością twoi opiekunowie musieli o niej coś napomknąć w trakcie przygotowań.

- Nigdy jej nie słyszałam.

- Muhammad jest zawodowcem. Jest także bardzo wytrawnym przesłuchującym. Ty i Muhammad udacie się w długą podróż. Nocną podróż. Znasz ten termin, Saro? Nocna podróż? Słyszac w odpowiedzi jedynie jej łkanie, sam sobie odpowiedział.

- To w czasie Nocnej Podróży Bóg objawił Koran Prorokowi. Dzisiaj twoja pora na objawienia. Dzisiaj powiesz mojemu przyjacielowi Muhammadowi, dla kogo pracujesz i co twoi szefowie wiedzą o mojej komórce. Jeśli wyjawisz mu wszystko, zaznasz pewnego miłosierdzia. Jeśli będziesz obstawać przy swoich kłamstwach, Muhammad obedrze twoje kości ze skóry i obetnie ci głowę. Rozumiesz mnie?

Jej żołądkiem wstrząsnęły mdłości. Ibn Shafik zdawał się czerpać przyjemność z jej strachu.

- Zdajesz sobie sprawę, że patrzysz na moje ramię? Powiedzieli ci o mojej szramie? O mojej pokiereszowanej dłoni? - Kolejny znużony uśmiech. - Zostałaś zdradzona, Saro, zdradzona przez swoich opiekunów.

Otworzył drzwiczki i wysiadł, potem wsadził głowę do środka samochodu i spojrział na nią ponownie.

- A propos,omalże ci się udało. Gdyby twoi przyjaciele zabili mnie na tej wyspie, pewna nasza duża operacja nie doszłaby do skutku.

- Myślałam, że pracujesz dla Ziziego w Montrealu.

- A, tak, prawie zapomniałem. - Owinął szal dokładnie dokoła szyi. - Muhammad nie uznaje tych kłamstewek za tak zabawne, Saro. Coś mi mówi, że czeka was długa i bolesna noc.

Milczała przez chwilę. Potem spytała:

- Jaka operacja?

- Operacja? Ja? Jestem tylko bankierem.

Spytała ponownie.

- Co to za operacja? Gdzie zamierzacie uderzyć?

- Powiem ci, gdy zwrócisz się do mnie moim prawdziwym nazwiskiem.

- Nazywasz się Alain al-Nasser.

- Nie, Saro. Nie chodzi mi o moje przybrane nazwisko. O to prawdziwe. Powiedz je.

Wyznaj swoje grzechy, Saro, a ja powiem ci, co chcesz wiedzieć.

Zacząła trząść się spazmatycznie. Usiłowała uformować słowa, ale nie mogła zdobyć się na odwagę.

- Wymów je - krzyknęła na nią. - Wymów moje nazwisko, dziwko.

Uniosła głowę i spojrziała mu prosto w oczy.

- Nazywasz... się... Ahmed... ibn... Shafik.

Głowa odskoczyła mu do tyłu, jakby chciał uniknąć ciosu. Potem uśmiechnął się do niej z podziwem.

- Jesteś bardzo dzielną kobietą, Saro.

- A ty tchórzliwym mordercą.

- Powinienem zabić cię własnymi rękoma.

- Co zamierzacie zrobić?

Zawahał się przez moment, potem uraczył ją aroganckim uśmiechem.

- Wystarczy powiedzieć, że mamy pewną niedokończoną sprawę do załatwienia w Watykanie. Zbrodnie chrześcijaństwa i Zachodu przeciw muzułmanom zostaną już wkrótce pomszczone raz na zawsze. Ale ty nie dożyjesz tego chwalebego wydarzenia. Będziesz wtedy już martwa. Powiedz Muhammadowi wszystko, co wiesz, Saro. Spraw, by twoje ostatnie godziny na ziemi były łatwe.

Co powiedziawszy, odwrócił się i odszedł. Nieistotny wyszarpnął ją z samochodu, przyciskając zmoczony eterem gałganek do jej ust i nosa. Drapała swojego prześladowcę. Młóciła powietrze rękoma. Umieściła kilka kopniaków na odlanych z żelaza piszczelach Muhammada. Potem narkotyk zaczął działać i poczuła, jak opada, wirując, na ziemię. Ktoś ją złapał. Ktoś ją umieścił w bagażniku samochodu. Jakaś twarz pojawiła się na chwilę i spojrzała na nią dociekliwie i dziwnie poważnie. Twarz Muhammada. Potem kłapa opadła i wszystko pograżyło się w ciemnościach. Kiedy samochód ruszył, zemdląca.

Zug, Szwajcaria

Gustav Schmidt, szef departamentu do spraw kontrwywiadu w szwajcarskiej służbie bezpieczeństwa, był najmniej spodziewanym partnerem-sojusznikiem w amerykańskiej wojnie z islamskim terroryzmem. W kraju, gdzie obieralni politycy, prasa i większość ludności zdecydowanie krytykowali Stany Zjednoczone i ich antyterrorystyczne działania, Schmidt po cichu nawiązał osobiste kontakty ze swoimi odpowiednikami w Waszyngtonie, szczególnie bliskie zaś z Adrianem Carterem. Kiedy Carter potrzebował zgody na prowadzenie operacji na szwajcarskiej ziemi, Schmidt nieodmiennie mu ją wydawał. Kiedy Carter chciał spowodować, by jakiś agent al Kaidy zniknął z federacji, Schmidt zazwyczaj zapalał mu zielone światło. A kiedy Carter potrzebował jakiegoś miejsca, gdzie mógłby wylądować samolot, Schmidt z reguły udzielał mu odpowiedniego zezwolenia. Amerykanin najbardziej upodobał sobie prywatne lądowisko w Zugu, zasobnym przemysłowym mieście w centrum kraju. Schmidt także je lubił.

Było niedługo po północy, kiedy prywatny odrzutowiec Gulfstream V wychynął zza chmur i opadł na zaśnieżony pas startowy. Pięć minut później Schmidt siedział naprzeciwko Cartera w skromnie urządzonej kabinie.

- Wytworzyła się nieprzyjemna sytuacja - powiedział Carter. - Mówiąc zupełnie otwarcie, nawet nie znamy jej pełnego obrazu. - Wskazał ręką na swojego towarzysza podróży. - To jest Tom. Lekarz. Możemy potrzebować jego usług jeszcze przed świtem. Zrelaksuj się, Gustavie. Napij czegoś. Zapewne zabawimy tu troszeczkę.

Carter wyjrzał potem przez okno na wirujący śnieg i nie odezwał się więcej ani słowem. Nie musiał. Schmidt znał już sytuację.

Jeden z agentów Cartera był w tarapatkach, a Carter nie miał pojęcia, czy w ogóle uda mu się go wyciągnąć żywego. Schmidt otworzył brandy i napił się sam. W takich razach zawsze był rad, że urodził się Szwajcarem.

Podobne czuwanie odbywało się w tej samej chwili przed głównym terminalem na lotnisku Kloten. Czuwał jednak nie wysoki rangą funkcjonariusz szwajcarskich służb bezpieczeństwa, lecz Mosze, bodel z Paryża. O dwunastej czterdzieści pięć z terminalu wyłoniło się w śnieżną zamieć czterech mężczyzn. Mosze wcisnął klakson swojego audi A8, a cała czwórka odwróciła się równocześnie i skierowała w jego stronę. Jakow, Michaił i Eli Lavon usiedli z tyłu. Gabriel zajął miejsce obok kierowcy.

- Gdzie ona jest?

- Wiozą ją na południe.

- Ruszaj - rzucił Gabriel.

Sara obudziła się w paraliżującym zimnie, w uszach dzwoniło jej od tarcia opon o mokry

asfalt. „Gdzie ja jestem?” - pomyślała i zaraz sobie przypomniała. W bagażniku mercedesa, mimowolny uczestnik nocnej podróży do zatracenia. Powoli, kawałek po kawałku, poskładała do kupy i we właściwej kolejności fragmenty tego niekończącego się dnia. Zobaczyła Ziziego w helikopterze, zerkającego na zegarek, gdy posyłał ją na śmierć. I Jeana-Michela, jej towarzysza, jak łapie kilka minut snu w czasie drogi. I w końcu zobaczyła też samego potwora, Ahmeda ibn Shafika, ostrzegającego ją, że rzeź w Watykanie nie była jeszcze zakończona. Słyszała w głosie jego głos, świdrujące kadencje jego pytań.

„Chcę znać nazwisko mężczyzny, który kontaktował się z tobą na plaży Saline”.

„Nazywa się Jakow - pomyślała. - I nie dorastasz mu do pięt”.

„Chcę znać imię kulejącej dziewczyny, która spacerowała przy Le Tetou podczas przyjęcia Ziziego”.

„To Dina. Pomszczona resztką”.

„Chcę znać nazwisko mężczyzny, który rozlał wino na moją współpracownicę w Saint-Jean...”.

„To Gabriel. I pewnego dnia, już niedługo, zabije cię”.

„Nie ma ich już i jesteś zupełnie sama, zdana tylko na siebie...”.

„Nie, nie jestem - przeszło jej przez głowę. - Są tutaj ze mną. Wszyscy”.

I zobaczyła ich w myślach, jak idą do niej przez śnieg. Czy przyjdą, zanim Muhammad obdaruje ją bezbolesną śmiercią?

Czy przyjdą na czas, by poznać sekret, który Ahmed ibn Shafik tak arogancko wypłuł jej w twarz? Sara wiedziała, że może im pomóc. Miała informacje, których chciał Muhammad - i tylko od niej zależało, co, jak szybko i jak bardzo szczegółowo mu wyjawia.

„Powolutku - pomyślała. - Rób to tak wolno, jak się da”.

Zamknęła oczy i znowu zaczęła tracić przytomność. Tym razem zapadła w sen. Pamiętała ostatnie słowa skierowane do niej przez Gabriela w noc przed wyjazdem z Londynu. „Śpij, Saro - powiedział. - Masz przed sobą długą podróż”.

Obudziła się, bo samochodem targaly silne wstrząsy. Zniknęło tarcie opon o mokry asfalt. Teraz miała wrażenie, jakby przedzierali się po nierównej drodze przez zasypany śnieg. Potwierdziło się to chwilę później, kiedy koła straciły przyczepność i jeden z pasażerów zmuszony był wysiąść i pchać. Kiedy samochód zatrzymał się ponownie, Sara usłyszała jakieś głosy mówiące po arabsku i szwajcarskim niemieckim, potem głuchy jęk zmrożonych metalowych przegubów. Ujechali jeszcze kawałek i zatrzymali się po raz trzeci - ostatni, wywnioskowała, ponieważ silnik natychmiast zgasł.

Bagażnik został otworzony. Popatrzyły na nią dwie nieznajome twarze, cztery ręce chwyciły ją i wyciągnęły na zewnątrz. Postawili ją prosto i puścili, ale kolana się pod nią ugięły i upadła w śnieg.

Okazało się to dla nich źródłem wielkiego rozbawienia i przez kilka chwil stali nad nią, rechocząc, zanim ponownie ją podnieśli.

Rozejrzała się. Znajdowali się na dużej polanie otoczonej przez strzeliste jodły i sosny. Stał tam domek alpejski w kształcie litery A ze stromym, dwuspadowym dachem. Obok stojącego osobno budynku gospodarczego zaparkowane były dwa jeepy z napędem na cztery koła. Sypał mocno śnieg. Sara, ciągle z czarną zasłoną na twarzy, miała wrażenie, jakby z nieba padał popiół.

Pojawił się Muhammad i burknął coś po arabsku do dwóch podtrzymujących ją mężczyzn. Zrobili krok w stronę domku, spodziewając się, że Sara będzie szła razem z nimi, ale jej nogi były zdrętwiałe z zimna i niezdolne do wykonania ruchu. Usiłowała powiedzieć, że przemarzła na kość, ale nie mogła otworzyć ust.

Zimno miało jednak pewną dobrą stronę: zupełnie zapomniała o bólu od ciosów w twarz i brzuch.

Chwycili ją pod pachy i za pas i zaczęli ciągnąć. Nogi wlokły się jej z tyłu, a stopy zostawiały bliźniacze bruzdy w śniegu. Wkrótce płonęły od zimna. Usiłowała sobie przypomnieć, jakie buty włożyła tego ranka. Sandały na płaskim obcasie, oświeciło ją nagle - te kupione przez Nadię w Gustavii do kompletu ze strojem, który miała na sobie w Le Tetou.

Poszli na tył domku. Tutaj drzewa rosły bliżej, niecałe trzydzieści metrów od budynku, a na jego straży stał, popalając papierosa i przestępując z nogi na nogę, zziębnięty strażnik. Ściana domu była zasłonięta po części przez okap, po części przez ułożone w stertę drewno. Wciągnęli Sarę przez drzwi, potem w dół po schodach z cementu. Jej stopy, zdrętwiałe i zmarznięte na kamień, uderzały o każdy stopień. Zaczęła płakać z bólu, rozdygotanym łkaniem, na które oprawcy nie zwracali uwagi.

Dotarli do kolejnych drzwi, zamkniętych na głucho i zabezpieczonych kłódką. Pilnujący ich strażnik otworzył zamek, potem drzwi, potem włączył światło. Muhammad wszedł do pokoju pierwszy. Chwilę później wprowadzili Sarę.

Mała kwadratowa komora, szeroka najwyżej na trzy metry, długa na tyleż. Porcelanowobiałe ściany. Zdjęcia. Arabowie w Abu Ghraib.

Arabowie w klatkach w zatoce Guantanamo. Zakapturzony muzułmański terrorysta trzymający odciętą głowę amerykańskiego zakładnika. Na środku pokoju metalowy stół przyśrubowany do podłogi. Żelazna pętla na stole. Do pętli przyczepiona para kajdanek.

Sara krzyknęła i rzuciła się na strażników z pięściami. Nadaremnie, rzecz jasna. Jeden przyciągnął jej rękę do stołu, drugi zapiął na jej nadgarstkach kajdanki. Rzucono jej pod nogi krzesło. Dwie ręce siłą ją na nim posadziły. Muhammad zdarł z jej twarzy zasłonę i dwukrotnie spoliczkował.

- Jesteś gotowa mówić?

- Tak.

- Żadnych kłamstw więcej?

Pokręciła głową.

- Powiedz to, Saro. Żadnych kłamstw więcej.

- Żadnych... kłamstw... więcej.

- Powiesz mi wszystko, co ci wiadomo?

- Wszystko.

- Zimno ci?

- Przeróżliwie.

- Chciałabyś coś ciepłego do picia?

Skinęła głową.

- Herbatę? Pijesz herbatę, Saro?

Kolejne potaknięcie.

- Z czym ją pijesz?

- Chyba żartujesz.

- Z czym pijesz herbatę?

- Z cyjankiem.

Uśmiechnął się smutno.

- Może będziesz miała tyle szczęścia. Napijemy się herbaty, potem porozmawiamy.

Wszyscy trzej opuścili pokój. Muhammad zamknął drzwi i umieścił kłódkę na swoim miejscu. Sara opuściła głowę na stół i zamknęła oczy. Myśli zaprzętała jej pewna wizja - obraz zegara odliczającego minuty do jej egzekucji. Muhammad przyniósł herbatę. Sara otworzyła

szkiełko wyimaginowanego zegara i cofnęła wskazówki o pięć minut.

Kanton Uri, Szwajcaria

Herbatę podali na sposób arabski, w małej szklance. Ręce Sary pozostały skute. Żeby się napić, musiała nachylać głowę do stołu i głośno chleptać, podczas gdy Muhammad patrzył na nią z odrazą. Jego własna herbata pozostała nietknięta. Stała między otwartym notesem a naładowanym pistoletem.

- Nie możecie się spodziewać, że nikt nie zauważy mojego zniknięcia - odezwała się.

Uniósł głowę i szybko zamrugał oczyma. Sara, uwolniona z abai, przyglądała mu się badawczo w ostrym świetle komory przesłuchań. Był łysy aż po szczyt kwadratowej głowy, a skąpy wianuszek włosów, jaki mu pozostał, i brodę miał przycięte precyzyjnie do tej samej długości. Ciemne oczy częściowo skrywała para profesorskich okularów, które świeciły odbitym światłem za każdym razem, kiedy unosił głowę znad notesu. Patrzył na nią z otwartością i zadziwiającą szczerością jak na przesłuchującego, a jego twarz, kiedy nie krzyczał albo nie groził, że ją uderzy - była nawet przyjemna. Czasami przywodził Sarze na myśl gorliwego młodego dziennikarza zadającego pytania stojącemu na podium politykowi.

- Wszyscy w Londynie wiedzą, że pojechałam na Karaiby z Zizim - ciągnęła. - Spędziłam na „Aleksandrze” prawie dwa tygodnie. Widywano mnie z nim w restauracjach na Wyspie Świętego Bartłomieja. Byłam na plaży z Nadią. Jest dowód mojego odlotu z Saint Maarten i dowód mojego przylotu do Zurychu. Nie możecie sprawić, bym ot tak zniknęła w Szwajcarii. Nigdy wam to nie ujdzie płazem.

- Ale to nie tak było - powiedział Muhammad. - Widzisz, krótko po swoim przylocie, dziś wieczorem, zameldowałaś się w hotelu Dolder Grand. Recepcjonista przejrzał twój paszport, jak to jest w zwyczaju tu w Szwajcarii, i przekazał informację do szwajcarskiej policji, jak to również jest tu przyjęte. Po kilku godzinach snu zbudzisz się i wypiwszy zamówioną do pokoju kawę, udasz się do hotelowej siłowni na poranny trening. Potem weźmiesz prysznic i ubierzesz się na umówione spotkanie. Za kwadrans dziewiąta samochód zabierze cię sprzed hotelu i zawiezie do rezydencji Herr Klarsfelda na Zurychberg. Tam będziesz widziana przez kilku członków służby domowej starszego pana. Po obejrzeniu obrazu Maneta zadzwonisz na Karaiby do pana al-Bakariego i poinformujesz go, że nie możecie dojść do porozumienia w kwestii ceny. Wrócisz do hotelu Dolder Grand, żeby się wymeldować, po czym udasz się na lotnisko Kloten, gdzie wejdiesz na pokład samolotu lecącego bezpośrednio do Londynu. Spędzisz dwa dni, odpoczywając w swoim mieszkaniu w Chelsea, i w tym czasie wykonasz ze swojego telefonu kilka rozmów i kilkakrotnie obciążysz swoją kartę kredytową. A potem, niestety, w sposób kompletnie niewyjaśniony, rozplyniesz się w powietrzu.

- Kim ona jest?

- Dość powiedzieć, że jest do ciebie podobna na tyle, by podróżować z twoim paszportem oraz wchodzić i wychodzić z twojego mieszkania, nie budząc podejrzeń sąsiadów. Mamy pomocników tu w Europie, Saro, pomocników o białych twarzach.

- Policja i tak będzie deptać Ziziemu po piętach.

- Nikt nie depcze po piętach Ziziemu al-Bakariemu. Policja będzie miała wątpliwości, rzecz jasna, i w stosownym czasie rozwieją je prawnicy pana al-Bakariego. Sprawa zostanie

załatwiona po cichu i z ogromną dyskrecją. To jedna z wielkich korzyści bycia Saudyjczykiem. My naprawdę stoimy ponad prawem. Ale wróćmy do naszej sprawy.

Spojrzał w dół i postukał niecierpliwie koniuszkiem długopisu o pustą stronę notesu.

- Odpowiesz teraz na moje pytania, Saro?

Skinęła głową.

- Powiedz: tak, Saro. Chcę, żebyś przyzwyczaiła się do mówienia.

- Tak - rzekła.

- Tak co?

- Tak, odpowiem na twoje pytania.

- Nazywasz się Sara Bancroft?

- Tak.

- Bardzo dobrze. Czy miejsce i data urodzenia figurujące w twoim paszporcie są prawdziwe?

- Tak.

- Czy twój ojciec naprawdę należy do kadry kierowniczej Citicorp?

- Tak.

- Czy twoi rodzice naprawdę są rozwiedzeni?

- Tak.

- Czy uczęszczałaś na uniwersytet Dartmouth, a potem odbyłaś studia podyplomowe w Instytucie Courtauld w Londynie?

- Tak.

- Czy jesteś tą Sarą Bancroft, która napisała dobrze przyjętą pracę na temat niemieckich ekspresjonistów, otrzymując tytuł doktora na Harvardzie?

- Tą samą.

- Czy pracowałaś wtedy równocześnie dla Centralnej Agencji Wywiadowczej?

- Nie.

- Kiedy wstąpiłaś do CIA?

- Nigdy nie wstąpiłam do CIA.

- Kłamiesz, Saro.

- Nie kłamię.

- Kiedy wstąpiłaś do CIA?

- Nie jestem z CIA.

- Dla kogo więc pracujesz?

Milczała.

- Odpowiedz na pytanie, Saro. Dla kogo pracujesz?

- Wiesz, dla kogo pracuję.

- Chcę usłyszeć, jak to mówisz.

- Pracuję dla służb wywiadowczych państwa Izrael.

Zdjął okulary i patrzył na nią przez chwilę.

- Mówisz prawdę, Saro?

- Tak.

- Poznam, jeśli będziesz znowu kłamać.

- Wiem.

- Chciałabyś jeszcze trochę herbaty?

- Tak, chciałabym jeszcze trochę herbaty.

Muhammad odchylił się na krześle i uderzył dłonią w drzwi komory. Otworzyły się natychmiast i Sara zobaczyła dwóch mężczyzn stojących na straży na zewnątrz.

- Więcej herbaty - rzucił im po angielsku Muhammad, potem otworzył notes na nowej stronie i zwrócił ku niej swą szczerą twarz. Sara uniosła dłoń do wyimaginowanego zegara i dorzuciła kolejne dziesięć minut.

*

Miejscem przesłuchania Sary - o czym nie miała pojęcia - był rzymskokatolicki w dużej mierze kanton Uri, znajdujący się w rejonie kraju, określanym przez jego mieszkańców ciepło Szwajcarią Wewnętrzną. Domek stał w wąskim parowie wyrzeźbionym przez dopływ rzeki Reuss. Wąwozem biegła tylko jedna droga, a nad nim znajdowała się tylko jedna senna wioska. Uzi Nawot szybko ją zlustrował, potem zawrócił i skierował się z powrotem do parowu. Szwajcarzy, wiedział to z doświadczenia, należeli do najbardziej czujnych ludzi na ziemi.

Saudyjczycy usiłovali mu umknąć w Zurychu, ale Nawot był na to przygotowany. Zawsze uważał, że kiedy śledzi się zawodowca, który spodziewa się ogona, najlepiej jest utwierdzić go w przekonaniu, że istotnie jest obserwowany i - co ważniejsze - że jego kroki zaradcze działają. W tym celu poświęcił trzech swoich obserwatorów w północnym Zurychu. To Nawot we własnej osobie obserwował później, jak mercedes na dyplomatycznych tablicach wjeżdża do magazynu w Industriequartier, i to on pojechał za nim, gdy samochód opuszczał miasto dwadzieścia minut później.

Jego zespół przegrupował się, porozstawiał wzdłuż brzegów Jeziora Zuryskiego i dołączył do niego w pościgu na południe w stronę Uri. Pieska pogoda służyła im za dodatkową osłonę, podobnie jak teraz Nawotowi, kiedy wysiadł z samochodu i z pistoletem w wyciągniętych przed siebie dłoniach zakradł się cicho przez gęste drzewa w kierunku domku. Pół godziny później, dokonawszy pobieżnej inspekcji posiadłości i jej zabezpieczeń, siedział już na powrót za kierownicą, jadąc wąwozem do doliny rzeki Reuss. Tam zaparkował na poboczu przy brzegu rzeki i czekał, aż Gabriel dotrze z Zurychu.

*

- Kto jest twoim oficerem prowadzącym?
- Nie znam jego nazwiska.
- Zapytam raz jeszcze. Jak się nazywa twój oficer prowadzący?
- Mówię ci, że nie znam jego nazwiska. Przynajmniej prawdziwego.
- Pod jakim nazwiskiem jest ci znany?
„Nie mów im o Gabrieli” - pomyślała. Rzuciła pierwsze imię, które przyszło jej do głowy.

- Przedstawił się jako Ben.
- Ben?
- Tak, Ben.
- Jesteś pewna? Ben?
- Nie nazywa się tak naprawdę. Tak po prostu kazał się do siebie zwracać.
- Skąd wiesz, że nie nazywa się tak naprawdę?
Skwapliwie korzystała z drobiazgowości jego przesłuchania, ponieważ pozwalało jej to cofnąć o kilka minut wskazówki wyimaginowanego zegara.
- Bo powiedział mi, że nie nazywa się tak naprawdę.
- A ty mu uwierzyłaś?
- Chyba nie miałam powodów, żeby nie wierzyć.
- Kiedy spotkałaś tego człowieka?
- W grudniu.

- Gdzie?
 - W Waszyngtonie.
 - Jak była wtedy pora dnia?
 - Wieczór.
 - Przyszedł do twojego domu? Do pracy?
 - To było po pracy. Byłam w drodze do domu.
 - Powiedz mi, jak to się stało. Opowiedz mi wszystko.
- Więc opowiedziała, kawałek po kawałku, ziarnko po ziarnku.
- Gdzie mieścił się ten dom, do którego cię zaprowadził?
 - W Georgetown.
 - Na jakiej ulicy w Georgetown?
 - Było ciemno. Nie pamiętam.
 - Na jakiej ulicy w Georgetown, Saro?
 - To była ulica N, tak sędzę.
 - Sądziś czy wiesz?
 - To była N.
 - Numer?
 - Nie było żadnego numeru na domu.
 - Który kwartał?
 - Nie pamiętam.
 - Na wschód od Wisconsin Avenue czy na zachód, Saro?
 - Znasz Georgetown?
 - Wschód czy zachód?
 - Zachód. Zdecydowanie zachód.
 - Który kwartał, Saro?
 - Między trzydziestym trzecim a trzydziestym czwartym, tak mi się wydaje.
 - Wydaje ci się?
 - Między trzydziestym trzecim a trzydziestym czwartym.
 - Po której stronie ulicy?
 - To znaczy?
 - Po której stronie ulicy, Saro? Północnej czy południowej?
 - Południowej. Na pewno południowej.

*

Była za kwadrans trzecia, kiedy Nawot zauważył audi nadjeżdżające z szybkością nieprzystającą do surowych warunków panujących na drogach. Kiedy przemknęło obok w chmurze sypiącego śniegu i żwiru, przelotnie zobaczył w środku czwórkę mężczyzn sprawiających wrażenie spiętych. Wyjął telefon i wystukał numer.

- Właśnie mnie minęliście - powiedział spokojnie, potem wbił wzrok w lusterko i patrzył, jak audi omal się nie rozbiło, zawracając. „Spokojnie, Gabrielu - pomyślał. - Spokojnie”.

*

- Kto rozmawiał z tobą pierwszy? Facet z CIA czy ten Żyd?
- Amerykanin.
- O jakie sprawy cię wypytywali?
- Rozmawialiśmy ogólnie o wojnie z terroryzmem.
- Na przykład?

- Spytali, co według mnie powinno się robić z terrorystami. Czy powinni być przewożeni do Ameryki i stawiani przed sądem, czy też likwidowani w terenie przez mężczyzn w czerni.

- Mężczyzn w czerni?

- Tak ich określił.

- Chodziło o oddziały specjalne? Zabójców CIA? Komandosów?

- Tak przypuszczam.

- I co mu odpowiedziałś?

- Naprawdę chcesz wiedzieć?

- W przeciwnym razie bym nie pytał.

Więc powiedziała mu, po troszeczkę, kroczek za kroczeniem.

*

Stali w kręgu nad brzegiem rzeki, a Nawot mówił Gabrielowi wszystko, co wie.

- Czy na terenie są jeszcze jacyś strażnicy, z wyjątkiem tych dwóch przy bramie?

- Nie wiem.

- Ilu jest wewnątrz?

- Nie wiem.

- Widziałeś, gdzie ją trzymają?

- Nie.

- Czy ktoś jeszcze tędy przejeżdżał?

- To bardzo spokojna droga.

- To nie są wystarczające informacje, Uzi.

- Zrobiłem, co mogłem.

- Wiem.

- Tak jak ja to widzę, masz tylko dwie możliwości, Gabrielu. Opcja numer jeden: przeprowadzić jeszcze jeden rekonesans. To zabierze czas. I wiąże się z ryzykiem. Jeśli nas zobaczą, pierwsze co zrobią, to zabiją Sarę.

- Druga opcja?

- Wkroczyć od razu. Głosuję za nią. Bóg jeden wie, przez co Sara tam przechodzi.

Gabriel popatrzył na śnieg, zastanawiając się przez chwilę.

- Wkraczamy - powiedział. - Ty, Michał, Jakow i ja.

- Odbijanie zakładników to nie moja działka. Jestem agentem łącznikowym.

- Na pewno nie jest to działka Eliego, a ja potrzebuję co najmniej czterech ludzi. Mosze i Eli zostaną przy samochodach. Na mój sygnał przyjadą nas zabrać.

*

- Kiedy pojawił się Żyd?

- Nie pamiętam dokładnej godziny.

- W przybliżeniu?

- Nie pamiętam. Jakieś pół godziny po moim przybyciu, więc chyba było wtedy koło siódmej.

- I przedstawił się jako Ben?

- Nie od razu.

- Wcześniej używał innego imienia?

- Nie. Na początku w ogóle nie znałam jego imienia.

- Opisz mi go, proszę.

- Jest raczej niski.

- Chudy czy gruby?
- Chudy.
- Bardzo chudy?
- Wysportowany.
- Włosy?
- Tak.
- Jakiego koloru?
- Ciemne.
- Długie czy krótkie?
- Krótkie.
- Posiwiałe?
- Nie.

Muhammad spokojnie odłożył pióro na notes.

- Nie mówisz prawdy, Saro. Jeśli skłamiesz raz jeszcze, nasza rozmowa się zakończy i sięgnijemy po inne środki. Rozumiesz, co mam na myśli?

Skinęła głową.

- Odpowiedz mi, Saro.
- Tak, rozumiem, co masz na myśli.
- Dobrze. Teraz przedstaw mi dokładny opis tego Żyda, który kazał mówić na siebie Ben.

35

Kanton Uri, Szwajcaria

- Wróćmy do jego włosów. Mówisz, że były krótkie, Saro? Takie jak moje?
- Trochę dłuższe.
- I ciemne?
- Tak.
- Ale miejscami posiwiałe, prawda? Na skroniach, dokładnie mówiąc.
- Tak, skronie ma siwe.
- A teraz oczy. Są zielone, prawda? Wyjątkowo zielone.
- Tak, jego oczy są bardzo zielone.
- Czy ma jakiś specjalny talent ten mężczyzna?
- Wiele.
- Potrafi odnawiać obrazy?
- Tak.
- I jesteś absolutnie pewna, że nigdy nie słyszałaś jego imienia?
- Już mówiłam. Kazał nazywać się Benem.
- Tak, wiem, ale czy kiedykolwiek użył innego imienia?
- Nie, nigdy.
- Jesteś pewna, Saro?
- Absolutnie. Kazał zwracać się do siebie Ben.
- To nie jest jego prawdziwe imię, Saro. Naprawdę nazywa się Gabriel Allon. I jest mordercą Palestyńczyków. A teraz łaskawie powiedz mi, co się wydarzyło po tym, jak pojawił się w domu w Georgetown.

*

Przy wejściu na drogę prowadzącą do domku znajdowała się tablica. Napis na niej głosił: WŁASNOŚĆ PRYWATNA. Brama była ukryta wśród drzew niecałe trzysta metrów dalej. Gabriel i Nawot szli jedną stroną drogi, Michaił i Jakow przeciwną. Na odcinku wpadającym do parowu zalegał głęboki śnieg, ale wśród drzew było go znacznie mniej. Oglądany przez noktowizory mienił się upiornie fluorescencyjną zielenią, podczas gdy pnie sosen i jodeł pozostawały ciemne i wyraźne. Gabriel podkładał się do przodu, uważając, by nie nadepnąć na opadłe gałęzie, które mogłyby pęknąć pod jego nogą. W lesie panowała martwa cisza. Konserwator słyszał odgłos kroków idącego za nim Nawota. Serce waliło mu pod żebrami. Berettę trzymał w obu dłoniach. Bez rękawiczek.

Jakiś kwadrans po tym, jak weszli w las, zobaczył domek.

Światła paliły się na parterze i w jednym z okien na piętrze.

Strażnicy chronili się przed zimnem we wnętrzu jeepa. Silnik był włączony, reflektory zgaszone. Brama stała otworem.

- Masz wystawkę, Michaił?

- Tak.

- Który z nich jest najlepiej widoczny z twojego kąta?

- Kierowca.

- To ponad czterdzieści metrów. Możesz go sprzątnąć na czysto?

- Mogę.

- Strzał w głowę, Michaił. Musimy to zrobić po cichu.

- Mam wystawkę.

- Przygotuj się i czekaj na mój znak. Strzelamy razem. I niech Bóg ma nas w opiece, jeśli chybimy.

*

- Więc Allon poprosił cię, żebyś im pomogła?

- Tak.

- A ty się zgodziłaś?

- Tak.

- Z miejsca?

- Z miejsca.

- Bez wahania?

- Bez.

- Dlaczego?

- Bo jesteście źli. I nienawidzę was.

- Uważaj, co mówisz.

- Chciałaś znać prawdę.

- Co się stało potem?

- Rzuciłam pracę w Phillips Collection i przeprowadziłam się do Londynu.

*

Gabriel uważnie wycelował w mężczyznę na siedzeniu pasażera.

- Jesteś gotowy, Michaił?

- Gotowy.

- Podwójny strzał, na mój znak: pięć, cztery, trzy, dwa...

Gabriel nacisnął spust dwukrotnie. Na przedniej szybie jeepa prawie jednocześnie wykwitły dwa otwory. Konserwator z Nawotem za plecami rzucił się do przodu przez sięgający kolan śnieg i podszedł do samochodu z berettą w wyciągniętych dłoniach. Michał oddał dwa śmiertelne strzały w głowę kierowcy, ale cel Gabriela został trafiony w policzek i górę klatki piersiowej, i nadal był na wpół przytomny.

Gabriel strzelił do niego dwa razy przez boczną szybę, potem przez chwilę stał bez ruchu, lustrując teren w poszukiwaniu jakichkolwiek oznak, że ich obecność została zauważona. To Nawot pierwszy zobaczył strażnika wychodzącego zza drzew po lewej stronie domku i to Michał sprzątnął go pojedynczym strzałem w głowę, który rozbryzgał krew i mózg dokoła po dziewiczym śniegu. Gabriel odwrócił się i ruszył przez polanę w stronę domku, pozostali podążyli za nim.

*

- Opowiedz mi o tym Julianie Isherwoodzie.
- Julian to dusza człowiek.
- Żyd?
- Nic takiego nigdy nie wypłynęło.
- Jest wieloletnim agentem izraelskiego wywiadu?
- Nie mam pojęcia.
- Zatem po opuszczeniu Phillips Collection z miejsca podjęłaś pracę w charakterze zastępcy Juliana Isherwooda?
- Zgadza się.
- Ale byłaś przecież kompletną amatorką. Kiedy cię szkolili?
- Wiezorami.
- Gdzie?
- W wiejskim domu na południe od Londynu.
- Gdzie dokładnie się mieści?
- Chyba w Surrey. Nigdy nie widziałam dokładnej nazwy wioski.
- To był stały izraelski bezpieczny dom?
- Wynajęty. Bardzo tymczasowy.
- Poza Allonem szkolili cię jeszcze i inni?
- Tak.
- Jak się nazywali?
- Ludzie, którzy przyjeżdżali z Tel Awiwu, nigdy mi się nie przedstawiali.
- A co z pozostałymi członkami zespołu Allona?
- Co z nimi?
- Jak się nazywali?
- Proszę, nie rób mi tego.
- Powiedz, jak się nazywali, Saro.
- Proszę, nie.
- Uderzył ją na tyle mocno, że spadła z krzesła. Wisiała przez chwilę z kajdankami wrzynającymi się jej w nadgarstki, podczas gdy on wrzeszczał, domagając się nazwisk.
- Jak się nazywali, Saro. Wszyscy.
- Był mężczyzna imieniem Jakow.
- Kto jeszcze?
- Josi.
- Dalej.

- Eli.
- Kto jeszcze?
- Dina.
- Dalej.
- Rimona.
- I to ci sami ludzie pojechali za tobą na Wyspę Świętego Bartłomieja?
- Tak.
- Kto kontaktował się z tobą na plaży Saline?
- Jakow.
- Jak się nazywała kobieta, która zostawiła ci wiadomość w toalecie restauracji w Saline?
- Rimona.
- A ta kulejąca dziewczyna, która przysłała do Le Tetou tuż przed twoim wyjściem do toalety?
- Dina.
- To są wszystko Żydzi ci ludzie.
- Dziwi cię to?
- A ty, Saro? Jesteś Żydówką?
- Nie, nie jestem Żydówką.
- Więc dlaczego im pomagałaś?
- Ponieważ was nienawidzę.
- Tak, i zobacz, dokąd cię to zawiodło.

*

Zanim dotarli do chaty, natknęli się na jeszcze jednego strażnika. Wyszedł zza domu, od ich prawej strony, i głupio stał na otwartym terenie z bronią ciągle u boku. Gabriel i Michaił równocześnie pociągnęli za spust. Tłumiki wyciszyły odgłosy strzałów, ale strażnik wydał przesywający krzyk, kiedy seria nabojów rozrywała mu piersi. W oświetlonych oknach domu pojawiły się natychmiast dwie twarze niczym postaci na strzelnicy: jedna na parterze dokładnie naprzeciw Gabriela, druga na górze przy szczycie dachu. Gabriel zdjął mężczyznę z parteru, Michaił zajął się tym na piętrze.

Stracili teraz zupełnie element zaskoczenia. Gabriel i Michaił przeładowali broń, pędząc ostatnie dwadzieścia kilka metrów do frontowych drzwi. Jakow, który miał znacznie więcej doświadczenia we wkraczaniu do kryjówek terrorystów na Zachodnim Brzegu i w Gazie, biegł na przedzie. Nie zawracał sobie głowy sprawdzaniem, czy zasuwa jest zasunięta. Od razu posłał całą serię w środek drzwi, żeby zlikwidować każdego stojącego po ich drugiej stronie, potem odstrzelił zamek i otaczające go drewno ościeżnicy. Nawot, największy z całej czwórki, walnął zwałistym ciałem o drzwi, które wpadły do środka jak przewrócona kostka domina.

Pozostała trójka szybko weszła do małego korytarzyka. Gabriel osłaniał lewą stronę, Jakow szedł środkiem, Michaił na prawo.

Konserwator zobaczył, że mężczyzna, którego zastrzelił przez okno, leży teraz na podłodze w kałuży krwi. Michaił i Jakow jednocześnie nacisnęli spust i Gabriel usłyszał jęki kolejnych dwóch umierających ludzi. Posuwali się w głąb domku, znaleźli schody do piwnicy i ruszyli na dół. „Zacniemy od piwnicy - powiedział wcześniej Gabriel. - Oprawcy zawsze lubią pracować pod ziemią”.

Opisywała mu dzień sprzedaży, kiedy z piętra nad nimi dobiegły odgłosy zamieszania. Uciszył ją brutalnym uderzeniem w twarz. potem wstał i z pistoletem w dłoni przesunął się szybko w stronę drzwi. Kilka sekund później usłyszeli krzyki, jęki i tupot ciężkich kroków na

schodach. Muhammad odwrócił się i skierował broń na jej twarz. Sara, ciągle przykuta kajdankami do stołu, odruchowo schowała głowę w ramionach, gdy dwukrotnie nacisnął spust.

W malutkiej komorze odgłos strzałów rozległ się niczym artyleryjska salwa. Pociski przecięły powietrze nad jej głową i wbiły się w ścianę za plecami.

Wrzasnął na nią, wściekły, że miała czelność wybrać życie od śmierci, i podszedł krok bliżej, by strzelić raz jeszcze. Wtedy drzwi z trzaskiem wleciały do środka niczym zdmuchnięte falą uderzeniową wybuchu bomby. Upadły na plecy Muhammada i przewróciły go na podłogę. W rękach nadal trzymał pistolet.

Przyklęknął na jedno kolano i ponownie wymierzył go w Sarę, gdy do środka wpadli dwaj mężczyźni w kominiarkach i noktowizorach. Zaczęli strzelać do Muhammada. I nie przestali, dopóki nie skończyły się im naboje.

Odcięli kajdanki, uwolnili jej nogi z łańcuchów i wynieśli błyskawicznie z domu zasłanego trupami. Na zewnątrz wsunęła się jak dziecko w ramiona Gabriela. Niósł ją przez zaśnieżoną polanę i potem ścieżką do drogi, gdzie przy samochodach czekali Mosze i Lavon. Leśną ciszę rozdzierało jej łkanie.

- Musiałam im powiedzieć.

- Wiem.

- Bili mnie. Powiedzieli, że zabiją.

- Wiem, Saro. Widziałem komorę.

- Wiedzą o tobie, Gabrielu. Próbowałam...

- W porządku, Saro. To nasza wina. Zawiedliśmy cię.

- Przepraszam, Gabrielu. Tak bardzo przepraszam.

- Proszę, Saro. Nie przepraszaj.

- Widziałam go znowu.

- Kogo?

- Ibn Shafika.

- Gdzie?

- W Zurychu. On jeszcze nie skończył, Gabrielu.

- Co powiedział?

- Że znowu zaatakuje Watykan.

36

Zug, Szwajcaria

Dwóch obserwatorów Nawota zdołało dotrzeć na południe do włoskiej granicy, zanim pogoda spowodowała zamknięcie górskich przejść. Dwóch innych pojechało na wschód do Austrii. Nawot natomiast dołączył do Moszego i udali się razem do Paryża, żeby zapewnić ochronę Hannah Weinberg.

Gabriel zabrał Sarę na prywatne lądowisko na peryferiach Zugu. W czasie jazdy siedzieli spleceni jak kochankowie, Gabriel obejmując ją ramieniem, Sara przyciskając mokrą twarz do boku jego szyi. O czwartej trzydzieści samolot wzbil się w chmury i zniknął. Na jego pokładzie nie było Cartera ani konserwatora.

- W porządku, Gabrielu, słucham.

- Sara widziała ibn Shafika w Zurychu. Powiedział jej, że planuje kolejny atak na

Watykan. - Carter zaklął cicho pod nosem.

- Wasz prezydent jest dzisiaj w Rzymie, zgadza się?

- W rzeczy samej, jest.

- O której godzinie ma być w Watykanie?

- W samo południe.

Gabriel popatrzył na zegarek.

- Z Zurychu co godzinę odlatuje samolot do Rzymu. Jeśli się pospieszymy, możemy zdążyć na ten o siódmej.

- Jedź - powiedział Carter.

- Gabriel uruchomił silnik i ruszył w stronę szwajcarskiej stolicy.

Carter zadzwonił do siedziby CIA i poprosił o połączenie z szefem amerykańskiego

BOR-u.

Pierwsze pół godziny drogi Carter spędził, wisząc na telefonie.

Kiedy zza mgły wyłoniły się światła miasta na północnym krańcu jeziora, odłożył aparat i popatrzył na Gabriela.

- Sara będzie w bazie lotniczej Ramstein za niecałą godzinę. Przejdzie gruntowne badania w tamtejszym amerykańskim szpitalu wojskowym.

- Co mówi wasz lekarz?

- Jej stan jest taki, jakiego można się było spodziewać. Otarcia i urazy twarzy. Niewielkie wstrząśnienie mózgu. Uraz lewego oka. Głębokie obrażenia powłok brzusznych. Dwa złamane żebra. Dwa złamane palce u nóg. Zastanawiam się, po co to zrobili?

- Ciągnęli ją po schodach do piwnicy.

- O, i hipotermia. Przypuszczam, że na skutek jazdy w bagażniku. Ale, razem wzięwszy, mogło być znacznie gorzej.

- Niech ktoś przy niej przez cały czas będzie - powiedział Gabriel. - Ostatnie, czego nam trzeba, to Sara niechęć wyjawiająca nasze tajemnice lekarzom z Ramstein.

- Nie obawiaj się, Gabrieliu. Jest w dobrych rękach.

- Twierdzi, że im powiedziała.

- Oczywiście, że powiedziała. Kurde, sam bym powiedział.

- Szkoda, że nie widziałeś tego pomieszczenia.

- Szczerze mówiąc, cieszę się, że ominęła mnie ta przyjemność. Tego rodzaju rzeczy nie bardzo są w moim guście. Czasem przyłapuję się na tym, że tęsknię za starą dobrą zimną wojną, kiedy tortury i krew nie stanowiły części mojej pracy. - Popatrzył na Gabriela. - Ale zawsze stanowiły część twojej, prawda?

Gabriel puścił to mimo uszu.

- Powiedziała im wszystko, żeby zyskać na czasie. Pytanie tylko, czy Muhammad zdołał zdać choćby częściowy meldunek swoim szefom, zanim wkroczyliśmy.

- Macie jego notes?

Gabriel poklepał kieszeń na piersi skórzanej kurtki.

- Dopytamy Sarę, kiedy już trochę dojdzie do siebie.

- Może nie pamiętać wszystkiego, co im powiedziała. Była pod wpływem narkotyków.

Przez chwilę jechali w milczeniu. Pomimo wczesnej godziny na drodze pełno było samochodów osób dojeżdżających do pracy.

„Przedsiębiorczy szwajcarscy finansisci” - pomyślał Gabriel. Zastanawiał się, jak wielu z nich pracuje dla firm powiązanych choćby luźno z AAB Holdings Rijad-Genewa.

- Myślisz, że wpuszczą mnie na pokład tego samolotu, Adrianie?

- Gustav zapewniał mnie, że nie będzie żadnych problemów z naszym odlotem.

- Może nie z twoim, ale ja mam barwną kartotekę tutaj w Zurychu.

- Masz barwną kartotekę wszędzie na świecie. Nie martw się, Gabrieliu. Wpuszczą cię na pokład.

- Jesteś pewien, że twój przyjaciel Gustav będzie milczał?

- O czym miałby milczeć? - Carter zdobył się na znużony uśmiech. - Zespół porządkowy jest już w drodze do Uri. Gustav zabezpieczy miejsce do czasu jego przybycia. A wtedy... -

Wzruszył ramionami. - Będzie tak, jakby nic się tam nigdy nie wydarzyło.

- Co zamierzacie zrobić z ciałami?

- Mamy nader bezpieczne tajne ośrodki zatrzymań we wschodniej Europie. Ci bandyci zostaną odpowiednio pochowani, to więcej niż sobie zasłużyli. I może pewnego dnia, kiedy ta niekończąca się wojna dobiegnie końca, będziemy mogli powiedzieć ich krewnym, gdzie powinni zgłosić się po kości. - Carter przygładził wąsy. - Wy też macie takie, prawda?

- Takie co?

- Tajne cmentarzysko. Gdzieś w dolinie Jordanu? - Gabriel rzucił przeciągłe spojrzenie we wsteczne lustro i milczał. - Ile jest tych ciał, Gabrieliu? Pamiętasz?

- Oczywiście, że pamiętam.
- Zatem ile? Zespół musi wiedzieć, gdzie i ilu szukać.

Gabriel mu powiedział. Dwa w jeepie. Dwa na polanie przed domkiem. Jedno w oknie na parterze. Drugie w oknie piętro wyżej. Dwa w środkowym holu. Dwa na dole schodów. I Muhammad.

- Jedenastu ludzi - zsumował Carter. - Ustalimy ich nazwiska. Dowiemy się, kim byli i co planowali. Ale chyba już teraz możemy bezpiecznie założyć, że zlikwidowaliście dziś w nocy dużą komórkę terrorystyczną, razem z bardzo ważnym elementem operacji ibn Shafika.

- Nie dostaliśmy tego, o którego nam chodziło.
- Coś mi mówi, że go znajdziecie.
- Co najmniej dwóch z nich to Europejczycy, a Uzi słyszał, jak jeden mówił ze szwajcarsko-niemieckim akcentem.
- Obawiam się, że zostaną pogrzebani razem z dżihadystami. Ale sądzę, że nie mieliby nic przeciwko temu. - Carter zerknął na zegarek. - Nie możesz jechać szybciej?

- Mam na liczniku sto trzydzieści, Adrianie. Jak dużo powiedziałeś borowcom?
- Powiedziałem im, że mamy zatrważająco wiarygodne dowody, iż siły globalnego dżihadu planują dziś po południu zamach na prezydenta w Watykanie. Bardzo mocno podkreśliłem słowa: „zatrważająco wiarygodne dowody”. Chyba zrozumieli wiadomość i mam nadzieję trochę później dzisiejszego ranka zamienić słówko lub dwa z prezydentem. Zatrzymał się w rezydencji ambasadora.

- Może chce odwołać wizytę.
- Do tego nie dojdzie - powiedział Carter. - Watykan jest w chwili obecnej najbardziej naocznym symbolem zagrożeń związanych z islamskim terroryzmem. Ten prezydent nie pogrzebie szansy wzmocnienia swojego przestania na takiej scenie.

- Lucchesi natrze mu uszu.
- Prezydent jest na to przygotowany - zauważył Carter. - Co do bezpieczeństwa, borowcy już ustalają z Włochami zmianę drogi jego przejazdu. Tak się złożyło, że rozważali podobny manewr jeszcze przed otrzymaniem mojego telefonu. Rzym tonie w chaosie. Dziś spodziewają się na ulicach jakichś dwóch milionów ludzi.

- Jak wprowadzą go do Watykanu?
- Pojazdy składających wizytę głów państw zazwyczaj wjeżdżają do Stolicy Apostolskiej przez bramę Świętej Anny, potem kierują się Via Belvedere na dziedziniec Świętego Damazego. Tam głowę państwa wita komendant Gwardii Szwajcarskiej i eskortuje do Pałacu Apostolskiego. Ochroniarze muszą zostać na dziedzińcu. Watykański protokół. Głowa państwa idzie na górę sama, chroniona tylko przez gwardię. Ale zdradzę ci mały sekret. BOR zawsze przesmuglowuje paru agentów w skład oficjalnej delegacji - miłych katolickich chłopców chcących spotkać się z Ojcem Świętym.

- Więc jakie zmiany wprowadziliście teraz?
- Prezydent poleci do Watykanu helikopterem i wyląduje na papieskim lądowisku.
- Które znajduje się w najdalszym zachodnim zakątku, tuż przy murze. Jeśli ktoś będzie czekał na Viale Vaticano z rakietą...
- BOR twierdzi, że teren da się zabezpieczyć.
- Ilu miłych katolickich młodzieńców zamierzacie przesmuglować do oficjalnej delegacji tym razem?

- Więcej niż zazwyczaj. - Carter raz jeszcze rzucił okiem na zegarek. - Powinniśmy chyba wejść na lotnisko osobno, w parominutowym odstępie. Langley zarezerwowało dla nas osobne miejsca.

- Wstydzisz się mnie, Adrianie?
 - Prawdę rzekłszy, nigdy nie byłem bardziej dumny ze znajomości z tobą. Ty i twoi chłopcy pokazaliście dużo odwagi, wkraczając do tego domku.
 - Nie mieliśmy wyboru, Adrianie. Nigdy nie mamy wyboru.
- Carter przymknął na moment oczy.
- Wiesz, możliwe, że ibn Shafik plótł trzy po trzy albo blefował z jakiegoś powodu.
 - Po co miałby blefować, Adrianie? Zamierzał ją zabić.

Watykan

Dobrze się stało, że wasz przyjaciel monsignore poprosił nas, żebyśmy was podrzucili - powiedział kapitan karabinierów. - W przeciwnym wypadku nigdy nie dostalibyście się z Fiumicino do Watykanu.

Gabriel wyjrzał przez okno helikoptera. W dole roztaczał się Rzym. Villa Borghese zamieniono w punkt zborny demonstrantów i płynęło tam teraz morze głów. Pierwsi manifestanci wylewali się już z parku na Via Veneto.

- Uda wam się utrzymać ich z dala od Watykanu?
- Spróbujemy. - Kapitan wskazał ręką przez okno. - Widzicie w dole te barierki? Zamierzamy zgromadzić ich w parku Janiculum. Ale spodziewamy się dwóch milionów. Jeśli sprawy wymkną się spod kontroli... - Wzruszył ramionami. - Cieszę się, że nie pracuję już przy tłumieniu rozruchów. Ta okolica może się zamienić w strefę działań wojennych.

Helikopter skręcił i zaczął schodzić w kierunku Watykanu. Kopuła bazyliki, częściowo skryta za ogromnymi płachtami ekip remontujących, połyskiwała w ostrych promieniach słońca, a papieski apel o pokój trzepotał na fasadzie targany delikatnym porannym wietrzykiem. Przelecieli nisko nad Viale Vaticano, jak najdłużej zostając we włoskiej przestrzeni powietrznej, potem minęli mury Watykanu i opadli na papieskie lądowisko. Donati, ubrany w czarną sutannę przewiazaną pasem w kolorze fuksji, już tam czekał z gwardzistą po cywilnemu u boku. Wyraz twarzy rosłego księdza był posępny podczas krótkiego powitania i później, gdy szli przez Ogrody Watykańskie w stronę Pałacu Apostolskiego.

- Jak poważnie to wygląda tym razem, Gabrielu?
 - Bardzo poważnie.
 - Możesz mi powiedzieć dlaczego?
 - Posłaniec - rzekł Gabriel. - Posłaniec.
- Gabriel czekał z wprowadzeniem go w szczegóły, aż znaleźli się w gabinecie Donatiego na trzecim piętrze. Ksiądz domyślał się, że słyszy tylko część historii. Za bardzo jednak martwił się o bezpieczeństwo swojego zwierzchnika, żeby zaprotestować.
- Chcę, żebyś stał przy jego boku do odlotu prezydenta.
- Tym razem Gabriel nie oponował.
- Wyglądasz, jakbyś dostał nieźle w kość - zauważył Donati.
 - Kiedy ostatnio spałeś?
 - Naprawdę nie potrafię sobie przypomnieć.
 - Obawiam się, że teraz też nie ma czasu na sen - rzekł Donati.
 - Ale będziemy musieli zrobić coś z twoim wyglądem. Nie przywiozłeś ze sobą

przypadkiem garnituru?

- Żałuję, że nie potrafię ci wyjaśnić, jak śmiesznie brzmi to pytanie.

- Będziesz potrzebował jakiegoś przyzwoitego odzienia. Oddziały gwardzistów z papieskiej ochrony noszą garnitury i krawaty. Jestem pewien, że komendant zdoła cię jakoś porządnie ubrać.

- Jest coś, czego potrzebuję bardziej od niebieskiego garnituru, Luigi.

- A cóż to takiego?

Gabriel mu wyjaśnił.

- Gwardia zapewni ci to także.

Donati podniósł słuchawkę telefonu i wykręcił numer.

Ten sam gwardzista, który stał u boku Donatego na lądowisku dla helikopterów, czekał na Gabriela dziesięć minut później na dziedzińcu Świętego Damazego. Był wzrostu Gabriela; miał szerokie bary wypychające mu ramiona marynarki i muskularną szyję rugbisty. Blond włosy przycięte króciutko tuż przy głowie w kształcie pocisku powodowały, że przewód biegnący do jego ucha bardzo rzucał się w oczy.

- Czy my się nie znamy? - spytał Gabriel gwardzistę po niemiecku, kiedy ruszyli Via Belvedere.

- Nie, sir.

- Wyglądacie mi znajomo.

- Byłem jednym z gwardzistów, którzy po zamachu pomagali panu przenieść Ojca Świętego do pałacu.

- Tak mi się zdawało - powiedział Gabriel. - Jak się nazywacie?

- Starszy szeregowy Erich Muller, sir.

- Z jakiego kantonu jesteście, starszy szeregowy?

- Nidwalden, sir. To półkanton w pobliżu...

- Wiem, gdzie to jest - przerwał mu Gabriel.

- Zna pan Szwajcarię, sir?

- Bardzo dobrze.

Tuż przed bramą Świętej Anny skręcili na prawo i weszli do koszar Gwardii. W dyżurce za biurkiem w kształcie półksiężycy siedział sztywno oficer dyżurny. Przed nim znajdował się rząd monitorów telewizji przemysłowej. Na ścianie za jego plecami wisiał krucyfiks i flagi każdego z dwudziestu sześciu szwajcarskich kantonów. Kiedy Gabriel i Muller przeszli obok, odnotował to w księdze wejść i wyjść.

- Koszary są pilnie strzeżone. Mają trzy różne wejścia, ale to jest główne.

Opuścili recepcję i skręcili w prawo. Przed nimi rozciągał się długi, ciemny korytarz, po którego bokach znajdowały się maciupkie, przypominające cele pokoje halabardników. Koniec korytarza wieńczył łuk, a dalej znajdował się wewnętrzny kamienny dziedziniec, na którym jakiś sierżant musztrował sześciu nowicjuszy z drewnianą bronią. Weszli do budynku po przeciwnej stronie dziedzińca i zeszli po kamiennych schodach do krytej strzelnicy.

Była cicha i pusta.

- Tutaj odbywamy ćwiczenia ze strzelania. Ściany niby są dźwiękoszczelne, ale czasami sąsiedzi narzekają na hałas.

- Sąsiedzi?

- Ojcu Świętemu to chyba nie przeszkadza, ale sekretarz stanu niespecjalnie jest rozmiłowany w tych odgłosach. Nie strzelamy w niedziele ani święta katolickie. - Muller podszedł do metalowej szafki i otworzył kłódkę. - Naszą przydziałową bronią jest SIG-Sauer dziewięć milimetrów z piętnostrzałowym magazynkiem. - Popatrzył przez ramię na Gabriela,

otwierając drzwiczki szafki. - To szwajcarska broń. Bardzo precyzyjna i bardzo skuteczna. Chciałby pan wypróbować?

Gabriel potaknął. Muller wyjął pistolet, pusty magazynek oraz pudełko pełne amunicji i zaniósł to wszystko na stanowisko strzeleckie. Zaczął ładować broń, ale Gabriel go powstrzymał.

- Ja to zrobię. Wy może zajmijcie się tarczą.

Muller wykonał polecenie. Zanim cel dotarł do oddalonej ściany strzelnicy, Gabriel załadował już piętnaście naboji do magazynka i umieścił go w kolbie.

- Szybki pan jest - zauważył Muller. - Musi pan mieć dobrą rękę.

- Dużo ćwiczyłem.

Zaproponował Gabrielowi ochraniacz na uszy i oczy.

- Nie, dziękuję.

- Takie są zasady na strzelnicy, sir.

Gabriel odwrócił się bez ostrzeżenia i otworzył ogień. Strzelał, dopóki nie opróżnił magazynka. Muller przyciągnął tarczę, podczas gdy Gabriel wyjął pusty magazynek i pozbierał łuski.

- Jezu Chryste.

Wszystkie piętnaście strzałów trafiło w sam środek twarzy celu.

- Chce pan spróbować raz jeszcze? - spytał Muller.

- Nie, dzięki, wystarczy.

- A co z kaburą na ramię?

- Do tego służą spodnie.

- Proszę pozwolić, że dam panu zapasowy magazynek.

- Dajcie dwa. I dodatkowe pudełko amunicji.

Odebrał paczkę z ubraniami z biura komendanta, potem pospieszył do Pałacu Apostolskiego. Na górze, na trzecim piętrze, Donati pokazał mu mały pokój gościnny z osobną łazienką i prysznicem.

- Ukradłem tę brzytwę Ojcu Świętemu - powiedział Donati. - Ręczniki są w szafce pod umywalką.

Od przylotu prezydenta dzieliło ich jeszcze półtorej godziny.

Gabriel ogolił się niespiesznie, potem kilka minut spędził, stojąc pod prysznicem. Ubranie wycyganione od gwardzistów pasowało na niego zaskakująco dobrze i o jedenastej szedł już pokrytym freskami korytarzem do prywatnych apartamentów papieskich, wyglądając jak przystało.

Zanim udał się do koszar, poprosił Donatego o coś jeszcze: kopię końcowego raportu, przygotowanego wspólnie przez włoskie i watykańskie służby bezpieczeństwa na temat październikowego zamachu. Przeczytał go teraz nad cappuccino i cornetto w papieskiej jadalni, potem spędził kilka minut, zmieniając kanały na pilocie papieskiego telewizora w poszukiwaniu jakichkolwiek informacji o jedenastu ciałach znalezionych w szwajcarskim domku alpejskim. W żadnym z międzynarodowych programów informacyjnych nie padło na ten temat ani słowo. Podejrzewał zatem, że zespół Cartera wykonał już swoje zadanie.

Donati przyszedł po niego za kwadrans dwunasta. Udali się do Pałacu Belwederskiego i znaleźli pusty gabinet ze świetnym widokiem na ogrody. Chwilę później drzewa zaczęły drżeć i kołysać się, potem pojawiły się dwa ogromne dwuwirnikowe helikoptery i usiadły na lądowisku w odległym krańcu miasta-państwa. Gabriel poczuł, jak opuszcza go część napięcia, kiedy pierwszy helikopter przeleciał bezpiecznie nad wierzchołkami drzew. Pięć minut później zobaczyli, jak amerykański prezydent kroczy pewnie w stronę pałacu, otoczony przez kilkunastu uzbrojonych po zęby, wyglądających na zdenerwowanych borowców.

- Agenci będą musieli poczekać w ogrodzie - powiedział Donati. - Amerykanom się to nie podoba, ale tak stanowi protokół. Wiesz, że próbowali przeszmyglować kilku tajniaków do składu oficjalnej delegacji?

- Nie mów.

Donati popatrzył na Gabriela.

- Czy chciałbyś mi coś powiedzieć?

- Tak - odparł Gabriel. - Wracajmy do Pałacu Apostolskiego. Powinniśmy tam być, zanim pojawi się prezydent.

Donati odwrócił się i ruszył przodem.

Dotarli do auli Clementina, strzelistej, pokrytej freskami komnaty piętro niżej pod papieskimi apartamentami, pięć minut przed prezydentem. Ojca Świętego jeszcze nie było. Na zewnątrz szerokiego wejścia stał ceremonialny oddział gwardzistów, kilku innych po cywilnemu czekało wewnątrz. Na końcu długiego prostokątnego pomieszczenia znajdowały się dwa bogato zdobione krzesła, a pod przeciwną ścianą grupka reporterów, fotografów i operatorów kamer w wyjątkowo pieskich nastrojach. Kontrole i rewizje przeprowadzone przez gwardzistów i borowców były o wiele bardziej drobiazgowo i przykre niż zwykle, a trzem europejskim zespołom dziennikarskim w ogóle odmówiono wstępu z powodu niewielkich niedokładności w dokumentach akredytacyjnych. Media uzyskały zgodę na nagranie pierwszych chwil historycznego spotkania, potem miały opuścić salę.

Donati wyszedł na korytarz, żeby tam zaczekać na Ojca Świętego. Gabriel jeszcze przez chwilę się rozglądał, potem przemierzył pokój i stanął kilka metrów od krzesła przeznaczonego dla papieża. Przez kilka następnych minut jego oczy lustrowały grupkę dziennikarzy w poszukiwaniu oznak zdenerwowania albo twarży, która wydawałaby się z jakiegokolwiek względu nie pasować do reszty. Następnie temu samemu badaniu poddał delegację kurialnych prałatów stojącą na lewo od niego.

Tuż przed godziną dwunastą białą odziana postać Ojca Świętego weszła do pokoju w towarzystwie Donatego, sekretarza stanu i czterech gwardzistów w cywilnych ubraniach. Był wśród nich Erich Muller, ten sam, który wydał Gabrielowi pistolet. Jego spojrzenie spoczęło przelotnie na Gabrielu, którego powitał zdawkowym kiwnięciem głowy. Papież przeszedł przez cały pokój i zatrzymał się przed swoim bogato zdobionym krzesłem. Donati, rosły i rzucający się w oczy w szytej na miarę sutannie i pasie w kolorze fuksji, stał u boku swego zwierzchnika. Popatrzył krótko na Gabriela, potem przeniósł wzrok na wejście, którym wkraczał prezydent Stanów Zjednoczonych.

Gabriel szybko zlustrował oficjalną delegację prezydenta. Byli w niej czterej tajni agenci, obliczył, może dwóch lub trzech więcej.

Potem zaczął omiatać komnatę spojrzeniem niczym reflektor-szperacz: dziennikarze, kurialni prałaci, gwardziści, prezydent i Ojciec Święty. Właśnie odbywało się powitanie: uściski dłoni, ciepłe uśmiechy w osłepiającym białym świetle fleszów.

Szybkość, z jaką się to wydarzyło, zaskoczyła nawet samego Gabriela. W rzeczywistości gdyby nie Donati, myślał później konserwator, mógłby w ogóle niczego nie zauważyć. Oczy księdza rozszerzyły się nagle i zaraz potem Donati wykonał gwałtowny ruch w bok w stronę prezydenta. Gabriel odwrócił się i zobaczył broń. Bronią był SIG-Sauer kalibru 9 milimetrów, a ręka, która go trzymała, należała do starszego szeregowego Ericha Mullera.

Konserwator wyciągnął pistolet i otworzył ogień, ale Muller zdążył już oddać dwa strzały. Gabriel nie słyszał krzyków ani nie zwracał uwagi na błyski fleszów. Strzelał, dopóki gwardzista nie osunął się martwy na marmurową podłogę. Agenci BOR ukryci w amerykańskiej delegacji chwycili prezydenta i zaczęli pchać go w stronę drzwi. Pietro Lucchesi, biskup Rzymu,

Pontifex Maximus, następca świętego Piotra, padł na kolana i zaczął modlić się nad leżącym ciałem rosłego księdza w czarnej sutannie.

38

Rzym

Na jedenastym piętrze kliniki Gemelli znajdują się pomieszczenia, które znają tylko nieliczni. Proste i urządzone po spartańsku, są pokojami księdza. W jednym z nich stoi szpitalne łóżko. W drugim kanapa i krzesła. W trzecim mieści się prywatna kaplica. Na korytarzu przed wejściem postawiono biurko dla strażników. Ktoś tam zawsze stoi na warcie, nawet jeśli pokoje są puste.

Choć owo szpitalne łóżko zarezerwowane jest dla przywódcy miliarda rzymskich katolików, tego wieczoru spoczywał na nim zaufany osobisty sekretarz tego przywódcy. Ulica pod jego oknem roiła się od tysięcy wiernych. O dziewiątej ucichli, by posłuchać pierwszego bolletino z biura prasowego Watykanu. Monsignore Luigi Donati, głosił komunikat, przeszedł siedmiogodzinną operację po dwukrotnym postrzale pociskami kalibru 9 milimetrów.

Stan monsignore opisano jako „wyjątkowo ciężki” i nie ukrywano, że jego przeżycie jest sprawą mocno wątpliwą. Komunikat kończył się informacją, że Ojciec Święty czuwa u boku rannego i planuje tam pozostać przez jakiś czas. Nie wspomniano, że Gabriel też tam był.

Siedzieli razem na kanapce w bawialni. W drugim pokoju za otwartymi drzwiami leżał Donati, błądliwy i nieprzytomny. Dokoła niego stał zespół lekarzy i pielęgniarek z posępnymi minami.

Ojciec Święty miał przymknięte oczy i przesuwiał w dłoniach paciorki różańca. Na białej sutannie widniała szeroka plama zakrzepłej krwi. Odmówił przebrania się. Gabriel, patrząc teraz na niego, pomyślał o Szamronie i jego skórzanej kurtce. Miał nadzieję, że papież nie obwinia się o to, co się wydarzyło.

Przeniósł wzrok na telewizor. Film z zamachu, jeden z najbardziej dramatycznych momentów kiedykolwiek relacjonowanych na żywo, przesuwiał się na ekranie klatka po klatce. Emitowany był bez końca, non stop. Gabriel widział go już co najmniej tuzin razy i teraz jeszcze raz obejrzał. Zobaczył Mullera wychylającego się z grupki gwardzistów z pistoletem w wyciągniętych dłoniach. Zobaczył siebie samego, wydobywającego broń zza pazuchy, i Donatego, jak rzuca się swym długim ciałem przed prezydenta Stanów Zjednoczonych, kiedy Muller stworzył ogień. Ułamek sekundy, pomyślał Gabriel. Gdyby zobaczył Mullera ułamek sekundy wcześniej, mógłby wystrzelić pierwszy. A Donati nie leżałby teraz bliski śmierci na jedenastym piętrze kliniki Gemelli. Spojrzał na papieża. Oczy Ojca Świętego były otwarte, utkwione w ekranie telewizora.

- Skąd wiedział, że trzeba zasłonić prezydenta, a nie mnie?
- Podejrzewam, że zrozumiał, iż Muller mógł zabić Waszą Świątobliwość mnóstwo razy, gdyby taki miał zamiar. Chodziło mu w pierwszym rzędzie o prezydenta i Luigi w lot to pojął.
- W mgnieniu oka.
- To jeden z najinteligentniejszych ludzi, jakich kiedykolwiek znałem, Wasza Świątobliwość. - Przeniósł wzrok na Donatego.
- Uratował prezydenta Stanów Zjednoczonych i prawdopodobnie nawet nie zdaje sobie z tego sprawy.

- Luigi po prostu zatrzymał kule - powiedział papież - ale to ty go uratowałeś. Gdyby nie ty, nawet byśmy się czegoś takiego nie spodziewali. Skąd wiedziałeś, Gabrieliu? Skąd wiedziałeś, że uderzą w nas znowu, i to właśnie dzisiaj?

- O tym porozmawiamy później. Znacznie później.

- Jesteście w trakcie jakiejś operacji, prawda?

Gabriel milczał.

- Erich Muller, członek mojej pałacowej gwardii... - Papież urwał. - Ciągłe nie mogę w to uwierzyć. Jak im się to udało, Gabrieliu? Jak im się udało wprowadzić zabójcę w szeregi Gwardii Szwajcarskiej?

- Nasze informacje są bardzo pobieżne, Wasza Świątobliwość, ale, jak się zdaje, Muller został zwerbowany jakiś czas po opuszczeniu szwajcarskiej armii. Nie czekała na niego żadna praca, więc blisko półtora roku spędził, podróżując po Europie i rejonie Morza Śródziemnego. Kilka miesięcy przebywał w Hamburgu, następnych kilka w Amsterdamie. Znany był z częstego uczestnictwa w antyamerykańskich i antyizraelskich manifestacjach. Mógł nawet przejść na islam. Uważamy, że został zwerbowany do komórki terrorystycznej przez niejakiego profesora Alego Massudiego.

- Massudiego? Naprawdę? Dobry Boże, Gabrieliu, wydaje mi się, że profesor Massudi przedstawił kilka opracowań mojej specjalnej komisji do spraw poprawy stosunków między islamem a Zachodem. Chyba nawet odwiedził kiedyś Watykan.

- Poprawa stosunków między islamem a Kościołem nie była prawdziwym zamiarem profesora Massudiego, Wasza Świątobliwość.

- Najwyraźniej - westchnął papież. - Teraz chyba już wiemy, kto otworzył Bramę Śmierci zamachowcom-samobójcom w październiku. To był Muller, prawda?

Gabriel skinął głową i popatrzył na telewizor, gdzie znowu zaczynała się relacja z zamachu.

- Zastanawiam się, jak wielu ludzi widziało dzisiaj ten obraz - powiedział papież.

- Miliardy, Wasza Świątobliwość.

- Coś mi mówi, że twoje dni w charakterze tajnego agenta dobiegły końca. Witaj z powrotem w rzeczywistym świecie, Gabrieliu.

- To nie jest świat, w którym dobrze się czuję.

- Co teraz zamierzasz?

- Muszę wracać do Izraela.

- A potem?

- Moja przyszłość jest cokolwiek niepewna.

- Jak zwykle - uśmiechnął się smutno papież. - Francesco Tiepolo mówił mi, że ty i Chiara znowu się zeszlście.

- Tak, Wasza Świątobliwość. Ona jest teraz w Izraelu.

- Jakie masz wobec niej plany?

- Będę musiał się z nią ożenić, zanim znowu ode mnie odejdzie.

- Bardzo mądrze. A potem?

- Jeden krok na raz, Wasza Świątobliwość.

- Pozwolisz, że dam ci jeszcze jedną radę?

- Naturalnie.

- Od tej chwili jesteś najsławniejszym człowiekiem we Włoszech. Bohaterem narodowym. Coś mi mówi, że ten kraj przyjąłby cię z powrotem z otwartymi ramionami. I tym razem nie jako Maria Delvecchio.

- Wszystko w swoim czasie.

- Na twoim miejscu przerzuciłbym most do Wenecji już teraz.

Papież patrzył chwilę w milczeniu przez otwarte drzwi.

- Nie wiem, co pocznę, jeśli Bóg mi go zabierze. Nie mogę kierować Kościołem rzymskokatolickim bez Luigiego Donatiego.

- Pamiętam dzień, w którym przyjechał do Jerozolimy zobaczyć się ze mną - rzekł Gabriel. - Kiedy spacerowaliśmy po Starym Mieście, głupio określiłem go jako niewierzącego u boku męża wielkiej wiary. Ale wystawienie własnego ciała na te kule wymagało sporo wiary.

- Luigi Donati jest człowiekiem wyjątkowej wiary. Po prostu czasami sobie tego nie uświadamia. Teraz ja nie mogę tracić wiary. Muszę wierzyć, że Bóg uzna za słuszne pozostawić mi go na jakiś czas jeszcze - i że uzna za właściwe położyć teraz kres temu szaleństwu.

Potem papież zadał Gabrielowi to samo pytanie, z którym zwrócił się do niego po październikowym zamachu.

- Czy już po wszystkim?

Tym razem to Gabriel popatrzył na telewizor i nic nie powiedział.

„Nie, Wasza Świątobliwość - pomyślał. - Niezupełnie”.

Część czwarta

Świadek

Waszyngton

Nadzwyczajna komisja Senatu zebrała się miesiąc po próbie zamachu na życie prezydenta. W swoich inauguracyjnych oświadczeniach jej członkowie zapewnili naród amerykański, że śledztwo będzie gruntowne i bezkompromisowe, ale już z końcem pierwszego tygodnia prac senatorzy z obydwu partii byli otwarcie zirytowani tym, co uważali za brak szczerości szefów wywiadu i prezydenckiej ochrony. Ludzie prezydenta bardzo skrupulatnie i w najdrobniejszych szczegółach tłumaczyli, jak siłą globalnego ekstremizmu islamskiego udało się przeniknąć do serca chrześcijaństwa i jak profesor Ali Massudi zdołał zwerbować młodego Szwajcara nazwiskiem Erich Muller i umieścić go w szeregach papieskiej Gwardii Szwajcarskiej. Ale kiedy wypłynęła kwestia, kto stał za dwoma atakami na Watykan - i, co ważniejsze, kto je finansował - mogli służyć jedynie domysłami. Nie byli też w stanie wyjaśnić satysfakcjonująco żadnemu z członków komisji obecności w Watykanie niejakiego Gabriela Allona, teraz już legendarnego izraelskiego agenta i zabójcy. Po wielu wewnętrznych naradach senatorowie postanowili wezwać go przed swoje oblicze. Ponieważ był cudzoziemcem, nie ciążył na nim obowiązek stawienia i, jak oczekiwano, stanowczo odmówił jakichkolwiek zeznań. Trzy dni później ni stąd, ni zowąd, zmienił zdanie.

Będzie zeznawał, poinformował ich, ale tylko na posiedzeniu zamkniętym i tajnym. Senatorowie skwapliwie na to przystali i poprosili, by przyjechał do Waszyngtonu w następny czwartek.

Wszedł do podziemnego pokoju przesłuchań sam. Kiedy przewodniczący komisji kazał mu wstać i podać nazwisko do protokołu, uczynił to bez wahania.

- A kto jest pana pracodawcą?

- Premier państwa Izrael.

- Mamy wiele pytań, które chcielibyśmy panu zadać, mister Allon, ale zostaliśmy poinformowani przez waszego ambasadora, że nie odpowie pan na żadne, które uzna za niestosowne.

- Zgadza się, panie przewodniczący.

- Poinformowano nas także, że jest pańskim życzeniem odczytanie do protokołu oświadczenia, zanim zaczniemy przesłuchanie.

- To także się zgadza, panie przewodniczący.

- To oświadczenie dotyczy Arabii Saudyjskiej i amerykańskich z nią powiązań.

- Tak, panie przewodniczący.

- Gwoli przypomnienia, mister Allon: to jest posiedzenie tajne, ale pozostanie zapis pana uwag.

- Rozumiem, sir.

- Bardzo dobrze. Zatem może pan przystąpić do wygłoszenia oświadczenia.

Gabriel spojrział na kartki i zaczął czytać. W odległym kącie pokoju pewien mężczyzna wyraźnie się wzdrygnął. „W amerykańskim Senacie pojawił się Herkules - pomyślał. - I przyniósł ze sobą kołczan pełen nurzanych w jadzie strzał”.

- Gratulacje, Gabrielu - powiedział Adrian Carter. - Nie mogłeś sobie tego odmówić, prawda? Daliśmy ci scenę, a ty z niej skwapliwie zrobiłeś użytek.

- Senatorzy musieli się dowiedzieć o prawdziwej naturze saudyjskiego reżimu i wsparciu, jakiego udziela światowemu terroryzmowi. Naród amerykański winien wiedzieć, na co wydawane są te wszystkie petrodolary.

- Przynajmniej udało ci się przemilczeć rolę Ziziego.

- Mam inne plany wobec Ziziego.

- Lepiej nie próbuj. Poza tym powinieneś chyba teraz trzymać oko na piłce?

- Oko na piłce? Co masz na myśli?

- To taka sportowa metafora, Gabrielu. Uprawiasz jakiś sport?

- Nie mam czasu na sport.

- Z każdym dniem coraz bardziej przypominasz Szamrona.

- Uznam to za komplement - oświadczył Gabriel. - Na jakiej piłce powinienem trzymać oko?

- Na ibn Shafiku. - Carter zerknął z ukosa na Gabriela. - Macie jakiś ślad?

Konserwator pokręcił głową.

- A wy?

- Po prawdzie to może nawet coś mamy.

- Coś, z czymś chciałbyś się ze mną podzielić?

- Jeszcze nie.

Carter przejechał przez Memorial Bridge i skręcił w aleję Jerzego Waszyngtona. Przez kilka chwil jechali w milczeniu. Gabriel wyglądał przez okno, podziwiając widok na Georgetown po drugiej stronie rzeki.

- Wyczytałem z twojego planu podróży, że w drodze powrotnej do Izraela zatrzymujesz się w Rzymie - powiedział Carter. - Planujesz przyjąć kolejne zlecenie od Watykanu?

- Po prostu chcę spędzić trochę czasu z Donatim. Kiedy wyjeżdżałem z Rzymu, był nadal nieprzytomny. - Gabriel popatrzył na zegarek. - Dokąd mnie zabierasz, Adrianie?

- Masz jeszcze kilka godzin do odlotu. Jest tu za miastem fajne miejsce, gdzie możemy zjeść lunch.

- Jak długo zajmie nam droga?

- Jakąś godzinkę.

Gabriel usadowił się wygodniej w fotelu i zamknął oczy.

Obudził się, kiedy wjeżdżali do małego miasteczka o nazwie Równiny. Carter zwolnił, przejeżdżając przez symboliczną dzielnicę handlową, potem pokonał stare tory kolejowe i raz jeszcze wjechał w teren niezabudowany. Droga wyglądała Gabrielowi znajomo, podobnie jak zwirowy podjazd, w który Carter skręcił jakieś półtora kilometra dalej, a który biegł wzdłuż brzegu wąskiego strumienia. Na lewo znajdowała się pofałdowana łąka, a na niej duży dom farmerski z grynspanowym miedzianym dachem i dwupoziomową werandą. Kiedy Gabriel był w tym domu po raz ostatni, drzewa nie miały liści, a na ziemi leżał śnieg. Teraz derenie stały w kwieciu, a pola zieleniły się świeżą wiosenną trawą.

Pastwiskiem przycwałował do nich koń, na którym jechała złotowłosa kobieta. Z twarzy zeszła już opuchlizna i jej wygląd wrócił do normy. „Jeśli nie liczyć ciemnych smug pod oczyma” - pomyślał Gabriel. W tych oczach ciągle jeszcze malowały się ślady koszmaru, jaki Sara przeżyła w domku alpejskim w kantonie Uri.

Z wprawą doprowadziła konia do samochodu i zerknęła na Gabriela. Na jej ustach zagościł uśmiech i przez chwilę wyglądała jak ta sama piękna kobieta, która szła ulicą Q w Waszyngtonie zeszłej jesieni. Potem uśmiech zniknął i dwoma precyzyjnymi uderzeniami obcasa

posłała konia galopem przez łąkę w stronę domu.

- Miewa lepsze i gorsze dni - powiedział Carter, patrząc za nią. - Ale jestem pewien, że to rozumiesz.

- Tak, Adrianie, rozumiem.

- Zawsze uważałem osobiste urazy i pamiętliwość za szkodliwe w naszym biznesie, ale nigdy nie wybaczę Ziziemu tego, co jej zrobił.

- Ja też mu nie wybaczę. A jestem bardzo pamiętliwy.

Zjedli razem spokojny lunch w chłodnym świetle słonecznym na tylnej werandzie.

Później Carter zajął się naczyniami, a Gabriel i Sara ruszyli na spacer ciemniejącym lasem.

Ochroniarz z CIA próbował iść za nimi, ale konserwator wziął go za ramię i odesłał do domu.

Sara miała na sobie bryczesy, buty do konnej jazdy i kurtkę z polaru. Gabriel ciągle ubrany był w ciemnoszary garnitur, w którym wystąpił na przesłuchaniach komisji. W prawej dłoni trzymał browninga High-Power, którego zabrał ochroniarzowi.

- Adrian nie wydaje się przesadnie zadowolony z twojego występu przed komisją.

- Nie jest.

- Ktoś musiał przekazać informacje o naszych przyjaciółach al-Saudach. A kto, jeśli nie ty? Cokolwiek by mówić, uratowałaś prezydentowi życie.

- Nie, Saro, to ty go uratowałaś. Może któregoś dnia twój kraj dowie się, ile ci zawdzięcza.

- Nie zamierzam pchać się na afisz w najbliższym czasie.

- Jakie masz plany?

- Adrian ci nie powiedział? Wstępuję do agencji. Uznałam, że świat sztuki nie zawali się po stracie jednego kustosa.

- Po której stronie? Operacje czy wywiad?

- Wywiad - powiedziała. - Pracy operacyjnej mam dość do końca życia. Poza tym nigdy nie byłabym już bezpieczna. Zizi bardzo jasno mi wyłożył, co się dzieje z ludźmi, którzy go zdradzają.

- Ma długie ręce. A jak z twoim zabezpieczeniem tu w Ameryce?

- Dadzą mi nowe nazwisko i tożsamość. Muszę wybrać jakieś imię. Zastanawiałam się, czy pozwoliłbyś mi korzystać z imienia swojej matki?

- Irene? - Gabriel się uśmiechnął. - Byłbym zaszczycony. Była taka jak ty - niezwykle odważna kobieta. Kiedy przyjedziesz do Izraela, przeczytasz, co się jej przydarzyło w czasie wojny.

Sara przystanęła, by przebiec palcem po płatkach derenia, potem ruszyli dalej wśród drzew.

- A co z tobą, Gabrielu? Jakie masz plany?

- Obawiam się, że ty i ja chyba podążymy w przeciwnych kierunkach.

- To znaczy?

- Niestety, na razie nie mogę nic więcej powiedzieć.

Zrobiła nadąsaną minę i żartobliwie pacnęła go w ramię.

- Chyba nie zamierzasz teraz mieć przede mną tajemnic, prawda?

- Obecnie, gdy pracujesz dla służb wywiadowczych innego kraju, nasza znajomość będzie siłą rzeczy musiała podlegać pewnym... - urwał, szukając właściwego słowa - ograniczeniom.

- Gabrielu, proszę. Łączy nas więź, która wykracza daleko poza zasady obowiązujące w kontaktach między znającymi się agentami różnych służb.

- Jak widzę, zaczęłaś już szkolenie.

- Krok po kroku - odparła. - To pomaga zmniejszyć nudę samotnego życia na tej farmie.

- Dobrze się czujesz, Saro?
- Dni są w porządku, noce bardzo ciężkie.
- Przez długi czas tak będzie. Ale praca dla agencji pomoże. Wiesz już, dokąd cię przydzielą?
- Do działu saudyjskiego - powiedziała. - Nalegałam.
Drzewa zadrżały od huku odległego pioruna. Sara spytała o Juliana Isherwooda.
- W tej chwili jego sytuacja jest bardzo zbliżona do twojej.
- Gdzie go trzymacie?
- Saro.
- Daj spokój, Gabrielu.
- Zaszły się w starym domu nieopodal Land's End w Kornwalii.
- A co z galerią?
- Na razie jest zamknięta. Twój wyjazd z Londynu wywołał małe poruszenie. Chłopcy przy barze w Green's bardzo za tobą tęsknią.
- Ja za nimi też. Ale najbardziej brakuje mi naszego zespołu.
- Wszyscy przesyłają pozdrowienia. - Gabriel zawahał się. - Prosilili także, żebym cię przeprosił.
- Za co?
- Zawiedliśmy cię, Saro. To oczywiste, że musieliśmy zostać wykryci przez ibn Shafika albo ochroniarzy Ziziego.
- Może to ja popełniłam jakiś błąd. - Sara wzruszyła ramionami. - Ale teraz to już nieważne. Wszyscy wyszliśmy z tego cali i zdrowi, likwidując jedenastu z nich w tamtym domku. I udaremniliśmy jeszcze zamach na prezydenta. To nie tak źle, Gabrielu.
Rozległ się kolejny grzmot, tym razem bliższy. Dziewczyna popatrzyła w niebo.
- Muszę zadać ci kilka pytań, Saro. Jest parę rzeczy, które musimy wiedzieć, zanim będziemy mogli zamknąć tę operację.
Jej spojrzenie pozostało utkwione w chmurach.
- Musicie wiedzieć, co im powiedziałam w tym domku w Szwajcarii.
- Wiem, że byłaś wtedy pod wpływem narkotyków. Wiem, że potem prawdopodobnie usiłowałaś wyrzucić to wszystko z pamięci.
Popatrzyła na niego i potrząsnęła głową.
- Nie próbowałam zapomnieć - stwierdziła. - Mówiąc szczerze, pamiętam każde słowo.
Pojawiły się pierwsze krople deszczu. Sara zdawała się nie zwracać na nie uwagi. Szli dalej wśród drzew i zdała mu dokładną relację.

*

Carter zawiózł Gabriela na lotnisko Dullesa i przeprowadził go przez ochronę. Siedzieli razem w specjalnej poczekalni dla dyplomatów i czekali na zaanonsowanie lotu. Amerykanin zabijał czas, oglądając wieczorne wiadomości. Uwaga Gabriela skierowana była na mężczyznę siedzącego po przeciwnej stronie pomieszczenia: księcia Baszira, saudyjskiego ambasadora w Stanach.

- Nawet o tym nie myśl, Gabrielu.
- Publiczne konfrontacje nie są w moim stylu, Adrianie.
- Może nie w twoim, ale Baszir się w nich lubuje.
Jakby na dany znak, Saudyjczyk podniósł się i przeszedł przez poczekalnię. Stanął nad Gabrielem, jednak nie wyciągnął ręki.
- Słyszałem, że dziś rano zrobił pan z siebie niezłe przedstawienie na Kapitolu, panie

Allon. Wszystko to żydowskie łgarstwa i propaganda, niemniej całkiem zabawne.

- Zeznanie miało być tajne, Baszir.

- W tym mieście nie dzieje się nic, o czym bym nie wiedział. A, i „książę Baszir”, z łaski swojej. - Ambasador popatrzył na Cartera.

- Pan jest odpowiedzialny za ten dzisiejszy cyrk, Adrianie?

- Senatorowie wystosowali wezwanie, wasza książęca mość. Agencja nie miała z tym nic wspólnego.

- Powinniście byli coś zrobić, żeby temu zapobiec.

- Nie jesteśmy w Rijadzie, panie ambasadorze.

Baszir spiorunował Cartera wzrokiem, po czym wrócił na swoje miejsce.

- Chyba już się nie załapię na saudyjski fundusz emerytalny.

- Co?

- Nieważne - machnął ręką Carter.

Dziesięć minut później wywołano lot Gabriela. Carter odprowadził kolegę do bramki.

- Ach, byłbym zapomniał. Kiedy przechadzaliście się z Sarą, zadzwonił prezydent. Chciał ci podziękować. Powiedział, że złapie cię kiedy indziej.

- Przekaż mu, żeby nie zawracał sobie tym głowy.

- Powiedział także, że chce, żebyś dalej pracował nad sprawą, którą omawialiście wtedy przed Białym Domem.

- Jesteś pewien?

- Pewien czego?

- Że prezydent tak powiedział?

- Absolutnie - rzekł Carter. - A tak w ogóle, o czym wtedy rozmawialiście?

- To była osobista rozmowa, Adrianie, i taka pozostanie.

- Brawo - rzekł Carter.

Uścisnęli sobie dłonie, potem Gabriel się odwrócił i wszedł na pokład samolotu.

33

Tyberiada, Izrael

Następnego wieczoru był szabat. Gabriel spał do późnego popołudnia, wziął prysznic, ubrał się i pojechał z Chiarą do doliny Ezdrelon. Zatrzymali się na chwilę w Tel Megiddo, żeby zabrać Eliego Lavona, potem ruszyli w kierunku Jeziora Tyberiadzkiego. Słońce chyliło się już ku zachodowi, kiedy wreszcie dotarli do willi z miodowego piaskowca przycupniętej na występie skalnym wychodzącym na jezioro. Szamron przywitał ich we frontowych drzwiach. Twarz miał wymizerowaną i wychudłą; chodził o lasce. Była zrobiona z drzewa oliwnego i bardzo elegancka.

- Premier podarował mi ją tego ranka, kiedy opuściłem centrum rehabilitacyjne w Jerozolimie. Omal go nią wtedy nie sprąłem. Gilah uważa, że wyglądam z nią bardziej dystyngowanie. - Wprowadził ich do środka i popatrzył na Gabriela. - Widzę, że paradujesz w mojej kurtce. Teraz, kiedy stało się jasne, że będę żył jeszcze kupę czasu, chciałbym ją odzyskać.

Gabriel ściągnął kurtkę i powiesił na wieszaku w korytarzu.

Z głębi domu doleciał głos Gilah wzywającej ich do stołu na kolację. Kiedy weszli do jadalni, zapalała świece. Był już tam Jonatan z żoną. A także Rimona z mężem. Ronit siedziała obok ojca i taktownie nakładała mu na talerz serwowane potrawy.

Nie padło ani jedno słowo na temat operacji ibn Shafika i Watykanu. Rozmawiali o wystąpieniu Gabriela przed amerykańskim Kongresem. Z kwaśniej miny Szamrona można było wnosić, że go nie pochwalał, co stało się zupełnie jasne, kiedy po kolacji Stary zaprowadził konserwatora na taras, żeby porozmawiać na osobności.

- Miałeś rację, odrzucając wezwanie za pierwszym razem, Gabrielu. Nie powinieneś był zmieniać potem zdania. Sama myśl o tym, że siedzisz przed tą komisją, nawet na zamkniętym posiedzeniu, cofnęła moją rehabilitację o sześć miesięcy.

- Źródłem islamskiego ekstremizmu są Arabia Saudyjska i wahhabizm - powiedział Gabriel. - Senat musiał to usłyszeć. Tak samo amerykański naród.

- Mogłeś przekazać swoje przemyślenia tajną depeszą. Nie musiałeś sterczeć tam przed nimi, odpowiadając na pytania jak jakiś zwykły chłystek.

Siedzieli w wygodnych fotelach przodem do balustrady. W spokojnej tafli jeziora odbijał się księżyc w pełni, a dalej, za jeziorem, majaczyły czarne i bezkształtne Wzgórza Golan. Szamron uwielbiał tu siedzieć, ponieważ taras wychodził na wschód, na stronę wroga. Sięgnął za poduszkę na oparciu fotela i wyciągnął srebrną papierośnicę oraz swoją starą zapalniczkę Zippo.

- Nie powinieneś palić, Ari.

- Nie mogłem, kiedy byłem w Hadassah, i potem w centrum rehabilitacyjnym. To będzie mój pierwszy od czasu zamachu.

- Mazel tow - uśmiechnął się gorzko Gabriel.

- Jeśli szepniesz słówko Gilah, obję cię laską.

- Myślisz, że uda ci się oszukać Gilah? Ona wie wszystko.

Szamron ponownie skierował rozmowę na zeznania Gabriela w Waszyngtonie.

- Może miałeś jakieś ukryte motywy - zasugerował. - Może chciałeś zrobić coś więcej, niż tylko podzielić się z narodem amerykańskim prawdą na temat jego saudyjskich przyjaciół.

- A jakież ukryte motywy mogłyby mną kierować?

- Po Watykanie stałeś się zapewne najślawniejszym agentem wywiadu na całym świecie. A teraz... - Szamron wzruszył ramionami. - W naszym biznesie nie szuka się rozgłosu. Praktycznie uniemożliwiłeś nam wykorzystanie cię jeszcze kiedykolwiek w charakterze tajnego agenta.

- Nie przejmę operacji specjalnych, Ari. Poza tym to stanowisko zaproponowano już Uziemiu.

- Uzi to świetny agent, ale gdzie mu do ciebie.

- Dzięki Uziemiu Sara Bancroft jeszcze żyje. To najwłaściwszy kandydat do kierowania specoperacjami.

- Nigdy nie powinieneś korzystać z usług tej Amerykanki.

- Żałuję, że nie ma jeszcze paru takich jak ona.

Szamron stracił zainteresowanie papierosem. Wsunął go z powrotem do papierośnicy i spytał Gabriela, co zamierza robić.

- Mam jeszcze pewną niedokończoną sprawę tyzącą tego van Gogha. Obiecałem Hannah Weinberg, że go odzyskam. Zamierzam dotrzymać tej obietnicy niezależnie od swojej świeżo nabytej sławy.

- Wiesz, gdzie się znajduje?

Gabriel skinął głową.

- Kiedy go odnawiałem, umieściłem w blejtramie lokalizator - powiedział. - Obraz jest w rezydencji Ziziego w Ile de la Cite.

- Po tym wszystkim, co przeszedłeś we Francji, zamierzasz ukraść płótno w Paryżu? - Szamron pokręcił głową. - Łatwiej byłoby ci się włamać do domu twojego przyjaciela prezydenta

niż do jednej z rezydencji Ziziego.

Gabriel zbył obawy starca szamronowskim machnięciem ręki.

- A potem?

Gabriel milczał.

- Ronit postanowiła wrócić do domu - odezwał się Stary - ale coś czuję, że ty zamierzasz nas znowu opuścić.

- Jeszcze nie podjąłem żadnych decyzji.

- Mam nadzieję, że postanowiłeś już coś w kwestii Chiary.

- Chcemy się jak najszybciej pobrać.

- Kiedy zamierzasz powiadomić o tym Leah?

Gabriel mu powiedział.

- Weź ze sobą Gilah - poradził Szamron. - Spędziły ze sobą mnóstwo czasu, kiedy ty byłeś w akcji. Leah będzie potrzebowała matczynego wsparcia w takiej chwili, a Gilah jest nadzwyczajną matką.

*

Gabriel i Chiara spędzili noc w willi Szamrona w pokoju wychodzącym na jezioro. Rankiem wszyscy zasiedli do śniadania na pogrążonym w słońcu tarasie, potem się rozjechali w różnych kierunkach. Jonatan ruszył na północ, żeby dołączyć do swojego oddziału, Rimona, która wróciła do służby w Amanie, skierowała się na południe do swojego. Gilah pojechała z Gabrielem i Chiara.

Wysadzili Lavona przy wykopalisku na Tel Megiddo i ruszyli dalej do Jerozolimy.

Był późny poranek, kiedy dotarli do kliniki psychiatrycznej na Górze Herzla. W holu czekał na nich doktor Bar-Zwi: mężczyzna z długą brodą, o wyglądzie rabina. Udali się do jego gabinetu i przez godzinę omawiali najlepszy sposób przekazania Leah wieści. Jej poczucie rzeczywistości było, w najlepszym wypadku, wątle. Przez całe lata zdarzenia z Wiednia rozgrywały się w jej głowie bez końca i wciąż na nowo, jak na oszalalej taśmie wideo. Teraz tkwiła zawieszona między terażniejszością a przeszłością, przenosząc się z jednej w drugą, często w odstępnie kilku sekund. Gabriel czuł się zobowiązany do powiedzenia jej prawdy, ale chciał, by było to możliwie bezbolesne.

- Ona wydaje się dobrze reagować na Gilah - powiedział lekarz.

- Może powinniśmy porozmawiać z nią na osobności, zanim pan to zrobi. - Popatrzył na zegarek. - Jest teraz na zewnątrz w ogrodzie. To jej ulubione miejsce. Chodźmy tam.

Siedziała na wózku inwalidzkim w cieniu pinii. W powykręcanych i pokrytych bliznami dłoniach trzymała gałązkę oliwną. Włosy, niegdyś długie i czarne, teraz były króciutko ostrzyżone i prawie siwe. Oczy pozostały nieobecne przez cały czas, kiedy Gilah i lekarz do niej mówili. Po dziesięciu minutach odeszli. Gabriel zbliżył się ogrodową ścieżką i przykucnął przy wózku, wzięwszy w ręce to, co zostało z jej dłoni. To Leah odezwała się pierwsza.

- Kochasz tę dziewczynę?

- Tak, Leah, bardzo ją kocham.

- Będiesz dla niej dobry?

Po policzkach spłynęły mu łzy.

- Tak, Leah, będę dla niej dobry.

Odwróciła od niego wzrok.

- Spójrz na ten śnieg, Gabrielu. Czyż nie jest piękny?

- Tak, Leah, jest piękny.

- Boże, jak ja nienawidzę tego miasta, ale w śniegu wygląda tak pięknie. Śnieg oczyszcza

Wiedeń z jego grzechów. Na Wiedeń pada śnieg, na Tel Awiw padają pociski. - Spojrzała na niego.

- Będziesz mnie nadal odwiedzał?

- Tak, Leah, będę cię odwiedzał.

I wtedy znowu odwróciła wzrok.

- Sprawdź, czy Dani jest dobrze przypięty w foteliku. Ulice są śliskie.

- Wszystko z nim w porządku, Leah. Uważaj, jadąc do domu.

- Będę jechać ostrożnie, Gabrielu. Pocałuj mnie.

Przycisnął wargi do bliznowatej tkanki jej zdeformowanego policzka i zamknął oczy.

Leah wyszeptała:

- Ostatni całus na do widzenia.

*

Ściany sypialni Gabriela zawieszono były obrazami. Były tam trzy płótna autorstwa jego dziadka - jedyne prace, które udało się Gabrielowi odnaleźć - i ponad tuzin pędzla matki. Wisiał tam także portret w stylu Egona Schielego, na którym nie widniał żaden podpis. Ukazywał młodego mężczyznę o przedwcześnie posiwiałych włosach i wyniszczonej twarzy znękaną widmem śmierci. Gabriel zawsze utrzymywał przed Chiara, że obraz był autoportretem. Teraz, kiedy leżała przy nim, powiedział jej prawdę.

- Kiedy go namalowała? - spytała Chiara.

- Tuż po moim powrocie z operacji Czarny Wrzesień.

- Była świetna.

- Tak - przyznał Gabriel, patrząc na portret. - O niebo lepsza ode mnie.

Chiara milczała przez chwilę. Potem spytała:

- Jak długo tu zostaniemy?

- Dopóki nie uda się nam go znaleźć.

- A jak długo to potrwa?

- Może miesiąc. Może rok. Wiesz, jak przebiegają takie sprawy, Chiaro.

- Podejrzewam, że będą nam potrzebne jakieś meble.

- Dlaczego?

- Ponieważ nie możemy normalnie mieszkać, mając jedynie pracownię i łóżko.

- Owszem, możemy - zaprotestował. - Czego nam jeszcze trzeba?

41

Paryż, sierpień

System zabezpieczeń wykrył wtargnięcie o godzinie drugiej trzydziści osiem w nocy. To był czujnik numer 154 umieszczony na jednej z czternastu par drzwi balkonowych prowadzących z tylnego ogrodu do wnętrza rezydencji. System nie był podłączony do centrali żadnej prywatnej firmy ochroniarzkiej ani posterunku policji, a jedynie do wewnętrznej domowej kontrolki, obsługiwanej dwadzieścia cztery godziny na dobę przez stały oddział ochroniarzy, którzy wszyscy co do jednego rekrutowali się z saudyjskiej Gwardii Narodowej.

Pierwszy ochroniarz dotarł do otwartego balkonu w ciągu piętnastu sekund po bezgłośnym alarmie i został ogłuszony przez jednego z szóstki zamaskowanych intruzów.

Dziesięć sekund później nadbiegło kolejnych dwóch strażników z wyciągniętą bronią; zostali zastrzeleni przez tego samego intruza. Czwarty ochroniarz, który się pojawił, pochodził z Jeddah, nie miał jeszcze trzydziestki ani ochoty umierać za dobytek jakiegoś milionera, i natychmiast podniósł ręce w geście poddania się.

Mężczyzna z bronią przewrócił Saudyjczyka na ziemię i usiadł mu na piersiach, obserwując wyświetlacz niewielkiego aparatu, który trzymał w dłoni. Twarz zasłaniała mu kominiarka, ale ochroniarz widział jego oczy koloru intensywnej zieleni. Nie odzywając się, zielonooki wskazał na rozległą klatkę schodową.

Dwóch członków jego zespołu rzuciło się w odpowiedzi do przodu.

Po trzydziestu sekundach wrócili, niosąc jedną tylko rzecz. Zielonooki pochylił głowę nad Saudyjczykiem i spokojnie mierzył go wzrokiem.

- Powiedz Ziziemu, że następnym razem przyjdę po niego - powiedział doskonałym arabskim. Potem ochroniarz dostał kolbą w głowę i stracił przytomność.

*

Trzy wieczory później na rue des Rosiers w Marais otworzyło podwoje Centrum Izaaka Weinberga do spraw Badań nad Antysemityzmem we Francji. Powołanie go do życia, jak większość wydarzeń dotyczących francuskich Żydów, nie obyło się bez kontrowersji.

Ultraprawicowa Partia Narodowa Jeana-Marie Le Pena zgłaszała zastrzeżenia co do źródeł finansowania instytucji, podczas gdy pewien znany islamski duchowny wezwał do jej bojkotu i zorganizował głośną manifestację w trakcie przyjęcia inauguracyjnego. Trzydzieści minut po jego rozpoczęciu pojawiła się informacja o podłożonej bombie. Wszyscy obecni, nie wyłączając Hannah Weinberg, zostali przez oddział francuskich antyterrorystów usunięci z budynku, a przyjęcie odwołano.

Później tego wieczoru Hannah spotkała się z kilkoma przyjaciółmi na spokojnej kolacji u Jo Goldenberga. Krótco po dwudziestej drugiej wróciła do domu na rue Pavee, osłaniana z ukrycia przez ochroniarza z izraelskiej ambasady. Na górze w mieszkaniu otworzyła zamek drzwi mieszczących się w końcu korytarza i włączyła światła. Stała przez chwilę, patrząc na obraz wiszący nad jej toaletką z czasów dzieciństwa, potem pogasiła światła i poszła spać.

42

Stambuł, sierpień

W końcu wszystko sprowadziło się do zwykłej handlowej transakcji, w czym zarówno Carter, jak i Gabriel skłonni byli widzieć palec boży. Pieniądze za informacje: bliskowschodnia tradycja. Dwadzieścia milionów za życie. Źródło było Cartera: ostatnie saudyjskie książątko z marskością wątroby i uzależnieniem od rumuńskich prostytutek. Pieniądze pochodziły od Gabriela, choć ongiś należały do Ziziego al-Bakariego. Książę nie potrafił podać nazwiska, tylko miejsce i czas. Termin przypadał na drugi poniedziałek sierpnia. Miejscem był hotel Ceylan Intercontinental w Stambule.

Pojawił się o dziesiątej wieczorem pod nazwiskiem al-Rasheed.

Był wyższy, niż pamiętali. Włosy miał długawe i dość mocno posiwiałe, podobnie jak bujny wąs. Pomimo sierpniowego upału nosił koszulę z długim rękawem i chodził z prawą dłonią wciśniętą w kieszeń spodni. Odrzucił pomoc bagażowego przy zanieśieniu jedynej torby, jaką

miął ze sobą, i ruszył na górę do swojego apartamentu na dwudziestym piątym piętrze. Z balkonu roztaczał się majestatyczny widok na Bosfor - pokój z widokiem był jednym z jego wielu wymogów. Gabriel znał i te wymogi, i numer pokoju, który mu przydzielono. Tę wiedzę również kupił za pieniądze. Dziewięć po dziesiątej mężczyzna wyszedł na balkon i popatrzył na wody cieśniny. Nie zdawał sobie sprawy, że obserwują go dwaj mężczyźni.

- To on, Eli?

- On.

- Jesteś pewien?

- Jestem pewien.

Gabriel podał Lavonowi telefon komórkowy. Ten pokręcił głową.

- Ty to zrób. Ja nigdy nie przepadałem za mokrą robotą.

Gabriel wystukał numer. Chwilę później balkon pochłonęła oślepiająca kula ognia, a palące się ciało Ahmeda ibn Shafika runęło na dół w ciemnościach. Gabriel czekał, żeby uderzyło w ziemię, potem wrzucił bieg w mercedesie i ruszył do Cannes.

*

Restauracja znana jako La Pizza jest jedną z najpopularniejszych w Cannes, tak więc informacja, że została wynajęta na jakieś prywatne przyjęcie, popsowała ten skądinąd piękny sierpniowy dzień. Po Croisette niosło się morze plotki i spekulacji na temat tożsamości człowieka odpowiedzialnego za ów skandal. Jednakże co lepiej zorientowani turyści wiedzieli, że odpowiedzi szukać należy w wodach tuż przy Starym Porcie. „Aleksandra”, ogromny jacht Abdula Aziza al-Bakariego, przyplłynęła do Cannes tego ranka, a jej właściciel, jak wiadomo, zawsze świętował swoje własne pojawienie się, rekwirując najmodniejszą restaurację w okolicy.

Kolację zaplanowano na dziewiątą. Za pięć dziewiąt dwie białe motorówki opuściły „Aleksandrę” i w świetle zachodzącego słońca w kolorze sjeny skierowały się w stronę portu. Za dwie dziewiątą zacumowały naprzeciwko La Pizzy; pod okiem wyjątkowo silnej ochrony goście zeszli na ląd i ruszyli do restauracji. Większość turystów, którzy zebrali się dokoła, żeby na własne oczy obejrzyć obiecująco zapowiadający się przyjazd, nie znała nazwiska Ziziego al-Bakariego ani nie umiała zidentyfikować choćby jednego członka jego ogromnej świty. Inaczej niż trzech mężczyzn przyglądający się widowisku z trawiastej esplanady na końcu Quai Saint-Pierre.

Świta pozostała w La Pizza przez dwie godziny. Później, już po wszystkim, media szczególnie mocno podkreślały fakt, że w czasie posiłku nie pito żadnego wina ani nie palono papierosów, co jakoby miało być dowodem wielkiej religijności. O jedenastej zero sześć znakomici goście wyszli z restauracji i ruszyli przez ulicę w stronę czekających motorówek. Zizi, tak jak miał w zwyczaju, szedł prawie na końcu, z dwoma mężczyznami po bokach: roslym Arabem o okrągłej twarzy, małych oczach i koziej bródce oraz ubranym na czarno Francuzem ze ściągniętymi w kucyk blond włosami.

Jeden z trójki obserwującej wcześniej z esplanady pojawienie się świty siedział teraz w kafejce sąsiadującej z La Pizza. Barczysty rudzielec wcisnął guzik na swoim aparacie telefonicznym, kiedy Zizi zbliżył się do punktu, który wybrali na miejsce jego śmierci.

W ciągu kilku sekund Quai Saint-Pierre nadjechały z rykiem dwa motocykle. Motocykliści wyciągnęli broń, kiedy się zbliżyli, i otworzyli ogień. Zizi został trafiony pierwszy i od razu śmiertelnie.

Ochroniarze po jego bokach sięgnęli po pistolety i też zostali z miejsca zabici. Potem motocykle skręciły ostro w lewo i skryły się na wzgórzu prowadzącym do starego miasta.

Mężczyzna z rudymi włosami wstał i się oddalił. To była jego pierwsza duża akcja w

charakterze szefa specoperacji i udała się wyśmienicie. Wiedział już jednak, że Cannes nie położy kresu zabijaniu: gdy odchodził, przed oczami mignął mu widok Nadii al-Bakari, klęczącej nad znieruchomiałym ciałem ojca i wykrzykującej obietnice zemsty.

Od autora

Posłaniec to fikcja literacka. Nazwiska, postaci, miejsca i wypadki opisane w tej powieści są albo czystym wytworem wyobraźni autora, albo zostały twórczo przekształcone. Jakikolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych, martwych lub żywych, firm, przedsiębiorstw, wydarzeń albo miejsca ich akcji jest absolutnie przypadkowe. Obraz Marguerite Gachet przy toalecie niestety nie istnieje, choć opis ostatnich dni życia Vincenta w Auvers oraz relacji łączących go z doktorem Paulem Gachetem i jego córką odpowiada prawdzie. Ci z czytelników, którzy znają spokojne zakątki Saint James, wiedzą, że na Mason's Yard, pod adresem fikcyjnej Isherwood: Sztuki Piękne, znajduje się galeria niezrównanego Patricka Matthiesena, któremu jestem bezgranicznie zobowiązany. Watykańskie procedury bezpieczeństwa opisane na stronach powieści są w dużej mierze fikcyjne. Turyści odwiedzający Wyspę Świętego Bartłomieja na próżno będą szukać restauracji Le Poivre i Le Tetou.

Niestety centralny motyw Posłańca inspirowany jest prawdą: finansowym i doktrynalnym wsparciem, jakiego Arabia Saudyjska udziela globalnemu terroryzmowi islamskiemu. Powiązania między saudyjskimi religijnymi organizacjami charytatywnymi a islamskimi terrorystami zostały dobrze udokumentowane. Pewien bardzo wysoki rangą amerykański urzędnik powiedział mi, że po atakach z 11 września do Rijadu udała się nieoficjalna amerykańska delegacja, której członkowie udowodnili rodzinie królewskiej, że dwadzieścia procent ze wszystkich wpływów islamskich organizacji dobroczynnych z siedzibą w Arabii łąduje w rękach terrorystów. Na skutek nacisków Stanów Zjednoczonych rząd saudyjski objął ściślejszą kontrolą kwesty i zbiórki pieniędzy prowadzone przez te organizacje. Sceptycy jednak skłonni są poczytywać powyższe kroki jedynie za mydlenie oczu.

Przykład zaangażowania Arabii Saudyjskiej w wysiłki powstrzymania przepływu pieniędzy do organizacji terrorystycznych pojawił się w kwietniu 2002 roku. Osiem miesięcy po 11 września, kiedy ów kraj zasypywany był pytaniami o swoją rolę w zamachach, tamtejsza telewizja państwowa nadała wielogodzinną kwestę dobroczynną, która przyniosła ponad sto milionów dolarów na rzecz wsparcia „palestyńskich męczenników”, jak eufemistycznie określa się tam zamachowców-samobójców z Hamasu, Palestyńskiego Islamskiego Dżihadu i Brygad Męczenników Al-Aksa.

W programie pojawiły się też wypowiedzi szejka Saada al-Buraika, prominentnego i uznawanego przez rząd saudyjskiego duchownego, który opisał Stany Zjednoczone jako „źródło całego zła na ziemi”. Ów islamski duchowny dowodził dalej:

„Bracia muzułmanie w Palestynie, nie miejcie żadnej litości ani też współczucia dla Żydów: ich krwi, pieniędzy i ciał. Możecie sobie wziąć ich kobiety w zgodzie z prawem. Bóg uczynił je waszymi. Dlaczego nie mielibyście ich zniewolić? Prowadźcie świętą wojnę. Pustoszczcie ich majątki i ziemię”.

Podziękowania

Ta powieść, podobnie jak wszystkie poprzednie z serii o Gabrielu Mionie, nie zostałyby napisane bez pomocy Davida Bulla, który naprawdę należy do najświetniejszych konserwatorów sztuki na świecie.

Pomocą służyło mi przez cały czas także kilku oficerów wywiadu izraelskiego i amerykańskiego, choć z oczywistych względów nie mogę podziękować im imiennie. Jean Becker, legionowi swoich miłośników znana, nie bez powodu, jako „centrum wszechświata”, otworzyła przede mną wiele drzwi. Moja adiustatorka, Jane Herman, zaoszczędziła mi dużo wstydu. Louis Toscano naniósł niezliczone poprawki do manuskryptu, podobnie jak moja oddana przyjaciółka i agentka literacka, Esther Newberg z ICM w Nowym Jorku. Zaglądałem do setek książek, artykułów i stron internetowych, zbyt wielu, by je tu wszystkie wymieniać, ale wykazałbym się dużym niedbalstwem, gdybym nie wspomniał o wybitnych pracach Dorego Golda, Laurenta Murawca, Geralda Posnera i Dereka Fella, którego analiza ostatnich dni życia Vincenta van Gogha spędzonych w Auvers zainspirowała powstanie Marguerite Gachet przy toalecie. Jest sprawą oczywistą, że moje wysiłki spełzłyby na niczym bez wsparcia niezwyklego zespołu profesjonalistów z Putnam: Ivana Helda, Marilyn Ducksworth, a zwłaszcza mojego wydawcy, Neila Nyrena.

Obdarzeni zostaliśmy wieloma przyjaciółmi, którzy, w krytycznych momentach pisarskiego życia, służą tak potrzebną perspektywą spojrzenia i humorem; w pierwszym rzędzie chciałbym wymienić tu Betsy i Andrew Lacków, Elbę Walsh i Boba Woodwarda, Michaela i Leslie Sabourinów oraz Andrew i Marguerite Pate'ów. Moja żona, Jamie Gangel, służyła za probierz pomysłów i z wprawą redagowała pierwsze szkice, włączając w to i te, które mi się nie podobały. Zawsze dostrzegała istotę opowieści, nawet kiedy mnie ona umykała. Bez jej troski, wsparcia i poświęcenia Połaniec mógłby nigdy nie zostać uratowany.

- 1) Biblia Tysiąclecia, Poznań 2003. ↵
- 2) Koran, 5:101. ↵
- 3) DEA: Drug Enforcement Agency; amerykańska Rządowa Agencja do Walki z Narkotykami. ↵

